

STYCZEŃ 2017 1 (722)

DIALOG

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY DRAMATURGII WSPÓŁCZESNEJ

po
głos
da

Weronika Murek

Wolfram Lotz

Antonina Grzegorzewska

Dialog

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY DRAMATURGII WSPÓŁCZESNEJ

ROK LXII / STYCZEŃ 2017 / NR 1 (722)

Copyright by „Dialog” 2017

Spis treści

Pogarda

KRÓTKA HISTORIA POGARDY W TRZECIEJ RP	5
Joanna Krakowska, Piotr Morawski	
KONIEC PRZEMOCY	16
Bogna Burska, Magda Mosiewicz	
JAK TO SIĘ ZACZĘŁO? ANKIETA	45
Magdalena Bartecka, Teresa Bogucka, Iwona Chmura-Rutkowska, Bożena Keff, Krzysztof Pacewicz, Małgorzata Sikorska-Miszczuk, Karolina Wigura	
DIALOG W CZASACH POGARDY	58
Ewa Chomicka	
NIEKOMPETENCJA, NIEDOJRZAŁOŚĆ	70
Rozmowa z Tomaszem Rakowskim	

Po bandzie

KROK W TYŁ KOSMITY	78
Marek Beylin	

Za mundurem

PODARTE KILTY, BLUZY Z ORZEŁKIEM	81
Justyna Jaworska	
• W NASZYM PIECU POKOJOWYM	91
Weronika Murek	
TO SOBIE WRESZCIE POŻYJĄ	103
Rozmowa z Weroniką Murek	
KINO DOBREJ ZMIANY	106
Kornelia Sobczak	

Jądro apokalipsy

MARZENIE O KLĘSCIE	125
Tomasz Plata	
• ŚMIESZNA CIEMNOŚĆ	149
Wolfram Lotz	
Przełożyła Sława Lisiecka	

Nawozy sztuczne

AMAZONKA	184
Tadeusz Nyczek	

Maszyna do życia

• ZA MAŁO	189
Antonina Grzegorzewska	
MYSZ W SUKIENCIE OD ZARY	206
Rozmowa z Antoniną Grzegorzewską	

Po przyjęciu

CHRISTOPHER MARLOWE DO WILLIAMA S.	210
Tadeusz Bradecki	

Varia

NOWE SZTUKI:	
JORDAN TANNAHILL <i>LATE COMPANY</i>	213
THOMAS JONIGK <i>WEITER TRÄUMEN</i>	215
MIRZA SKENDERAGIĆ <i>PROBUDI ME, KAD ZAVRŠI</i>	216
Z AFISZA	219
KORESPONDENCJA	225
Jarosław Minałto	

Contents	226
----------	-----

Pogarda

- JOANNA KRAKOWSKA, PIOTR MORAWSKI •
 - BOGNA BURSKA, MAGDA MOSIEWICZ •
 - TERESA BOGUCKA, MAGDALENA BARTECKA,
KAROLINA WIGURA, IWONA CHMURA-RUTKOWSKA,
MAŁGORZATA SIKORSKA-MISZCZUK, KRZYSZTOF
PACEWICZ, BOŻENA KEFF •
 - EWA CHOMICKA •
 - TOMASZ RAKOWSKI •
-

Krótką historia pogardy w Trzeciej RP

- JOANNA KRAKOWSKA •
- PIOTR MORAWSKI •

„Niech nie opuszcza cię twoja siostra Pogarda” – pisał Zbigniew Herbert w *Przesłaniu pana Cogito*. Wiersz czytany w latach osiemdziesiątych budował opór, pozwalał słabszym czuć się lepszymi. Była to pogarda kompensacyjna – wyższość moralna, gloria victis i siła bezsilnych. Słabość była bezdyskusyjna, bo mierzona represjami, internowaniem, biciem, zwolnieniami z pracy, lżeniem i podobnymi działaniami silnych. Silnych zdefiniowano w wierszu jako „szpiclów, katów i tchórzy”. W tej czarno-białej rzeczywistości po jednej stronie stało ZOMO, po drugiej uzasadniona pogarda. W tak opisywanej czy odczuwanej sytuacji słabo było widać odcienie bieli i smugi szarości – taka jest optyka życia pod dyktaturą. Ta optyka jednak zmienia się pod wpływem demokracji i w miarę jak pamięć opresji ustępuje historycznej refleksji z właściwym jej rozszczepianiem barw.

Kiedy w 1989 roku układ sił się odwrócił i dotychczas słabi stali się silni – a wielu z nich objęło władzę w państwie – natychmiast przylgnęło do nich pogardliwe miano „styropanu”. Sypiali bowiem na styropianie w stoczni w czasie strajków w sierpniu 1980 czy w maju 1988 roku. Niewiele później pojawiły się rzucane z oburzającą łatwością oskarżenia o agenturalną przeszłość niektórych dawnych działaczy opozycji, więc partię, która przeciwstawiała się tej „dzikiej lustracji” – Unię Demokratyczną – jej przeciwnicy nazywali „udecją”. Co miało nasuwać obelżywe skojarzenie z „ubecją” – jak przed 1989 rokiem nazywano potocznie tajniaków komunistycznej bezpieki.

Praca pogardy nie ustaje bowiem nigdy.

Tak jak bardziej złożony ogląd dawnej przeszłości stał się możliwy przez pryzmat roku 1989 i lat kolejnych, tak na historię Trzeciej RP spojrzeć można teraz z perspektywy dzisiejszej sytuacji politycznej i społecznej, w której pojawiły się ostre podziały, a paleta barw w osądach i ocenach gwałtownie zubożała. Siostra Pogarda

niczym Siostra Ratched z *Lotu nad kukulczym gniazdem* zarządza dziś zbiorowymi emocjami, podtrzymując ich bipolarny charakter, ożywiany lękami, uprzedzeniami, fiksacjami i upokorzeniami, które wyhodowała Trzecia RP. Po 1989 roku w sytuacjach napięć społecznych czy w obliczu konfliktów i sporów politycznych nieraz sięgano po takie narzędzia retoryczne, które z pozycji moralnej wyższości odbierały przeciwnikowi godność i szacunek, pozwalały go lekceważyć i upokarzać. Styropian, oszołomy, homo sovieticus, czerwona hołota, wiocha, mohery, łże-elity, wykształciuchy, lewaki, ciemnogród, wózkowe, resortowe dzieci, gorszy sort, oderwani od koryta, dorobasy, kibole, Janusze, dzieci z bruzdą, lemingi, słoiki, katole, 500+ – nie wyczerpują repertuaru pogardliwych określeń, którymi obdarzają się od ćwierćwiecza uczestnicy debaty publicznej.

Zajęcie się pogardą jako problemem polskiego życia publicznego, prześledzenie jej rozmaitych odsłon po 1989 roku może nam pozwolić na zrozumienie sytuacji, w jakiej się dziś znaleźliśmy, a jednocześnie uruchomić perspektywę autokrytyczną, której także bardzo potrzebujemy.



1989 OSZOŁOMY

Najogólniejsze i najbardziej pojemne określenie osób, które przeciwstawiały się lub poddawały krytyce politykę transformacji ustrojowej, stosowane przez media w szerokim spektrum – od krytyków planu Balcerowicza po radykalnych fantastów.

„W 1981 roku słowa oszołom w tym znaczeniu, w jakim jest ono dziś używane, nie było w polszczyźnie. Wtedy w czasach anarchii, w czasach upadku, w czasach pierwszej Solidarności beton nie polemizował z oszołomem, wtedy partyjny beton bronił się przed nawiedzonymi. Najpierw byli nawiedzeni wolnością, nawiedzeni obłędnymi ideami o rozpadzie porządku w Europie i dopiero potem ci nawiedzeni przeistoczyli się w oszołomów. Dziś słowo nawiedzony w tym konkretnym sensie (człowiek nawiedzony jakąś szkodliwą, bo niosącą wolność ideą) nie istnieje – powróciło ono do swych pokątnych, macierzystych znaczeń – natomiast istnieje słowo oszołom, które choć niesie podobne znaczenia, znaczy w gruncie rzeczy co innego. Nawiedzony był ktoś, kto w swym nawiedzeniu umykał przed systemem totalitarnym. Oszołomiony jest ktoś, kogo oszołomiła wolność.”

Jerzy Pilch *Pobożne życzenia*, „Magazyn” nr 26,
dodatek do „Gazety Wyborczej” z dnia 27 sierpnia 1993

1991 HOMO SOVIETICUS

Pojęcie rosyjskiego pisarza i dysydenta Aleksandra Zinowiewa przywrócił do obiegu publicznego w Polsce książd Józef Tischner na fali rozgoryczenia wywołanego porażką Tadeusza Mazowieckiego w pierwszej turze wyborów prezydenckich.

„Zniewolony przez system komunistyczny klient komunizmu – żywił się towarami, jakie komunizm mu oferował. [...] Gdy komunizm przestał za-

spokajać jego nadzieje i potrzeby, homo sovieticus wziął udział w buncie. Przyczynił się w mniejszym lub większym stopniu do tego, że miejsce komunistów zajęli inni ludzie – zwolennicy «kapitalizmu». Ale oto powstał paradoks. Homo sovieticus wymaga teraz od nowych «kapitalistów», by zaspokajali te potrzeby, których nie zdołali zaspokoić komuniści. Jest on jak niewolnik, który po wyzwoleniu z jednej niewoli czym prędzej szuka sobie drugiej. Homo sovieticus to postkomunistyczna forma «ucieczki od wolności», którą kiedyś opisał Erich Fromm. [...] Homo sovieticus nie zna różnicy między swym własnym interesem a dobrem wspólnym. Może podpalić katedrę, byle sobie przy tym ogniu usmażyć jajecznicę.”

Książd Józef Tischner *Homo sovieticus*,
„Gazeta Wyborcza” z 12 stycznia 1991

„Homo sovieticus to człowiek zniewolony, ubezwłasnowolniony, pozbawiony ducha inicjatywy, nieumiejący myśleć krytycznie. [...] Homo sovieticus to dziś człowiek, który wszystkiego oczekuje i domaga się od państwa, który nie chce i nie umie swego losu wziąć we własne ręce.”

Jerzy Turowicz *Pamięć i rodowód*,
„Tygodnik Powszechny” nr 45/1993

1992 CIEMNOGRÓD

„Problem z używaniem pojęcia ciemnogrodu we współczesnej debacie publicznej polega po pierwsze na tym, że dawne pojęcie, dość adekwatne w innych epokach i kontekstach, niejako automatycznie przeniesiono na dzisiejszą rzeczywistość, oczywiście w celach polemicznych. W sytuacji poważnego sporu (na przykład wokół «nocy teczek» w roku 1992) tym jednym określeniem objęto zjawiska niewspółmierne. W liberalnym dyskursie publicznym do «ciemnogrodu» zaliczeni zostali między innymi przeciwnicy Okrągłego Stołu, zwolennicy lustracji, sceptycy wobec integracji europejskiej, katolicy fundamentaliści, wojujący obrońcy «życia poczętego» i antysemici.”

Michał Sutowski *Słownik transformacji*¹

2002 SPIEPRZAJ, DZIADU

„Słowa wypowiedziane przez Lecha Kaczyńskiego przy wsiadaniu do samochodu tuż po zakończeniu spotkania wyborczego na rogu ulicy Stalowej i 11 Listopada na warszawskiej Pradze Północ w listopadzie 2002 pod adresem zaczepiającego go wyborcy.

Część mediów oraz polityków komentujących to zajście zaznaczała, że ich zdaniem Kaczyński bez przyczyny zaatakował «bezbронnego wyborcę», «mężczyzn z reklamówkami», «kilku jegomościów z plastikowymi reklamówkami».”

Wikipedia

¹ <http://www.krytykapolityczna.pl/Transformacja-20latpозniej/Słowniktransformacyjnyciemnogrod/menuid-431.html>

2004 MOHEROWE BERETY

„Pejoratywne określenie osób starszych lub w średnim wieku, identyfikujących się z poglądami społeczno-politycznymi głoszonymi przez konserwatywno-narodowy nurt polskiego katolicyzmu, którego reprezentantem są między innymi media związane z redemptorystą ojcem Tadeuszem Rydzykiem. Określenie to powstało od charakterystycznego nakrycia głowy, jakie noszą stereotypowe przedstawicielki części tej społeczności.”

Wikipedia

„Ekstacycznie wpatrzone w prałata Jankowskiego starsze kobiety oklaskami przyjmują niemal każde jego słowo. W Gdańsku mówi się, że ksiądz prałat ma swój «legion moherowych beretów».”

„Rzeczpospolita” z 23 października 2004

„Chciałbym na koniec powiedzieć parę słów także do tych wszystkich, którzy dzisiaj z niepokojem obserwują to, co się dzieje w polskim parlamencie, bo chciałem powiedzieć, żeby nie tracić nadziei. Znaczą, Polska naprawdę nie jest skazana na, tak jak ją Polska od wczoraj nazywa, moherową koalicję.”

Donald Tusk, przemówienie sejmowe z 10 listopada 2005

2005 CIEMNY LUD

Sformułowanie Jacka Kurskiego wypowiedziane 14 października 2005 roku przed nagraniem w Radiu TOK FM w obecności Wiesława Władyki, Tomasza Wołka i Katarzyny Kolendy-Zaleskiej:

„Jedziemy w to, bo ciemny lud to kupi”.

2006 ŁŻE-ELITY

Określenie stosowane w środowisku Prawa i Sprawiedliwości wobec nieprzychylnych środowisk politycznych i intelektualnych.

„Stała tutaj do walki w zwartym ordynku łże-elita Trzeciej Rzeczypospolitej.”

Jarosław Kaczyński, przemówienie w sejmie 17 lutego 2006

2006 WYKSZTAŁCIUCHY

Ludwik Dorn użył tego sformułowania pod adresem liberalnych elit gardzących masami, ale w publicznym obiegu przyjęło się jako obelga wobec przeciwników Prawa i Sprawiedliwości, potwierdzając wizerunek tej partii jako partii antyinteligencjonalnej.

„To mocno ignorancka, egoistyczna, narcystyczna warstwa wykształconych, która nie ma wiele wspólnego z polską inteligencją. [...] Straciła ona kontakt z resztą Polski, w gruncie rzeczy na własne życzenie.”

Ludwik Dorn *Dzięki nam Polska znów ruszyła do przodu*,

„Dziennik” z 26-27 sierpnia 2006

2008 LEMINGI

Określenie osób identyfikujących się z poglądami reprezentowanymi przez Platformę Obywatelską oraz media głównego nurtu i żywiących niechęć do ugrupowań konserwatywno-katolickich. Po raz pierwszy pojawiło się prawdopodobnie w 2008 roku na prawicowych blogach.

„Konstytutywną cechą lemingów – ludzi jest właśnie konformizm i bezrefleksyjność. Piotr Zaremba zdefiniował nawet lemingów jako «bezrefleksyjnych przeżuwczy medialnych mądrości». Wychowani na «Wyborczej» i TVN czerpią z nich nie tylko wiedzę o świecie, ale także tegoż świata ocenę zróżnicowaną kolorystycznie jak wzrok psa – na czarne i białe.

Lemingi nie pojawiły się nad Wisłą nagle. Żyły tu, choć bezimienne, już w latach 90. Od początku wiedziały, że wspierać należy «partię ludzi przyzwoitych», czytać najważniejszą z gazet i szczerze nie znosić oszołomów, jak wtedy nazywano dzisiejsze mohery. Nie lubiły polityków raz tych, raz owych (były czasy, gdy wieszały psy na tak znacznych ludziach jak Stefan Niesiołowski i Lech Wałęsa, tak, tak!), choć jest coś stałego na świecie – Kaczyńskiego nie cierpiały zawsze.

Rok 2005 był dla lemingów jak cios obuchem, ale i okazją do masowego coming outu. Dotychczas niezainteresowani polityką ochoczo zgłaszali akces do obozu «wykształciuchów», jak ich nazwał Ludwik Dorn, podkreślali, iż są młodzi, wykształceni i zamieszkują «większe ośrodki». Gdzieś w czeluściach internetu pojawiło się określenie «lemingi» i zawładnęło siecią, tak jak same lemingi krajem.”

Robert Mazurek *Alfabet leminga*, „Uważam Rze”,

<http://www.uwazamrze.pl/artukul/909451/alfabet-leminga> (dostęp 3 grudnia 2016)

2012 SŁOIKI

Określenie młodych ludzi pochodzących ze wsi i małych miast, którzy przeprowadzili się do Warszawy na studia lub do pracy. Przydomek pochodzi od słoików z jedzeniem, które przywożą z domów rodzinnych.

„«Wyjechały słoiki, nie będzie korków»; «wszystkie słoiki z LLU i BIA pojechały do domów po żarcie» – takie komentarze można znaleźć pod wieloma newsami dotyczącymi Warszawy. W internecie «słoiki» to popularne określenie na przyjezdnych, jednak wielu warszawiaków twierdzi, że w ogóle

go nie słyszało. A ten wyraz w dość obrazowy, a zarazem obraźliwy sposób pokazuje relacje przyjezdnych i warszawiaków.”

Michał Wąsowski „Słoiki wracają do Warszawy”.

Warszawskie określenie na przyjezdnych śmieszne czy obraźliwe?,
naTemat, <http://natemat.pl/13061,sloiki-wracaja-do-stolicy-warszawskie-okreslenie-na-pryjezdnych-smieszne-czy-obrazliwe> (dostęp 3 grudnia 2016)

2012 WÓZKOWE

Określenie Zbigniewa Mikołajki odnoszące się do młodych matek.

„Ich winy są najzupełniej oczywiste. Te nigdy niedomknięte furtki. Dzieciaki puszczone samopas, gdziekolwiek, a najlepiej na mój trawnik. To ich durne puszenie się świeżym macierzyństwem, które uczyniło z nich – przynajmniej we własnym mniemaniu – królowe balu. Patrząc więc, jak to idą i gdaczą, jak stroją fochy, uważając się za Bóg wie co. Jak pytlują nieprzytomnie, gdy tymczasem ich potomstwo obrzuca się piachem albo wyrzywa sobie nawzajem włosy. Dzieci najwyraźniej potrzebne im do tego, aby coś znaczyć. Być Kimś. Domagać się urojonych praw i zawieszenia społecznych reguł. Nie chodzi o młode matki. Te są najzupełniej w porządku. Chodzi o wózkowe – wojowniczy, dziki i ekspansywny segment polskiego macierzyństwa. Macierzyństwa w natarciu, zawsze stadnego i rozwielnionego nad miarę. Pieszczącego w sobie poczucie wybraństwa i beczelnie niegodzącego się na żadne ograniczenia. [...]

Gdy domagają się dla siebie szczególnej tolerancji – a domagają się jej zawsze! – to wypychają na pierwszy plan dzieci. Że to dla tych bachorków. A ktoś odmówi dziecku? Okaże się tak nieczuły i paskudny? Ale dzieci to zwykle alibi. Pretekst, by nic nie robić. Aby nie pracować i nie rozwijać się (czy widzieliście kiedyś wózkową czytającą książkę?). Nawet ich rozmowy są o niczym. Magma słów bez znaczenia. Słowotoki – i tyle.”

Zbigniew Mikołajko *Wojna z wózkowymi*,
„Wysokie Obcasy Extra” nr 4/2012

2015 GORSZY SORT

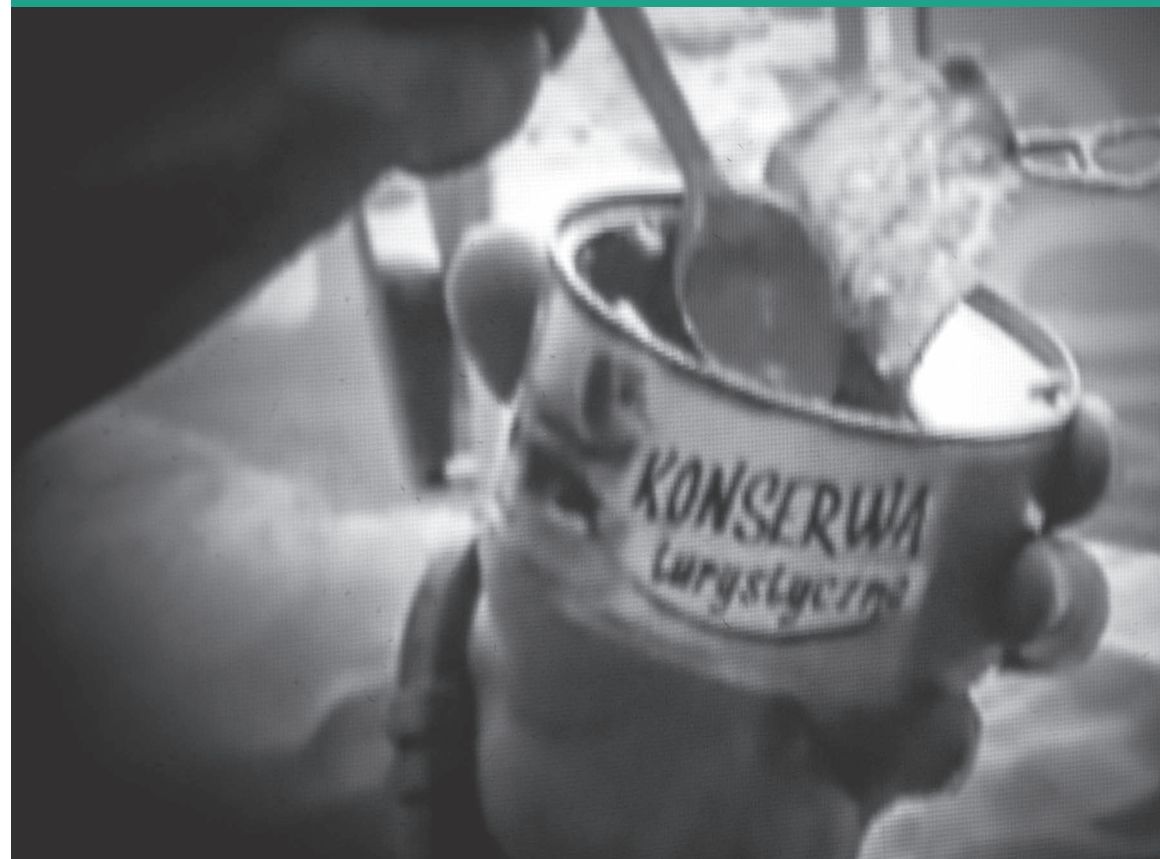
Sformułowanie Jarosława Kaczyńskiego na określenie przeciwników politycznych. Przejęte następnie przez członków i sympatyków Komitetu Obrony Demokracji, którzy zaczęli manifestować przeciw rządowi PIS, określając się sami jako „gorszy (czytaj: lepszy) sort”.

„W Polsce jest taka fatalna tradycja zdrady narodowej. I to jest właśnie nawiązywanie do tego. To jest w genach niektórych ludzi, tego najgorszego sortu Polaków. Ten najgorszy sort właśnie w tej chwili jest niesłyszanie aktywny, bo czuje się zagrożony.

Wojna, później komunizm, później transformacja przeprowadzona tak, jak ją przeprowadzono właśnie ten typ ludzi promowała, dawała mu wielkie szanse.



POGARDA, KOMUNA//WARSZAWA, WARSZAWA 2016, REŻ. WIKTOR RUBIN, REALIZACJA KANTOR DOWNTOWN COLLECTIVE, FOT. PATRYCJA MIC



On dziś boi się, że te czasy się zmieniają, że przyjdzie czas, że tak jak to być powinno – inny typ ludzi, mających motywacje wyższe, patriotyczne będzie wysunięty na czoło i to będzie dotyczyło wszystkich dziedzin życia społecznego, także ze strony gospodarczej. Tu jest ten wielki strach o to, jaki rodzaj Polaków będzie miał te największe szanse. Czy ci, dla których wszelkie sprawy związane z czymś szerszym niż własny interes, narodem, godnością narodową, są ważne. Czy ci, dla których to nie ma żadnego znaczenia, a cała filozofia sprowadza się do takiego powiedzenia «nie ma takich grabi, które by od siebie grabiły».”

Jarosław Kaczyński,

11 grudnia 2015, Telewizja Republika

2016 PIĘCSET PLUS

Program 500+ wywołał zalew oskarżeń pod adresem elektoratu Prawa i Sprawiedliwości, który „dał się kupić za 500 marnych srebrników” i „sprzedał wolność”.



Pogardy rzecz jasna nie wymyśliła Trzecia Rzeczpospolita. Wcześniej szlachta gardziła chłopami, arystokracja szlachtą zaściankową, a oświeceni sarmatami. Pogarda zawsze była znakiem wyższości, władzy nad słabszymi – stanowo, a później klasowo, ekonomicznie, i co się z tym wiąże, gorzej wyedukowanymi, z mniejszym kapitałem kulturowym etc. Można by więc w gruncie rzeczy uznać, że pogarda jest stale obecna, nie tylko w kulturze polskiej zresztą. I być może historia Trzeciej RP to po prostu nowa odsłona zjawiska znanego od zawsze.

Jednak to ćwierćwiecze po 1989 roku stworzyło świat, w którym żyjemy. Narzuciło perspektywę patrzenia i język, którym się posługujemy. Dało gotową interpretację świata zaprojektowanego po przełomie 1989 roku, w którym odzyskana wolność stała się wartością bezwzględną. Kto był za wolnością, stawał po jasnej stronie mocy, bez względu na to, czy chodziło o wolność myśli, czy o wolność gospodarczą. Wolność stała się zaklęciem, którym czarowali Polaków architekci zbiorowej wyobraźni w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych. Do przegranych wyborów z 1995 roku obóz postsolidarnościowy zdążył już ustanowić linię podziału.

„Złośliwy historyk całą solidarnościową wojnę mógłby opisać jako starcie dwóch maniakałnych zakonów – «mądrych» z «uczciwymi»”² – pisał swego czasu Robert Krasowski. Owe dwie figury – stworzone na fali upadku rządu Jana Olszewskiego – zawładnęły wyobraźnią i władają nią do dziś. Mądrzy to oczywiście unicy – nowa elita po 1989 roku: profesorowie, inteligencja o gładkich manierach i swobodnej wymowie. Unia Demokratyczna, a potem Unia Wolności była partią typowo inteligentką. I elitarną. Wiedzącą lepiej – jak reformować i w jakim kierunku powinny pójść reformy. Leszek Balcerowicz też oczywiście należał do mądrych. Też wiedział lepiej, choć nigdy wcześniej żadnych reform nie przeprowadzał. Ani on, ani nikt z jego ekipy. Miarą sukcesu miało być pobudzenie gospodarki i polepszenie sytuacji

² Robert Krasowski *Po południu. Upadek elit solidarnościowych po zdobyciu władzy*, Czerwone i czarne, Warszawa 2012, s. 231.

tych, którzy z trudem, ale jakoś sobie radzili – skręcali radioodbiorniki, handlowali na polówkach, zakładali pierwsze firmy. O kosztach – prócz Jacka Kuronia – nikt specjalnie nie myślał.

„Uczciwi” mieli dla „mądrych” prostą odpowiedź. Tamci prawdopodobnie są mądrzejsi, lepiej wykształceni, bardziej elokwentni, jednak ci pozostali wierni zasadom – nie współpracowali ze służbami, nie dorobili się na prywatyzacji, a teraz są na przegranej pozycji. Cała akcja lustracyjna miała więc odwrócić porządek i przywrócić „uczciwym” należne im miejsce. Jakkolwiek argumentacja ta jest bałamutna, bunt „uczciwych” przeciw „mądrym” był bodaj pierwszym głosem pominiętych przez nowe elity. Dialektyka „mądrych” i „uczciwych” pozostała zaś na dłużej w repertuarze polskich sporów.

Problemem w tej konfiguracji był Lech Wałęsa: tak dla „mądrych”, jak i „uczciwych”, którzy wytykali mu agenturalną przeszłość i palili jego kukły. Wałęsa, który – pisał Krasowski – „nigdy nie chciał się pozbyć chłopsko-robotniczych kodów kulturowych. Strach przed Wałęsą był więc klasyczną inteligencko-szlachecką obawą przed tym, co robi lud”³. W postawie inteligencko-szlacheckiej była, jeśli nie otwarta pogarda, to na pewno nieskrywane poczucie wyższości. Obnoszenie się z salonowymi manierami i wytykanie Wałęsie ich braku ustawiało linię podziału – od pierwszych wyborów, gdy Wałęsa – niespodziewanie dla przedstawicieli obozu inteligencko-szlacheckiego – wygrał z Tadeuszem Mazowieckim, po wybory z 1995 roku, które Wałęsa przegrał po debacie telewizyjnej z Aleksandrem Kwaśniewskim,

³ Tamże, s. 123.



w której zaproponował interlokutorowi podanie nogi. Pewnie nawet nie dlatego przegrał, ten gest jednak skutecznie osadził go w porządku prostaka bez ogłady.

Wojna „mądrych” z „uczciwymi” była próbą przewartościowania pozycji władzy. „Mądrzy” mieli zostać skompromitowani i upokorzeni, a „uczciwi” moralnie wywyższeni. Jedni gardzili drugimi: „mądrzy” gardzili nieudacznikami, którzy znaleźli się w kanapowych partiach i odreagowali swoje frustracje, miotając oskarżenia, a „uczciwi” – elitami bez zasad, które dla własnego prestiżu i korzyści są w stanie poświęcić dobro wspólne. „Zdradzić!” Język wypracowany w tej wojnie będzie później powracał, kiedy Ludwik Dorn będzie mówił o „wykształciuchach” a Jarosław Kaczyński o „Iżę-elitach”, Donald Tusk zaś o „moherowych beretach”, a „Gazeta Wyborcza” o „ludzie smoleńskim”.

Wałęsa był pierwszą figurą chama, który się na salony nie nadawał. Po przegranych wyborach w 1995 roku chamofobia polskich elit wcale jednak nie osłabła. Wcześniej już pojawiła się postać bardziej radykalna, która z eksponowania chłopskiego pochodzenia postanowiła uczynić swój największy atut, zagospodarowując społeczne frustracje zadłużonych rolników.

W 1999 roku Andrzej Wajda zrealizował w Teatrze Telewizji spektakl *Bigda idzie!* na motywach powieści Juliusza Kaden-Bandrowskiego. *Mateusz Bigda* po raz pierwszy ukazał się w 1932 roku i był niedwuznacznym odniesieniem do Wincentego Witosa. Kaden-Bandrowski stworzył portret chłopskiego watażki, który pcha się po władzę, stosując najbardziej brutalne metody. Kaden-Bandrowski szczerze gardził demokracją parlamentarną, a jego powieść miała być ostatecznym dowodem na jej klęskę, gdy do władzy idzie cham. Spektakl Wajdy chamofobię utwierdzał. Lęk przed Lepperem i jego Samoobroną wpisywał w perspektywę historyczną. Odsłaniał jednak przy okazji ciągłość nie tyle chłopskich intryg, ile stosunek inteligencji do chamów, stosunek podszyty poczuciem intelektualnej i moralnej wyższości, a także pogardy.

Andrzejem Lepperem gardzić można było w otwarty sposób, wystarczy przypomnieć określenia, które padają w bydgoskim spektaklu Rabiah Mrouégo *Tu Wersalu nie będzie!* z 2016 roku: „Napalony na władzę Mulat”, „lump z Samoobrony”, „nowy Szela”, „cwaniak, który zerwał się ze smyczy”, a wśród autorów podobnych epitetów – Piotr Najsztub, Magdalena Środa czy Zbigniew Mikołajko. Intelektualna elita kontra cham z Zielnowa. Siedemnaście lat, jakie minęły od spektaklu Wajdy do *Tu Wersalu nie będzie!* wyznacza pole refleksji nad pogardą: jej ukonstytuowaniem i przyzwoleniem na nią, po jej demaskacji.

Być może właśnie Andrzej Lepper jest najlepszym pretekstem, by mówić o pogardzie w Trzeciej Rzeczypospolitej. Nie dlatego, że gazetowe nagłówki podpisujących się pod nimi intelektualistów dziś ich kompromitują, pokazując bez taryfy ulgowej, jak język pogardy wobec Leppera eskalował. Także, a może przede wszystkim dlatego, że Lepper sam gardził establishmentem, obrażał architektów polskiej transformacji od Balcerowicza po Cimoszewicza. Gardził też kobietami, z tępym rechem śmiejąc się z własnego żartu na temat gwałtu na prostytutce; z pogardą wypowiadał się też o kobietach przy okazji seksafery w Samoobronie. Tu już nie chodziło o tradycyjną polską szlachecko-inteligencką chamofobię.

Lepper ostentacyjnie okazywał pogardę słabszym, czerpiąc z tego widoczną satysfakcję. Nie tylko wprowadził język pogardy, będący wyrazem buntu pogardzanych, lecz z pogardzania innymi uczynił sposób swojego istnienia w polityce. To, co w polu

społecznym mogło uchodzić za słuszny gniew wykluczonych, przybierało formę najbardziej odstręczającego seksizmu i mizoginizmu. (Wałęsa w swoich wypowiedziach też zresztą gardził mniejszościami seksualnymi.)

Tu Wersalu nie będzie! wcale nie unieważnia tego kontekstu, nie pokazuje Leppera jedynie jako ofiary języka pogardy; pokazuje przede wszystkim sam język, a scena, gdy Jan Sobolewski, jako detektyw starający się wyjaśnić tajemnicę śmierci lidera Samoobrony, czyta nagłówki – które przecież pamiętamy – z podpisanymi pod nimi intelektualnymi autorytetami, uwidacznia, że coś się jednak zmieniło od 2003 roku, gdy Piotr Najsztub mówił o napalonym na władzę Mulacie. Że oczywista pogarda zawarta w konstatacji Najsztuba, kiedyś dziwnie przezroczysta, dziś już taka nie jest.

Są tu też biografie. Takie jak ta, skompilowana przez dramaturgów bydgoskiego spektaklu – Martę Keil i Piotra Grzysławskiego. Małgorzata Trofimiuk mówi z widowni monolog. Występuje jako działaczka Samoobrony; nierozpoznawalna dla obecnych na sali jej członków, dopytujących, z jakiego jest okręgu. Wstaje i mówi, a jej monolog to na dobrą sprawę historia pierwszej dekady Trzeciej RP pisana z perspektywy wykluczonych przez transformację.

Wszystko szło dobrze do Balcerowicza. Wysokość kredytu, który mieliśmy spłacić, wzrosła kilka razy. [...] W 1997 roku wzięliśmy kredyt na maszyny – sto pięćdziesiąt tysięcy złotych. Spłaciliśmy trzy półroczne raty po dziesięć tysięcy, potem nie daliśmy rady. Taki kupiec z Olsztyna zwał z pieniędzmi za nasze zboże. Naciągnął tak prawie stu rolników z Żuław, nam poszło w plecy czterdzieści tysięcy. I to nas pogrążyło. W końcu przyszedł komornik w asyście dwóch policjantów. Zabrał trzyletniego bizona i nowy ciągnik za sto tysięcy. Ale dalej nie mieliśmy na raty. Kiedy komornik wrócił, wzięliśmy się na sposób. Zgłosiliśmy kradzież maszyn, ale mąż tak głupio je ukrył w stodole u krewnych, że komornik zaraz je znalazł. Krewni, dobrzy ludzie, nie pozwolili ich zabrać. Zaczął się proces o kradzież mienia, co zabezpiecza kredyt.

Mówili, żeby maszyny sprzedać, to byśmy na kredyt mieli. Ciągnika się nie sprzedaje! To jak kogoś z rodziny sprzedać. Wy weźcie pod uwagę, co to były za czasy... Bank chciał coraz więcej, a za produkcję płacili mniej i mniej. W 1998 chłopci stali w kilometrowych kolejkach pod skupami. W Szczytnie na sprzedaż przyczepy ziarna trzeba było czekać cztery doby! Ceny skupu spadały...

„Trzeba było skończyć ten cyrk. Skurwysyny!” – kończy z bezsilną wściekłością. Bo może nie o samego Leppera tu chodzi, lecz o całą rzeszę często bezimiennych zadłużonych, których państwo zostawiło samym sobie. Tamci bronili się, wylewając gnojówkę. I to ona stała się symbolem ich buntu. Stała się też pogardliwą łatką, bo do pogardzania fekalia nadają się najlepiej.

Całkiem tak jak w przypadku tych tłumów rodzin, które dostały 500+ i teraz srają na nadbałtyckich wydmach.

Koniec przemocy

• **BOGNA BURSKA** •
• **MAGDA MOSIEWICZ** •

MM

Ogląda pani telewizję? Nie? Tak myślałam.
Ale jakieś radio? Gazety pani czyta, chociaż na fejsbuku?
Dołujące?
A pan? I co, czuje się pan bezsilny? Wściekły?
A pani ogląda telewizję? Robi się czasem duszno? Brakuje powietrza?

Pana dzieci chodzą do szkoły? Głupie pytanie, muszą. A muszą na przygotowanie do życia w rodzinie – czego się nie robi, żeby nie mówić „wychowanie seksualne”? A na rekolekcje? Muszą? Chcą? Pan chce? A jak pan chce, to one muszą? Szkoła to przymus tak-czy-owak-tak?

Chodzi pani do ginekologa? A do apteki?
Jak się wpisuje „tabletki”, to google od razu dopisuje „poronne”. Dlaczego nie można kupić w aptece, tylko na sprzedamtabletki.pl? Jeszcze niedawno było można.

Wściekli?
Żli?

BB

Rosjanka szydzi ze starszego pana, który nie może przesunąć nóg, ma kłopot z biodrem.
Nienawidzi, kiedy ktoś myśli, że jest Ukrainką.
Skończyła uniwersytet w Moskwie, politologię.

W Tczewie wsiada obfita dziewczyna, w znoszonych brązowych kowbojskich ciuchach, krótkiej fryzurze i motocyklowych okularach.

Wyciąga dwa piwa.

Mówi poprawnej dwudziestolatce, która czyta o mafii, że w mafii to kobiety robiły ważne rzeczy i ważne, by to pokazywać.

Rosjanka wyciąga starszego pana do kibla na soplicę.

Potem wyglądają na korytarzu przez okno.

Jej mama mówiła, że teraz jest wolność, jedźcie, gdzie chcecie.

Jeździ, ale nie lubi podróżować, zna już cztery języki, pięć.

I kupuje, jakie chce, gumki w aptece.

Pan mówi, że jak się biodro naoliwi, to lepiej działa.

Ania studiowała na Litwie, w Holandii, jej ojciec jest generałem, pa-trzyła na martwego Papalę.

Mama przyjechała po ośmiu latach, po ośmiu, i że goły tyłek noszę.

(A ja chodziłam gumki kupować do apteki.

Nie, ale nie takie na włosy, na... no wiesz.

Na fiutaka, na fiuta no – tak mówi starszy pan.)

Potem Rosjanka wyciąga na soplicę kowbojkę.

Obie mają na imię Ania.

Idą w stronę kibla.

Kowbojka woliienne pociągi do Wiednia, nocnymi jeżdżą sprzą-taczki, które budzą ją, bo podobno chrapie.

Sprzątaczkii rano idą prosto do pracy.

Mówi, że Polacy chcieli zarabiać tak jak Austriacy i Niemcy, wtedy Merkel zaprosiła milion Arabów.

Rosjanka krzyczy, że Polacy pierdolą tę hołotę, bo mają dwadzieścia tysięcy Ukraińców, że Ukraińcy będą zapładniać polskie kobiety, i ru-sza pośladkami.

I kładzie nogi na nogi starszego pana, który nie może więcej soplicy, bo jedzie do lekarza.

Jest kościsty i niewygodny.

Kowbojka mówi, że Arabowie będą robić to samo.

Że Ania jest kobietą z klasą, ekstra babą, bo zna historię Polski i niech nie mówi tyle, kurwa, choć jej to nie robi różnicy.

Widziała dwadzieścia tysięcy tej hołoty w Wiedniu, jak za darmo wy-syłali ich pociągami do innego miasta.

Ona musiała osiem lat pracować, żeby tam żyć i iść na studia.

Jeżdżenie po Unii Europejskiej jest dla Europejczyków.

Kto by Polaka bez wizy za komunizmu do Erefenu wpuszcł?

Dostają zasiłek tysiąc dwieście euro, czy ktoś w Polsce widział takie pieniądze?

Na człowieka, nie na rodzinę!

E-u-ro-pej-czy-ków!

Jesteśmy, wie pani, podpici, ale to jest ważny problem społeczny.

Wysiadłam w Warszawie.

I myślę, że u nas będzie wojna.

MM

Przechodzi pan przez ulicę? Ile razy wjechał na pasy samochód na zielonej strzałce?

Taka mała codzienna przemoc?

My i oni.

A nie, nie chodzi pan po chodnikach? Tylko wjeżdża samochodem na pasy na zielonej strzałce? Oni i my. A wydawało się, że miły, kulturalny człowiek. Taki, co chodzi do teatru.

Dlaczego znowu jest zielona strzałka? Przecież wcześniej nie było. A jeszcze wcześniej była.

Dlaczego raz coś można, raz nie można?

Pali pan trawę? A pani? Nie? A Czesi mogą! Legalnie.

I związki partnerskie mają legalnie. Chciałby pan? Pan z panem? Tak normalnie, tutaj, w tym mieście, w urzędzie i z pieczętą.

Czesi nie są przecież specjalnie inni. Pewnie też mają jakąś Młodzież Wszechczeską. Ale związki partnerskie mają.

Poczytajmy te gazety. „Tygodnik Powszechny”.

À propos związków partnerskich – wywiad z Wszechpolakiem.

Wszechpolak i jego wszechzasady i wszechpoglądy na temat Polaków homoseksualnych. Będzie też oczywiście o Żydach, Wszechżydach, można powiedzieć, no ale najpierw o homoseksualistach:

Może pani czytać kwestie dziennikarki? Żebym się nie zagrywała na dwie role.

to nienaturalne i niezdrowe dla tej osoby i dla społeczeństwa. Ale nie uważam, że należałoby tych ludzi zabijać.

A mniej drastycznie – być członkiem tej samej wspólnoty też nie należy?

Zachód wybrał zupełną anarchię i ideologię, która go rozbroiła, wmawiając ludziom, że wszystko jest dobre: chcesz być kobietą, chociaż się urodziłeś mężczyzną – nie ma sprawy. Chcesz zabić dziecko – twoje prawo, a aborcja to oznaka wolności kobiety.

Dla mnie to, co niepodważalne, to prawa człowieka, dla pana – prawa boskie, prawa jednej religii? I chce pan narzucać swoją wizję tego, co można, a czego nie można, innym?

Jeszcze nie narzucamy.

Jeszcze...

Są sprawy fundamentalne, w których nie możemy pozwolić, by ktoś decydował o sobie wbrew boskiemu prawu i wbrew interesowi narodu. Taką sprawą jest na przykład aborcja.

Ci, którzy pańskiego zdania nie podzielają, są wrogami ojczyzny?

Wszyscy oni działają na rzecz degrengolady moralnej społeczeństwa.

Zaczyna się od drobnych rzeczy, a potem granice przyzwoitości się zacierają, i w efekcie rodziny zostają pozbawione wpływu na to, jak wychowują dzieci, bo jakaś ideologia i organizacje, które wcielają ją w życie, uważają, że zrobią to lepiej.

Pańska organizacja też uważa, że ma monopol na prawdę.

Nie można wszystkim na wszystko pozwalać w stylu „róbta co chcesz”. Trzeba stawiać granice, żeby mieć w życiu jakieś punkty stałe, wartości, żeby wiedzieć, do czego się odwołać. A odwołać się można tylko do tego, co nas ukształtowało: wiara i historia.

...Myśli pan o tym, co organizacja, do której dziedzictwa odwołuje się ta, do której pan należy, robiła w latach trzydziestych?

Proszę pani, w latach trzydziestych na ulicach jedni strzelali do drugich. Bojówki komunistyczne zresztą...

Pytam też o numerus clausus i getto ławkowe.

Jestem w stanie zrozumieć, że dla Polaków liczna mniejszość żydowska na uniwersytetach to był problem. Że dostawała wiele przywilejów, a zdolni Polacy nie.

Ale były pogromy.

Bez przesady. Nie da się tego porównać do sytuacji w Niemczech. W historii każdego narodu zdarzają się sytuacje, z których nie jest się dumnym, ale powtarzam – takie były czasy i widocznie tak trzeba było.

Pan powiedział, że podpisałby się pod słowami swojego szefa, że liberalna demokracja to nowotwór.

Tak.

To co zamiast liberalnej demokracji?

Narodowa.

To znaczy?

Demokracja, w której rzeczywistym odnośnikiem jest naród i wola narodu, a nie poddawanie się, uginanie kolan przed wszelakimi mniejszościami. Macie żyć tak, jak my żyjemy.

„My” – chcą państwo decydować o tym, kogo do wspólnoty można zaliczyć. Ja uważam, że „my” to też koleżanka lesbijka, i kolega, który jest Żydem, i Wietnamczyk, i ateista...

I oni wszyscy powinni się dostosować do prawa i zwyczajów, jakie tu funkcjonują.

A we mnie, jeśli miałabym uosabiać „tamtą stronę”, co pana najbardziej wkurza?

Wolność słowa. A raczej to, że uznaliście, że macie na nią wyłączność i możecie decydować, co ludzie mają prawo myśleć i mówić.

Wyklucza mnie pan ze wspólnoty, której czuję się członkinią.

No dobrze, ale nikt pani przecież nie każe wyjeżdżać.

Mam tylko dostosować się do waszych reguł?

Do zasad, które uznajemy za słuszne, i które są słuszne.

A na początku rozmowy próbował mnie pan przekonać, że byłoby tu i dla mnie miejsce.

Wystarczy się dostosować – a będzie...

BB

Moja córka od tego roku chodzi do szkoły.
 Chciałabym, żeby poszła do szkoły bez religii.
 Uważam, że indoktrynacja religijna w tym wieku jest nieetyczna.
 Ale nie stać mnie na szkołę niepubliczną.
 Nie chciałabym też zamykać mojego dziecka między samymi podobnymi mu ludźmi.
 Chciałabym zapisać moje dziecko do innej szkoły.
 Gdzie przynajmniej nie ma religii.

Gdybyśmy mogli żyć na jednym terenie i należeć do różnych państw.
 Zapisywać się do różnych państw.
 Na początek niech istnieją dwa.
 Lewicowe i prawicowe.
 Każdy mógłby mieć swój paszport.
 Każdy mógłby zapisać się do swojego wybranego państwa.
 Nasi sąsiedzi mieliby być może inny paszport.
 Moi sąsiedzi najprawdopodobniej mieliby inny paszport, mieszkam na Targówku.
 I tak codziennie jeżdżę windą między piętrami ludzi o odmiennych poglądach.
 Choć mogłabym się zdziwić.

Od jakiegoś czasu
 na mojej klatce ktoś zamieszcza dziwne wrzuty
 całkowicie antyklerykalne
 wykleja je na szybach gablot
 z których pracownicy i z furją usuwa je dozorca
 wkleja więc na szybach klatki
 na drzwiach windy
 używając kleju na dużych płaszczyznach
 co tym trudniejsze czyni zmywanie
 a nawet dla niepoznaki
 gdy uwagę przeciwnika pochłonęło kontrolowanie gładkich powierzchni
 wpinał karteczki
 między informacjami
 na administracyjnej tablicy ogłoszeń

tutaj mogę pokazać zdjęcia, bo mam sporą dokumentację, tylko zdjęcia są słabej jakości

Wczoraj, przedwczoraj pobili profesora, bo mówił po niemiecku.
 Wali mnie to, że pobili profesora.
 Sama po angielsku jestem profesorką.
 Dziesięć lat temu nie byłam nawet asystentką.

Czy gdyby wtedy pobili moją koleżankę, to miałyby to znaczenie?
 Okej, profesor mówił po niemiecku.
 To zły znak, że go za to pobili, to prawda.
 Ciągłe jednak wołałabym inny headline.

W Wołominie, dawno temu, szłam z koleżanką z pociągu.
 Nie mogłyśmy znaleźć adresu, przechodziłyśmy przez jakieś wiadukty.
 Za nami szły dzieci.
 Wiedziałyśmy, że robią coś złego.
 Ale bałyśmy się obejrzeć.
 Potem, już pod adresem, zdjęłyśmy plecaki i płaszcze.
 Były całe oplute.

Chciałabym zapisać się do innego państwa.

MM

jeszcze raz czyta końcówkę wywiadu

Nikt pani nie każe wyjeżdżać.

Mam tylko dostosować się do waszych reguł?

Do zasad, które uznajemy za słuszne, i które są słuszne.
 Wystarczy się dostosować.

Do wszechzasad, które oni uznają za wszechsłuszne.

Założmy (hojnie), że są półsłuszne. Że połowa Polaków ma półsłuszne zasady, a druga połowa ma inne półsłuszne zasady. Ale co tam Polacy, weźmy Anglików. 52% głosuje za Brexitem, 48% przeciw.
 I 100% musi z tym żyć.

Czy połowa ma wyjechać? „Nikt pani nie każe wyjeżdżać”. Czy połowa ma się dostosować?

A jak półsłuszna połowa Polaków wyjedzie do Anglii, a tam półsłuszna połowa Anglików wyrzuci ich z Wszechanglii do Wszechpolski?

BB

mówi się, że Polska jest podzielona na pół
 niech się więc rozdzieli

w Wielkiej Brytanii 52 do 48
 sondaże mówiły, że będzie odwrotnie
 po ogłoszeniu wyników głosowania
 powstał pomysł by miasto Londyn
 gdzie większość obywateli wybrała zostanie w Unii

odłączyło się od Wielkiej Brytanii
w Londynie mieszka osiem i pół miliona ludzi
to jedna piąta polskiej populacji
i pięć razy więcej niż w Warszawie
niepodległe miasto Londyn
wolne miasto Warszawa
moglibyśmy się odłączyć od Polski
proszę bardzo

MM

Gdybyśmy mogli do końca się rozdzielić. Nie wyjeżdżać, nie walczyć o słusze zasady, nie dostosowywać się. Ani ich. Rozdzielić. Rozsadzić.

Chyba że konflikt sprawia przyjemność? Jak ustawka. Ale ustawki są tylko dla chętnych.

BB

na Targówku mural z różnokolorowymi dziećmi przemalowali na białą
bo go zniszczyli rasowi wandal
rural, bo jest na rurze z ciepłą wodą, miał witać uchodźców
i dzieci uchodźców
przemalowany na białą witał co najwyżej uchodźców ze wschodniej europy
a i to nie wszystkich
i robił to właściwie jakby niezauważalnie
w końcu jednak, po kilku niezbyt przyjaznych artykułach
pociemniono buzie niektórym dzieciom
zrobiono to niestaranie
ale w sumie rural widać z drogi, która jest w wystarczającej odległości
teraz na twarzach innych niż białe namalowano czarnym sprayem
celtyckie krzyże
i na czarno napisano Białą Targówek
celtycki krzyż i celownik karabinu są takie zbieżne w formie
wożę tamtędy moją białą córkę do szkoły, do pierwszej klasy
i staram się to robić jakby niezauważalnie

żeby się do siebie upodobnić
można innych odstrzelić literalnie lub symbolicznie
lub wprowadzić większościową demokrację
w której większość nie chce respektować praw mniejszości
w jakimś stopniu każda demokracja
nawet liberalna
nie respektuje praw mniejszości
bo nie respektuje praw do snucia fantazji totalitarnej

MM

Wszepolak też myśli, że państwo to przemoc.
Też cierpi, jak posyła dziecko do szkoły.

„Granice przyzwoitości się zacierają, i w efekcie rodziny zostają pozbawione wpływu na to, jak wychowują dzieci, bo jakaś ideologia i organizacje, które wcielają ją w życie, uważają, że zrobią to lepiej.”

„Liczna mniejszość żydowska na uniwersytetach to był problem. Dostawała wiele przywilejów, a zdolni Polacy nie.”

Przywileje.
Przemoc.

BB

Pokój.

MM

Pakt o nieagresji.

Propozycja nowego ustroju jest prosta. Nie trzeba nigdzie wyjeżdżać, mieszkamy na tym samym terytorium, ale mamy dwa porządki prawne, dwa państwa. Możemy wybrać system zasad i obowiązujących praw. Po skończeniu osiemnastu lat wybieramy paszport, powiedzmy żółty albo niebieski. Nie lubi pani żółtego? Dobrze, pomarańczowy albo fioletowy. Dzieci dostają paszport po rodzicach, po osiągnięciu pełnoletniości mogą go zmienić.

Pomarańczowi mają prawo do przerywania ciąży, prawo do małżeństwa bez względu na orientację seksualną, zakaz polowań, zakaz bicia dzieci, progresywne podatki i podatek od spadku.

Fioletowi mają zakaz przerywania ciąży, religię w szkołach, więzienie za marihuanę. Mają prawo odmówić pracy w niedzielę, mają więcej wolnych od pracy świąt kościelnych, ponieważ nie świętują 1 i 3 maja. Mają prawo do posiadania broni i podatek liniowy.

Kwestię buspasów rozstrzygniemy za chwilę.

Na razie przeprowadzimy orientacyjne głosowanie.
Kto z państwa wybiera pomarańczowy paszport? Kto fioletowy?
Kogo skusi podatek liniowy? Co za niego sprzedamy?

BB

Główny problem jest z przemocą.
Bo podatki i infrastrukturę można by jakoś międzypaństwowo rozwiązać.

Co zrobić, jeśli pobił mnie sąsiad, który ma inny paszport?
Albo jeśli mnie zgwałcił?

W moim lewicowym państwie, do którego bym się wcześniej zapisała, byłyby specjalnie wyszkolone policjantki.

I policjanci.

Wyszkoleni tak dobrze, że byłoby mi wszystko jedno, do kogo pójść.

W moim państwie wykrywalność przemocy, w tym seksualnej, wzrosłaby jest pewnie pięćsetkrotnie.

Wtedy moje państwo musiałoby wystąpić oficjalnie o ukaranie obywatela drugiego państwa.

Ekstradycja nie byłaby konieczna.

Zadana mi przemoc nabrałaby rangi międzypaństwowej.

Upomnieliby się o to moje państwo.

Co jednak, gdyby prawicowe państwo odmówiło ścigania swoich obywateli z takich powodów jak gwałt czy pobicie pasażera, który w tramwaju rozmawiał po niemiecku?

Dla wzajemnego poczucia bezpieczeństwa należałoby uznać

że człowiek to ruchome biologiczne terytorium

i czyny na jego obszarze powinny być sądzone

według kodeksu państwa, do którego zgłosił akces.

Tak więc gwałt byłby sądzone

według prawa ciała ofiary gwałtu.

A aborcja według prawa ciała niedoszłej matki.

MM

Sprzedanie tabletki kobiecie z pomarańczowym paszportem byłoby sprzedaż tabletki i nie interesowałoby nikogo. Sprzedaż tabletki kobiecie z fioletowym paszportem byłoby zabiciem fioletowego dziecka i byłoby ścigane z urzędu.

BB

Lekarze, aptekarze oraz inne służby

miałyby obowiązek sprawdzać paszporty.

Byłoby to nieoficjalnie zalecane również potencjalnym sprawcom przemocy.

Posługiwanie się fałszywym paszportem byłoby karane tak jak zawsze.

Zapewne pojawiłyby się ubezpieczenia od przyjęcia pacjentki z podrobionym dokumentem lub sprzedania jej środków antykoncepcyjnych lub poronnych.

Można więc założyć, że wspólny interes zostałby rozpoznany z obu stron.

I międzypaństwowe porozumienie o karaniu przemocy byłoby faktem.

Należy ustanowić to porozumienie już w momencie znoszenia państwowości terytorialnej.

Wtedy będzie łatwiej.

Nie ma powodu tak się do siebie upodabniać.

MM

Nie ma powodu, żeby mieć te same szkoły. Tych samych patronów szkół. Można mieć więcej patronek.

Nie trzeba mieć tych samych norm, tych samych obowiązków i zakazów.

Restrykcje tylko w ramach własnego systemu wartości.

Niech fioletowi mają zakaz kupowania tabletek wczesnoporonnych. A pomarańczowi zakaz kupowania jaj trójek i dwójek oraz ubrań produkowanych w fabrykach nieprzestrzegających zasad BHP.

Fioletowi będą mieć powszechną służbę wojskową. A pomarańczowi obowiązkowe prace społeczne w ogrodach miejskich.

To nie będzie anarchia, wręcz przeciwnie. To będzie koniec omijania prawa. Dlaczego omijać prawo, które się popiera.

BB

co by było, gdyby pełnoletnie dziecko, któremu przysługują alimenty zmieniło przynależność państwową

prawdopodobnie w tym wypadku należałoby uznać

że rodziców obowiązują zasady ich państwa

a dziecko nie może użyć zmiany

do na przykład podniesienia alimentów

podobnie jak rodzice nie powinni używać zmiany

do zmniejszenia wysokości świadczeń

MM

Fioletowi zapewne szybko przegłosują zniesienie alimentów.

Czy ktoś w tym momencie chce zmienić paszport na fioletowy? Na pomarańczowy?

Głosowania i zmiana prawa na bieżąco będzie odbywać się równolegle w dwóch rozdzielonych parlamentach. Parlamente mogą używać tego samego budynku, jedni w dni parzyste, drudzy w nieparzyste. W końcu my też będziemy używać tych samych ulic do chodzenia i tych samych placów do demonstracji. A może nie będzie już demonstracji?

Z powodu koniecznych uzgodnień międzypaństwowych dobrze byłoby utrzymać te same kadencje i zbliżony termin wyborów. Nie ma obawy, że pomieszą się plakaty wyborcze, bo w systemie pomarańczowym będzie zakaz reklamy wyborczej. I w ogóle zakaz reklamy.

I od razu powiem, że także zakaz kredytów chwilówek, nazywany po imieniu zakazem lichwy.

I zakaz dotowania kredytów mieszkaniowych przez państwo, nazywany po imieniu zakazem dotowania banków. Będą dotacje do mieszkań komunalnych.

Czy ktoś w tym momencie chce zmienić paszport?

Będą więc dwa parlamente, ale być może przegłosują one utrzymanie tego samego hymnu i tej samej flagi. Nie chodzi przecież o wytoczenie wojny. Chodzi o uniknięcie wojny. Pakt o nieagresji. Właściwie zamiast pomarańczowych i fioletowych podzieliśmy się na białych i czerwonych, to oszczędzi kolejnych wydatków, na przykład na malowanie stadionu narodowego. Do kwestii stadionów wrócimy. Żeby nie kłóżyć się z białą i czerwoną Rosją, umówmy się, że system umownie lewicowy będzie umownie biały, a umownie prawicowy umownie czerwony. Żadnych emocji. Czysty rozsądek. To tylko kolory.

BB

15 czerwca roku 1219
w czasie liwońskiej krucjaty duńskiego króla
Waldemara II do Estonii
z nieba na jego ręce
spadł Dannebrog
na jagnięcej skórze
białym na czerwonym krzyżem malowany
z flagą tą nad głową
król wygrał bitwę pod Lyndanisse
nieopodal dzisiejszego Tallina
w ten sposób w Estonii
powołana została duńska flaga
pierwsza narodowa flaga na świecie

w potocznym rozumieniu
„naród oznacza zbiorowość
w której naturalne więzi wyrosły ze wspólnoty przekonań

i terytorium”
choć „niemożliwym stało się
jednoznaczne wskazanie czynników
koniecznych do zdefiniowania narodu”
oddzielenie pojęcia narodu
od pojęcia terytorium
będzie dla znanego nam zwykłego nacjonalisty
śmiertelnie niebezpieczne
ponieważ uniemożliwi istnienie państw narodowych
widzianych jako najwłaściwsza forma organizacji społecznej
wyjmie też z ręki argumenty
pozwalające nie tylko zwalczać
ale i edukować
braci i siostry z podwórka
i z okolicy
zwanej dotychczas
państwowym terytorium

ludzi, którzy nie mają wpływu na nasz los
z własnej
i z naszej woli
przekonywać nie trzeba
można uznać
ich prawo do samostanowienia
i odrębność

należy uznać ich obojętność

bitwa, która toczy się na naszych oczach
bitwa na murach
w parlamencie
w publicznej szkole
w kościele i na ulicy

MM

Bitwa o teatry
O gimnazja

i o wszystko, co aktualnie będzie się działo. Wymienia to, przeglądając gazety

WIADOMOŚCI

8 listopada 2016
Hilary Clinton zdobyła 47,8% procent amerykańskich głosów
a Donald Trump 47,3%

co dało Trumpowi 306 głosów elektorskich
 a Clinton tylko 232
 choć po ostatecznym zliczeniu
 przewaga w głosowaniu powszechnym
 na jej korzyść
 może osiągnąć nawet trzy miliony
 prezydentem został nieodwołalnie Donald Trump
 A Hillary Clinton przegrała
 z największą przewagą w historii Stanów Zjednoczonych Ameryki

MM

Od dnia wyborów w dziesiątkach miast i kampusów odbywają się wie-
 ce, marsze, protesty przeciw Trumpowi pod hasłem „Not my president!”.
 Czy protest przeciwko wynikowi wyborów jest protestem przeciwko
 istocie demokracji? W imię demokracji?

W imię obrony równości – kobiet i nie-białych – protestujący od-
 mawiają równości wyborcom, którzy wybrali Trumpa na prezydenta.

BB

bitwa o głosy
 i o przewagę w debacie publicznej
 stanie się niepotrzebna
 kiedy będę mogła się zapisać do własnego państwa

to przyjemne oczywiście
 móc sobie wyobrazić nacjonalistę
 złego chłopaka z mojego podwórka
 z grubym karkiem
 ciemnymi oczyma
 z naspidowanym gestem
 albo zaciętego prawicowego intelektualistę
 którzy nie mają przeciw komu
 zwrócić swojego
 gniewnego czoła i szybkiej ręki

to przyjemne wyobrazić sobie
 że nie ma powodu
 wchodzić na mównicę
 bo wszyscy już słyszeli
 i zapisali się do swojego państwa

zawsze mnie intrygowała
 międzynarodowa przyjaźń
 lub choćby sympatia
 narodowców różnego pochodzenia
 którzy powinni się chyba nienawidzić i zwalczać
 jako wyznawcy własnej lokalnej wyższości

oni jednak zapisują się do swojego ponadnarodowego państwa
 powołując się na rasizm, hitlera, chrześcijaństwo i kult walki
 jako wspólne dobro

WIADOMOŚCI

teraz w Estonii
 gdzie spadła z nieba
 pierwsza narodowa flaga
 można się zapisać
 do e-państwa
 a właściwie
 można się do niego zapisać
 wszędzie
 przez internet
 można zostać e-obywatelem Estonii
 nawet jeśli nigdy się w niej nie było
 wystarczy wyrazić chęć
 wydać sto euro
 wypełnić niedługi formularz online
 zeskanować paszport
 i dołączyć cyfrowe zdjęcie
 należy też napisać
 jakie kierują aplikującym motywacje
 choć nie jest to bezwzględnie konieczne
 po przejrzeniu złożonej aplikacji
 przez policję w celu odrzucenia podejrzanych kandydatur
 osób zaangażowanych uprzednio
 w pranie pieniędzy
 lub inne nielegalne operacje
 i po następnych trzech miesiącach
 przychodzi zaproszenie
 do estońskiej ambasady
 na krótką rozmowę i odebranie ID karty

w ten sposób można też
 zarejestrować w Estonii swój biznes
 co może okazać się przyszłością
 dla brytyjskich firm po Brexit
 i jest teraz niejszością dla niektórych firm
 ukraińskich i białoruskich
 w ostatnim czasie ilość rejestracji
 obywateli brytyjskich znacznie wzrosła
 szacuje się też
 że około 60% e-rezydentów
 stało się nimi z uwagi na rozwój własnego przedsiębiorstwa
 w Estonii mieszka 1,3 miliona osób

z czego tylko 650 tysięcy jest w wieku produkcyjnym
dlatego pomysł na e-estońskie-państwo jest zrozumiały i jasny

MM

Czy ktoś w tym momencie chce zmienić paszport na estoński?

A jak Estonia ogłosi pobór do wojska? I nie będzie to e-wojna e-obywateli?

A jak Polska ogłosi pobór do wojska? Niech się czerwoni martwią? Spakujecie walizki?

BB

pomysł z paszportami nie jest wcale taki dziwny
kiedy w związku panuje przemoc
której nie można rozwiązać
w żaden
negocjowalny
sensowny
demokratyczny
sposób
należy się rozstać
rozwód jako koniec przemocy

dla własnego i innych dobra
każdy idzie w swoją stronę
z czasem znajdując konieczne wsparcie
u osób sobie podobnych

nawet Brangelina się rozwodzą
z powodu domniemanej przemocy
jednej ze stron
niech się rozwiedzie prawolewa Polska walcząca
prawolewa Warszawa
prawolewe odnogi Wisły
w ramach prewencji zachowań patologicznych/patriotycznych
i prewencji eskalacji przemocy

MM

A czy można się rozwieść z własną matką? W ramach prewencji.

Czerwoni zapewne przegłosują zakaz rozwodów w ogóle.
Biali przegłosują prawo do rozwodów z rodzicami.
Nie chodzi o wojnę. Chodzi o unikanie wojny.

Koniec przemocy.
Koniec sentymentów, nostalgii, bezsilnej frustracji, pretensji, oczeki-
wań i rozczarowań.
Czysty rozsądek.

Koniec przemocy.
Koniec ustępstw, poświęceń, kroków w tył, wyciągniętych rąk, dasz
palec, stracisz rękę.

WIADOMOŚCI

Steven Pinker, profesor z Harvardu
twierdzi
że „biorąc pod uwagę długi przedział czasowy
poziom przemocy zmniejsza się
i możliwe
że to dzisiaj właśnie
żyjemy w najbardziej spokojnych czasach w historii ludzkości.

Spadek przemocy nie był jednostajny
przemoc nie została całkowicie wyeliminowana
nie ma też gwarancji
że spadek ten będzie trwał w przyszłości
ale istnieje ciągły historyczny postęp
widoczny licząc w skali od tysięcy lat do dekad
zarówno w przypadku wojen i masowych mordów
aż po sposób traktowania dzieci i zwierząt”

BB

pomysł by do innego państwa zapisać mężczyzn
a do innego kobiety
wydaje się tym bardziej kuszący
że do państwa mężczyzn mogłybyśmy
zapisać właściwie cały oficjalny Kościół
udzielając jednocześnie schronienia
siostram zakonnym
i oferując im konieczne w tej sytuacji wsparcie

w świetle ostatnich wydarzeń
obietująca wydaje się wizja samych kobiet
decydujących w sprawach przerywania ciąży
tabletek przed i po
badań prenatalnych
porodów ze znieczuleniem i bez znieczulenia
oraz karmienia piersią

bo choć mamy wroginie w naszych szeregach
to prawdopodobnie jednak od kobiet wobec kobiet
należy się spodziewać więcej empatii

prawdopodobieństwo kwitnięcia religii patriarchalnych
w państwie kobiet
na dłuższą metę wydaje się znikome
a co najważniejsze – religie te staną się absurdalne

nic nie leżałoby na przeszkodzie
międzypaństwowym związkom heteroseksualnym
trzeba by było tylko okazać paszporty
dzieci zaś
w zależności od płci biologicznej
automatycznie rodziłyby się w jednym lub drugim państwie
w momencie uzyskania pełnoletniości
musiałyby tylko potwierdzić
a hermafrodyty wybrać
swoją płciowo państwową przynależność
lub jej zaprzeczyć
i zmienić paszport

czy nie wydaje się całkowicie absurdalne
że wszelkie zasady prawne
jakim podlegamy
zależą tylko od miejsca w którym się urodziłyśmy
lub od tego w którym akurat jesteśmy

ludzkie przywiązanie do terytorium
jest atawizmem
szczególnie rozwiniętym w kulturach rolniczych
które
tam gdzie było to możliwe
stopniowo i trwale wyparły
kultury
zbieracko-łowieckie
zostało ich już niewiele
na terenach suchych
lasach tropikalnych
i obszarach arktycznych
czyli tam gdzie społeczeństwa rolnicze jeszcze nie dotarły
lub tam gdzie ziemi nie da się uprawiać

na Grenlandii ziemi się nie posiada
kiedy chcesz zbudować dom
w mieście, osadzie lub gdzieś indziej
występujesz o pozwolenie na budowę

jeśli w ciągu roku się nie zbudujesz
pozwolenie wygasa

lokalne pokarmy roślinne
to czarne jagódki latem, tylko w sierpniu
grzyby również latem
niektóre wodorosty
pewien gatunek roślin selerowatych
i może coś jeszcze
kultura pozostała więc łowiecka
trochę zbieracka
no i ostatnio głównie importująca

na Grenlandii
zupełnie poważnie
niemetaforycznie
porównuje się absurd posiadania ziemi
z absurdem posiadania wiatru

nie można też posiąść ogrodów
by w nich przeżywać samotność lub wyselekcjonowane towarzystwo
ani bogactw naturalnych

podobnie jak na większości obszarów
zarządzanych przez ludność przedkolonizacyjnie tubylczą
bogactwa naturalne
są własnością wspólną
a główna grenlandzka bogini
Matka Morza
karze chciwych i zabijających więcej niż mogą zjeść
pustymi łowiskami
reniferami zmieniającymi rytm i trasy włóczęgi
niedźwiedziami polarnymi chodzącymi po lądzie
w stronę osad ludzkich
i wodą z topiących się lodowców

WIADOMOŚCI

24 października 2013 roku
parlament Grenlandii
proporcją głosów 15 do 14
zniósł zakaz wydobywania uranu i rzadkich minerałów
na swoim terenie
znosząc tym samym
w ramach swojej autonomii
duński zakaz z roku 1988

BB

w państwie kobiet
 strajk kobiet
 byłby strajkiem generalnym
 prawdopodobnie też nie miałby sensu
 bo nie byłoby wobec kogo strajkować
 można by co najwyżej ustalić święto narodowe
 w rocznicę pierwszego strajku
 ale w państwie kobiet
 byłaby policja dla kobiet
 która mogłaby korzystać z doświadczeń
 policyjnych oddziałów i komisariatów

posterunki policji dla kobiet
 czyli Women's Police Stations
 istnieją między innymi
 w Argentynie, Boliwii, Brazylii, Ekwadorze
 Ghanie, Indiach, Kosowie, Liberii, Nikaragui,
 Peru, Sierra Leone, Południowej Afryce, Ugandzie, Urugwaju
 i na Filipinach
 i służą zgłaszaniu
 domowej i seksualnej
 przemocy wobec kobiet i dzieci
 w Europie nie mamy jeszcze takiego postępu
 ale w państwie kobiet
 byłaby to sytuacja naturalna
 i nie do uniknięcia

WIADOMOŚCI

w Indiach
 ustanowienie 188 komisariatów dla kobiet
 zaowocowało zwiększeniem o 23%
 wykrywalności przestępstw
 wobec kobiet i dzieci
 i zwiększeniem ilości skazań
 w latach 2002-2004

w Ameryce Łacińskiej
 od powstania pierwszych komisariatów w 1985 roku
 ich liczba stale rośnie
 w roku 2010 było ich między innymi:
 475 w Brazylii
 34 w Ekwadorze
 59 w Nikaragui
 27 w Peru

komisariaty te są
 jednym z najważniejszych
 punktów dostępu do systemu sprawiedliwości
 i wyspecjalizowanych służb
 posterunki te wpłynęły w ogromnym stopniu
 na zwiększenie widzialności przestępstw wobec kobiet
 i uczynienie ich sprawą wspólną

MM

Ktoś chce zamienić paszport? Indie? Brazylia? Ekwador, Nikaragua, Peru?

Może wystarczy, że w państwie białym będą posterunki dla kobiet?
 A może po prostu wszystkie posterunki-prokuratury-sądy będą przy-
 kładać się do ścigania przestępstw wobec kobiet? I dzieci.

To znaczy, wszystkie posterunki w państwie białym.

Kobiety z czerwonymi paszportami będą prawdopodobnie – nazwij-
 my to po imieniu – bardziej bite. Częściej gwałcone. Uzależnione fi-
 nansowo. Ubezważnionione.

Taka jest – nazwijmy to po imieniu – cena za naszą białą wolność.
 I biały święty spokój. I nieoglądanie ich w naszej białej telewizji.

Przecież mogą się wypisać ze swojego państwa, prawda?

Czy ktoś w tym momencie chce zmienić paszport? Ktoś chce prze-
 nieść się do czerwonych i założyć tam organizację kobiecą? Robić ma-
 nify? Czarne protesty? Czy raczej białe protesty.

Ktoś czuje jakąś wspólnotę z tymi kobietami, które mogą zmienić
 paszport, a nie zmieniają? Nie zmieniają. Niosą swój krzyż.

WIADOMOŚCI

Około 15% kobiet i około 30% mężczyzn
 regularnie fantazjuje
 o zabiciu osoby, której naprawdę nie lubią.
 60% kobiet i 75% mężczyzn robi to okazjnie.
 Być może reszta kłamie.
 Mimo to walka kobiet o równouprawnienie
 spowodowała że przemoc domowa spadła o dwie trzecie
 a liczba gwałtów w USA spadła o 80%
 od momentu kiedy FBI zaczęła rejestrować gwałt jako przestępstwo.

Ruchy praw człowieka zakończyły też na przykład praktykę linczo-
 wania

od końca dziewiętnastego wieku
ilość linczowanych rocznie Afroamerykanów
spadła ze 150 do 0.

Ruchy walczące o prawa dzieci
doprowadziły do równomiernej redukcji liczby amerykańskich
Stanów
w których szkoły stosowały kary cielesne.
W Polsce zakaz bicia dzieci wprowadzono w roku 2010,
z czego nie zdaje sobie sprawy ponad 70% Polek i Polaków.

MM

Czerwoni zapewne zniosą zakaz bicia dzieci.
Taka jest cena za białą wolność.
Za to że będziecie mogli kupić jointa w kiosku.
Wrócimy do tego.

Na razie mamy zaległe stadiony.
Założmy, że to państwo są w parlamencie albo – to łatwiej sobie wyobrazić – że mamy referendum. Głosujemy, czy pozostawić ten sam hymn dla białych i czerwonych. Kto jest za? Tak po prostu, bez ceregieł i bez sentymentów. Miejmy to z głowy. I tę samą flagę? Dziękujemy.
A reprezentację piłkarską? No właśnie.
Niech czerwoni wezmą piłkę nożną. I stadiony i pezetpeeny.

BB

Kibiców.

MM

I te sztucznie pompowane emocje.
Uproszczenie?
W porządku, właściwie to lepiej. Zostawmy tu i tam reprezentację.
Bo jeśli będą mecze białych z czerwonymi, to spuści się trochę emocji.
Przekieruje się agresję. Tak, miało nie być agresji, ale tym bardziej nie będzie.
Czy potrzebujemy głosowania?

WIADOMOŚCI

2 października 2016 roku w Kolumbii odbyło się referendum, od którego zależy zakończenie najdłuższej wojny domowej naszych czasów.

Wszyscy obywatele mogli zdecydować, czy w zamian za złożenie broni partyzanci nie będą ścigani przez wymiar sprawiedliwości i dostaną 10 zagwarantowanych miejsc w kongresie.

W ramach systemu „tymczasowej sprawiedliwości” nie byłoby wyroków za dokonane zabójstwa.

Ludzie, którzy strzelali do siebie przez pięćdziesiąt lat mieliby usiąść razem w jednym parlamencie.

49,78 % obywateli głosowało za porozumieniem pokojowym

50,21 % przeciw

Przeciwnicy porozumienia twierdzili, że pokój byłby legalizacją przemocy.

MM

Pokój.
Pokój w zamian za to, że zabójcy nie będą ścigani.
Spokój w zamian za to, że czerwoni będą bić dzieci.

„Rzeczpospolita”:

„Klaps jako imperatyw kategoryczny” – tytuł oryginalny.

...klaps nie jest żadnym biciem, nie jest nawet czymś szkodliwym, lecz – przeciwnie – jest czynem o wysokiej wartości wychowawczej i dlatego zasługuje wręcz na pochwałę

Ingerencja państwa w wewnętrzne życie rodziny oznacza bowiem zawsze próbę leczenia jej choroby cholerą.

Widać tu wyraźny wpływ ideologii, która uznając państwo i jego urzędników za głównych wychowawców i opiekunów dzieci, kwestionuje pod różnymi pretekstami uprawnienia w naturalny sposób przysługujące rodzicom.

Jako lekarstwo na przemoc rodziców pojawia się tu przemoc instytucjonalna zastosowana przez funkcjonariuszy państwowych. Jest to przemoc dla samych dzieci często o wiele bardziej dotkliwa.

Rodzice muszą używać przemocy, by właściwie wykonywać swe zadania
podpisano „Profesor Zbigniew Stawrowski, Instytut Politologii UKSW”.

Czerwoni rodzice mają więc święte prawo właściwie wykonywać swe czerwone zadania. Wszechrodzice i wszechzadania.

Trochę to egoistyczne wybrać biały paszport i nie zawracać sobie głowy dziećmi czerwonych.

BB

Czerwoni rodzice uważają, że biali chcą zabijać dzieci – nienarodzone.

MM

Trochę to egoistyczne – wybrać biały paszport i nie przejmować się nawet, gdy czerwoni przegłosują przywrócenie kary śmierci. Ale czy to bardziej egoistyczne niż wybór rosyjskiego paszportu przez Depardieu?

A w końcu chodziło tylko o uniknięcie podatków. O niepłacenie na szkoły dla nieswoich dzieci. Na ich przedszkola, przychodnie, pociągi... Powiedzmy to otwartym tekstem: niech się walą.

Codziennie ktoś wybiera inny paszport dla siebie, a przynajmniej dla swojej firmy i nikogo to nie szokuje. Optymalizacja. Estońskie e-państwo.

Optymalizacja. Ładne słowo. Nieładnie mówić „Niech się walą”.

BB

W przypadku estońskiego e-paszportu bardzo jest podkreślany zapis, że nie chodzi o podatki. Podatki płaci się w państwie, w którym firma prowadzi ponad 50% realnej działalności, w którym korzysta z dróg, infrastruktury i całej reszty.

MM

To taka drobna wskazówka dla kreatywnych księgowych.

My przynajmniej wybieramy poglądy, nie pieniądze.
Wybieramy swój paszport z powodów ideowych.

I zachowujemy możliwość zmiany. I wymiany.

Po drugiej wojnie światowej zorganizowano masową wymianę młodzieży. Francuzi jechali do Niemców, mieszkali u nich w domach. Młodzi Niemcy mieszkali u Francuzów. Tak tworzyła się Wspólnota Węgla i Stali. Teraz nie ma już wymiany masowej, tylko studencka. Jedni wybrańcy losu mogą poznać innych wybrańców losu. I tak zapobiegamy konfliktom przez wzajemne poznanie. Konfliktom między czeskimi historykami i portugalskimi historykami. Między estońskimi geografami a belgijskimi geografami.

W naszym dwupaństwie będą erasmusy dla wszystkich: dla dresiarzy i moherów – chociaż nie będzie się już mówić „dresiarz” ani „moher”. Koniec przemocy, nawet w obronie własnej. Młodzież z niegrodzzonego osiedla pojedzie na erasmusa na grodzone osiedle i na odwrót. Na dwa tygodnie zamienią się szkołami. Słoiki przez dwa tygodnie będą jeść w dobrych restauracjach, a dzieci z dobrych domów ze słoików. Nie będzie już słowa „słoiki”. Będą wycieczki do kościołów i do klubów... stop. Skasuj.

Miało nie być edukowania. Przekonywania. Misjonarstwa. Niepokojenia. Mieszania.

Spokój.

Swój do swego po swoje.

Spokój.

Pod koniec dziewiętnastego wieku w Holandii wprowadzono bezpłatne, zunifikowane szkolnictwo publiczne. I co? Zawsze to samo.

Czyta z „Rzeczpospolitej”:

„Widać tu wyraźny wpływ ideologii, która uznając państwo i jego urzędników za głównych wychowawców i opiekunów dzieci, kwestionuje pod różnymi pretekstami uprawnienia w naturalny sposób przysługujące rodzicom.”

WIADOMOŚCI

W Holandii ani katolicy, ani protestanci nie chcą państwowych szkół, ponieważ uczy się w nich o ewolucji. Chcą prawa do własnej edukacji, ale również subsydiowanej przez państwo. Liberałowie nie chcą oddać wychowania ani kościołom, ani zborom. Ale gra toczy się o większą stawkę, nie tylko o edukację. Walka o szkoły jest kartą przetargową całej polityki parlamentarnej. Ostatecznie w 1917 roku partie liberalne godzą się oddać szkolnictwo w zamian za powszechne prawo wyborcze. Do tego czasu prawo do głosowania miało około 20% populacji, tylko najbogatsi. W toku walki o rozdzielone szkoły dochodzi do rozdzielenia całej kultury. W latach 1900-1970 Holendrzy żyją w osobnych światach. Mają katolickie szkoły, kluby sportowe, gazety, radio, partie, sklepy. Protestantckie szkoły, kluby sportowe, gazety, radio, partie, sklepy. Liberalne szkoły, kluby sportowe, gazety, radio, partie, sklepy. Potem również socjalistyczne szkoły, kluby sportowe, gazety, radio, partie, sklepy.

MM

Bez mieszania.

Bez zamieszania.

WIADOMOŚCI

Holendrzy nie dzielą się na regiony autonomiczne, jak Belgowie. Cały czas mają jeden parlament. Używają tych samych ulic i tych samych tam.

BB

Być może z powodu tam, i namacalnego zagrożenia zalaniem kraju przez morze, nie dzieli ich kwestia ochrony środowiska.

MM

A my mamy zaległą kwestię buspasów. Kto popiera buspasy? Kto jest przeciw? Dziękuję.

Powiedzmy, że... albo właśnie nie mówmy, czy biali czy czerwoni, bo może już się ktoś przywiązał do grupy – a mamy się nie przywiązywać, mamy racjonalnie rozwiązywać problemy. Powiedzmy, że jedno z państw delegalizuje buspasy. A drugie wprowadza nakaz buspasów dla wszystkich miast powyżej dwustu tysięcy mieszkańców.

Ograniczenie wolności czy ograniczenie prędkości, czy ograniczone horyzonty – zostawmy to na później.

Skupmy się na tym, czy wprowadzić podwójny system dróg? Jednymi będą jeździć biali, drugimi czerwoni. To by rozwiązało wiele codziennych sytuacji, na przykład nie spotykałoby się tych innego koloru w autobusie. Ani w tramwaju. I nie byłoby się bitym w tramwaju. Ani macanym w ścisku przez napalonych seksistów. Są kraje, w których są osobne wagony dla kobiet, osobne dla mężczyzn, ale taki rozdział zapobiega tylko niektórym przypadkom przemocy. Osobne drogi dla białych i czerwonych to rozwiązanie kompleksowe. Ile agresji można by uniknąć, chodząc tylko swoimi drogami.

Swoją po swojemu po swoje.

Jest takie państwo, w którym są podwójne drogi, osobne dla ludzi z różnymi paszportami. Nie, nie wszystkie, ale jednak istnieją. Na niektórych odcinkach idą równolegle, tyle że po dwóch stronach muru. Niektórzy mówią, że to apartheid, niektórzy, że to najlepsza demokracja na Bliskim Wschodzie. Mówią, że mur jest dla bezpieczeństwa. Dla pokoju.

Jeżeli chcesz pokoju, przygotuj się na wojnę.

Czy ktoś jest za podwójnym systemem dróg, na początku tylko w miastach?

To nie będzie kosztowne. Liczba mieszkańców zostaje taka sama, nie potrzeba więc więcej dróg, tylko jedne przeznaczone będą dla białych, drugie dla czerwonych. Żeby – na początku przynajmniej – nie doprowadzić do przesiedleń, chodniki pozostaną dostępne dla wszystkich.

Tak, miało nie być rozdziału terytorialnego, ale co zrobić, gdy połowa mieszkańców jest za zwężaniem dróg dla samochodów, a połowa za poszerzaniem. Połowa za ograniczeniem prędkości w mieście, a połowa za ograniczeniem ograniczeń. A my jesteśmy za tym, żeby nikogo nie ograniczać. Nie narzucać. Unikać konfliktów.

WIADOMOŚCI

15 listopada 2016

posłanka Prawa i Sprawiedliwości

Beata Mateusiak-Pielucha napisała

„powinniśmy wymagać od ateistów, prawosławnych czy muzułmanów oświadczeń, że znają i zobowiązują się w pełni respektować polską Konstytucję i wartości uznawane w Polsce za ważne. Niespełnianie tych wymogów powinno być jednoznacznym powodem do deportacji”.

Mimo że Polska ma największy procent osób ochrzczonych ponad 90%

ilość dominicanos, czyli osób uczęszczających na niedzielą mszę to statystycznie 40%.

BB

Dwa państwa

białych i czerwonych

dają nam realną szansę

na autodeportację na własnym terytorium.

Z tym samym widokiem z okna

pracą, warzywami i bez specjalnych kosztów.

Zamiast powszechnej emigracji wewnętrznej

– nowy paszport

nowy własny pokój

czy też biało-czarno-czerwona zimna wojna.

MM

Apartheid, to słowo już padło.

Nie bójmy się tego słowa.

Nie musimy się go bać, ponieważ podwójne drogi to nie będzie apartheid, ponieważ nie będzie dyskryminacji, nie będzie dominacji jednej grupy nad drugą. I przynależność do grupy jest przecież dobrowolna.

Nie będzie getta, bo nie będzie gorszych i lepszych ulic. Tylko inne.

Bez mieszania.

Bez zamieszania.

Bez konieczności myślenia źle o innych na każdym kroku.

Każdy krok po swoich ulicach będzie swobodny, nareszcie.

Tak, wiemy, segregacja źle się kojarzy. Złe słowo. Nie mówi się „dobra segregacja”. Ani „dobrowolna segregacja”. A przecież dobrowolną segregację praktykujemy na co dzień. Nie trzeba malować barów na białą i czerwoną, żeby było wiadomo, do którego nie wchodzić. Mówi się, że to kwestia gustu. Nazwijmy to po imieniu: segregacja.

Segregacja jest pojęciem neutralnym. Emocje są tu zupełnie niepotrzebne. Segregacja niewprowadzana siłą jest po prostu życiem po swojemu. Chodzeniem swoimi drogami.

Nie trzeba znosić innych. Oglądać ich telewizji. Śledzić obrad ich parlamentu. Demonstrować pod ich parlamentem.

Tłumić wściekłość. Kompensować bezradność pogardą. Leczyć wrzody. Wyżywać się na dzieciach.

Wystarczy zejść sobie z drogi.

Jednak segregacja kojarzy się źle. Złe słowo, budzi niepokój.

Swój do swego po swoje kojarzy się źle. Złe zdanie. A przecież miał być spokój.

I tak, istnieje podejrzenie, że wybuchną konflikty o konkretne place, ulice. „Nie oddamy im placu Zbawiciela!”. Nieważne, którzy my. A którzy oni. Znów będą demonstracje, happeningi, hasztagi. Ktoś postawi tęczę, ktoś podpali tęczę.

A przecież chodzi tylko o dostosowane do światopoglądu zasady parkowania, limity prędkości, oddanie lub nieoddanie metra jezdni rowerzystom. Nie chodzi o zakaz wstępu na plac.

Jak odzwyczaić ludzi od walki o terytorium?

Tak, za rozdziałem ruchu ulicznego pójdzie prawo do nadawania tym ulicom nazw.

Lepiej przydzielić prawo do nazywania czerwonych ulic czerwonym, a białych ulic białym, niż znosić konflikty o nazwy.

Jak odzwyczaić ludzi od walki o symbole?

Przecież to tylko słowa.

Tylko nazwy. Dmowskiego albo Dąbrowszczaków.

Jeżeli nazwy ulic wywołują tyle emocji, lepiej znieść nazwy ulic. Jak w amerykańskich miastach. Wprowadzić ulice Pierwszą, Drugą, Trzecią, Sto Dwudziestą Piątą i aleje A, B, C.

To bardzo upraszcza orientację.

Znosimy więc nazwy ulic i rezygnujemy z dzielenia terytorium.

Chodzimy po tych samych chodnikach i jeździmy po tych samych jezdniach.

Pamiętacie jeszcze o zielonej strzałce? Kto jest za zieloną strzałką? Kto jest przeciw?

A jeśli zielona strzałka idzie w pakiecie z: obowiązkową służbą wojskową, religią w szkołach, zakazem rozwodów i podatkiem liniowym? A bez zielonej strzałki jeździmy z zakazem reklam, zakazem bicia dzieci, marihuaną w kioskach, podatkiem progresywnym i podatkiem spadkowym? Jakoś musimy się podzielić.

Możemy też podzielić się na cztery państwa. Albo na dziesięć. Wybierać mniejsze, ale lepiej dopasowane pakiety praw i obowiązków.

To będzie dużo bardziej kosztowne. Za ekskluzywny pakiet trzeba więc będzie płacić.

Wolność jest kosztowna, to chyba wiemy – nawet bez dziesięciu aparatów państwowych. Płacimy za prywatne szkoły bez religii i nikogo to nie szokuje. Płacimy za wybór niestania w kolejce do lekarza. Za swobodną jazdę po autostradzie. Za wagony ciszy, które są tylko w pendolino. Płacimy za wybór jedzenia bez pestycydów i GMO. To zapłacimy za ekskluzywny pakiet praw. Za ekskluzywny parlament tylko dla takich jak my. Nie ma innego wyjścia. Inaczej budżet tego nie wytrzyma.

Owszem, lepsze samopoczucie to większa produktywność, mniejsze wydatki na służbę zdrowia i resorty siłowe. Dzięki zwiększonym wpływom do budżetu gładko przeprowadzimy podział na dwa państwa bez dodatkowych opłat, minimum równości wobec prawa będzie zachowane, lewica będzie zadowolona. Wybrnęliśmy z konfliktu. Nie będzie ograniczeń.

Mamy więc powszechne prawo do dwóch państw i możliwość dokupienia paszportów ekskluzywnych.

Wróćmy do zielonej strzałki.

Przyjmijmy, że zielona strzałka pozostaje w państwie czerwonym, w białym zostaje zniesiona.

Jeździmy po tych samych ulicach.

Skąd pieszy – biały lub czerwony – ma wiedzieć, czy nadjeżdżający samochód się zatrzyma, czy raczej będzie próbował go rozjechać? Nie wie. Chyba że przelakierujemy wszystkie samochody na białe lub czerwono.

To chyba nic strasznego? Jest tyle innych ograniczeń, normy emisji, pasy bezpieczeństwa, przeglądy rejestracyjne, gaśnice, apteczki, trójkąty – a ludzie wciąż jeżdżą samochodami. Dlaczego akurat kolor miałby być problemem?

To nie będzie takie złe wyjście.

Z daleka będzie widać, z kim ma się do czynienia na drodze. Kogo przepuścić z podporządkowanej, a kogo niekoniecznie. A jaki to będzie widok! Będzie można zrezygnować z dekorowania ulic w święta narodowe. I nie trzeba przyczepiać chorągiewek przed meczami.

Po kolorach na parkingu zorientujemy się, gdzie wynająć mieszkanie. Gdzie składać podanie o pracę. Komu popchnąć samochód, kiedy mu zgąśnie silnik, a komu niekoniecznie.

Właściwie czy nie byłoby prościej, gdybyśmy nosili też jakieś dyskretne białe albo czerwone znaczkę na ubraniach? To ułatwiłoby orientację.

Tyle agresji można by uniknąć. Tylu rozczarowań. Wrzodów. Wyżywiania się na dzieciach.

To tylko z pozoru źle wygląda. Przecież tak właśnie orientujemy się na co dzień. Nie pytamy o drogę kobiet. Nie ufamy źle ubranym. Nie spodziewamy się wiele po grubych.

Proszę sobie przypomnieć: każdy kiedyś stał w tłumie i musiał wybrać osobę, do której podejdzie z jakąś drobną sprawą.

Przecież nie podeszliśmy do pierwszej z brzegu. Kogoś wybraliśmy. Czerwone albo białe kółko to byłby tylko jeszcze jeden znak.

Lepiej oczywiście, żeby kolor był widoczny z daleka. Żeby nie było krępujących sytuacji. Ktoś podejdzie, a potem odwróci się na pięcie.

BB

Opaski?



Bogna Burska – polska artystka wizualna i dramatopisarka. Uzyskała dyplom (2001) w Gościnnej Pracowni profesora Leona Tarasewicza na ASP w Warszawie. Pracuje w Katedrze Intermediów na Wydziale Rzeźby gdańskiej ASP. Współzałożycielka Warszawskiego Aktywu Artystów (WAA). Mieszka i pracuje w Warszawie i Gdańsku. W „Dialogu” ukazały się jej dwa dramaty: *Gniazdo* nr 9/2013 i *Stółek* nr 7-8/2015.

Magda Mosiewicz – autorka wideo do spektakli Komuny Warszawa, Barbary Wysockiej, Michała Zadary. Zrealizowała dokumenty: *Ciągle wierzę* – o Ewie Hołuszko, transseksualnej bohaterce Solidarności oraz *Ustalania, które zostały ustalone* – o Monice Strzępce i Pawle Demirskim. W kolektywie z Jolantą Janiczak, Joanną Krakowską i Wiktorem Rubinem zrealizowała spektakle *Kantor Downtown* w Teatrze Polskim w Bydgoszczy i *Pogarda* w Komunie Warszawa. Autorka sztuki *Dreamland* drukowanej w „Dialogu” nr 5/2015.

Jak to się zaczęło?

ANKIETA

Pogarda jest mieszkanką niechęci, braku szacunku, lekceważenia i poczucia wyższości. Jako zjawisko socjologiczne leży u podstaw podziałów społecznych. Jako narzędzie retoryczne jest zarzewiem konfliktów. Od okazywania pogardy innym nie jest chyba dziś wolna żadna formacja, żadne środowisko, żadna strona sceny politycznej. Zwróciliśmy się do osób uczestniczących i obserwujących życie publiczne z prośbą o odpowiedź na kilka pytań, które pomogą nam może lepiej uchwycić i opisać to zjawisko – jego źródła, ekspresję i skutki.

- Kim i z jakiego powodu gardzimy?
- Czy sami doświadczyli Państwo pogardy?
- Kiedy zauważyli Państwo pogardę w polskiej debacie publicznej po 1989 roku?

Teresa Bogucka – dziennikarka i pisarka, działaczka opozycji demokratycznej w PRL

Jest zaskakujące, że w literaturze polskiej słowo „pogarda” na ogół nie oznacza postawy nagannej – często używane jest jako zalecenie: pogarda życia, pogarda śmierci, pogarda wroga. Ot, zapis emocji narodu przegranego i poniżonego. Jak pisał Zbigniew Herbert:

niech nie opuszcza ciebie twoja siostra
Pogarda
dla szpiclów katów i tchórzy

ale dziś – jak rozumiem, przychodzi
nam skupić się na sensie, jaki nadał
temu słowu Natan Tenenbaum:

ale zbaw mnie od nienawiści,
Ocal mnie od pogardy, Panie.

Podmiot liryczny polskiej literatury to jednostka. W wymiarze indywidualnym pogarda to stosunek do małych ludzi, podłych czynów, nikczemnych postaw oraz abstraktów właśnie takich jak śmierć i życie.

Inaczej gdy pogarda ma podmiot zbiorowy, jest czymś wspólnym. Wtedy

łączy ludzi i organizuje złe emocje na osi lepszość – gorszość. Działa w obie strony – służy ujarzmianiu dołów społecznych, żeby znały swoje miejsce, w wersji rewolucyjnej uderza w elity. W nowoczesnych społeczeństwach używa się czegoś na kształt pogardy eliminacyjnej, wskazując grupę szkodliwą dla zdrowia zbiorowego organizmu. Sprawnie uprawiana może doprowadzić do rzeczy strasznych. Ale sprawdza się jak nic w budowaniu wspólnotowych więzi.

◆
Dzieciństwo spędziłam w podhalańskim miasteczku – trzy ulice na krzyż i chłopskie gospodarstwa. Rodzice postanowili porzucić pracę w muzeach i przeczekać lata pięćdziesiąte zaszyci na uboczu. Podziały społeczne były wtedy uderzająco widoczne – w języku, w ubiorze, w sposobie życia. Odstawaliśmy we wszystkim od tamtejszej normy, może tylko w biedzie byliśmy równi. A lud miejscowy obłożony dostawami obowiązkowymi, zakazami uboju, nękany widmem kolektywizacji, w nędzy żyjący, niepiśmienny na ogół – jedno z nowej ery zaakceptował: język nowej władzy wskazujący, kto wszystkiemu winien. Dorośli używali go po alkoholu, ale dzieci były bezpośrednie i wymyślały nam, nie licząc dzieciom miastowym, od nierobów, pasożytów, literatów (!), panów, jaśnie panów. Rodzina, której się skarżyłam, była podzielona pokoleniowo. Dziadkowie: ot w głowie się chłopstwu przewracało, miejsca swego nie znają; nie przejmują się, jesteś od nich lepsza. Rodzice: ludzie są równi, te dzieci nie bardzo rozumieją, co mówią; nie mają wiedzy, trzeba im pomagać zrozumieć.

– Nauczę cię tego – powiedziała do koleżanki, która kulała z katechizmu.

– Wypchaj się, jasna panienko.

Mama powiedziała, że to moja wina, bo uznałam się za lepszą i ją upokorzyłam.

◆
W latach dziewięćdziesiątych pojawiła się pogarda para-rewolucyjna, wymierzona w tych, co na górze. To było detronizowanie inteligencji, która siłą tradycji wyrosła z historii zniewolenia, jak i siłą rozpędu (opozycja, Solidarność, podziemie, Okrągły Stół) uważała swą rolę nauczycielsko-przywódczą za oczywistą. Czyż trudny czas zmian nie wymagał wiedzy, kompetencji, śmiałej wizji, nowego języka? A to przez dziesięciolecie było jej powołaniem i jej powinnością.

Tymczasem wielkie grupy społeczne z nagle jakby przesiedlone do innego kraju, łatwo obróciły się przeciw „arystokracji ducha”. Proces ten przejął w rozmytej formie sztafaż oddolnego ludowego protestu przeciw „panom”, w dodatku ten trochę prawdziwy, a trochę kreowany „lud” już miał poczucie siły i racji, bo został podwójnie wywyższony: raz przez ideologię PRL, drugi raz przez Solidarność. I z tym poczuciem siły i racji głosił, że nie pozwoli, by po jego plecach się wspinało, nie pozwoli zamienić się w białych niewolników, niby dlaczego w demokracji jakiś profesor ma więcej do gadania niż robotnik? Symbolicznym skrótem tego czasu było publiczne poniżenie Jerzego Turowicza przez Lecha Wałęsę.

Na ten sprzeciw nałożyło się dodatkowo formowanie nowej klasy politycznej, która potrzebowała innej legitymacji do aspirowania ku górze, nie tej wysnutej z katedr uniwersyteckich, z zasług opozycyjnych, z podziemia, z więzienia. Krytyka ojców założycieli

nie tyczyła jednak zdrady, zaprzaństwa, ale niedostatków działania: za wolno, niedokładnie, niewystarczająco. Za tolerancyjnie dla spiskującej nomenklatury – ciekawe, dlaczego?

Nowy, dość brutalny język sprzeciwu wobec transformacji zlał się z językiem podejrzeń i insynuacji. Pojawiły się słowa obelżywe, raniące, poniżające. Kto wierzył, że budowanie nowej, wolnej Rzeczypospolitej będzie się odbywało w klimacie pierwszej Solidarności – doznał zawodu. Ówczesne chamienie i brutalizacja debaty było i narzędziem, i skutkiem przemiany niezbędnej – inteligencja zaczęła zaniakać, wycofując się do różnych nisz, jej normy i standardy ostatecznie zmiotł internet zrównujący opinie uczonego z bluzgiem kibola, miejsce na górze zajęła nowa klasa polityczna. Styl tej zmiany nie musiał doprowadzić do dzisiejszych nienawistnych podziałów, do stygmatyzowania różnych grup, do bujnego odrodzenia się ksenofobii i rasizmu, do półurzędowego zarządzania pogardą. Ale je ułatwił.

Można postawić tezę, że punktem zwrotnym było pojawienie się genetyki patriotycznej. W miejsce zarzutów czy nawet obelg, iż ktoś popełnia takie czy inne błędy lub niegodziwości, pojawia się wyjaśnienie: czyni to, bo ma takie cechy dziedziczne bądź nabyte środowiskowo i tym samym przynależy do pewnej kategorii, grupy, która z natury rzeczy szkodzi Polsce. Członkowie tych grup nie mają wolnej woli, cokolwiek deklarują – obiektywnie nam zagrażają, a intencje mają zawsze niskie i egoistyczne. Wzorcowo tę operację przeprowadzono na uchodźcach: są tak obcy, że ich bakterie nam grożą; pragną tylko poprawić swe warunki materialne; ich kultura sprawia, że są gwałcicielami; ktoś ich przemycza za pieniądze; za tymi kobietami i dziećmi

kryje się antychrześcijańska krucjata islamu.

Uchodźców wykluczaliśmy z naszego życia i jeśli ktoś się z tym źle czuje – to osobno.

Żydzi – opisuje się ich rolę zgodnie z tradycyjnym schematem i nie jest to, jak się okazuje, żadna mowa nienawiści, tylko diagnoza. Na razie wykluczamy ich przy aprobacie czynników państwowych i urzędowych z przestrzeni symbolicznej: nie zostają patronami przedszkoli i szkół, a Leśmian vel Lesman nie będzie nam patronował w 2017 roku.

Platformę Obywatelską, która zrujnowała Polskę, i KOD, który pragnie tylko koryta, wykluczamy z posad w całej przestrzeni publicznej: od mediów po byle urząd.

A wszystko to zaczyna być normalne, nie budzi już zdumienia: pogarda władzy jest wskazówką dla aparatu państwowego i dla gorliwców, jak traktować wskazane kategorie. Utarło się u obserwatorów naszego życia publicznego i naszej językowej wojny domowej podsumowywać analizy konkluzją, że wszystkie strony są jednako winne. Takie puenty mają dowodzić obiektywizmu autorów i wynosić ich ponad zenujący jazgot bitewny.

Może i wszyscy uczestnicy debaty polityczno-publicystycznej są jednakowo winni jej brutalności, ale nie tylko oni. Media jej chamstwo i agresję uwielbiają, a suweren je nagradza. Ale jest jedna zasadnicza różnica między stronami sporu, ważniejsza niż jego forma. Nieprawica uważała, że wszyscy, choćby ich nie znosiła, uczestniczą w życiu publicznym na równych prawach, to fundament demokracji liberalnej. Prawica już przed wojną nawet sobie samej nie odpowiadała na pytanie, co z tymi, którzy nie pasują do wzorca Polaka-katolika, są innej wiary, innych poglądów,

mają niewłaściwe postawy i naganne wzory życiowe. Dziś wreszcie rządzi i odpowiedź poznajemy. Definiuje niechęć kolejnych grup, stygmatyzuje pogardą i coraz śmieiej wyklucza. Nie napotyka oporu.

Magdalena Bartecka – absolwentka psychologii i stosunków międzynarodowych w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej. Członkini Stowarzyszenia „Folkowisko”, współorganizatorka kampanii społecznej „Jestem ze Wsi!”. Urodzona i wychowana na wsi. Autorka filmu dokumentalnego o pańszczyźnie *Niepamięć*

1989 to ważny rok w dziejach polskiej pogardy. Transformacja ustrojowa miała zasadniczy wpływ na osłabienie wielkich grup społecznych. Jak dowodzi profesor Tadeusz Kowalik, jednym ze świadomie formułowanych celów planu Balcerowicza było obniżenie pozycji i siły dwóch wielkich grup społecznych – rolników i robotników. I ten plan się powiódł. Dochody rolników spadły o ponad sześćdziesiąt procent w ciągu jednego roku. W efekcie udział płac w PKB spadł dramatycznie. Ofensywie ekonomicznej przeciw rolnikom i pracownikom fizycznym towarzyszyła ofensywa ideologiczna. Chodziło o obniżenie społecznego prestiżu tych grup, złamanie ich godności i osłabienie poczucia własnej wartości. Rozplenienie się określeń typu: wieśniak, burak, cham, cebulak, „słoma z butów”, to także pokłosie tych decyzji i polityki wymierzonej w polską wieś. Granie stereotypem „ciemnego chłopca”, przedstawianie mieszkańców wsi jako roszczeniowych „hamulcowych modernizacji” legitymizowało tę politykę. Wytwarzało

wizerunek mieszkańców wsi jako tych „pozostających w tyle”, niezaradnych, niemających nic do zaoferowania.

Wychowywałam się na wsi w latach dziewięćdziesiątych, więc doskonale pamiętam, jak ludzie zaczęli wyjeżdżać do pracy w przemyśle, rolnictwie i usługach do Niemiec, Austrii, Holandii, Norwegii czy Islandii, by zapewnić byt swoim rodzinom. Taki wyjazd do obcego kraju, często bez znajomości lokalnego języka, połączony z długotrwałą rozłąką z najbliższymi był ogromnym wysiłkiem i wyczynem. Wymagał mobilności i zaradności. A jednak nie zapamiętano określenia „zaradni transformacji” w odniesieniu do ludzi, którzy, często mając już dobrze ponad czterdzieści lat, zmieniali środowisko i jechali w nieznaną.

Figurą, która wyrażała pragnienia polskiej wsi lat transformacji, a jednocześnie koncentrowała na sobie lęki i pogardę elit, był Andrzej Lepper. W stosunku do Leppera wyrażał się stosunek elit do wiejskich liderów i do podmiotowości politycznej wsi. Lepper był niewygodny zarówno dla prawicy, jak i dla liberalnej lewicy. Liberałom kojarzył się z obciachem, z brakiem ogłady, z językiem, który nie odpowiadał normom salonowej poprawności. Z kolei dla obozu prawicowego Lepper był postkomunistą, pezetpeerowcem. Uważam, że na Leppera trzeba patrzeć trzeźwo. Nie wydaje mi się, by najlepszym sposobem oddania mu sprawiedliwości było idealizowanie i malowanie mu laurów. Wiele jego wypowiedzi i zachowań było nie do zaakceptowania. Ale trzeba też przyznać, że wiele jego rozsądnych i ciekawych propozycji i diagnoz (przejętych później przez inne obozy i środowiska) wyśmiewano i traktowano niepoważnie właśnie z powodu wiejskiego pochodzenia Leppera.

Z kolei moi sąsiedzi pokładali w nim nadzieję, że wreszcie ktoś reprezentuje ich interesy, że daje im szansę na jakąś godność.

Opisałam przykłady pogardy środowisk, z którymi się nie identyfikuję. Ale warto też zapytać i uczciwie zastanowić się, czy mnie samej, nam samym nie zdarza się gardzić. Trzeba samemu się badać, sprawdzać, czy nie pozwalamy sobie na pogardę wobec środowisk nam odległych, wobec naszych ideowych i politycznych przeciwników. Może jesteśmy bardzo czujni i pilnujemy się, by nie stosować pogardliwych określeń na przykład w odniesieniu do mniejszości romskiej albo do uchodźców. Może zdarza nam się protestować, gdy obraża się na przykład posłankę Annę Grodzką. Ale jednocześnie możemy odnosić się pogardliwie do posłanki Pawłowicz (która, podobnie jak Grodzka, jest często nazywana „babochłopen” – krytykuje się nie tylko jej poglądy, ale także jej wygląd). Zachowywanie właściwej postawy wobec osób, z którymi się nie zgadzamy, polemizujemy, a nawet walczymy wymaga pozytywnej samokontroli: skoro dbamy o to, żeby kobiety nie były obrażane, to nie możemy też obrażać przeciwniczek politycznych. Zwłaszcza że język pogardy ma swoją moc i wpływa na standardy debaty publicznej.

Podobnie jest z określeniem „Janusz”. Łatwo śmiać się na przykład z „Januszów biznesu”. Janusz to z definicji ktoś, komu ewidentnie brak ogłady, kto pochodzi z małej miejscowości i na pewno nie jest „jednym z nas”. Ale jeśli przez wiele lat pielęgnuje się taką mowę pogardy, to potem łatwo jest całe wielkie grupy wyrwać, czy wykluczyć z życia społecznego, bo za wykluczeniem w słowie często idą czyny: konkretne decyzje finansowe czy inwesty-

cyjne. To ma wpływ na jakość dróg, szkolnictwa, na zamykanie ośrodków zdrowia czy likwidowanie połączeń autobusowych poza metropoliami. Choć nie wydaje się to oczywiste, używanie słów: „Janusz”, „Grażyna”, „cebulak” czy „wieśniak” ma wiele wspólnego z zamykaniem połączeń kolejowych w małych miejscowościach.

Pytanie, co możemy z tym zrobić? Na początku warto zastanowić się, gdzie kończy się pogarda. Niewysłuchanie kogoś to także forma pogardy. Kiedy czyjeś głos traktuje się tak, jakby go nie było. Kiedy czyjeś doświadczenia traktuje się tak, jakby nie miały miejsca. Podział między tymi, którzy dysponują głosem, a tymi, którzy muszą się do głosu dobijać, jest bardzo mocno widoczny w sferze publicznej. Przykładowo na temat rolnictwa w mediach wypowiadają się najczęściej politycy albo eksperci, socjologowie wsi – z miast, a bardzo rzadko sami rolnicy. Skutek jest taki, że wiedza o tych grupach i opinie na ich temat panujące w sferze publicznej są bardzo powierzchowne albo jednostronne.

Jednym ze sposobów na poradzenie sobie z pogardą wobec mieszkańców i mieszkańek wsi jest tworzenie takich przestrzeni, gdzie ich głosy mogłyby wybrzmiewać i być słyszalne. Warto zapraszać do wypowiadania się na temat wsi samych jej mieszkańców. Wydaje się to banalnie proste, ale naprawdę działa. Warto bardziej doceniać media lokalne i regionalne, które często dostarczają bardzo rzetelnej wiedzy na temat polskiej prowincji. I wreszcie, warto samemu odwiedzić znajomych lub rodzinę na wsi, wpaść do miejscowej biblioteki lub na wydarzenie organizowane przez Klub Seniora lub Koło Gospodyń Wiejskich. To wcale nie jest wielki wyczyn.

Karolina Wigura – socjolożka i historyczka idei, szefowa działu politycznego w „Kulturze Liberalnej”, pracuje w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego

Po 1989 roku w Polsce nie było takiego momentu, gdy pogarda w sposób szczególny się objawiła albo była zupełnie nieobecna. To dlatego, że demokracja jest systemem politycznym, polegającym między innymi na zarządzaniu pogardą. Jeśli istnieje jakaś zasadnicza demokratyczna cnota, to oprócz umiłowania wolności i równości, jest to umiętność zarządzania pogardą, tak, aby ludzie nie wyrządzali sobie wzajemnie zbyt wielu krzywd.

Ludzie zawsze odczuwają wobec siebie nawzajem pogardę. To uczucie, które jest nam potrzebne i nie jest wyłącznie złe. Potrzebne, bo razem ze strachem umożliwia moralność. Nie ma moralności bez pogardy wobec tego co niegodne i obrzydliwe, i nie ma moralności bez strachu przed tym, czym jest zło. Ale wiemy też, że oba te uczucia – pogarda i strach – towarzyszyły największym okrucieństwom w ludzkiej historii, także tym relatywnie niedawnym, jak masowe mordy dwudziestego wieku. A zatem to nie sama pogarda jest z gruntu zła. Raczej istotne jest, w jakim kontekście się ona ujawnia i czy potrafimy zarządzać nią w taki sposób, żeby szkodziła mniej niż bardziej.

Istnieją przynajmniej dwa rodzaje pogardy. Pierwszy, gdy patrzymy na kogoś z góry, bo czujemy się lepsi, lepiej wykształceni, bardziej wysportowani, starsi, bardziej doświadczeni. Tak nauczyciele patrzą na uczniów, rodzice na dzieci, mężczyźni na kobiety itd. Ale jest też drugi rodzaj pogardy, który polega na patrzeniu z dołu, czyli wtedy, gdy nastolatki patrzą z po-

gardą na swoich rodziców, studenci na profesorów, kobiety na mężczyzn... Czyli pogarda jest z nami cały czas, jest jednym ze spoiw społecznych. Byłoby dobrze, gdybyśmy umieli się przyznać przed sobą, że codziennie i w wielu sytuacjach społecznych gardzimy innymi. Trudno wyobrazić sobie bez pogardy naszą codzienność. Thomas Hobbes pisze, że pogarda jest wtedy, kiedy już nic nie czujemy, jest wytraceniem namiętności. Pogarda jest u niego zarówno męstwo, kiedy już nie czuje się strachu, jak i okrucieństwo. Patrzymy z niechętną pogardą na niektórych kolegów z pracy, z obojętną na ludzi w porannym autobusie, z mieszaniną miłości i pogardy na własne dzieci...

Wróćmy do pogardy jako demokratycznej cnoty. Co miałyby to oznaczać? Nie ma co oszukiwać się, że jest to ładne uczucie, ale być może jej zaleta polega na tym, że prowadzi ona raczej do dystansu niż okrucieństwa. Jednak dopóki ludzie tylko sobą gardzą, podnoszą w znanym nam wszystkim doskonale geście podbródek, spoglądając na siebie z góry, to jeszcze cały czas mogą traktować się wzajemnie jak ludzie. Ludzie nie są aniołami, więc pogarda jest do zaakceptowania jako demokratyczna przywara. Gorzej, gdy zaczynają odczuwać do siebie wzajemny wstręt. Wtedy już nie podnoszą podbródka do góry, tylko opuszczają z odrazą kąciuki ust, odczuwając mdłości i odczłowieczając Drugiego.

Polityka zapewne zawsze składa się z bardzo niestabilnej triady, czyli po pierwsze – z namiętności, po drugie – poczucia odpowiedzialności, po trzecie – z pytania o właściwą miarę. Dopóki zadajemy pytanie, gdzie ta właściwa miara leży, czyli pozostajemy sceptyczni wobec własnego postępowania – to nie jest jeszcze złe. Ale

w momencie, kiedy zaczynamy być podejrzani przekonani, że moralna racja leży tylko po naszej stronie, i że mamy prawo pogardzić innymi, bo inaczej myślą, i nie dopuszczać ich do głosu, robi się nieciekawie.

Przyjmijmy hipotetycznie, że w pewnym państwie mamy do czynienia z jakimś „establishmentem”, czyli rządzącą elitą. Elita ta, jak każda, częściowo spełnia oczekiwania społeczne, a częściowo wywołuje gniew. Stopniowo pojawiają się zatem różne grupy społeczne, które pragną wejść do centrum polityki, czyli zająć miejsce establishmentu. Jednak aby to zrobić, aby przedstawić swoją agendę, muszą najpierw pokazać swoją pogardę wobec rządzącej elity i to robią. Dopóki rządząca elita jest w stanie integrować te grupy, legitymizować ich pogardę, mówić: mieliście rację, czegoś nie widzieliśmy, zatem dopóki elita przyzywała na to, aby ktoś nią gardził, ale sama nie pozwalała sobie gardzić, demokracja się rozwija. Ale gdy to sprawująca rządy elita, czyli silniejsi, zaczyna gardzić słabszymi, demokracja się chwieje.

Amerykański filozof polityki William Miller napisał książkę *Anatomy of Disgust*, w której pisze o różnicy między wstrętem a pogardą. Przypomina, że w społeczeństwach zachodnich były takie czasy, kiedy gejami i lesbijkami gardzono, w przekonaniu, że są to ludzie gorsi, chorzy, godni wstrętu dewianci. Następnie, kiedy ruchy LGBT osiągnęły wystarczającą siłę, żeby powiedzieć: nie, to my gardzimy tymi, którzy są nietolerancyjni, jesteście godni pogardy, bo brakuje wam wrażliwości, stopniowo elity na tak rozumianą pogardę przyzwoliły. W konsekwencji społeczeństwo poprawiło się, a nie pogorszyło, liberalna demokracja się wzmocniła.

Można oczywiście powiedzieć, że nie brakuje tu liberalnych paradoksów. Na przykład nie tylko w Polsce, ale i w innych współczesnych demokracjach wzmacnianie tolerancji wobec wspomnianych grup mniejszościowych odbywało się często w ramach dialogu na linii rządzące elity – mniejszości. Olbrzymie grupy społeczne pozostały zupełnie poza tym dialogiem, i choć pozornie wydawałoby się, że byłiby to wzorcowi wyborcy lewicy i liberałów, poczęli wybierać prawicę i konserwatystów. Dalej, w ostatnich latach nie tylko w naszym kraju zdarzało się, że liberalne elity były tak przekonane co do tego, że ich światopogląd jest właściwy, oświecony, tolerancyjny, że same poczęły dopuszczać się pogardy i nietolerancji wobec osób, które miały inne zdanie. Mówiono im: „Jesteście po prostu niewykształceni. Kiedy się doksztalcicie, na pewno zaczniecie myśleć tak jak my”.

W następstwie tych zjawisk współcześnie w Polsce, ale także w Stanach Zjednoczonych, we Francji czy w Wielkiej Brytanii, dokonuje się proces degeneracji ustroju demokratyczno-liberalnego. Elity liberalnych demokracji, zamiast myśleć o ludziach, którzy są słabsi, są na marginesie dyskusji publicznej, mają mniejszy kapitał społeczny, skoncentrowały się na dbaniu o samych siebie i swoje przywileje, a także na utwierdzeniu się w swoim „oświeconym światopoglądzie”. Ta degeneracja liberalnej demokracji pozwoliła następnie na wygrywanie wyborów przez ludzi, którzy opowiadają się po stronie tego tak zwanego ludu, ale w istocie są demagogami. Po tej degeneracji niewykłuczone, że przyjdzie kolejna, zamiast oczekiwanej przez wielu poprawy.

Iwona Chmura-Rutkowska – pedagożka, socjolożka, badaczka, wykładowczyni, edukatorka równościowa i antydyskryminacyjna. Pracuje w Zakładzie Socjologii Edukacji na Wydziale Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Kim i z jakiego powodu gardzimy? Gardzimy tymi, których uznajemy za gorszych.

Paliwem pogardy są nabywane negatywne myśli, przekonania, teorie i stereotypy na temat ludzi należących do różnych grup lub kategorii społecznych. Zarówno tych, do których sami przynależymy, jak i tych „innych”, „obcych” – traktowanych jako „gorsze”

Pogarda to „dojrzała” społeczna emocja – skumulowany efekt wielu lat intensywnej socjalizacji i wychowania w grupie, klanie, środowisku, państwie, kulturze. U źródeł pogardy leży akceptacja nierówności, poczucie wyższości i przekonanie o mniejszej wartości drugiego człowieka. Pogarda znieczula emocjonalnie, redukuje empatię oraz poczucie winy wobec cierpienia i krzywdy, bazuje na uwewnętrznionych usprawiedliwieniach dla złego traktowania. Pogarda otwiera szeroko drzwi do każdej formy dyskryminacji i przemocy.



Najwięcej pogardy doświadczylam jako dziewczynka i doświadczam jako kobieta.

Dojrzewając, moje ciało stało się przedmiotem nieustającej krytycznej oceny, komentarzy, zdziwień, nachalnych pytań, drwin, wulgarnych przytyków, naruszeń granic. Ale wtedy wszyscy dookoła mówili, że to jest normalne, oczywiście i jako kobieta do swojego ciała nie mam prawa.

Gdy zauważyłam, że istnieje podział na prace „babskie” i „męskie” i że te, w których jako dziewczyna przechodziłam intensywny trening – są pracami żmudnymi, niezauważanymi, niedocenionymi i nieodpłatnymi – pogardzanymi przez chłopaków, mężczyzn i same kobiety.

I potem, gdy zauważyłam, że cały świat podzielony jest na to, co kobiece, i to, co męskie. I to, co kobiece, znaczy mniej.

Gdy odmówiono mi znieczulenia przy porodzie i potem, gdy na pierwszy macierzyński posiłek przyniesiono mi chleb z czarnym salcesonem. I wtedy, gdy mój syn trafił do szpitala i błagałam o znieczulenie dla niego, i wtedy, gdy zrywałam się na baczność ze szpitalnej podłogi, gdy wchodził ordynator i konsylium lekarskie, które traktowało mnie – matkę – jak powietrze.

Doświadczam pogardy, gdy w podręcznikach, które recenzuję, odkrywam brak kobiet lub odnajduję je jedynie na marginesach narracji w stereotypowych rolach. Żyję w kraju, w którym w programy nauczania wpisana jest zasada, że kobiety nie mają żadnego wpływu na losy świata, ich głos się nie liczy, ich życie nie jest godne odnotowania.

Doświadczam pogardy, gdy słyszę kilkuletnich i nastoletnich chłopaków, że brzydzą się wszystkim, co dziewczynskie. Wychowuję dwóch synów. Kultura bardzo wczesnie upomina się o męskie cechy u chłopców, którzy muszą nauczyć się walczyć o swoje, bić się na pięści, śmiać się i gardzić wszystkim, co niemęskie, dziewczynskie i stereotypowo związane z kobiecością, czyli „babskie” i „pedalskie”. Równocześnie wysoką pozycję w grupie zajmują ci, którzy trzymają wszystkich słabszych i gorszych pod butem.

Dostrzegam pogardę w relacjach młodych mężczyzn i kobiet, chło-

paków i dziewcząt, czego wyrazem jest fala codziennych mikroataków: wyrażanie się pogardliwie (i/lub wulgarnie) o kobiecości („biegasz jak baba”, „rzucasz jak pizda”), używanie wulgarnych określeń i aluzji („laska”, „dziwka”, „dupa”, „szmata”), gestów i dźwięków (gwizdy, cmoknięcia, zwierzęce odgłosy o podtekście seksualnym), ośmieszanie, wyśmiewanie, poniżanie, wygłaszanie publiczne komentarzy na temat ciała, wyglądu, sposobu poruszania się, jego intymnych części („rusz grubą dupę”, „cyci ci sterczą”), homofobiczne uwagi i wyzwiska („ciota”, „pedał”, „lesba”), dystybuowanie lub pokazywanie innym materiałów o seksualnym lub pornograficznym charakterze (rysunki w zeszytach określane jako „szczucie chujem”), wulgarnie napisy i rysunki (w toaletach, na zeszytach, podręcznikach, tablicach), odtwarzanie filmów pornograficznych podczas rozmów, przysyłanie ich koleżankom, rozpowszechnianie kłamstw na temat zachowania w sferze intymnej, naruszanie przestrzeni osobistej lub groźby naruszenia granic fizycznych, użycia przemocy fizycznej i seksualnej (niepożądane dotknięcia, uściski, laskotanie, klepanie, szczypanie, napieranie, ocieranie), seksting, cyberprzemoc.

Doświadczam pogardy, gdy oglądam reklamy, na których kobieta a właściwie fragmenty jej ciała – seksualne gadżety – promują olej silnikowy lub piwo. Gdy oglądam kobiety w roli pozbawionych mózgu służących lub kompulsywnych zakupoholiczek.

Doświadczam pogardy, gdy oglądam filmy, teledyski, w których postaci kobiece są seksualizowane, uprzedmiotowiane, gnębione, gwałcone i zabijane.

Doświadczam pogardy, gdy czytam nienawistne, pełne poczucia wyższości komentarze mężczyzn pod artykułami,

w których mówi się o prawach kobiet, o przemocy wobec dziewcząt i kobiet w ich własnych domach, w pracy, na ulicy, w klubach.

Doświadczam pogardy, gdy politycy-mężczyźni autorytarnie i z poczuciem wyższości projektują życie kobiet, odbierając im prawo do decyzji.

Małgorzata Sikorska-Miszczuk – dramatopisarka

W 2003 roku opublikowano *Zamiast procesu. Raport o mowie nienawiści* Sergiusza Kowalskiego i Magdaleny Tulli. W „Wyjaśnieniach wstępnych” można tam przeczytać kilka pro- roctw, które się spełniły. Szkoda, że Autorzy są zupełnie nieznani jako Wróże i Wróżki, Jasnowidzący, czy – jeszcze oczko wyżej – następcy proroka Eliasza.

Wszystkich wątpiących w to, że mowa nienawiści jest w stanie się ucieleśnić w postaci obywateli z pałkami, a nie pozostawać na wieki w formie literowej, gazetowej, a w konsekwencji wiatropylnej – od- syłam do tej książki.

Prorocy usiłowali na ten temat prorokować. Nie zgadzali się z po- glądem, że mowa nienawiści jest nieuchronnym kosztem wolności słowa. Że zajmowanie się analizą mowy nienawiści prowadzi do jej re- klamy. Za iluzję uznali też pogląd, że milczeniem można ją uleczyć. Jakby milczeniem było szlachetnym pudrem, który opada w ciszy na poskręcane nienawiścią słowa, niosąc im ukoje- nie i wyprostowanie.

Niestety.

Milczenie prowadzi do legitymizacji mowy nienawiści jako równoprawnej historycznej i ideowej perspektywy, do uznania jej etycznej i moralnej jakości.

I tyle.

Obecnie, trzynaste lat po Księdze Proroków, możemy świętować dożynki mowy nienawiści przez okrągły rok. I nie chodzi mi o miniony rok nowego rządu, tylko o obfitość i płodność niezależnie od pór roku. Mowa się pięknie zakorzeniła i owocuje.

Z pięknie przystrojonego dożynkowego kosza wyciągnę dorodną Mowę wobec kobiet.

Kobiety.

Istnieje pogląd, że mają prawo do człowieczeństwa, do rozwoju własnego potencjału. Do szukania tożsamości, dojrzałości. Stoi za tym wizja istoty ludzkiej spełnionej i wolnej.

Moim zdaniem rozwój nie jest przyjemny. Jest trudny i bolesny, odziera z iluzji, dając jednak w zamian własne, prawdziwe, unikalne widzenie. Takie widzenie może zmieniać świat.

Pytania, kim jestem? Po co jestem? – to pytania o początek podróży w życie.

Mowa nienawiści, jeśli znów ją ucieleśnić w człowieku, jest miłym konduktorem z pięknym wąsem, który odbiera kobietom łagodnie bilety i prowadzi przez labirynt różowych pokoi: w pierwszym usuwa im płyty czołowe, w drugim wyświetla zdjęcia uśmiechniętych bobasów, w trzecim robi wykład o sztyftach, a w czwartym wszystkie biorą ślub kościelny.

Przesada, co?

Gdzie tu mowa o mowie nienawiści? Jednak ja tak to widzę i nie widzę inaczej, jak mówi niewidomy bohater filmu *Carte blanche*.

Wprawdzie staram się teraz wprowadzać do narracji tak zwane elementy humoru, ale nie jest mi do śmiechu. Myślałam, że będzie inaczej. Że będziemy iść do przodu, dojrzewać do samodzielności, a nie znów składać ofiary przed ołtarzami Robotów. I na tym skończę. Pisarze do piór, dramatopisarze do sztuk.

Krzysztof Pacewicz – filozof, publicysta „Res Publiki Nowej”, doktorant na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego

Pogarda czy wkurw? Polacy gardzą sobą nawzajem, bo politycy przełożyli ogólny wkurw i poczucie zagrożenia na konkretną polityczną pogardę.

W życiu osobiście nie doświadczyłem wiele pogardy. Wręcz przeciwnie, zaznałem raczej wiele szacunku – od znajomych, przedstawicieli instytucji i współpracowników. Moje prywatne doświadczenie stoi więc w rażącej sprzeczności z doświadczeniem życia publicznego w Polsce. Przypuszczam, że wynika to z tego, że wychowałem się i funkcjonuję w warszawskiej inteligentkiej bańce – wśród osób wykształconych i zwykle relatywnie zamożnych, intelektualistów, ludzi pracujących na uniwersytetach, w kulturze czy sztuce. Inteligencka pogarda jest skierowana do innych klas społecznych – do mniej zamożnych (biedaków-cebulaków z prowincji), do nowego mieszczaństwa (nuworyszy) i wobec pracowników dużych firm (korposzczurów). Jako wzorowemu inteligentowi nie było więc mi dane tej pogardy doświadczyć.

Nie należy jednak przeceniać wagi tej pogardy inteligenckiej w kształtowaniu życia publicznego w Polsce. Oczywiście, ogólna pogarda nowych klas wyższych („zwycięzców transformacji”) wobec nowych klas niższych („przebranych transformacji”) odegrała swoją rolę w legitymizowaniu nowego pseudo-merytokratycznego systemu nierówności. Pogarda zresztą zawsze pojawia się, gdy trzeba uzasadnić społeczną niesprawiedliwość (biedni mają gorzej, bo są gorsi, brudni, chamscy etc.).

Dość jednak socjologicznych banałów: w ostatnich latach znacznie

ważniejszą rolę w polskiej polityce od pogardy odegrał masowy wkurw. Wkurw ten wziął się również z nowych nierówności społecznych i może być częściowo odpowiedzią na pogardę klas wyższych wobec niższych. Przede wszystkim jest to jednak polskie odbicie globalnego wkurwu mas, który od kilku lat jest dominującą siłą polityczną w całym tak zwanym świecie rozwinętych.

Skąd wziął się masowy wkurw globalny? Powodów jest oczywiście wiele, z których większość można określić parasolowym terminem „neoliberalizm”: postępująca deregulacja rynków wraz z demontażem instytucji opiekuńczych i prawa pracy oraz spadająca rola rządów narodowych na rzecz globalnych korporacji i instytucji finansowych spowodowały zwiększenie poczucia zagrożenia i zmniejszenie poczucia wpływu. Do tego trzeba dodać dekonstrukcję tradycyjnych tożsamości narodowych, religijnych i etnicznych. Owszem, z punktu widzenia wielu osób (kobiet, niewierzących, niehetero, imigrantów) była ona pożądana i przyczyniła się do zmniejszenia opresji społecznych, wywołała jednak również – szczególnie wśród dominujących wcześniej białych konserwatywnych hetero mężczyzn – dezorientację i lęk.

Wspomnijmy jeszcze rosnącą automatyzację produkcji przemysłowej i przeniesienie jej do tak zwanych krajów rozwijających się oraz kryzys finansowy z 2008 roku, którego koszty przerzucono na obywateli, i mamy przepis na globalny masowy wkurw. Nic dziwnego, że główną rolę odegrali w nim biali mężczyźni: po pierwsze – to oni stracili relatywnie najwięcej. Po drugie – to mężczyzn na całym świecie od dziecka uczy się, jak transformować poczucie krzywdy we wkurw.

Wkurw, jak to wkurw, ma dużą siłę i jasno wyznaczony wektor, ale słabo określony obiekt. Od lokalnej polityki zależy więc, jakie znajdzie ujście; kto zostanie uznany za winnego naszej niedoli i stanie się przedmiotem naszej wściekłości.

Pogarda lokalna. Nie ma wątpliwości, że masowym wkurwem w Polsce pokierował Jarosław Kaczyński. Po pierwsze, miał szczęście znajdować się na czele największej partii opozycyjnej podczas kryzysu i globalnej eskalacji wkurwu. Po drugie, od co najmniej dekady pieczołowicie konstruował język politycznej pogardy – sprytne polityczne urządzenie do translacji wkurwu na pogardę wobec zdrajców, komuchów, Polaków gorszego sortu i temu podobnych, a także wobec różnego rodzaju mniejszości: homoseksualistów, uchodźców, feministek.

Bardzo szybko polityczni adwersarze PiSu stworzyli zresztą przeciwurządzenie pogardy, opierające się głównie na kalkach klasowych (PiS to chamy, wieśniaki, prostaki). Nic dziwnego – partyjna polityka żyje z translacji nieokreślonego wkurwu na pogardę wobec konkretnych osób/środków/ugrupowań. Tak się zdobywa kapitał wyborczy, szczególnie w warunkach polityki podzielonej na dwa obozy, gdzie elektorat negatywny staje się ważniejszy niż pozytywny.

Można spędzać długie godziny na próbie retorycznego rozplątywania pogardliwego spłotu polskiej polityki – pytanie tylko, czy warto, skoro napędzająca go energia bierze się skądinąd i niekoniecznie ma swoje źródło wyłącznie w polskiej rzeczywistości.

Użytek z wkurwu? Odpowiedź na pytanie „dlaczego Polacy gardzą sobą nawzajem” jest banalna: gardzą sobą, bo politycy i ich publicystyczni akolici przełożyli ogólny wkurw i po-

czucie zagrożenia na konkretną polityczną pogardę.

Znacznie bardziej problematyczne są jednak dwa pytania ogólne. Po pierwsze – czy jesteśmy w stanie wyobrazić sobie takie polityczne urządzenie, które będzie w stanie zagospodarować masowy wkurw w sposób pozytywny, przełożyć go na przykład na walkę o solidarność społeczną, o dobrobyt lokalny, o praworządność w miejscu pracy, o prawo do usług publicznych? W jakimś stopniu udało się to w połowie dwudziestego wieku, gdy wściekłość mas pracujących przełożyła się na aktywność w związkach zawodowych i rozwój europejskich państw socjalnych. Czy da się powtórzyć taki zabieg?

Po drugie – i pewnie najważniejsze: czy jesteśmy w stanie na poziomie polskiej polityki zrobić cokolwiek, by zmniejszyć rzeczywiste przyczyny wkurwu – to znaczy przeciwstawić się neoliberalnej polityce naszych czasów i działać na rzecz społeczeństwa powszechnego bezpieczeństwa? Ostatecznie bowiem na wkurwie jedzie się szybko, ale nie da się dojechać zbyt daleko.

Bożena Keff – pisarka, eseistka, publicystka

Pogarda jest złożonym uczuciem – jest w niej coś związanego z przekonaniami na temat własny i innych, i coś sensualnego; odraza, obrzydzenie. To jakieś moralne obrzydzenie. Czy ja kimś gardzę? Raczej miewam odruchy pogardy, to znaczy pogardzam na przykład służalczością czy brakiem szacunku dla siebie, ale niekoniecznie pogardzam stałą osobą, której się to zdarza. (Choć tak, jest taki polski polityk, którym pogardzam, bo jego

główną postawą jest pogarda wobec innych. Korwin-Mikke jego imię.) Takie odruchy pogardy przechodzą mi raczej w inne uczucia, mniej skrajne, jak olewanie i brak szacunku. Pogarda jest bardzo związana z poczuciem własnej wyższości, tego, że tylko moja wizja świata jest dla świata korzystna i dobra, a inne są szkodliwe, ich nosiciele zaś trzeba wziąć za pysk lub wytepić. Ja oczywiście też uważam, że moja wizja świata jest korzystna i dobra, ale nie mam potrzeby tępić, raczej bym stawiała na edukację. Nie pogardzam ludźmi za cechy, które nie zależą od ich wyboru. Jeśli już, to za wybrane postawy, uczucia, przekonania i wierzenia. A właśnie pogarda bardzo często dotyczy tych cech, których ludzie (ani nikt inny) nie wybierają – rasy, płci, wieku etc. I w tym punkcie jest najgroźniejsza. Taka pogarda pozwala wykluczać z własnego gatunku i mordować. Jest chyba warunkiem podstawowym ludobójstwa.

Polska kultura jest skłonna do pogardy. Polska ma wielkie tradycje nierównościowe i w związku z tym łatwość pogardy. Podstawowy problem z szacunkiem dla siebie i dla innych. Wielusetletni podział na pana i chłama zakładał pogardę społeczną, klasową, jakby się powiedziało dawniej, i nienawiść idącą od dołu, a to nie było/ i nie jest spoiwo społeczne. Sarmacka opowieść o genealogii szlachty jest z gruntu rasistowska. I dziś przeżywamy renesans pogardy dla chłamu, tym razem na bazie kapitalizmu i majątku, czyli w sumie podobnie. To nie znaczy, że uważam, że jest tak samo jak było. Nie. Niemniej tę tradycję wspiera Kościół katolicki, w którym nie ma miejsca na równość między ludźmi, jaką wypracowały z czasem na przykład kościoły protestanckie. W Kościele katolickim jest hierarchia, prawda płynie

z góry, i nie ma możliwości dyskusji. Jakby kompensatą za tę nierówność indywidualną jest poczucie wspólnoty religijno-narodowej, najlepszej i najsluszniejszej. Kobiety są często jej strażnikami, bo funkcja strażnika jest takim i prostym sposobem poprawienia sobie poczucia własnej ważności.

Czy sama doświadczyłam pogardy? Nikt mnie nie łapie za guzik, żeby powiedzieć mi, że mną gardzi, ale jako Żydówka w Polsce jestem świadoma, że krok w lewo, krok w prawo i wejść na jakąś minę, która wybuchnie i będzie to mina pogardy, agresji, nienawiści. Zdarzało mi się wylecieć na tej minie w powietrze, i każdy upadek i powstanie wiąże się z zimną pogardą, moją własną. Żeby w tym nie tkwić, bo mi to szkodzi, napisałam książkę o antysemityzmie. Druga grupa, do której przynależność naraża mnie na pogardę, to grupa większościowo-mniejszościowa, czyli kobiety. Jeśli zdarza ci się raz czy dwa natknąć na pogardę i odpowiedzieć tym samym, to trudno. Ale jeśli to jest sytuacja permanentna – stały antysemityzm, rasizm czy pogarda wyrażona na przykład w prawie wobec kobiet – to pogardzanych uszkadza psychicznie nie mniej niż pogardzących. Pogarda z góry, nienawiść z dołu. Niedobrze.

Uszkadzające jest na przykład oglądanie wszędzie „żydków z pieniążkiem”, bo w ten wizerunek jest wpisana pogarda antysemitcka. Uszkadzające jest molestowanie, obelśne zachowania wobec kobiet i homofobia. Bo gwałt się gwałtem odciska i rośnie gotowość odpowiadania agresją, złością i poczuciem obcości na pogardliwe treści,

które płyną z kultury i dotyczą mnie bezpośrednio lub pośrednio.

Ale tak jest, to trwa, bo mamy do czynienia z backlashem antyświeciotowym, antyemancypacyjnym, z jakimś rewanżem, kontruderzeniem. Za dużo było tych (nie)przyjemności – wysłuchiwanie, że te kobiety, ci Żydzi, ci czarni, te lesbijki i geje to są ludzie tacy sami jak my. Za dużo było gadania, że pogarda wobec nich jest nieuprawomocniona. Ona teraz chce się znów uprawomocnić. Bardzo trudno na ten kontratak nie reagować nienawiścią i pogardą. I nie mówić: chamy wy głupie! Jedyne, co można by zrobić, to wymyślić wszystko na nowo. Na nowo stosunki między ludźmi, między płciami, w rodzinie, edukacja na nowo.

Zapewne dziś w Polsce dzieci są traktowane z dużo większym szacunkiem niż kiedyś, ale też ile jest nadal w stosunku do nich pogardy! Polskie wyzwiska wiążą dzieci ze sferą wydziałin cielesnych: gówniarz, smarkacz, szczył. Przypisują dzieci do sfery obrzydliwej. Gówniarz i szczył, kiedy dorastają, chcą – nie wszyscy oczywiście – należeć do wielkiej rodziny narodu, która by ich szanowała. Mogą pójść na wojnę pozabijać innych gówniarzy i szczyli, ruskich, żydków albo szwabów. Wtedy zostaną bohaterami i zaznają miłości i szacunku swojego narodu. A ten jest w ich wyobraźni większą, silniejszą, doskonalszą, spójną rodziną, której oni zostaną obrani ojcami lub ukochanymi synami. Stawką bez wartości jest tu ich życie. I to jest dopiero pogarda w błędnym kole.

Opracowała Joanna Krakowska

Dialog w czasach pogardy

• EWA CHOMICKA •

Debaty ostatnich miesięcy rozgrzane są do czerwoności. Świat zatoczył koło. Tąpnięcia dotychczasowych porządków politycznych przyniosły erupcję postaw nacjonalistycznych, ksenofobicznych,

Autorka jest polonistką, etnolożką, animatorką kultury, absolwentką studiów muzealnych i kuratorskich; kieruje Sekcją Edukacji Dorosłych w Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Koordynuje projekty badawcze, edukacyjne, twórcze. Jest członkinią Chóru Kobiet.

mowy nienawiści. Okazuje się, że praca nad społeczeństwem otwartym, obywatelskim, postrzegającym różnorodność jako wartość – napotkała opór. Zwrot do postaw zamkniętych, wyraźnego operowania kategoriami „my-oni” dotknął Polskę, Europę, świat. Klęska idei wielokulturowości została wielokrotnie obwieszczona; trudno nie zgodzić się

z jej kryzysem, gdy obserwujemy z różnych stron odwrót od mówienia o historii europejskiej, powroty do etnicznych, krzepiących koncepcji narodów. Politycy kreują symbolicznych wrogów – innych, różne odstoni mowy nienawiści na dobre umościły się w debacie publicznej. Efekty tych działań obserwujemy już dziś wyraziście: dwukrotny wzrost przestępstw na tle nienawiści w Polsce w porównaniu z 2013 rokiem jest wzrostem zatrważającym.

Akademicy, aktywiści i praktycy kultury zwołują nadzwyczajne zjazdy i kongresy, organizują akcje, podczas których wyrażają sprzeciw wobec tych zjawisk, dyskutują o przyczynach i środkach zaradczych. Jak podkreślają, hasła głoszone przez polityków wpisują dyskryminację w życie publiczne w Polsce, wywołują strach w społeczeństwie, generują podział ludzi na „lepszyc” i „gorszych”. Dyskryminacja jest zjawiskiem lawinowym, rozpędzona,

od słowa może prowadzić do największych kataklizmów; koniecznie i stale trzeba o tym przypominać.

Na Kongres Kultury przedstawiciele władzy, mimo zaproszenia, nie stawiają się jednak, na manifestacji w Dniu Solidarności z Uchodźcami pod hasłem „Polska przeciwko rasizmowi i przemocy”, mimo prężnej kampanii promocyjnej, liczba zgromadzonych jest niewielka, Nadzwyczajny Zjazd Etnologów i Antropologów „Antropologia przeciw dyskryminacji” autorka jednej z publikacji komentuje w tytule: *Antropolodzy mówią „nie” rasizmowi i mowie nienawiści. Tylko kto ich posłucha?*¹. Imperatywowi aktywnego sprzeciwu w obliczu obserwowanych zmian towarzyszy jednocześnie poczucie bezsilności, ośłupienia, nagłego wybrakowania narzędzi, dojmującego impasu. Jest w tym też trochę wstydu, mówi się o porażkach: systemowych, narracyjnych, edukacyjnych.

Daliśmy się uwieść – twierdzą jedni. Zaspaliśmy, przeoczyliśmy – przyznają drudzy. Byliśmy głupi – dodają kolejni.

Ocena spuścizny lat dziewięćdziesiątych – i szerzej: ostatnich dwudziestu sześciu lat – coraz częściej pobrzmiewa gorczyczą. Okres transformacji przyniósł wiele korzyści, ale też nie obyło się bez ofiar. Ujawnił również, że powojenny awans cywilizacyjny był mocno powierzchowny i dotyczył niewielkiej grupy. Świat neoliberalny dla wielu nie przyniósł spodziewanego polepszenia bytu; wraz z koniecznością zmierzania się z nowymi regułami funkcjonowania na wolnym rynku – rozumianym jako jedyny sprawca i regulator stosunków społecznych, w połączeniu z implikowanymi przezeń hasłami mobilności,

indywidualizmu, progresywności – okazał się nie do zniesienia.

Model wybrany i narzucony społeczeństwu przez polskie elity polityczne i ekonomiczne, zgodnie z którym jednostki mają całkowity wpływ na swój los, drzwi do mobilności są otwarte, ale awansują tylko ci, którzy nauczają się nowych reguł i będą ciężko pracować, nie był modelem oglądającym się na słabszych. Dlatego wśród błędów transformacji wymienia się brak „funkcji osłonowej” państwa i wyczulenia na grupy wykluczone, pozbawione czy pozbawiane poczucia zabezpieczenia socjalnego, których głos unieważniany był ideologią indywidualnej odpowiedzialności. Neoliberalny dyskurs narzucił na nie konieczność funkcjonowania przez lata w języku wstydu; skoro wina za złą sytuację, w jakiej ktoś się znalazł, niepowodzenia życiowe, ubóstwo czy bezrobocie niepodzielnie spada na jednostkę (a nie warunki społeczno-ekonomiczne), każdy powinien radzić sobie sam; a jeśli sobie nie radzi – okazuje się hamulcowym transformacji, jest nieskuteczny, słabszy, przegrany, jest nierobem. Wraz z kolejnymi latami transformacji dochodzą tu zresztą kolejne figury – nie tylko ci, którzy nie mogą czy nie chcą odnaleźć się w nowej rzeczywistości, ale też ci, którzy nieumiejętnie aspirują do „prawdziwej” klasy średniej, nie dorastają do swej pozycji społecznej, którzy są obciachowi; zamiast się wycofać, „pomykają w białych skarpetkach i czarnych mokasynach”². Szczególnie dostaje się tym, którzy wywodząc się z najniższych warstw społecznych, marzą o zasileniu grona klasy wyższej. „Napalony na władzę Mulat, nowy Szela, polski Łukaszenko ante portas, awanturnik,

¹ Alicja Karasińska *Antropolodzy mówią „nie” rasizmowi i mowie nienawiści. Tylko kto ich posłucha?*, „Polityka” nr 48/2016.

² Zob. Od białych skarpetek do koszułek z żołnierzami wyklepymi, z Magdą Szczepniak rozmawiał Jakub Majmurek, „Dziennik Opinii” nr 199/2015.

który próbuje zrobić skok na niedużą kasę, Lenin z Zielnowa, lump z Samobrony, mieszkaniac zagrody, człowiek bazarów, wódz słyszający głosy, polski Hitler, chłopski watażka, populistą, malwersant, warchoł, trybun ludowy, największe zagrożenie dla Polski, gruboskórny prostak, przestępca, który wypowiedział wojnę własnemu państwu, nieuk o psychopatycznej osobowości, niechciany owoc polskiej demokracji, cham, cwaniak, który zerwał się ze smyczy, wilk³ – to wybór pogardliwych epitetów, jakimi dziennikarze i publicyści obu stron politycznych opisywali próbującego wkroczyć na scenę polityczną Andrzeja Leppera, ujawniając przy tym całą gamę uprzedzeń klasy średniej i wyższej wobec wsi, próbując odciąć się od „chama”, „prostaka”, który z widłami w dłoni chce wkroczyć na salony i który nie wie, co czyni.

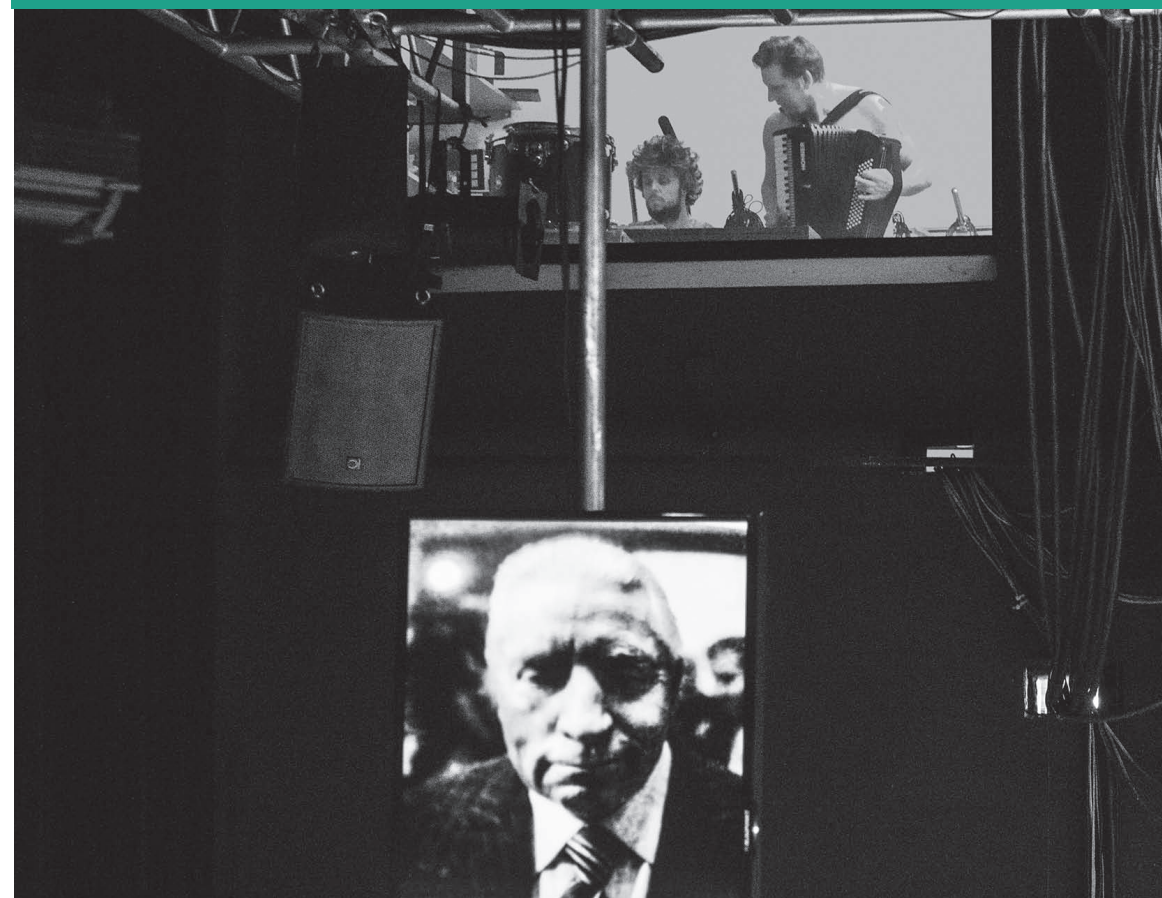
Wyrzucenie części społeczeństwa poza nawias i jednocześnie zwolnienie elit z obowiązku społecznej solidarności zakotwiczyły polską transformację w języku upokarzania. „Przesadziliśmy ze wstydem” – diagnozuje Czapliński. „Nasze elity zbyt chętnie sięgały po to narzędzie. Mówiły całej reszcie: jesteście tacy sobie, do wymiany, musicie coś ze sobą zrobić. Zawstydzanie zawsze było główną strategią modernizacyjną w Polsce.”⁴

Retoryka zawstydzająca była zresztą przez lata wyjątkowo konsekwentnie prowadzona; wraz z rozwojem demokratycznego społeczeństwa słabły nastroje antyeuropejskie i antykapitalistyczne, zmniejszał się poziom ksenofobii, lecz retoryka wstydu trwała w rozkwicie. Przykładem skuteczności takiej narracji, na co wskazuje Tomasz Rakowski, jest chociażby pokutujący do dziś w dyskursie publicznym i w wyobraźni społecznej obraz życia społecznego i kulturalnego wsi, postrzeganego jako niepełne, wybrakowane, naznaczone bylejakością, stanowiące „balast” dla rozwijającego się społeczeństwa. Jego siła jest podwójna; pod jego wpływem nie tylko przedstawiciele kultury dominującej – interpretatorzy życia społecznego, ale i sami mieszkańcy wsi zaczynają postrzegać siebie jako „wieśniackich”, „niepełnych”, budzących wstyd, stale zasiadających w poczekalni życia społecznego.⁵

W wypowiedziach współczesnych elit stale powracają klisze pogardy wobec osób gorzej sytuowanych, wykluczonych ekonomicznie i społecznie. Dziś nazywa się ich idiotami i ciemnotą, która sprzedała Polskę nowej władzy za pięćset złotych. 500+ wywołało zresztą wyjątkową erupcję niechęci, ujawniając po raz kolejny całą gamę pogardliwych wyobrażeń polskiej klasy wyższej.⁶ 500+ niepokoi, bo pociągnie za sobą wysyp niekontrolowanych urodzeń dla pieniędzy w biednych – a więc wybrakowanych społecznie – rodzinach, doprowadzi do pogłębienia jęczącego je alkoholizmu, niezaradności i roszczeniowości. Niepokoi też „najazd Hu-



MARTA KEIL, PIOTR GRZYMISŁAWSKI, RABIH MROUÉ *TU WERSALU NIE BĘDZIE!*, TEATR POLSKI, BYDGOSZCZ 2016, KONCEPCJA I REŻ. RABIH MROUÉ, FOT. MONIKA STOLARSKA



3 Marta Keil *Pogarda. Oswajanie Leppera*, w: Program spektaklu *Tu Wersalu nie będzie*, Teatr Polski w Bydgoszczy 2016, s. 4.

4 *Koniec wstydu, czas na horror*, z Przemysławem Czaplińskim rozmawiał Grzegorz Sroczynski, „Gazeta Wyborcza”, „Duży Format” z 25 maja 2016. Literaturoznawca jako trzy główne „wstydy założycielskie” leżące u podstaw Trzeciej RP wymienia: wstyd niedawnego życia w Peerelu, pokątnych narodzin kapitalizmu i tradycyjnej katolickiej tożsamości. Zob. także: Przemysław Czapliński *Wspólnota wstydu, wspólnota dumy*, za: <http://bliscynieznajomi.pl/wspolnota-wstydu-wspolnota-dumy-prof-przemyslaw-czaplinski/> (dostęp 27 listopada 2016).

5 Tomasz Rakowski *Etnografia/animacja/sztuka. Wprowadzenie*, w: *Etnografia/animacja/sztuka. Nie-rozpoznane wymiary rozwoju kulturalnego*, red. Tomasz Rakowski, Warszawa 2013, s. 8.

6 Zob. Jan Śpiewak *500+. Klasizm, rasizm i neoliberalizm*, „Dziennik Opinii” nr 50/2016.

nów”, pojawienie się podczas urlopów na plażach uboższych rodzin, które nie miały wcześniej do plaż dostępu – pojawienie zbyt liczne i niezgrabne, z brakiem kompetencji obsługi przestrzeni publicznej, ze smrodem defekacji na wydmach⁷. Szyderstwo umacnia się też w mediach społecznościowych; w formie beki zakładane są specjalne strony, które podkreślają podziały między „nami” – wykształconymi, z dużych miast, zadbanymi, a „paźdierzem” – osobami ze wsi, biednymi, niedouczoneymi.⁸

Pogarda „panów” wobec „chamów” najsilniej ujawnia się jednak w kontekście dyskusji o decyzjach wyborczych – i to po obu stronach sporu politycznego. Ci, którzy decydują o wygranej obozów przeciwnych, okazują się ludźmi nierozumiejącymi, groźnymi, niepełnymi, chamami. Rafał Ziemkiewicz przy okazji warszawskiego referendum ogłasza, że Hannę Gronkiewicz-Waltz „popiera wiocha, słabo wykształcony element napływowy”; Jan Hartman stwierdza, że elektorat Kaczyńskiego to „prości ludzie z małych miejscowości”, ci „od piwa, grilla i «szła dziewczka»”, „nierozumiejący państwa i z dziada pradziada w chłopskim odruchu nienawidzący rządu”⁹. „W każdym społeczeństwie jest gromada lu-

dzi, którzy chcą żyć z ręką w kieszeni sąsiada, noszą w sobie kwantum agresji, są niekompetentni” – wtóruje Zbigniew Mikołajko i nazywa tych ludzi Edkami, dowodząc, że zawarli dziś sojusz z PiSem.¹⁰ Edkowie nie zasługują na szacunek, bo sami nie szanują. Do wybrakowanej „armii Kaczyńskiego” profesor dołącza też kobiety – „wózkowe”: matki roszczeniowe, źle wychowane, niezajmujące się swoimi dziećmi, które dały się kupić za wspomniane pięćset złotych. „One mają w nosie naszą wolność” – mówi profesor, kreśląc tym samym obraz dwóch obozów, wedle których „wózkowe” – one, obce, sprędały wolność, która „nam” się należy. „Lepiszczem” Edków, „wózkowych”, kiboli oraz grup pokrzywdzonych przez transformację jako środowisk tworzących elektorat PiSu są – dowodzi profesor – emocje: gniew, resentment.¹¹

Kim jest opisywana przez profesora grupa? Czy można spróbować inaczej opowiedzieć jej historię? I czym spowodowany jest jej gniew?

W odwróceniu tej narracji pomocny będzie Przemysław Czapliński¹² dowodzący, że obserwujemy obecnie bunt grup, które przez lata funkcjonowały w poczuciu wstydu i wykluczenia z gry rynkowej. Ów bunt wynika z uświadomienia sobie przez nie, że tak naprawdę mają tylko to, do czego odnosiła się tak konsekwentnie prowadzona przez lata retoryka wstydu: polską tradycyjną tożsamość. Język biedy, wykluczenia, nie jest językiem, w którym grupa ta chce się przeglądać; chce odzyskać swą war-

tość, potrzebuje przywrócenia w przestrzeni publicznej szacunku i godności. Stąd zwrot ku konserwatywnym wartościom, idei narodu, plemienności, terytorialności, które umożliwiają konstruowanie „godnej tożsamości”.

Co istotne, piewcy konserwatywnej narracji nie są już nieśmiały, przestępującymi z nogi na nogę aspirantami z początków transformacji; teraz mają zaciśnięte usta, są „przyparci do ścian”, „dociśnięci wstydem”; postawy wcześniej wyszydzane powracają z dwukrotną siłą, „pod postacią powiększoną”¹³. Tym, którzy wcześniej zarządzali symbolicznym kapitałem, i wartościom przez nich reprezentowanym mówią: nie. Sprzeciwiają się zmianom modernizacyjnym, jakie w ramach neoliberalizmu dokonały się w sferze światopoglądowej – szczególnie tym na polu tolerancji, praw mniejszości, redefinicji roli i kształtu rodziny. Zmiany te stanowiłyby zagrożenie dla odtworzonej konserwatywnej narracji, zamrożonego mitu polskości – mitu o patriarchalnym kształcie, jednocześnie bezpośrednio prowadzącego do wyobrażeń o narodzie wybranym. Na marginesie zaznaczę, że to naturalnie modelowa wizja, zarysowana na potrzeby przybliżenia się do zrozumienia zachodzących mechanizmów społecznych. Polski lud – jak wskazują badacze – choć nie jest postępowy, nie jest też taki, jakim „chcieliby go widzieć nacjonaliści”¹⁴. „Armii Kaczyńskiego” nie tworzą też tylko „wykluczeni”; poparło go sporo osób z klasy średniej i wyższej.

Emocje, które doprowadziły do buntu – gniew, duma, lęk i potrzeba uzyskania uznania – nie tylko przyniosły zwycię-

stwo prawicy w wyborach, ale też są przez nią umiejętnie rozgrywane. O ile poprzedni system nie czynił z podziałów haseł na sztandary, o tyle obecna władza nie bawi się w niuanse; podziały na dwie Polski (czy raczej Polskę i nie-Polskę) są wyraźnie artykułowane i świadomie wytwarzane. W poszukiwaniu pokarmu dla mitu narodowej dumy władza konstruuje obrazy wroga, zdrady, narzuca oponentom tożsamość ludzi „gorszych”. W strategiach tych często pojawia się odwołanie do różnorodności kulturowej: inność prezentowana jest jako zagrożenie, szerzona polityka strachu przed mniejszościami, serwowane ostrzeżenia przed zniszczeniem polskości przez inne kultury. Podsyta etnocentryzmem hierarchia kulturowa i dyskryminacja stają się w ten sposób częścią życia publicznego, sposobem zarządzania społeczeństwem. Mowa tu o różnych wymiarach dyskryminacji dotyczącej coraz liczniejsze grupy i jednostki; zarówno odległych „obcych”, na przykład uchodźców, reprezentantów innych kultur, jak również – używając terminologii Marca Augé – bliskich „obcych” – naszych sąsiadów, krewnych, współpracowników, którzy wykazują „inne” wzory zachowań, „inne” wartości. By wyładować w obozie „antypolskim”, nie trzeba jednak wykazywać się szczególnymi właściwościami; wystarczającym powodem jest dieta czy jeżdżenie na rowerze.

Jak wskazuje w diagnozie tego stanu Czapliński, owa konstrukcja wykluczania wynika z budowania poczucia dumy w oparciu o czas przeszły. Badacz dowodzi:

nie da się zbudować dumy podstawiając wątpliwe moralnie czyny dzisiejsze za dawne czyny chwalebne, duma musi prowadzić do wykluczeń – wykluczeń posługujących się pogardą. Skoro nie zbudowa-

⁷ Zob. Anna Szulc *Wakacje nad Bałtykiem? – mamy najazd Hunów – mówi doświadczony ratownik z Pomorza*, za: <http://www.newsweek.pl/polska/polacy-nad-baltykiem-czyli-najazd-hunow-panstwo-kiepscy-i-mlynarska,artykuly,394671,1.html> (dostęp 26 listopada 2016).

⁸ Zob. Anna Dryjańska *Faszyn from Raszyn – czyli przebiore się za biedniejszego. Jak rodzi się klasizm 2.0*, za: <http://natemat.pl/179327,klasizm-2-0-jak-internet-pozwala-mlodym-wyksztalconym-z-duzych-miast-wykluczac-mieszkancow-polski-b> (dostęp 26 listopada 2016).

⁹ Jan Hartman *Kaczyński, Trump i rewolucja prostych ludzi*, za: <http://hartman.blog.polityka.pl/2016/02/10/kaczynski-trump-i-rewolucja-prostych-ludzi/> (dostęp 27 listopada 2016).

¹⁰ Cyt. za: Artur Bartkiewicz *Wojna profesora Mikołajki*, za: <http://www.rp.pl/307219946-Wojna-profesora-Mikolajki.html#ap-1> (dostęp 26 listopada 2016).

¹¹ Zob. *Jeden drugiemu wchodzi na głowę*, ze Zbigniewem Mikołajką rozmawiała Aleksandra Klich, za: <http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,20296903,zbigniew-mikolajko-jeden-drugiemu-wchodzi-na-glowe.html> (dostęp 26 listopada 2016).

¹² *Koniec wstydu, czas na horror...*, op.cit.

¹³ Tamże.

¹⁴ *Polska wreszcie ludowa*, z Przemysławem Sadurą rozmawiała Miłada Jędrzyk, „Tygodnik Powszechny” nr 32/2016. Zob. także: Maciej Gdula *Kto nas straszy ciemnym ludem?*, „Dziennik Opinii” nr 61/2016.

liśmy narracji o uznaniu za zwykłą pracę, za codzienną uczciwość, za odprowadzanie dzieci do przedszkola i szkoły, za płacenie podatków, za dbałość o mienie wspólne, za słuchanie bliźniego, jedynym podłożem dla zdobycia uznania staje się znalezienie kogoś, kim będzie można pogardzić. Dlatego polska дума, niczym wampir krwi, żywi się poniżeniem. Pogarda okazywana lewkom, lesbijkom, feministkom, rowerzystom, ekologom wynika w istocie z lęku przed rzeczywistą konfrontacją własnego życia z symbolicznym układem odniesienia. Fakt, że дума jest słabo ugruntowana w codzienności i że niewiele ją wiąże z trywialnością życia, musi zostać zasłonięty. Pogarda przekierowuje uwagę, koncentrując się na wyznaczonych podmiotach gorszych. Pozwala posługiwać się dumą zawieszoną w próżni, łatwo odnoszoną do odsieczy wiedeńskiej i cudu nad Wisłą, do bitwy o Monte Cassino i polskich więźniów w sowieckich łagrach, za to niemającą wiarygodnego powiązania z teraźniejszością. Pogarda powołująca się na pamięć przeszłości sygnalizuje niebezpieczne zjawisko pustej codzienności¹⁵.

Przeprowadzony wywód doprowadza Czaplińskiego do przekonania o fantomowym, tymczasowym charakterze stworzonej wspólnoty. Jeśli nawet w pewnym momencie okaże się to słusznym rozpoznaniem, na razie wspólnota ta krzepnie i przybiera na sile, wchodząc w intensywny spór z resztą społeczeństwa. Dziedzictwo potransformacyjnych podziałów i destabilizacji więzi doprowadziło nas do obecnego miejsca: kreacji idei spójności narodowej, faktycznej nie-spójności społecznej, funkcjonowania dwóch zwalczających się obozów, budujących swój język na symbolicznych opozycjach binarnych. Łączy je to, że oba mają na swym koncie spory dorobek upokarzania i pogardzania. Wcześniej-

¹⁵ Czapliński, *Wspólnota wstydu, wspólnota dumy*, op.cit.

sze elity przerzucały poczucie winy i wstydu na barki jednostek, które nie umiały poradzić sobie w systemie, do dziś z wyższością wypowiadając się o niższych warstwach, PiS zaś przerzuca winę za stan państwa na rozmaitych „innych” – zarówno tych, którzy byli założycielami poprzedniego systemu, tych, którzy przyjęli wartości neoliberalnego społeczeństwa, jak i tych, którzy zagrażają wizji silnego, jednorodnego narodu – czyniąc pogardę dla „inności” paradygmatem władzy.

Język pogardy stosowany przez wyższe warstwy ujawnia ukryte mechanizmy kontroli społeczeństwa: stałe kreowanie klas „niższych”, „gorszych” – w sensie ekonomicznym, kulturowym czy społecznym – staje się strategią konfiguracji sił w hierarchii społecznej. Pogarda okazuje się formą sprawowania władzy – zarówno tej realnej (obozy rządzące), jak i symbolicznej (elity, warstwy wyższe, „przedstawiciele społeczeństwa”). Ma zatem ogromną rolę kształtującą i ogromny wpływ na społeczeństwo; nic dziwnego, że współcześnie spór rozlewa się na całą społeczność, język pogardy napędza całą debatę publiczną. Z jednej strony słysząc go w kościele, na prawicowych forach, z drugiej strony często słyszy się pogardliwe komentarze dotyczące katolików (wygłaszane z równą zaciętością, jak obraźliwe opinie drugiej strony dotyczące islamu), obrońcy demokracji maszerujący na manifestacjach KODu równie chętnie sięgają po agresywny język, jak ich oponenci z PiSu. Akcja z jednej strony natychmiast spotyka się z reakcją z drugiej: „Proszę posłuchać, co przeczytałem o sobie w jednym z portali po naszej rozmowie w «Temacie dnia» na Wyborcza.pl – mówi profesor Mikołajko: «Tępy, obleśny chuj z jeszcze obleśniejszym wąsem i żółtymi zębami, zza których sączy

się jad. Wypierdalał dziadzie» – pisze jakaś kobieta. «Ciekawe, ile dostał do łapy za znieważanie nas. Takie czasy, że nas Polaków miesza z błotem nie tylko już za granicą tylko sami Polacy» – dodaje mężczyzna. «Jaki to intelektualista, wykształcenie za świnię i jajka». «Sorry, ale to jest kurwa ekspert od czego? Z wyglądu to jakiś alkocholek – przez ch pisane – z zapuchniętymi oczami». Ale jeszcze coś: «On wygląda jak menel, a nie profesor». «Umyj zęby brudasie, bo capi z pyska kreaturo żydowska». I najlepsze. Trzydziestoletni z wyglądu ojciec trójki miłych dzieci: «Odpierdol się chuju od Polaków, bo cię powiesimy szmato». Wszystko pod własnymi nazwiskami, z fotkami. Proszę więc, oto cham. W całej krasie – konstatuje właściwym sobie językiem profesor. – Poczul się dotknięty, bo dotknąłem go, wziąłem za łeb, wywlokłem na powierzchnię»¹⁶.

Komentatorzy piszą o wojnie polsko-polskiej, o czasie horroru, wieszczą przejeżdżający po społeczeństwie walec, kres wspólnoty komunikacyjnej. Oba obozy raczej manifestują poglądy, niż prowadzą dialog, można odnieść wrażenie, że jako społeczeństwo osiągnęliśmy kres możliwości negocjacyjnych.

Czy odzyskanie potencjału dialogu społecznego jest w takiej sytuacji możliwe? Jak należy stworzyć ku temu warunki? Czy możliwe jest wypracowanie skutecznej strategii dialogu środowisk lewicowych ze środowiskami konserwatywnymi? Jak sprawić, by upominanie się o głos nie uaktywniało od razu strategii przemocowych? Jak przezwyciężyć język pogardy?

¹⁶ *Jeden drugiemu wchodzi na głowę*, ze Zbigniewem Mikołajką rozmawiała Aleksandra Klich, za: <http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,20296903,zbigniew-mikolajko-jeden-drugiemu-wchodzi-na-glowe.html> (dostęp 26 listopada 2016).

Kultura upokarzania zawsze rozwija się najsilniej w społeczeństwach o największych nierównościach, pisali Richard Wilkinson i Kate Pickett¹⁷. Im bardziej nierówne społeczeństwo, tym mniej zaufania i chęci do współpracy i tym więcej skłonności do pogardy, agresji. Zwracali też uwagę, że ludzie, którzy są niepewni, czy mają się darzyć szacunkiem, są przede wszystkim zaabsorbowani sobą, a ich postawami targa dziwna mieszanina lęku i narcyzmu, narcyzmu i pogardy.

Język elit, inteligencji, mimo że nie używa bezpośrednich określeń nawiązujących do pozycji klasowych, ujawnia funkcjonujące stale w polskim społeczeństwie głębokie podziały klasowe. Byliście głupi, jesteście obrzydliwi – skomentował wypowiedzi profesora Mikołajki, dotyczące definicji „chamów” i oskarżeń o prostytutkę wyborczą „wózkowych”, Jakub Dymek, publicysta „Krytyki Politycznej”. Zwrócił jednocześnie uwagę, że takie oskarżenia dotyczące „kupowania” głosów wyborczych nigdy nie pojawiają się w kontekście profesorów, dziennikarzy czy menedżerów¹⁸. Gdy prześledzi się język wytwarzany przez elity, pojawiający się w mediach, oficjalnych informacjach, można zauważyć, że zawiera on w sobie wiele tego typu uprzedzeń. Gdy na przykład mowa o skomplikowanej sytuacji w życiu prywatnym osób z niższych klas, pojawiają się pojęcia rozbitych rodzin, konkubinatu, patologii, alkoholizmu. Gdy mowa o tych samych zjawiskach w odniesieniu do kla-

¹⁷ Richard Z. Wilkinson, Kate Pickett *The Spirit Level. Why Equality is Better for Everyone*, Penguin, London 2010.

¹⁸ Cyt. za: Anna Dryjańska *Kobiety kontratakuja. Znowu dręczą profesora Mikołajkę. Tym razem chodzi o coś jeszcze ważniejszego niż trawnik!*, za: <http://natemat.pl/181421,kobiety-kontratakuja-znowu-drecza-profesora-mikolajke-tym-razem-chodzi-o-cos-jeszcze-wazniejszego-niz-trawniki> (dostęp 26 listopada 2016).

sy średniej – słyszymy o partnerstwie, wolnych związkach.

Liberalne elity często nie rozpoznają się w tej diagnozie, nie dostrzegają tworzonych przez siebie wykluczających narracji; wskazują raczej, że pogarda jest domeną „innych”, „drugiej strony”. „To nie ja przywołałem jako wzór chłama człowieka prostego: ubożego czy niewykształconego – mówi profesor Mikołajko. Nie, to zrobili ci hejterzy z lewa i prawa, ci – pożałujcie Boże – «publicyści», «prawdziwi patrioci», rzekomi obrońcy czci i godności kobiet polskich. I to oni utożsamiają chłama z prostym człowiekiem»¹⁹

Ukryty klasizm, nie naruszając wprost języka poprawności politycznej, przez lata miewał się bardzo dobrze. Dlatego nawet w tych środowiskach, które wykształciły sporo empatii dla różnorodności, zawsze wolno mu było więcej. Ostatnie wypowiedzi profesora Mikołajki i inne opinie dotyczące beneficjentów 500+ spotkały się jednak z oporem środowiska; przez media przetoczyła się krytyczna dyskusja, pojawiły się porównania do mowy nienawiści, zaczęto „wyszydząć wyszydzających”²⁰.

Czy oznacza to, że zaczynamy być bardziej czujni na przejawy uprzedzeń i dyskryminacji, również w tych mniej oczywistych formach? Że kończy się w przestrzeni publicznej milcząca zgoda na wyższościowy język elit kierowany w stronę „ludu”? A może oznacza to uruchomienie głębszego, krytycznego, autorefleksyjnego spojrzenia elit na ich rolę w tworzeniu podziałów społecznych – i odradzające się poczucie społecznej solidarności? Marcin Napiórkowski stawia tezę, że jest to raczej

moment podziału elit na stronę z dumą uprawiającą klasizm i stronę, która będzie go się wstydzić, jednocześnie niekoniecznie rezygnując z różnorodnych form klasowego szyderstwa. „Wciąż będziemy śmiać się z domów obłożonych sidingiem, parawanów i pomników Jana Pawła II, jednak niektórzy zaczną mieć z tego powodu wyrzuty sumienia...” – pisze badacz. I dodaje:

W ogóle, gdybym miał obstawiać jedno uczucie, które stanie się dominującym budulcem „społecznej psychologii” polskich elit symbolicznych w najbliższych latach, to byłoby nim właśnie wyrzuty sumienia. Nie aspiracje, zawstydzenie prowincjonalnością czy nawet samozadowolenie, lecz właśnie dojmujące poczucie zakłopotania związane z tym, że nasz sukces na różnych polach okupiony jest czyjąś porażką²¹.

Zakłopotanie jest dobrym momentem, by wrócić do pytania o dziś. Kłopotliwe jest pytanie, jak to możliwe, że coraz szersze grupy społeczne chcą budować wspólnotę przez prześladowanie „innych”? Kłopotliwe jest, jak doszło do tego, że podział Polaków na lepszy i gorszy sort znajduje społeczny poklask? Czy na pewno to wszystko przez Kaczyńskiego? Czy moment, w którym jesteśmy dziś, nie okazuje się rewersem naszej pogardy? Czy to możliwe, byśmy w twarzach współczesnych hejterów, ksenofobów mogli odnaleźć swoje odbicie? Czy gdyby transformacja po 1989 roku przebiegła nieco inaczej, gdyby bardziej dbano o interes wspólny, nie odwoływano się do języka wstydu i pracowano nad skutecznym włączaniem środowisk wykluczonych, czy wówczas byłibyśmy dziś w innym miejscu?

Gdzie byśmy byli – tego nie możemy być pewni; ale zakłopotanie, jakie poja-

²¹ Tamże.

wia się wśród elit w związku z odkryciem swego udziału w historii kształtowania się współczesnych podziałów, oraz znany katalog przeszłych zaniedbań, pozwala próbować je nadrobić.

W tym projekcie autonaprawczym najważniejszym i najtrudniejszym zadaniem na dziś wydaje się przede wszystkim nadrobienie luk z wiedzy o społeczeństwie; rozpoznanie krzywdy, niesprawiedliwości społecznej, jaka stała się udziałem wielu grup. Istotne przy tym jest otwarcie się na perspektywę wykluczonych środowisk, usłyszenie ich od środka; tylko w ten sposób możemy poznać mechanizmy społeczne i przeciwdziałać im na przyszłość. Dzięki temu możemy też przekonać się, w jakiej opowieści my bierzemy udział – oraz jak i czy widzi się ona z opowieściami innych, czy jest miejsce na spotkanie. Postulat poznania i „wysłuchania się” nie oznacza bynajmniej generowania sztucznej empatii dla postaw, z którymi się nie zgadzamy, ani przyzwolenia dla przemocowych strategii; stanowi on jedynie warunek podstawowego dla budowania skutecznych rozwiązań zrozumienia. „Jak narodowcy rozpoczną wojnę, to będę z nimi walczył, a nie się empatycznie wczuwał – mówi Andrzej Leder. – Ale to nie znaczy, że nie będę rozumiał, skąd oni się wzięli. I pamiętał, że stadiony były w Polsce jedynymi miejscami, gdzie tacy ludzie odzyskiwali godność, której zostali pozbawieni”²²

Poznanie tej niewysłuchanej wcześniej opowieści otwiera również możliwość zwrócenia uwagi na takie jej strony, które wcześniej były niedostrzegane, niezagospodarowane. Dzięki temu można wspólnie wypracować alternatywną propozycję społeczną, która

stanowiłaby odpowiedź na gniew, lęk, frustrację i pozwoliła te emocje inaczej zagospodarować.

W dobie utraty więzi, gdy społeczeństwo nie jest już nastawione na indywidualizm, ale bardziej na emocje i wspólnotowość, w tej alternatywnej opowieści kluczowy byłby potencjał odtworzenia utraconej więzi; stworzenia społeczeństwa, które nie pomija żadnej z grup, potrafi wrażliwie myśleć o całości. Czym miałyby być owa narracja i gdzie miałyby przebiegać nowa więź, tak, by zapewnić owej opowieści skuteczność i trwałość?

Może skoro – jak dowodzi Leder – nasz problem z prowadzeniem dialogu społecznego wynika z nieprzepracowania naszej „prześlonej rewolucji”²³, najwłaściwsze byłoby skupienie przede wszystkim na krytycznym poznaniu siebie i swojej historii, by w ten sposób wzmocnić społeczeństwo? Może należałoby wybrać kierunek „suwerenności solidarnej”, w której odbudowujemy poczucie solidarności, wzmacniamy siebie przez wzmacnianie słabszych, aby razem móc osiągać więcej? A może najlepszym antidotum na społeczne lęki byłoby – jak zaproponował Antoni Bartosz podczas Zjazdu Etnologów – stworzenie nowej narracji afirmatywnej, budującej poczucie wartości i zwracającej ludziom szacunek; taką narracją mogłoby być opowiedzenie w sposób pozytywny, z dumą, a nie ze wstydem, że ze społeczeństwa chłopskiego przekształciliśmy się w samostanowiące o sobie społeczeństwo.

Zanim jednak na dobre rozpoczniemy dyskusję o projektach nowych narracji, należy wrócić do pytania, czy wizja dialogu jest dziś w ogóle możliwa, czy jest szansa, by stworzyć przyczółek

¹⁹ Jeden drugiemu wchodzi na głowę, op.cit.

²⁰ Zob. Marcin Napiórkowski *Parawanie, skarpetki i fałszywi szlachcice*, za: <http://mitologiawspolczesna.pl/jak-500-uczy-nas-estetyki-o-przyszlosci-klasowego-szyderstwa/> (dostęp 29 listopada 2016).

²² *Folwark polski*, z Andrzejem Lederem rozmawiał Grzegorz Sroczyński, „Gazeta Wyborcza”, „Magazyn Świąteczny” z 11 kwietnia 2014.

²³ Andrzej Leder *Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

porozumienia? Ponieważ język mediów i debaty publicznej przesiąknięty jest językiem wykluczającym, tym ważniejszą rolę w przywróceniu dialogu, mimo ogłoszenia jej porażki w obliczu obserwowanych trendów społecznych, musi odgrywać edukacja, tak formalna, jak i nieformalna, na wszelkich poziomach. I nawet jeśli w szkołach ciągle brak jest wyraźnego nurtu edukacji antydyskryminacyjnej, tym, nad czym trzeba stale pracować, jest edukacja obywatelska, nie tylko dotycząca zasad prawa i demokracji, ale też zachęcająca do uczestnictwa, wciągająca ludzi do wspólnoty społecznej, podkreślająca ich różnorodne kompetencje, wrażliwości, umiejętności. Szczególnego znaczenia w obliczu panującego klimatu społecznego nabiera też edukacja o różnorodności – ukazująca, że różnorodność jest wartością, a otwartość nie grozi rozpadem tożsamości, lecz przynosi jej wzbogacenie. Współczesna edukacja na rzecz różnorodności uzyskuje jeszcze kolejne zadanie: tak jak do tej pory koncentrowała się na budowaniu dialogu międzykulturowego – między różnymi nacjami, mniejszościami, tak teraz równie intensywnie powinna zająć się relacjami swój-obcy w kontekście podzielonego społeczeństwa i zapobiegania powstawaniu lub pogłębianiu różnic klasowych, a zatem budowania – tak zaniedbanej przez ostatnie lata – solidarności społecznej.

Nad tym, „jak rozmawiać mimo różnic?“, zastanawiali się też uczestnicy jednej z debat podczas Kongresu Kultury. Identyfikując trzy główne problemy zaburzające dialog (kreowanie wroga, język monologu i zrywanie dialogu), wypracowali wachlarz praktycznych rekomendacji²⁴, wśród których można

znaleźć między innymi nieprzypisywanie nikomu poglądów ani motywacji, których ten ktoś jednoznacznie nie wyraził; poważne traktowanie przeciwnika – z uważnością, empatią; unikanie radykalizacji własnych przekonań wobec cudzych; chęć zrozumienia punktu widzenia osób, z którymi się nie zgadzamy; zadawanie pytań; szukanie rozwiązań dopuszczalnych dla drugiej strony; dążenie do dialogu, by poznać odmienne punkty widzenia i skonfrontować rozbieżności. Czy to zadziała? Sprawdzajmy w praktyce.

Można by wyrazić wątpliwość, czy zaprezentowany w tekście model autokrytyczny, zachęcający nas samych do rewizji swych postaw, pracy na rzecz równego społeczeństwa przez zwalczanie własnych uprzedzeń i autouważność na język pogardy, jest właściwą odpowiedzią na czasy bez symetrii: kiedy w przestrzeni publicznej sankcjonowana jest mowa nienawiści, kiedy rasizm czy ksenofobia za sprawą języka władzy stają się postawami akceptowanymi społecznie, a patriotyzm utożsamiany jest z agresywnym nacjonalizmem. Naturalnie, proponowany kierunek nie unieważnia znaczenia wszelkich praktyk antydyskryminacyjnych; każdy przejaw dyskryminacji trzeba ujawniać, nagłaśniać, demaskować, reagować nań, krytykować, monitorować, wprowadzać do debaty, tworzyć międzysektorowe zespoły, pracować z liderami opinii i mediami, ujawniać mechanizmy wykluczania, wybierać odpowiednie do sytuacji sposoby przeciwdziałania.

Ale sytuacja się zagęściła i mam wrażenie, że aby realnie przesunąć tę wagchę i skuteczniej przeciwdziałać, przede wszystkim musimy być świadomi mechanizmów, które doprowadziły do obecnego stanu – i zwalczać w sobie samych postawy wykluczania, przeciw

którym się opowiadamy. Diagnoza obecnego stanu społeczeństwa i dyskusja o jego problemach powinna też zacząć się toczyć – czy też próbować się toczyć – z uwzględnieniem narracji obu stron. Aby głębiej poznać mechanizmy pewnych postaw i zmienić czyjś sposób myślenia, trzeba też używać struktury pojęć bliskich danej osobie czy grupie, wynikających z jej doświadczeń; tym też językiem należy proponować alternatywne opowieści, tym przekładać je do prasy czy mediów. Wspomniane wcześniej „zapoznanie”, które odrzuca pogardę, jest tu niezbędne.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie wystarczy dziś nazwać kogoś ksenofobem czy rasistą i wskazać światłe przykłady postaw, by zwalczyć dyskryminację. Nie chodzi tym razem nawet o nieprzystawalność języka, ale o przepracowaną świadomość istniejącej nierówności społecznej. Ludzie ci w swoim życiu lub w życiu bliskich często widzieli inne praktyki dyskry-

minacyjne, których elity bynajmniej nie rozwiązywały, a wręcz zmierzały do ich pogłębiania. Z doświadczenia wiedzą, że nawet jeśli zrealizują wskazywany model, zmienią się, przestaną być ksenofobami, skończą wyższe studia etc., i tak przez nierówne reguły rynku mogą zostać wykluczeni z gry.²⁵ Oskarżenie to zatem już ich nie zawstydzia, ponieważ jest podwójnie nieautentyczne.

Izraelski filozof Avishai Margalit stworzył pojęcie „przyzwoitego społeczeństwa” – decent society²⁶ – jako modelu konkretnego, stosunkowo prostego do wdrożenia. Znakiem owej przyzwoitości jest eliminacja upokarzania, pogardy – zarówno ze strony władz, jak i we wzajemnym odnoszeniu się do siebie przez ludzi.

Warto próbować przyzwoitości. Może wówczas ktoś nas posłucha.

²⁵ *Koniec wstydu, czas na horror...*, op.cit.

²⁶ Avishai Margalit *The Decent Society*, Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1996.

²⁴ Formularz rekomendacji opublikowany jest na prywatnym profilu Facebooka moderatora sesji, Iwo Zmysłonego.

Niekompetencja, niedojrzałość

ROZMOWA Z TOMASZEM RAKOWSKIM

*W swojej książce **Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego** zajmowałeś się wykluczeniem i biedą. Bieda i bezrobocie stają się doświadczeniem polskiej transformacji. Zastanawiam się, czy też nie w tym momencie pojawia się na taką skalę pogarda wobec biednych.*

Zajmowałem się skutkami transformacji ustrojowej, która została przeprowadzona w bardzo radykalny sposób w latach dziewięćdziesiątych. Abstrahuję od jej sensowności w kategoriach ekonomicznych czy społecznych. Przyjmuję ją jako warunki, które wówczas zaistniały. Mogę oczywiście mieć swoje zdanie, widzę to, że wiele osób zostało postawionych w bardzo trudnej sytuacji, że ludzie masowo tracili pracę, że znaleźli się w innym świecie – stracili stabilność statusu i ekonomicznego, i społecznego.

Ekonomia ekonomią, tu chodziło o życie wielu tysięcy ludzi...

Dla mnie bardzo ważne jest ich doświadczenie: próba działania w tych warunkach, próba radzenia sobie, reakcja na nową sytuację, a także komunikowanie wymiaru cierpienia, który się z tym wiązał. Reformy, które przeprowadzono, są też dla mnie pewnym nieprzekraczalnym progiem poznawczym – nie będę się wypowiadał jako ekonomista, reformator czy ktoś, kto recenzuje ten plan przemian, bo jeśli chce się przyjrzeć doświadczeniom ludzkim, to trzeba znać ten kontekst, ale jednocześnie nie być kimś, kto radykalnie go ocenia. Poza tym przebieg takich procesów jest tak wieloczynnikowy i nieprzewidywalny, że ocena jest bardzo trudna. Zwłaszcza że coś, co ma charakter katastrofy społecznej, lepiej widać z perspektywy czasu.

Ale dziś wiemy dużo więcej. Mamy też inną perspektywę niż modernizatorzy. Dziś widzimy nie tyle sukces polskiej gospodarki, ile tych wszystkich, którzy – mówiąc delikatnie – nie zostali beneficjentami tych przemian. Wtedy też powstaje najbardziej radykalny podział na bogatych i biednych.

Tu zaczyna się poważny problem. Mówiła i pisała o tym Elżbieta Tarkowska – bieda, ubóstwo, bezrobocie stają się w latach dziewięćdziesiątych widoczne, są społecznie jawne. I pojawia się pytanie: co się dzieje z tymi ludźmi w momencie, kiedy stają się widoczni? Jak są traktowani? A traktowani są w sposób ściśle związany z modernizacją i z oczekiwaniami dotyczącymi tego, jak powinno wyglądać społeczeństwo. Biedni i bezrobotni byli postrzegani jako ci, którzy nie dorośli, którzy nie nadążają za przemianami i którzy są w jakimś sensie wadliwi – mentalnie, charakterologicznie, społecznie. Nie mają należytych kompetencji, żeby sprostać nowym warunkom ekonomicznym. I wymagają gwałtownej reedukacji albo innego programu, który ich bardzo mocno odpodmiotowi.

Kiedy to się zaczyna?

Ten stosunek do ludzi wykluczonych, biednych, zdegradowanych, zubożałych pojawia się już w latach dziewięćdziesiątych, lecz przybiera na sile na przełomie stuleci (prowadziłem swoje badania między 2001 a 2006), kiedy wskaźniki bezrobocia – sięgające dwudziestu procent – były najwyższe i kiedy masowość bezrobocia była największa; kiedy było ono najbardziej widzialne. Wcześniej widać było wszędzie drobną przedsiębiorczość, „szczęki” pod Pałacem Kultury, często była to bardziej biedaprzedsiębiorczość, natomiast totalne doświadczenie bezrobocia pojawiło się później. Masowość tego zjawiska stała się publicznym skanda-

lem i podlegała bardzo gwałtownym ocenom, wśród których pojawiała się często właśnie pogarda. Pojawiło się myślenie w kategoriach kompetencji cywilizacyjnej – dokładnie tak, jak się myślało w starej wyobraźni antropologicznej, ewolucjonistycznej: że pewne grupy są bardziej rozwinięte cywilizacyjnie, a inne nie. I muszą dopiero do cywilizacji dojrzeć.

Neoliberalny przekaz był taki, że każdy może wszystko, a kto sobie nie radzi, to sam jest sobie winien. Trzeba było się uczyć, trzeba być elastycznym, kreatywnym, trzeba się dokształcać – to słyszeli ludzie...

Tylko że badania, które prowadziłem, pokazały, że było dokładnie odwrotnie, niż się wówczas sądziło – że ci ludzie mają olbrzymie zasoby, zresztą jak każdy z nas; że mają motywację do działania, do reagowania na swoją sytuację. Oni w bardzo aktywny sposób szukali wyjścia z sytuacji, w której się znaleźli. Także na głębszym poziomie – przebudowania swojej tożsamości, przebudowania swojej biografii, także przebudowania doświadczenia społecznego. To olbrzymi wysiłek poznawczy zmierzający w stronę odbudowania swojej wartości w sytuacji katastrofy. Co bardzo ważne, ludzie, którzy im towarzyszyli – sąsiedzi, rodziny, mieszkańcy miasta, policja, lokalne służby, straż miejska, leśnicy w Wałbrzychu, gdzie prowadziłem badania – to całe otoczenie nie traktowało ich z pogardą. Zwykle nie myśleli o nich jako o osobach, które w czymś zawiniły i nie umieją znaleźć pracy.

Które umieją tylko kraść...

Były takie slogany, które odnosiły się do społeczności popegeerowskich czy do górników. Był na przykład anons cytowany przez reportera Mariusza Urbanka, mówiący że „osób karanych i górników nie zatrudniamy”. „Pra-

cujemy, nie kradniemy” – takie były z kolei hasła górników, kiedy demonstrowali przed wałbrzyskim ratuszem. Budowali w ten sposób narrację, że są uczciwie pracującymi ludźmi. Oczywiście, pojawiały się też głosy polityków związanych z opcją liberalną, że to są ludzie, których należy przepędzić. I politycy mieli swoje argumenty, zwłaszcza w pierwszej fazie, kiedy kopano koparkami w parkach miejskich – to był rodzaj działalności rabunkowej. Mimo tego wsparcie i solidarność ze strony sąsiadów były ogromne. Wiele nielegalnych działań – zbieranie złomu czy kopanie w biedaszybach – tolerowały i nieformalnie akceptowały miejskie służby porządkowe. Wszyscy im sprzyjali, bo każdy miał w rodzinie górnika, który kopie w biedaszybach. Na tym poziomie takie nieformalne wsparcie – powiedziałbym nawet obywatelskie – było bardzo duże. Było w tym dużo solidarności i zrozumienia, a znacznie mniej pogardy.

Więc skąd się wzięła pogarda?

Jeśli mówimy o rozpoznaniu wadliwości, czyli właśnie o pogardzie wobec tych ludzi, to dotyczy to niestety w głównej mierze elit wielkomiejskich: dziennikarskich i – niestety muszę to powiedzieć – przedstawicieli nauk społecznych. Stworzyli oni niezwykle silny dyskurs oskarżający współobywateli o niekompetencję cywilizacyjną. To się wiąże z bardzo silnym funkcjonowaniem stereotypów inteligentnych w naukach społecznych. Z funkcjonowaniem samej inteligencji, która czuje się uprawniona do tego, żeby nadawać właściwy kierunek zmianom społecznym czy kulturowym.

Wśród oskarżeń było opóźnienie cywilizacyjne. Co jeszcze?

Mówiło się o tym, że w Polsce znikły więzi społeczne, że społeczeństwo polskie nie ma obywatelskich kompe-

tencji, cnót, aktywności. Mówiło się, że jest to społeczeństwo, które wycofuje się do amoralnego familizmu, które koncentruje się na maksymalizacji swojego zysku kosztem dobra publicznego. A wszystko to było konsekwencją wyobraźni społecznej, która stanowiła pochodną ewolucji formacji inteligentnej oraz wynikała z naprawdą radykalnego braku kontaktu z rzeczywistością społeczną. W jednej z recenzji *Łowców, zbieraczy, praktyków niemocy...* pojawiła się konstatacja, że książka ta jest oskarżeniem nauk społecznych i głosów obecnych w debacie publicznej. O pogardzie w stosunku do przegranych transformacji bardzo wyraźnie pisał już wcześniej Michał Buchowski, który pokazywał, jak dokonuje się taka wewnętrzna orientalizacja, jak powstaje „orientalizm à la polonaise” albo po prostu pogarda – wobec ludzi, którzy stracili pracę.

Przedstawiciele nauk społecznych oderwali się od rzeczywistości. Jak to się stało?

To myślenie bazuje na swoistej „antyetnograficzności”, to znaczy na odłączeniu się od jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi. Co z tego, że byli tam reporterzy czy badacze społeczni, skoro widzieli to, co chcieli zobaczyć – biedaszyby, które pełne są przestępstw, wymuszeń, bandytyzmu, ludzi, którzy tkwią w beznadziei i nie mają pomysłu na siebie. Dostrzegano dokładnie to, co jest przeciwieństwem naszego świata – ciężką pracę, złe warunki, pijaństwo, niekompetencję, bylejąkość. Nikt nie chciał na przykład zobaczyć w biedaszybach odtworzenia etosu górniczego, porządności roboty, rytmiczności, wspólnotowości – tego wszystkiego, co budowało sens pracy w kopalni. Tego, że tam wytwarzana była oddolna kultura górnicza, a tu – biedaszybnicza. To w tym „antyetnograficznym” oglądzie

Tomasz Rakowski – etnolog, kulturoznawca, prowadzi badania w Polsce i w Mongolii. Lekarz, specjalista medycyny ratunkowej. Pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, współpracuje z Instytutem Kultury Polskiej UW. Autor książki *Łowcy, zbieracze, praktycy niemocy. Etnografia człowieka zdegradowanego* (2009), za którą otrzymał m.in. Nagrodę Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera oraz Nagrodę im. Jerzego Giedroycia. Zrealizował wraz zespołem projekty badawczo-animacyjne *Prolog. Nierozpoznane wymiary rozwoju kulturalnego* (2011), *Etnografia, animacja, sztuka* (2012-2013) oraz *Oddolne tworzenie kultury: etnograficzne badania w działaniu* (2014-2015). Obecnie kieruje dwoma projektami badawczymi: *Lokalne formy rozwoju. Badania nad nowymi formami działań rozwojowych i samoorganizacji społecznej wśród Torgutów z somonu Bułgan w zachodniej Mongolii* oraz *Wyzwania etnografii twórczej. Wypracowanie naukowego warsztatu „badań w działaniu” uchwytyjającego peryferyjne aktywności twórcze i łączącego perspektywę intensywnych badań antropologicznych z animacją kultury i projektami z zakresu sztuki współczesnej*.

kielkowało ziarno pogardy i przekonania o niekompetencji cywilizacyjnej.

To było wówczas bardzo silne przekonanie.

Ja tam byłem, kiedy ten dyskurs był dominujący. Kiedy mówiło się o radykalnym rozpadzie więzi społecznych czy braku kompetencji obywatelskich. W NGOsach w latach dziewięćdziesiątych, w programach skierowanych do małych miast i do wsi wiele było narracji osadzonych na takim właśnie założeniu: że to jest „spalona ziemia” i że w sensie aktywności społecznej, obywatelskiej tam nie ma nic. Takie były rozpoznania. Jeśli się weźmie na przykład dokumenty Europejskiego Funduszu Społecznego czy projekty animacyjne, to widać, że punktem wyjścia jest tam założenie, że ludzie się wycofali, zamknęli, nie ufają sobie, więzi społeczne nie istnieją... I że trzeba to zmienić. Z dzisiejszej perspektywy widać skalę nieadekwatności tych rozwiązań – bo dlaczego niby te społeczności miałyby być nieaktyw-

ne, niewytwarzające swych własnych form obywatelskości?

Bo nie pokrywały się ze znanymi z książek modelami społeczeństwa obywatelskiego?

To jest też dialog z teoretykami społeczeństwa obywatelskiego – z Ralfem Dahrendorfem i innymi – w wyniku którego został wygenerowany pewien typ idealny społeczeństwa obywatelskiego. Powstała formatka, którą się przykłada, i jeśli coś do niej nie pasuje, to staje się ubytkiem, „brakiem kompetencji obywatelskich”. Nie dostrzega się tego, że ludzie sobie pomagają, że istnieje rodzaj wsparcia czy solidarności, że istnieją Ochotnicze Straże Pożarne, które pełnią niezwykle ważną funkcję, zwłaszcza w przypadku mężczyzn pozabawionych pracy. Weronika Plińska pisała o tym właśnie jako o bardzo ważnej formacji społecznej. Te wszystkie miejsca, w których ludzie na własną rękę wytwarzają formy społeczeństwa obywatelskiego, wsparcia i solidarności, budują elementy swoich kompe-



tencji, poczucia własnej wartości czy zręby podmiotowości – to wszystko nie zostało dostrzeżone. A zamiast tego pojawiła się ta narracja o społeczeństwie, które nie dojrzało.

Teza o tym, że u nas nie było społeczeństwa obywatelskiego, także należała do obiegowych...

To też jest wizja prezentowana na Zachodzie, choćby w brytyjskich ujęciach socjologicznych – że państwo, jego aparat, było w Polsce czymś obcym, było opresyjne, więc ludzie wycofywali się do życia prywatnego, do małych wspólnot; a więc nie istniało społeczeństwo obywatelskie. Jest taka praca pod redakcją Elizabeth Dunn i Chrisa Hanna *Civil Society: Challenging Western Models* i tam to jest punkt wyjścia – mamy do czynienia z przekroczeniem perspektywy tych teoretyków, którzy są przekonani, że Europa Środkowo-Wschodnia jest pozbawiona kompetencji obywatelskiej. Cały wysiłek antropologów, których teksty są w tej książce, włożony jest w to, by pokazać, że wcale tak nie jest. Że to jest przykład – na poziomie filozofii społecznej – stygmatu czy stereotypu pogardy w stosunku do żywiołowych procesów społecznych, które się rozpoznaje jako wadliwe.

Czyli pogarda przyszła też z Zachodu...

Z perspektywy środowisk „inteligentnych” to jest właśnie ten wzorzec, który gdzieś tam migocze. Natomiast służy on właśnie temu, by wskazywać społeczeństwu drogę, którą należy podążać, wzorzec, który jednocześnie wyklucza, stygmatyzuje, stereotypizuje i dotyka pewnym rodzajem pogardy tych, którzy do niego nie pasują. Tylko to też nie jest takie proste, że one po prostu nie pasują, bo przeczy temu przekonanie o przewodniej roli twórców osądu społecznego czy publicznego. Oni mają

tytuł czy legitymację, żeby te rozpoznanie tworzyć, i tworzą je według ciasnego modelu. Na poziomie nauk społecznych i publicystyki mamy zatem do czynienia z milczącym założeniem przyjmowanym bez przyjrzenia się rzeczywistości. Budowany obraz był zadziwiający, a jednocześnie miał niesamowitą siłę perswazyjną. I dzieje się to w obliczu takich przemian i doświadczeń społecznych, w których właśnie lokalne środowiska zachowały jakiś rodzaj solidarności.

Co się stało z inteligencją?

Możemy spekulować, bo takie tłumaczenie powinno być poparte badaniami inteligencji w czasie transformacji. Być może był to czas wyjątkowego wzmocnienia tej formacji, która wreszcie mogła naprawdę mówić i wreszcie mogła nauczać i być opiniotwórcza. Bo marzyła o tym już w drugiej połowie dziewiętnastego wieku – to był moment pozytywistycznego budowania społeczeństwa. Jednak nie można było realnie robić polityki, więc pozostawała działalność organicznikowska. Pojawiają się na początku dwudziestego wieku jednak bardzo ważne, rozwojowe myśli społeczne, powstają formacje, które Andrzej Mencwel opisuje w *Etosie lewicy*. Tam się dzieje wiele wartościowych rzeczy na poziomie refleksji teoretycznej. Pojawiają się wątki, które nie dopuszczają do myślenia wyższościowego.

Ale też to myślenie nie może się wówczas przebić do mainstreamu.

Jednak gdyby zafunkcjonowało w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, to nie wyprodukowałoby – przynajmniej moim zdaniem – takiego obszaru stygmatyzacji. Mam wrażenie, że inteligencja odtwarzała w PRLu dziewiętnasty wiek – jej pozycja nie dawała możliwości działania publicznego, ale pozwalała pielęgnować różne wartości – tu można się powołać choćby na kino

Krzysztofa Zanussiego. Inteligencja jest w tych wyobrażeniach „formą przetrwalnikową”: kiedy przyjdzie właściwy czas, odrodzą się i to oni odbudują społeczeństwo.

No to odbudowali.

Tylko że cały czas społeczeństwo budowało się jednocześnie w całkiem innych ośrodkach. I kiedy w latach dziewięćdziesiątych wszystko stało się możliwe, okazało się, że te ośrodki, w których działa inteligencja, są zupełnie zamknięte na inne doświadczenia – współczujące, braterskie, otwierające się na inne grupy społeczne. Rozpoczął się nurt pouczenia i strofowania. Teresa Bogucka, pamiętam, pisała wprost, że to zadaniem inteligencji jest, żeby bronić społeczeństwo przed „trzeciorzędnością, lichością, tandetą”. By je zmieniać, rozwijać, doskonalić... To jest treść tego stereotypu! Tymczasem okazuje się, że i górnicy, i pracownicy pegeerów są w stanie na własną rękę odbudowywać i przebudowywać własne wartości, własne kultury. To są niezwykle ważne i podmiotowe artykulacje tego, co

to znaczy być uczestnikiem przemian społecznych. Dotykamy tu kwestii, którą zajmowaliśmy się w czasie badań prowadzonych przez Kolektiw Terenowy w Broniowie i Ostalówku pod Szydłowcem – między innymi właśnie prawem do tworzenia własnej wyobraźni społecznej. Projekt „Historia broniewskiej myśli społecznej” jest właśnie o tym.

Więc co jest do zrobienia?

Pytanie, czy dyskurs wytwarzany przez opiniotwórcze środowiska publicystyczne i akademickie będzie w stanie stworzyć taką przestrzeń, która jest bardziej wspólna, pełna napięć, odmienności. Która też przede wszystkim nada podmiotowość spotykającym się różnym stronom i dostrzeże, że są różne ośrodki formowania się myśli. Żeby w dalszym ciągu nie były one podskórnie stygmatyzowane i określane jako niekompletne, prowizoryczne, „festyniarskie”, byle jakie. To jest rodzaj nieustannej rozgrywki kulturowej.

Rozmawiał Piotr Morawski

Krok w tył kosmity

• MAREK BEYLIN •

Czyżby po miesiącach bezwstydu wstyd zagościł w urzędzie marszałkowskim województwa wrocławskiego? Jak się zdaje, władze samorządowe chcą uspokoić konflikt wokół Teatru Polskiego i pozbyć się wciśniętego tam wcześniej na dyrektorskie stanowisko Cezarego Morawskiego. „Rozważany jest scenariusz, w którym Teatrem Polskim mógłby rządzić dyrektorski duet. Pierwszy szef placówki, zajmujący się przede wszystkim sprawami finansowymi, byłby wskazany przez urząd marszałkowski. Jego zastępcę artystycznego wysunąłby zespół Polskiego” – poinformował 9 grudnia wrocławski dodatek „Gazety Wyborczej”. Oczywiście, za jakiś czas może okazać się, że to kolejna ściema i gra na czas. Pozorować kompromis, żeby upuścić protestom energii – dobrze znamy takie sztuczki. Jednak na razie wychodzi na to, że cztery miesiące konsekwentnych protestów publiczności, zespołu TP i środowisk teatralnych zmusiły władze do cofnięcia się.

To jest, niestety, sukces na gruzach. Bo nawet przy nowej i, założmy, sensownej dyrekcji trudno będzie teatr odbudować. Zbyt długo decydenci dochodzili do oczywistego wniosku, że ten niszczycielski konflikt doszczętnie ich kompromituje. A jeśli teraz uznają własną porażkę – choć najpewniej będą jej publicznie zaprzeczać, zwalając całą winę na Morawskiego – i odczuwają nieco wstydu, to przecież nie wskutek pogłębionej autorefleksji, tylko za sprawą przemożnych zewnętrznych presji. Dlatego nie ma sensu cisnąć się na usta pytanie: czy doprawdy trzeba było niszczyć, by pojąć bezsens niszczenia? Brakuje bowiem dowodu, że władze to zrozumiały, na razie jedynie reagują na naciski.

Mamy „skłonność do traktowania jako niezmiennie reguł, które sami ustaliliśmy i zamiast je zmienić, wolimy, by znikły społeczeństwa, które je stworzyły”¹ – pisze francuski ekonomista Daniel Cohen o tym, jak wrodzony ludzki konserwyzm utrudnia przeciwdziałanie kryzysom. Ale ta sama reguła odnosi się do władzy, zwłaszcza takiej, która uważa się za suwerena, co w Polsce częste w różnych obozach politycznych. Dlatego nawet widok zgłiszcz, jakie sprokurowali nam decydenci, nie porusza ich wyobraźni. Własne reguły są świętsze niż losy ludzi, kultury, społeczeństw – to credo wielu rządców. Co wytwarza melanz doraźnej siły i trwałej wewnętrznej słabości, dodatkowo hamujących skłonność do rzetelnych kompromisów. W dodatku, każda władza ma skłonność do poruszania się w polu fikcji. Chce być tym, czym być nie może: bytem zupełnym i samowystarczalnym, który, żeby istnieć, nie potrzebuje żadnych więzi uzależniających ją od tego, co jest poza nią. Więcej, zgodnie z taką samoprodukcją fikcją, zależności społeczne negują sens władzy. W tym sensie, każdy, kto rządzi, zwłaszcza jeśli społeczeństwo bądź splot realiów nie trzymają go pod butem, przejawia tendencję do wykraczania poza porządek ludzki. Do bycia kosmitą, niepojętym i nieprzewidywalnym.

A rozmowy z kosmitami muszą się odznaczać wytrwałym realizmem i najwyższą podejrzliwością. Realizm nakazuje, by fikcyjną postać władzy, czyli jej ambicję zupełności, traktować z powagą. I oddać jej, co kosmickie, czyli nie naruszać przekonania, że ustępuje z czegoś, bo taką ma ochotę, a nie pod wpływem przymusu czy wstydu. Zaś podejrzliwość każe uwzględniać to, że władza w każdej chwili może bryknąć, nawet jeśli wydaje się to sprzeczne z jej interesem. Bo widzi ona własne interesy według innej, nieprzejrzystej dla społeczeństwa racjonalności.

¹ Zob. Daniel Cohen *W niewoli wzrostu*, przełożył Ludwik Lewin, Wydawnictwo Nieoczywiste, Warszawa 2016.

Za mundurem

• JUSTYNA JAWORSKA •
• WERONIKA MUREK •
• KORNELIA SOBCZAK •

Podarte kilty, bluzy z orzełkiem

• JUSTYNA JAWORSKA •

1.

To był marzec 1995 roku, tydzień mody w Londynie. Wybieg w rozstawionym na potrzeby pokazów namiocie został oświetlony łagodnym fioletem i usłany ziemią, mchem i kępami wrzосу, tak by przypominał ścieżkę w szkockich górach. Między chaszcze i bądle przy biciu dzwonów, które szybko przeszło w zapętlone, zawałdiackie techno, wyszła dynamicznym krokiem rudowłosa modelka. Miała pukle zmierzwione i zebrane w luźny harcap w stylu romantycznym, spodnie z koronki i czarne szkła kontaktowe. Prosta sztuczka, a efekt piorunujący – jej przepastne spojrzenie zdawało się pochodzić z zaświatów. Kiedy po pokazie wyciągnięto do oklasków projektanta, mało wówczas znanego Alexandra McQueen, też ukrywał się za smolistymi soczewkami, przez które patrzył niczym przez dziury w masce. Żartowniś miał się dopiero dowiedzieć, że jego

wyklaskiwana kolekcja *Highland Rape* najpierw wywoła skandal, a potem przyniesie mu sławę, zapoczątkowując jedną z największych karier w świecie mody.

Był to co prawda już jego piąty pokaz, ale za żaden wcześniej nie dostały mu się od krytyków takie cięgi. Jego kolekcję dyplomową na ukończenie prestiżowej szkoły Saint Martins natchnął Kuba Rozpruwacz, a właściwie jego ofiary (nazywała się *Jack the Ripper Stalks his Victims*): modelki były wystylizowane na wiktoriańskie prostytutki w zamiesztych spódnicach, w których podszewki projektant wszył własne włosy łonowe. Gdy rok później w kolekcji *Nihilism* (1993) pokazał ciasne celofanowe sukienki zachlapane krwią i błotem, w „The Independent” pisano już o jego teatrze okrucieństwa. Alexander McQueen dopiero ten teatr budował, inspiracje do niego czerpać będzie przede wszystkim ze sztuki: z prac szes-

nastowiecznego anatoma Andreasa Vesaliusa, ze zdjęć Joela-Petera Witkina, z filmów Pasoliniego, Kubricka, Buñuela i Hitchcocka, lalek Bellmera czy obrazów wanitatywnych. Niektóre z jego pomysłów podchwyci potem ulica, jak motyw czaszki, który w swoim czasie trafi nawet na dziecięce śpioszki. Krytycy, zniesmaczeni epatowaniem seksem, śmiercią i przemocą, nie od razu rozpoznali w projektach McQueena „ciemny romantyzm” i wątki historyczne. Historia, a nawet sprecyzowana wizja historii, doszła najmocniej do głosu właśnie w kolekcji *Highland Rape*, zainspirowanej powstaniem jakobickim.

O tym powstaniu warto wspomnieć kilka słów, bo jak wiele wydarzeń z historii powszechnej pojawia się w szkołach zdawkowo, nawet opiewający je *Waverley* Waltera Scotta wypadł z kanonu lektur. Otóż w 1745 roku wybuchła ostatnia i najsłynniejsza z sześciu rebelii szkockich przeciwko Anglikom – zwolennicy dynastii Stuartów, jakobici, po raz kolejny próbowali osadzić na anglikańskim tronie swojego katolickiego pretendenta. Z Francji przybył dwudziestopięcioletni Karol Edward Stuart zwany Pięknym Karolkim, syn Jakuba III (i prawnuk Sobieskiego!), porywając do walki szkockich górąli oraz takich Anglików jak Waverley, zbuntowanych przeciw panującej dynastii hanowerskiej. Jakobici zdobyli Edynburg i maszerowali już na Londyn, ale w kwietniu 1746 ponieśli spektakularną klęskę na Bagnach Culloden. Piękny Karolek miesiącami ukrywał się w górach w kobiecym przebraniu (co samo w sobie mogło podzielać na wyobraźnię projektanta mody), po czym wrócił do Francji, a książę Cumberland, pogromca Szkotów, wytracił niedobitków i wprowadził srogie represje: zakazał systemu klanowego i noszenia kiltów, gry na dudach, używania języ-

ka gaelickiego. Po tej porażce Szkocja już się politycznie nie podniosła, żyły jednak pieśni jakobickie, kult Stuartów i legenda dzielnych górąli, a pokolenia młodzieży w całym Zjednoczonym Królestwie czytały przygodową powieść Waltera Scotta.

Tak było przynajmniej do roku 1999, odkąd Szkoci mają własny parlament – co istotne, kolekcja *Highland Rape* powstała cztery lata wcześniej, kiedy go jeszcze nie mieli. Mimo nasilających się tendencji separatystycznych, Wielkiej Brytanii nie groził wtedy „scottexit”. To nam pozwala nieco rozjaśnić kontekst całego pokazu: oto Alexander McQueen, Szkot z pochodzenia (choć urodzony już w Londynie, to żywo zainteresowany własną genealogią) przypomina londyńczykom podczas tygodnia mody, komercyjnej imprezy noszącej już wtedy znamiona targowiska próżności, o malowniczych Szkotach, których w powstaniu jakobickim wyróżnili w pień. Przyjrzyjmy się, jak i w jakiej intencji to robi.

„Highland Rape” można tłumaczyć jako „gwałt w górach” albo, co byłoby może bliższe intencji projektanta, „gwałt w regionie” bądź „na regionie Highland”, bo to nazwa geograficzna. Scenografia pokazu robiła wrażenie, obyło się jednak bez nachalnego góralskiego folkloru i dosłownych odniesień do jakobickich oddziałów – był to w końcu pokaz mody damskiej. Do Szkocji odsyłały początkowo tylko fryzury z rudych dreadów, poza tym dominowały aluzje do przemocy: modelki wychodziły w skórzanych czy zamszowych strojach, uszytych klasycznie, ale porozcinanych tu i tam ostrym narzędziem. Potem pokazała się dziewczyna w długiej sukni z koronki, z naderwanym rękawem i rozdarciem na wysokości krocza. Obróciła się trochę niepewnie. Modelki po niej, w koron-



ALEXANDER MCQUEEN *HIGHLAND RAPE*, JESIEŃ-ZIMA 1995/1996

kowych strzępach, promenowały coraz mniej dziarsko, wreszcie jedna przeszła się prawie zygzakiem, wyraźnie kulejąc. Inne przedrzeźniały krok marszowy, jeszcze inne się potykały albo przesadnie kręciły biodrami, jakby parodiowały prostytutki. Albo przyśpieszały kroku, niezdarnie osłaniając się rękoma. Muzyka techno przeszła ponownie w bicie dzwonów. Pojawiły się płaszcze o kroju wojskowym, ale noszone na gołe ciało i uszyte na przykład z ceraty. I wreszcie zaatakował tartan: na gorsetach, baskinkach, szortach, przerysowanych zakietach. Mniej więcej w dwóch trzecich pokazu wybrzmiał mocny akcent – czerwona marynarka szamerowana niczym angielski mundur, w którym dziewczyna symbolizująca zapewne Anglię szła jak do natarcia. Potem modelki zaczęły wychodzić jeszcze bardziej poobijane, ale też jeszcze mocniej erotyzowane: w przezroczystościach, z rozdarciami, topless pod mundurem albo w spódnicach prawie spadających z bioder. Pokaz zamknęła groźna postać w spodniach biodrówkach odsłaniających lędźwie i żołądek (dziewczyny na całym świecie będą takie nosić w drugiej połowie lat dwięćdziesiątych), z twarzą zasłoniętą kołnierzem-maską z ustawionych na sztorc bażancich piór. Wyparła z wybiegu poprzednią modelkę z bezbronnie obnażoną piersią i zastygła w tryumfalnej pozie. Muzyka ustała i słychać było tylko pluskanie strumienia.

Krytyczka mody Caroline Evans w książce *Fashion on the Edge* opisała to tak:

Kolekcja łączyła kurtki militarne z rodowym tartanem McQueenów i wełnami w kolorze mchu, a starannie skrojone mundury kontrastowała z porwanymi sukniemi z koronki i rozprutymi spódnicami. Na wybiegu usłanym wrzosem i paprocią zatacza-

jące się, zakrwawione modelki McQueena wydawały się dzikie i półprzymiotne, ich piersi i pośladki było widać zza rozdarcie i zza rozciętego zamszu, żakietom brakowało rękawów a gumowane spodnie i spódnice kończyły się tak nisko na biodrach, że zdawały się przeczyć grawitacji.¹

Pokaz zebrał początkowo złe recenzje. Odezwały się głosy, że projektant w romantycznej konwencji pokazuje gwałt, zarzucano mu mizoginię i uwznioślanie przemocy seksualnej. Prowokacyjne zachowanie modelek w roli ofiar, które najwidoczniej „same się prosiły”, nie mogło się oczywiście podobać kobietom (a dziennikarstwo związane z modą to bardzo sfeminizowana branża), nic więc dziwnego, że na *Highland Rape* nie zostawiono suchej nitki.

Trudno jednak o większe nieporozumienie, przynajmniej w świetle tego, co sam McQueen mówił o swojej kolekcji. Tłumaczył mianowicie, że to nie on widzi kobiety w zinstrumentalizowany sposób, tylko społeczeństwo je tak postrzega i przeciw takiemu uprzedmiotowieniu chciał zaprotestować. Poza tym kolekcja miała być wymierzona przeciw projektantom angielskim, od lat szyjącym z klanowych tartanów i tym samym przywłaszczającym sobie cudzą tradycję. Przypominał, że ze Szkocji pochodzi rodzina jego ojca i że od dawna interesował się historią powstań szkockich oraz ich konsekwencji, czyli czystek etnicznych. W jego intencji wybieg miał przypominać Bagna Cullogen, gdzie księżę Cumberland zgładził tyłu jego przodków, a sam pokaz miał opowiadać tak naprawdę o Szkocji zgwałconej przez Anglię. I jeszcze cytat: „Czuję się szkockim patriotą głównie dlatego, że ten kraj

¹ Caroline Evans *Fashion at the Edge. Spectacle, modernity and deaathliness*, Yale University Press, New Haven and London, 2012, s. 141-142.

był przez lata rządzony twardą ręką. Powszechnie kojarzy się Szkotów z grą na dudach, mało kto zna ich historię”. I gdzie indziej: „Chciałem pokazać, że wojna między Szkocją a Anglią była w gruncie rzeczy ludobójstwem”² (jak pamiętamy, równolegle media donosiły wtedy o wydarzeniach w Bośni i Rwandzie, a historyczny termin „ludobójstwo” zyskał współczesny sens).

Później Alexander McQueen wracał niejednokrotnie do szkockich motywów, sporo krat pokazał na przykład w kolekcji *Joan* (zbudowanej wokół postaci Joanny D’Arc) i przede wszystkim w eleganckich, melancholijnych *Widows of Culloden* (Wdowach z Cullogen, 2006), gdzie kostiumy z tartanu nadawały się nawet do noszenia, acz w wersji „glamour”. Nie powtórzył już jednak szokującego gestu o wymowie w gruncie rzeczy antyromantycznej – nie zderzył ze sobą Szkocji i Anglii w tak oskarżycielski sposób. Z perspektywy czasu można też widzieć w *Highland Rape* ciekawy przykład popularnej wówczas i w modzie dekonstrukcji: ubrania ukazywały tu swoje szwy i były malowniczo zdewastowane (choć zostały starannie uszyte), podobnie modelki zdawały się wypadać ze swoich ról, mało tego, niektóre omal nie spadały z wybiegu. Z drugiej jednak strony pokaz opowiadał pewną historię, był narracyjny i czytelny w tym sensie, że przeplatał ze sobą alegorie zwycięzców i zwyciężonych, przekładał na język ubrań przemoc, siłę, strach, upokorzenie, dumę, poczucie krzywdy. Był to bez wątpienia manifest tożsamości narodowej projektanta, ale wypowiedziany z perspektywy ofiary: przypomnienie, że powstanie jakobickie skończyło się rzezią, a teraz Angielki noszą z upodobaniem kraty, przywłaszczając

² Tamże.

sobie szkockie dziedzictwo. Kiedy opadła pierwsza fala krytyki, uznano kolekcję za przełomową nie tylko dla drobnego McQueena, ale dla całego języka mody tamtej dekady, który odkrywał dopiero swój krytyczny potencjał.

2.

Alexander McQueen popełnił samobójstwo w 2010 roku, a dwa lata później polski projektant Robert Kupisz, znany przedtem jako tancerz i stylistą fryzur, zaprezentował swoją drugą kolekcję mody. Podobnie jak w przypadku *Highland Rape* nie był to co prawda debiut, ale pierwszy ważny, narracyjny pokaz, który zwrócił na niego uwagę mediów i przyniósł mu sukces, choć też nie bez kontrowersji. Kolekcja się nazywała *Heroes* i była inspirowana powstaniem warszawskim.

Trudno rzecz jasna zestawiać tak odległe źródła natchnienia, choć znalazłoby się kilka analogii: oba zrywy skończyły się klęską i przyniosły surowe represje, potem zaś oba były silnie mityzowane i wpisywane w paradygmat romantyczny. Dziś powstanie warszawskie jest jak wiadomo ważnym elementem polityki historycznej, jakobickie ma podobnie fundamentalne znaczenie dla tożsamości narodowej Szkotów. Trudno powiedzieć, na ile było to nawiązanie świadome, między tymi dwoma pokazami minęły bądź co bądź prawie dwie dekady i moda zaczęła przez ten czas śmiało czerpać z historii, ale sam gest przywołania „świętej” tradycji powstańczej i tym razem wydawał się zuchwały i ryzykowny. Nie sprzyjał mu też kontekst: był rok 2012, rządy Platformy Obywatelskiej. Muzeum Powstania Warszawskiego, wizytówka Czwartej RP, istniało już od ośmiu lat, ale wówczas akurat wpisana weń heroiczna wizja powstania była mniej

eksponowana. Dlatego Robert Kupisz robił swoją kolekcję niejako w kontrze, a przecież zrobił ją z rozmachem.

Pokaz odbył się w dużej hali (już nie w namiocie), zamiast wąskiego wybiegu projektant miał do dyspozycji rozległą przestrzeń i mógł ustawić modeli całym szeregiem. Toteż ustawił – co się zowie falangą. Najpierw publiczność zobaczyła ciemne podświetlone sylwetki na białym tle, co wyglądało groźnie, paramilitarnie. Potem szereg wystąpił do przodu i ukazali się rośli, ulizani chłopcy w ciężkich butach, czarnych spodniach i białych koszulkach, trochę jak do boju, trochę jak do matury. Zapozowali jeszcze objęci niczym do zbiorowej fotografii, po czym zaczęły pojedynczo wychodzić dziewczęta: w podkolanówkach do sztybletów, z kokardami w warkoczach, w całkiem grzecznych bluzkach i spódnicach. Potem dołączyli do nich chłopcy (młodzież wychodziła solo lub parami), a po przeglądzie strojów galowych czy po prostu nadających się do szkoły nadzedł czas na motywy harcerskie: pojawiły się szare szmizjerki, szerokie pasy, berety, torby jak chlebak. Wreszcie zrobiło się całkiem powstańczo, a więc kożuszki na bryczesy, palta ściągane pasem, sukienki kopertowe, kurtki moro albo wzorowane na lotniczych. Narracja w uproszczeniu przedstawiała się zatem tak, że mundurek szkolny płynnie przechodził w mundur harcerski a ten w militarny. Ubrania były lekko historyzujące, ale bez natrętnego retro, raczej w stylu codziennym i sportowym, utrzymane głównie w barwach ziemi, szarościach i czerniach. Mimo akcentów „zbuntowanych”, w stylu postpunkowym czy grunge, jak porozciągane bluzy, gniecione bawełny czy krzywe cięcia, młodzież cały czas wyglądała w tym schludnie. Jednak największym przebojem kolekcji oka-

zały się stylizowane orły na koszulkach, swetrach i spódnicach, czyli słynne „orzełki Kupisza”, w których pokazywały się potem celebrytki na salonach, ale i modne kibicki na trybunach. W finale młodzież z orzełkami na koszulkach dobierała się w pary i odchodziła dwójkami.

W tle Anna Maria Jopek śpiewała na żywo stylizowane piosenki żołnierskie, *O mój rozmarynie* czy *Dziś do ciebie przyjść nie mogę*, ale także, o dziwo, utwór *Wstanie dzień* z filmu *Prawo i pięść*, traktującego bądź co bądź o umacnianiu władzy ludowej na Ziemiach Odzyskanych. Na zakończenie wzruszająco wybrzmiała *Ostatnia niedziela*, a modelki i modele do końca zachowali szlachetną powagę. Sam projektant powiedział później w wywiadzie: „Chciałem historię podrasować tak, żeby współczesność była dla młodych ludzi pomostem do zrozumienia tematu. [...] Zbierałem same Zosie, Stasie, Krysie, Marysie. Twarze polskiej inteligencji. Nie było eksponowanej seksualności, było niewinnie jak na naturalnym polonezie”³.

Patronem pokazu został Baczyński, także zredagowany jak do bryku naturalnego. I znowu oddajmy głos Kupiszowi: „Chciałem też spróbować przybliżyć ludziom, szczególnie młodym, Polskę, [...] jej historię, symbole, bohaterów tamtych lat takich jak Krzysztof Kamil Baczyński, człowiek odważny, piękny, wielce utalentowany. Pokazać, unikając pompatyczności, że mając takich protagonistów, nie musimy zapożyczać idoli z innych krajów”⁴. Zauważmy tylko, że w tej uproszczonej wizji Baczyński został użyty jako przystojny blondyn, który wierszami i własnym przykładem zagrzewał do walki,

³ *Godło na topie*, z Robertem Kupiszem rozmawiała Karolina Sulej, „Wysokie Obcasy” z 4 lutego 2012.

⁴ Tamże.

tymczasem rzeczywista wymowa i wartość jego poezji, na co zwracał uwagę już Kazimierz Wyka, polegała raczej na świadomości tragizmu i winy zabijania. Powstanie, inaczej niż dla Roberta Kupisza, stanowiło dla niego problem moralny.

Tak czy owak, pokaz zrobił furorę. Na portalach kobiecych pisano:

Robert Kupisz znów w awangardzie. Nie dość, że pokazał kolekcję na przyszłą zimę na pół roku przed wszystkimi, to jeszcze podjął skompromitowany przez polityków dyskurs historyczno-patriotyczny. [...] Wielbiciel i popularyzator stylu grunge wydobyl z młodziutkich żołnierzy powstania element buntu. Ich bohaterskie czyny były, zapewne, w podobnym stopniu motywowane miłością do ojczyzny, jak i buntem przeciw wszystkiemu, co opresyjne. [...] Z każdą minutą pokazu modele wyglądali bardziej współcześnie, sytuując się w lubianym przez Kupisza stylu niedbały casual.

I dalej:

Historia, patriotyzm, godło – te słowa straciły na sile przez usilne wykorzystywanie ich w bieżącej polityce. Jednak u Kupisza brzmią świeżo i zachęcają do refleksji. Zastanawiamy się, czy kolekcja będzie równie dobrze funkcjonowała rozebrana na sztuki. Jesteśmy na nie w kwestii koperowych, wiązanych sukienek, ale kochamy Kupiszowe szmizjerki, patriotyczne swetry i grunge'owe kożuszki.⁵

Albo wręcz tak:

Historia wcale nie jest nudna! Robert Kupisz wie o tym doskonale. [...] Warszawscy powstańcy to przecież w dużej mierze

bardzo młodzi ludzie, a młodość to bunt, energia i świeżość. [...] Hit kolekcji? Bez wątplenia t-shirty z białym orłem w koronie. Już widzimy te tłumy w showroomie projektanta na ul. Mokotowskiej ustawiające się w ogonku po patriotyczne koszulki. W jednej z nich widzieliśmy ostatnio Magdę Mielcarz. Cudnie!⁶

Niebezpieczna tendencja do „glamouryzacji” powstania była już wówczas obecna choćby w kostiumach do serialu *Czas honoru* (od 2008), a miała powrócić w filmach rocznicowych: ekranizacji *Kamieni na szaniec* (2014) oraz *Mieście 44* Komasy (2014). Podkreślaniu szyku powstańców i powabu powstań, swoistego seksapilu tego zrywu, towarzyszyła też uniwersalizacja – przy gładkim zamarkowaniu tła historycznego łatwo było zrobić z Kolumbów wzór „fajnych” i non-szalanckich buntowników „przeciw wszystkiemu, co opresyjne”.

Odbiór tej kolekcji nie był na szczęście tak bezkrytyczny, jak by to mogło wynikać z internetowych recenzji, na przykład Karolina Sulej w przytaczanym wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” trochę projektanta docisnęła. Pytała między innymi, czy nie wydaje mu się, „że ten orzeł jest bardziej Robertem Kupiszem niż Polską? Ci, którzy wydają na te t-shirty 350 złotych, nie chcą wyrazić swego patriotyzmu, ale chcą mieć coś od projektanta Roberta Kupisza. To produkt”. Rozmówca tłumaczył się, że koszulki z Indianinem z poprzedniej kolekcji gorzej się sprzedawały, więc Polacy chyba wolą godło, po czym przechodził do ofensywy: „Stało się tak, że te moje orły są teraz modne. To fakt – ale czy to niemoral-

⁵ Natalia Kędra *Robert Kupisz – pokaz kolekcji „Heroes” jesień-zima 2012*, <http://kobieta.gazeta.pl/follow/1,153346,10733511,robert-kupisz-pokaz-kolekcji-heroes-jesien-zima-2012.html> (dostęp 4 grudnia 2016).

⁶ Agnieszka Niedziela-Kowalska *Patriotyzm jest „in”*, <http://www.kobieta.pl/moda/trendy/zobacz/artykul/robert-kupisz-i-kolekcja-heroes-zima-2012/> (dostęp 4 grudnia 2016).



ROBERT KUPISZ *HEROES*, ZIMA 2012/2013, FOT. AKPA



JUSTYNA JAWORSKA • PODARTE KILTY, BLUZY Z ORZELKIEM

ne? Kiedy w ostatnich latach słyszałaś w kontekście pozytywnym o tym, że ktoś chce nosić polskie godło narodowe?”. Dziennikarka dopytywała dalej o wierność realiom, o rekonstrukcję, o szarganie świętości, wreszcie o romantyczną wizję wojny, na której „było ładnie” i o to, czy taka estetyzacja jest uprawniona. Na te zarzuty padła nieco wymijająca odpowiedź: „Nie jestem historykiem. Nie chciałem poruszać tematu śmierci”. I dalej: „My, artyści, nie jesteśmy dokumentalistami. Moda to temat raczej lekki, nie zrewolucjonizuje polityki, gospodarki. Byłem za-inspirowany zdjęciami z wojny, ale nie chciałem przypominać ludziom o jej koszmarze”.

3.

To, owszem, pewna sztuka: opowieść o powstaniu warszawskim, nie przypominając o jego koszmarze. W niedawno wydanej książce *Powstanie umarłych* Marcin Napiórkowski wyodrębnia dwie przeplatające się czy walczące ze sobą po wojnie narracje o powstaniu warszawskim: martyrologiczną i heroiczną.⁷ Kupisz w kolekcji nomen omen *Heroes* uprawia oczywiście tę drugą, natomiast powstanie z perspektywy ofiar, choć inne, pokazywał Alexander McQueen. Oba podejścia należą do narracji postpamięciowych, które dochodzą do głosu także w modzie.

Żeby jednak zestawienie nie było zbyt proste, należy przypomnieć, że nadochodzą tu na siebie różne obiegi i poziomy umasowienia, bo *Highland Rape* był pokazem haute couture, podczas gdy

Heroes to kolekcja prêt-à-porter. Trzeba by dużej odwagi, by nosić słynną koronkową suknię z dziurą w kroczu, która jest dziś muzealnym eksponatem, ale już sweterek od Kupisza chciałoby się po prostu mieć, jest kusząco „noszalny”. Polski projektant musiał się w większej mierze liczyć z gustem odbiorców, co siłą rzeczy ogranicza krytyczne wizje. W odróżnieniu od McQueena nie miał też przy pracy nad kolekcją żadnej osobistej sprawy do załatwienia: jego rodzina nie pochodzi z Warszawy i co więcej, nie ucierpiała specjalnie w czasie wojny – inspiracji do pokazu szukał podobno, oglądając zdjęcia ładnej młodzieży w Muzeum Powstania. Wykazał się za to niezwykłą intuicją handlową i przewidział (albo i wsparł po części) wzmożenie patriotyczne jako trend. Gdyby Roland Barthes pisał dzisiaj swoje *Mitologie* i szukał polskich przykładów, mógłby sięgnąć po „orzelka Kupisza” jako po znak o kilku warstwach. Znak, który połączył patriotyzm z nonszalancją w deklaracji swoistego anarchokonserwatyzmu zamożnych mieszczan, a w swojej tańszej i zmutowanej wersji zdobi dziś bluzy „wyklętych”.

Powraca oczywiście pytanie, do czego służy modzie pamięć historyczna: kiedy jest rzeczywiście inspiracją, a kiedy tylko nakręca sprzedaż. Albo jeszcze inaczej: czy moda ma w ogóle moc rewidowania przeszłości, czy też ze swej natury musi się ograniczać do stylizacji i przez kostiumy czy gadzety retro wpiisywać się gładko w „przemysł pamięci”. Jedna prosta konstatacja wynika z tego porównania na pewno – Alexander McQueen miał duży problem z powstaniem jakobickim, podczas gdy Robert Kupisz raczej nie miał go z powstaniem warszawskim.

⁷ Marcin Napiórkowski *Powstanie umarłych. Historia pamięci 1944-2014*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2016.

WERONIKA MUREK

W naszym piecu pokojowym

OSOBY:

- WAŃKA WSTAŃKA
- ŻOŁNIERZE (I, II, III)
- TANCERECZKA PORCELANOWA
- NAKRĘCANA MYSZ
- GŁOSY: KOBIECY, MĘSKI, DZIECIĘCY

1.

GŁOS KOBIECY W naszym piecu pokojowym zrobiły się szpary – szpary się zrobiły w piecu pokojowym. Próbowałam gliną, kitem, papką z białka, w naszym piecu pokojowym.

Światła latarki jak przy nagonce.

GŁOS KOBIECY Powiesz, jak się nazywasz, i jesteś wolny.

GŁOS MĘSKI Powiesz, jak się nazywasz, i jesteś wolny.

GŁOS KOBIECY Powiesz, jak masz na imię?

GŁOS MĘSKI Powiesz, jak się nazywasz, i jesteś wolny.

GŁOS KOBIECY Powie. Nie powiesz?

GŁOS MĘSKI Nie ma się przecież bać czego. Powiesz Mikołajowi, jak masz na imię?

GŁOS KOBIECY Powiedz.

Świąteczne dzwonki.

GŁOS KOBIECY Życzę panu i pańskiej rodzinie zdrowia folgi namiętności także serdecznie wesołych świąt w roku wszystkiego szczęśliwego żeby zdrowie żeby życie żeby coś kiedyś jeszcze gdzieś w świecie jeśli los dopisze scenariusz dla ludzi i dla żywych.

Szeleszczenie papieru.

GŁOS DZIECIĘCY Ołowiane żołnierzyki!

GŁOS KOBIECY Co się mówi? Co się mówi, jak się prezent dostaje? Mikołajowi, co się mówi?

GŁOS MĘSKI Najlepsze rzeczy w życiu przychodzą do nas w ce-ce-celofanie.

GŁOS KOBIECY Dzie-dzie-dzieku-u-ję.

GŁOS DZIECIĘCY Dziękuję –

GŁOS KOBIECY A widzisz, jaką czapkę pan ma? Jaką brodę pan ma? Jaką ma? Czapkę, jaką ma? Czapkę.

GŁOS DZIECIĘCY Jeden, dwa, trzy, cztery – *(odlicza do trzydziestu, myli się, zaczyna jeszcze raz)*
Światło.

2.

WAŃKA WSTAŃKA Kolejno odlicz.

Żołnierze odliczają.

WAŃKA WSTAŃKA Czołem, żołnierze.

ŻOŁNIERZE Czołem, panie generale.

WAŃKA WSTAŃKA Są trzy marzenia żołnierza, jakie?

ŻOŁNIERZE Czołem, panie generale.

WAŃKA WSTAŃKA Trzy są marzenia żołnierza, jakie?

ŻOŁNIERZ I Podbity płaszcz, matce.

ŻOŁNIERZE Czołem, panie generale.

ŻOŁNIERZ II Spodenki z białymi paskami.

ŻOŁNIERZE Czołem, panie generale.

WAŃKA WSTAŃKA Są trzy marzenia – spocznij – trzy marzenia żołnierza, jakie?

ŻOŁNIERZ III Futerkim podbity płaszcz matce. Spodnie z paskami. I jeszcze –

ŻOŁNIERZ I Chciałem osobiście zobaczyć inne kraje. Studiowałem osobiście geografie i byłem jakoś tam osobiście ciekawy. To są wielkie kultury. To są wielkie sprawy. Mówię: są na świecie cywilizacje prawie równe naszej. Kultury, w których zwierzę nie boi się człowieka, są takie! Chciałem je poznać osobiście.

Chciałem poznać osobiście człowieka, który nie budzi lęku w zwierzętach, są tacy! Chciałem ich poznać osobiście i osobiście ich zabić. Chciałem wrócić do domu i pierwszym być w domu, co to kogoś osobiście zabił.

ŻOŁNIERZ III Ojciec chciał, żebym jako człowiek miał osobowość, więc zapisał mnie na wojnę, gdzie w miarę możliwości uczęszczałem regularnie.

ŻOŁNIERZ II Bo kocham ludzi, więc strzelałem.

ŻOŁNIERZ I Bo nie ma w Polsce już takich okazji, więc człowiek odwetowy musi inaczej sobie radzić, człowiek przedsiębiorczy musi szukać dla siebie miejsca – celu – celu, właśnie – poza granicami. To już nie jest ta Polska, co to się w niej umierało, wszystko nam obcy zabierają i nawet to zabrali.

ŻOŁNIERZ II Bo żyjemy na pięknym świecie, wręcz najpiękniejszym ze światów.

ŻOŁNIERZ I Głównie byśmy nie podnieśli, to by nam nie powiedziano.

ŻOŁNIERZ II Podobały mi się piosenki tych, do których strzelałem.

ŻOŁNIERZ I Podobały mi się zwyczaje tych, do których strzelałem: podobały mi się ich brekfasty, poranne śniadania.

ŻOŁNIERZ II I osobnośmy do zwierząt strzelali i osobno do ludzi, a to były, jasne, jasne, te kultury, w których zwierzęta, wiadoma sprawa –

ŻOŁNIERZ I Na długość ramienia nawet.

ŻOŁNIERZ III Nie zmrużyłem oka.

ŻOŁNIERZ II Nie trzeba było mrużyć; niepotrzebne to celowanie, na długość ramienia się zbliżały –

ŻOŁNIERZ I Osobno ludzi i osobno zwierzęta, żeby krew się nie mieszała.

ŻOŁNIERZ II To było nowe społeczeństwo. Pionierskie siekiery w drzewach ich, w pniakach. Zwierzęta jeszcze się nie bały.

ŻOŁNIERZ I Porządku krwi dochowałem.

WAŃKA WSTAŃKA Czołem, żołnierze!

ŻOŁNIERZE Czołem, panie generale.

WAŃKA WSTAŃKA Chodzą słuchy, że macie, szeregowy, trąbeczkę własną. Chodzą słuchy, że od święśnięcia jednego nawet zmarli powstają, jest to prawda, powiedzcie?

ŻOŁNIERZ III Byłem tam.

ŻOŁNIERZ II Naprawdę?

ŻOŁNIERZ I Naprawdę?

WAŃKA WSTAŃKA Co mówi?

ŻOŁNIERZ I Mówi: był tam.

WAŃKA WSTAŃKA Gdzie pan był?

ŻOŁNIERZ I Nie wiem. Gdzie pan był?

ŻOŁNIERZ II Gdzie pan był?

ŻOŁNIERZ III Gdzie? No – tam, właśnie. Na wojnie.

ŻOŁNIERZ II Po prostu powtarza nasze słowa.

ŻOŁNIERZ I Po prostu po nas powtarza.

WAŃKA WSTAŃKA Powtarza po nas... słuchajcie no –

ŻOŁNIERZ I A jakżeście tak tam byli-bywali, to pewnie wiecie, krew jakiego koloru jest, a?

Bo bydlęca żółtawa, a ludzka czerwona. A pod wieczór na piasku –

ŻOŁNIERZ I i ŻOŁNIERZ II Lekko błękitnawa!

ŻOŁNIERZ III Ojciec chciał, żebym jako człowiek miał osobowość.

ŻOŁNIERZ I Gdybyś wtedy spudłował –

WAŃKA WSTAŃKA Nie musicie się przy wszystkich przyznawać. Powie-dzieli mi tajemnie: jedzie gość, który potrafi tak dobrze grać na trąbecz-ce, że zmarli powstają, jest to prawda czy nie jest, powiedzcie?

ŻOŁNIERZ II On po nas powtarza tylko, generale.

ŻOŁNIERZ I On po nas powtarza tylko, generale.

3.

Ciemno.

GŁOS KOBIECY W naszym piecu pokojowym zrobiły się szpary; szpary się zrobiły w piecu pokojowym. Słyszysz, co do ciebie mówię? Nie będę powtarzać.

Dziecięce odliczanie.

GŁOS KOBIECY Bo wdepnę! Chcesz – wdepnę. No, zbieraj, zbieramy.

GŁOS MĘSKI No na bok weź po prostu, zrzuć na bok.

GŁOS KOBIECY A pacierz zmówiony? Jutro się pobawisz. Nikt ci tego nie zabierze; to wszystko jutro będzie na ciebie czekało. Jutro nas wszystkich to będzie czekało, jazda.

Aniele, powiesz? Aniele. No mów, no.

GŁOS DZIECIĘCY Aniele boże strózu mój, ty zawszeprzy mniestój.

GŁOS KOBIECY Ty prowadź mnie gdy gdzieś mi –

GŁOS DZIECIĘCY Ty prowadź mnie gdy gdzieś mi śpieszno

GŁOS KOBIECY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

GŁOS DZIECIĘCY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

4.

Światło.

ŻOŁNIERZ I Ty powiedz, ale tylko prawdę – ty sądzisz jak? Czy Ordon zginął pod redutą czy odwrotnie?

ŻOŁNIERZ III Proszę?

ŻOŁNIERZ II Mówi: proszę! On mówi: proszę, no co ja słyszę? On „proszę” mówi! Może kolega jeszcze zechce otrzeć se pysk rękawem? Trzymajcie mnie, on mówi: proszę, do mnie mówi.

ŻOŁNIERZ I Czy zginął pod redutą Ordon?

ŻOŁNIERZ II Kolega wybierze sobie – proszę – inną ścianę. Cztery są przecież ściany. Nie musimy się wszyscy w jedną gapić.

ŻOŁNIERZ I Kolega się może po przekątnej gapić – proszę.

ŻOŁNIERZ II To jest moja ściana.

ŻOŁNIERZ III Nie chcę się w ścianę gapić.

ŻOŁNIERZ II Oho, kapryśny jaki, kolega chyba nie jest jeszcze dostatecznie martwy – proszę!

ŻOŁNIERZ III Pająk na ścianie.

Wjeżdża Tancerczka Porcelanowa z wózkiem warzyw.

TANCERCZKA PORCELANOWA Transport polskich jarzyn! Fasola raciborska, polskie dary dystrybucji firmy Polska Walcząca! Polska Fasola Walcząca!

ŻOŁNIERZ I Co: pająk na ścianie? Co: pająk na ścianie? Mówi: pająk na ścianie, jak do człowieka człowiek, a ten mówi: pająk na ścianie!

ŻOŁNIERZ II Nie dość martwy jest – proszę! Czytałem w gazecie w wieściach potocznych: ktoś się bronił do sił końca, a ostatnim nabojem się zabił.

ŻOŁNIERZ I Co – pająk na ścianie, jak do człowieka człowiek. Pająk na ścianie!

TANCERCZKA PORCELANOWA Polskie jarzyny ojczyzniane!

ŻOŁNIERZ II Bo co to znaczy: zabił się?

TANCERCZKA PORCELANOWA Warzywa ojczyzniane!

ŻOŁNIERZ I Co znaczy: zabił się, jak do człowieka człowiek, co znaczy: zabił się?

ŻOŁNIERZ III Ja najlepszego przyjaciela przyniosłem w worku celofanowym. Ręce osobno nogi osobno karabin osobno w miękkich bamboszach. Skóra osobno jak z wieprza. A on tam na gitarze! Dwa języki. Dwoma różnymi mówił językami. Na gitarze! On wart był trzech takich a skóra osobno głowa osobno buty osobno jak z wieprza.

ŻOŁNIERZ I Co znaczy: z wieprza, jak do człowieka człowiek – co znaczy: z wieprza?

TANCERCZKA PORCELANOWA Polskie warzywa ojczyzniane! Polska fasola walcząca!

ŻOŁNIERZ III Major: tysiąc pięćset dolarów plus trzysta dodatku.

TANCERCZKA PORCELANOWA Polska fasola walcząca! Polskie warzywa ojczyzniane! Warzywa Polska Walcząca!

ŻOŁNIERZ II Pensja starszego chorążego: tysiąc pięćset dolarów plus trzysta dolarów dodatku.

ŻOŁNIERZ I Co to znaczy: zabił się? Co znaczy: nie wytrzymał, jak on dwa języki znał? Co znaczy: nie wytrzymał, skoro pająk na ścianie? Co znaczy: nie wytrzymał, skoro pająk na ścianie?

Skoro pająk na ścianie –

ŻOŁNIERZ II W worku celofanowym go przynieśliśmy mamie, głowa osobno ręce osobno nogi osobno w miękkich bamboszach.

ŻOŁNIERZ I Bo rozrzutny był – bo trzy marzenia żołnierza są jakie?

GŁOS DZIECIĘCY Aniele boże strózu mój, ty zawszeprzy mniestój.

GŁOS KOBIECY Ty prowadź mnie gdy gdzieś mi –

GŁOS DZIECIĘCY Ty prowadź mnie gdy gdzieś mi śpieszno

GŁOS KOBIECY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

GŁOS DZIECIĘCY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

5.

NAKRĘCANA MYŚZ Dziś na placu Broni rozdawali obiadki – do ludności zwyczajnej odnoszono się ciepło, łamanym językiem obiecywali spory chlebek, a w końcu wcale duże bochny rozdawali.

ŻOŁNIERZ I Mówi do mnie mysz nakręcana – mówi do mnie!

Stalin, powiesz? Bush prezydent? Wypowiesz to? Stalin? Sta-lin. Kaputt, powiesz? Chwała wielkiej Polsce, powiesz?

NAKRĘCANA MYSZ Kaputt.

ŻOŁNIERZ II Reaguje trafnie.

ŻOŁNIERZ I Tak naprawdę to jak się dostanie w łeb, to mózg leci przodem, a facet biegnie za nim nawet i pół kilometra może biec.

ŻOŁNIERZ II O taką żeśmy wojnę walczyli? Za taką żeśmy wojnę umierali? Do człowieka człowiek – co: do człowieka człowiek, skoro pająk na ścianie?

NAKRĘCANA MYSZ Kaputt.

ŻOŁNIERZ III Wiecie, co się stało z numerem osiemset?

Numer osiemset twierdził kiedyś, że nie potrafi zbierać grzybów, a potem nie sposób go było wyciągnąć go z lasu; można powiedzieć, wpadł w istny szal grzybowy. (*do Tancereczki Porcelanowej*) Ja w Polsce jeszcze jeździłem na łyżwach znakomicie. Ręce nawet do kieszeni kurtki wkładałem, jak sportowiec jaki! Dla ludności miejscowej, a jestem z Chrubieszowa, byłem, można rzec, miejscową atrakcją.

A pani?

Skąd pani?

TANCERECZKA PORCELANOWA Ze sklepu z porcelaną.

ŻOŁNIERZ III Ja byłem ze sklepu z zabawkami, ale rzuciłem to. Jak to mówią: nie odnalazłem się.

Ci, którzy nie mają nóg, nie chcieli pracować razem. Trzeba ich zrozumieć; gdybym pracował z nimi, bez przerwy by na mnie zerkali. Władok zdrowej nogi wzmacnia apetyt na zdrową nogę. Na wojnie jest głód zdrowych nóg.

Pani też tak mi się przygląda.

ŻOŁNIERZ I Jak do człowieka człowiek. Na człowieka człowiek.

TANCERECZKA PORCELANOWA Tak się zastanawiam, jak by pan wyglądał, gdyby pan nie żył.

Mam taki zabawny nawyk: jem żupę i sobie wyobrażam, jak kto by martwy wyglądał. Takie moje umysłowe szarady do obiadu. Trzeba zająć czymś głowę, żeby nie dopuszczać ponurych myśli.

ŻOŁNIERZ III I jak?

TANCERECZKA PORCELANOWA Że znaczy?

ŻOŁNIERZ III No bym martwy dobrze wyglądał?

TANCERECZKA PORCELANOWA Ja myślę – wspaniale.

Ładnemu we wszystkim ładnie.

A mnie w lutym mniej będzie, jeśli dobrze pójdzie. Przez wojnę sześć już zrzuciłam kilogramów.

ŻOŁNIERZ III To się trumnę obcą ziemią dociąży, waga się będzie zgadzała. Nie wydamy pani; są różne sposoby na śmierci oszukanie. I żywi, i ludzie – wszyscy to samo: wokół trumny za rączki w kółeczko w kółeczko do człowieka człowiek, do człowieka człowiek. Dociążymy trumienkę waga się będzie zgadzała: i żywi, i ludzie nic nie rozpoznają.

W szachy, czy gra pani?

TANCERECZKA PORCELANOWA Jeszcze się nie połapałam; gdzie król, gdzie paż, kiepską mam pamięć do twarzy.

ŻOŁNIERZ III Jak przyjdzie spokój, to może zagramy. Ja nauczę, pokażę.

Proszę: kolejny pioneczek: zamiast wieży trumienka przestawna – trumienką można po wszystkich polach, zakres ruchu ma nieskończony – ona robi szach królowi, ona robi szach królowej; na skos robi, na wskroś robi, na wspak robi i po planszy całej; o, teraz to można sobie grać – teraz to inne jest granie. Proszę spróbować – potem już pójdzie samo; to już nie jest ten kraj, w którym kiedyś się tak umierało.

TANCERECZKA PORCELANOWA By nam zagrał coś pan, panie – bo czy to prawda, że na dźwięk trąbeczki –

ŻOŁNIERZ III Nieprawda.

TANCERECZKA PORCELANOWA Że życia za życia nie ma to wiedziałam od dawna; ale że po życiu nic także to jest dla mnie świeża sprawa. Ja słyszałam o takich co żyją ile sił w nogach żyją, sił ile w płucach żyją; tymczasem –

6.

Ciemność.

GŁOS KOBIECY Gaś to! Gaś już!

GŁOS DZIECIĘCY Chwilę jeszcze, mam!

GŁOS KOBIECY Gaś już, słyszysz? Dogasamy!

Nocą stopą bosą – słyszysz? Wdepnę stopą bosą nocą – zbieramy.

GŁOS DZIECIĘCY Aniele boże –

GŁOS KOBIECY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna –

GŁOS DZIECIĘCY I prowadź mnie gdy jest mi śpieszno –

GŁOS KOBIECY I zawsze przy mnie stój –

GŁOS DZIECIĘCY I prowadź mnie, gdy gdzieś mi śpieszno.

GŁOS KOBIECY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

GŁOS DZIECIĘCY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

7.

WAŃKA WSTAŃKA Wejść.

ŻOŁNIERZ III Szeregowy bez nogi melduje –

WAŃKA WSTAŃKA Dobrze już.

Zza ściany krzyk.

WAŃKA WSTAŃKA Spocznij.

Przepraszam. Przepraszam za to. Ćwiczą krzyk, bo jest wojna. Na wojnie niedyskrecja jest konieczna.

Ćwiczą głos do rozkazów. Jak się ćwiczy głos, to niedyskrecja jest konieczna.

Słuchajcie. Nie wiem, do czego przywykliście w sklepie, ale moi żołnierze pracują regulaminowo. Upartych, wie pan – dla upartych są karne wyprawy. Jest obóz jednorazowy dla upartych. Obóz dopóki nie nauczą się być żołnierzami.

Młody, żarliwy człowiek to jest świetna sprawa. Na froncie młodzi żarliwi mają pierwszeństwo zawsze. Nie ma co starych pchać do przodu. Młodemu trza dawać szanse, powiedzcie no.

Młodzi pierwsi lecą, na pierwszej flance. Chciałoby się być młodym, żarliwym.

Proszę wiedzieć, że panu zazdraszczam serdecznie też.

Bym wiedział, że w pudle jesteście, bym wam pomógł. Odszukałbym was. Prędzej byście z kolan wstali.

ŻOŁNIERZ III Ta noga –

WAŃKA WSTAŃKA Noga.

Znacie tę historię? Jak to na drogę rozstaju spotyka się smok i czarownik, znacie to?

ŻOŁNIERZ III Nie, panie generale.

Krzyk.

WAŃKA WSTAŃKA Na drogę rozstaju, dajmy na to w Małopolsce, spotyka się smok i –

Krzyk.

WAŃKA WSTAŃKA Ponoć Rosjanie twierdzą, że Mars może być zamieszka-ny. Kanały cudem techniki, wody odcienie i ślady. I ludzie na Marsie są tacy jak my, ino niżsi i pokryci piórami. Ładne bzdury, co?

ŻOŁNIERZ III Czy pan generał wie, co stało się z żołnierzem osiemset?

WAŃKA WSTAŃKA Debile – że Mars jest zamieszka-ny!

Słuchajcie, podobno ktoś słyszał, jak żeście na tej trąbeczce grali. Ktoś mi szepnął, że możecie być jako muzycznie przydatni, co powiecie? Od czasu do czasu w zamian za – byście grali. Na przodku nie pójdzicie, tyle wam mogę obiecać.

ŻOŁNIERZ III W mundurku paradnym mamie ciało wysłali. A trumnę ziemią dociążyli, żeby waga się zgadzała. Obcej ziemi sypali.

WAŃKA WSTAŃKA Powiedzcie, zagracie? Na trąbeczce, zagracie?

ŻOŁNIERZ III Obcej ziemi sypali.

WAŃKA WSTAŃKA Ziemi sypali! Mówi: ziemi sypali!

Wojna jest przecież! A na wojnie się o ziemię rozchodzi zawsze! Po to się idzie na wojnę, żeby ziemi nakasać, nagrabić! Żeby ziemi uszczknąć, choćby w trumnę nabrać; otulić ziemią człowieka.

Powiedzcie, jesteście po stronie ludzi czy żywych?

Krzyk.

WAŃKA WSTAŃKA Dlaczego nie odpowiadacie? Dlaczego nie chcecie grać?

Zagrajcie nam.

ŻOŁNIERZ III Myślę.

WAŃKA WSTAŃKA Zaraz potrenujecie niedyskrecję!

ŻOŁNIERZ III Bo myślę, panie generale.

WAŃKA WSTAŃKA Dlaczego nie krzyczycie? Za ludźmi jesteście czy za żywymi, po czyjej stronie?

ŻOŁNIERZ III Myślę, panie generale.

WAŃKA WSTAŃKA Jeśli żywo będziecie grali, wojna z was ludzi robi. Trochę was pożywi i trochę pomartwi.

ŻOŁNIERZ III Tym samym samolotem wysyłają dzinsy zdobyczne i buty na podeszwie gumowej, i trumny z ciałami.

WAŃKA WSTAŃKA Inaczej spójrzcie: co by było, gdyby wszyscy żołnierze tak kręcili nosami? Co? Co by było, gdyby wszyscy tak grymasili?

ŻOŁNIERZ III Nie grymaszą, panie generale.

WAŃKA WSTAŃKA Ja wiem. Ale co mam zrobić, waszym zdaniem? Wojny się wyrzec kochanej, bo jednemu coś tam się stało? Można równie dobrze gadać, że powinniśmy przerwać walkę, bo kogoś tam zabito. To jakiś absurd.

ŻOŁNIERZ III Nie twierdę – ja mówię tylko: cena nieadekwatna. Dzinsy dostałem na jedną nogę. Po co mi druga nogawka? Po co mi wasze nogawki, po co mi dzinsy wasze gotowane? Jak noga –

WAŃKA WSTAŃKA Co: noga? Mówi: noga. Co: noga, jak pajak na ścianie, co: noga?

Spytajcie ochmistrza, który jest najmądrzejszym żołnierzem, z jakim gadałem, czy zna co przyjemniejszego niż wojna. Spytajcie go ino. Spytajcie. Bo skoro nie trzeba wojen, to różne są po co kraje? Czemu nie jeden tylko? Czemu się mówi różnymi językami, jeśli nie chce się różnić, a?

Macie wielkie okazje tutaj. Wielkie okazje. Nieczęsto się spotyka tylu ludzi, których warto by zabić. Myślcie trochę za siebie.

ŻOŁNIERZ III Ja już jesienią za siebie myślałem; ja mam już wszystko swoje dawno przemyślane. Ja teraz myślę za swoje sprzęty domowe. Ja myślę teraz za te dzinsy gotowane. Za trumnę dociążoną myślę teraz. Za płaszczyk podbity myślę: żołnierz ma trzy marzenia, po pierwsze –

WAŃKA WSTAŃKA W nędzy byście żyli, w pustkę kłapali zębami, a tak macie trąbeczkę. Dajcie nam jakie życie.

Wy wyjdziecie na ludzi – już was wojna załatwi, tak po ludzku całkiem. Cały czas narzekacie na to, co nazywamy porządkiem i hierarchią; ale wiedzieć musicie, że to wszystko jak wszystko na wojnie ma swój cel – czujność. Gównu jest wart człowiek, który nie potrafi być czujny. Jeśli czujności braknie, ktoś was zajdzie od tyłu. W pewnym miejscu na Kre- cie, koledzy wam opowiedzą, tam jest kilkadziesiąt grobów, taka prawda. I są tam dlatego, że jeden z muzyków spać poszedł w trakcie koncertu. Jakby wyglądała kultura polska gdyby nie czujność? Nasze domy ro- dziny nasz świat? Nasi pianiści trębacz po bezdrożach się turlają dzień i noc, dzień i noc po bezdrożach dzień i noc.

Zagracie „Krew na zagonku”? Melodia wesoła, bawialna. Polakom się wszystkim podoba. Zagracie?

Co się dzieje w tej kompanii! Matel! Matel!

Pojawia się Mysz Nakręcana.

WAŃKA WSTAŃKA Gdzie jest wasza bluza robotnicza, Matel?

Pojawiają się inne zabawki.

WAŃKA WSTAŃKA Kto chce się bawić w wojnę a kto w gości a kto w bal?

ŻOŁNIERZ I A gdyby tak w gości i w wojnę i w bal?

ŻOŁNIERZ II A gdyby tak i w wojnę i w gości i w bal?

Żołnierz III gra na trąbeczce.

8.

NAKRĘCANA MYSZ

Siekierka motyka piłka szklanka w nocy nalot w dzień łapanka
 siekierka motyka piłka gwóźdź masz tu Żyda i mnie puść
 a jak nie masz tysiąc złotych i się Niemiec dowie o tym
 siekierka motyka piłka linka tam Jedwabne tu Treblinka

TANCERECZKA PORCELANOWA Chleb dźwiękowiec czarny! Czarny chleb
 dźwiękowiec marki Polska Walcząca!

NAKRĘCANA MYSZ

Entliczek, pentliczek, stoliczek pokażny
 a na tym stoliczku chleb kroję uważnie;
 entliczek, pentliczek w tym pokażnym słońcu
 chleb jako łąkoć zjadamy na końcu.

Entliczek, pentliczek to misterium całe – a – a – a
 na kogo wypadnie na tego wypadnie.

TANCERECZKA PORCELANOWA Polska Fasola Walcząca! Polska Fasola
 Walcząca!

NAKRĘCANA MYSZ

Tu na placu Broni żołnierze warzyli sobie kaszkę,
 swoich ludzi karmili, obcych jak ich naszło;
 temu dali w garnuszczyku, temu dali w rondelczku,
 temu dali na miseczce, temu dali na łyżeczce,
 a niektórym nic nie dali.

Językiem łamanym obiecywali „spory chlebek”, a wcale duże bochny
 rozdawali.

TANCERECZKA PORCELANOWA Bojowe warzywa ojczyźniane, warzywa
 ojczyźniane bojowe, warzywa ojczyźniane.

NAKRĘCANA MYSZ

Entliczek, pentliczek, stoliczek pokażny,
 a na tym stoliczku chleb kroję uważnie,
 entliczek, pentliczek, w tym potężnym słońcu,
 chleb jako łąkoć zjadamy na końcu,
 entliczek, pentliczek, to misterium całe.

Entliczek, pentliczek, czerwony guziczek,
 na kogo wypadnie, na tego wypadnie.

TANCERECZKA PORCELANOWA Bojowe warzywa ojczyźniane, warzywa
 ojczyźniane bojowe, warzywa ojczyźniane

NAKRĘCANA MYSZ Ubój odbywał się poprzez oddzielenie kręgosłupa szyj-
 nego od czaszki za pomocą silnego uderzenia: śmierć następuje mo-
 mentalnie – jak fajnie. Pozytywnie wpływa gardła nacięcie, opróżnienie
 pęcherza, oczywiście zwierzę głową do góry, głową do góry, głową do
 góry – jak inaczej?

Dzięki takim sztuczkom z królikami żeśmy niejedną wojnę przetrwali.

TANCERECZKA PORCELANOWA Bojowe warzywa ojczyźniane, warzywa
 ojczyźniane bojowe, warzywa ojczyźniane.

ŻOŁNIERZE Ciuciubabko, ciuciubabko, łap nas, łap nas!

Okręcają Nakręcaną Mysz.

NAKRĘCANA MYSZ Kto jest po stronie ludzi, a kto po stronie żywych?

ŻOŁNIERZ II A powiesz Stalin? Sta-lin! Sta-lin kaputt, powiesz? Coś jej
 świta, ale nie wie, w którym dzwoni.

Kaputt, powiesz? Niech żyje wielka Polska, powiesz?

NAKRĘCANA MYSZ Kto jest po stronie ludzi, a kto po stronie żywych?

ŻOŁNIERZ I Chrzęszcz w trzcinie powiesz?

ŻOŁNIERZ II Trzeba im nieść kaganiec.

ŻOŁNIERZ III Ząb zupa zębowa, powiesz? Ząb zupa zębowa, powiesz?

WAŃKA WSTAŃKA Do apelu poległych –

Odliczanie.

WAŃKA WSTAŃKA Pan jest po stronie poległych czy żywych?

Trzeba się w życiu ustawić – albo po stronie żywych, albo – no wła-
 śnie –

Odliczanie,

GŁOS DZIECIĘCY I prowadź mnie, gdy gdzieś mi śpieszno.

GŁOS KOBIECY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

GŁOS DZIECIĘCY Uchowaj mnie przed śmiercią śmieszna.

9.

ŻOŁNIERZ II Kolega wybierze sobie inną ścianę.

ŻOŁNIERZ III Co?

ŻOŁNIERZ II Kolega wybierze sobie inną ścianę. Są cztery ściany. Nie mu-
 simy w jedną się gapić. Ta jest moja. Ja pierwszy się w nią wgapiałem.
 Chcę mieć coś własnego tu i mam o, tę ścianę.

ŻOŁNIERZ III Pająk na ścianie.

ŻOŁNIERZ I Co: pająk na ścianie. Mówi: pająk na ścianie. Co pająk na
 ścianie, jak do człowieka człowiek. Co: pająk na ścianie.

ŻOŁNIERZ II Wy, kolego, jesteście po stronie ludzi czy żywych?

ŻOŁNIERZ III Ja jestem – no, nic, co ludzkie, jak to było? Kolego, jak to
 było z nimi?

ŻOŁNIERZ I Co: pająk na ścianie, skoro do człowieka człowiek? Ściana.
 Co: ściana?

ŻOŁNIERZ II Jeżeli panu jest lekko, to potem dociążymy.

Ja szedłem na wojnę osobiście jako żywy, ale teraz chyba jestem po
 stronie ludzi. Czy Ordon, jak się kolegom wydaje –

ŻOŁNIERZ I Trzeba być po stronie, kolego: do człowieka człowiek, do czło-
 wieka człowiek.

Musi się pan opowiedzieć.

Niech się pan opowie.

Proszę przestać grać.

Proszę przestać.

ŻOŁNIERZ II Czy Ordon, jak się kolegom wydaje, zginął w trakcie obrony
 reduity czy odwrotnie?

ŻOŁNIERZ III Wy, kolego, jesteście po stronie ludzi czy żywych?

10.

Ciemno.

GŁOS KOBIECY W naszym piecu pokojowym zrobiły się szpary – szpary się zrobiły w naszym piecu pokojowym.

Próbowałam gliną, kitem, papką z białka, w naszym piecu pokojowym.

Światła latarki jak przy nagonce.

GŁOS KOBIECY Powiesz, jak się nazywasz, i jesteś wolny.

GŁOS MĘSKI Powiesz, jak się nazywasz, i jesteś wolny.

GŁOS KOBIECY Powiesz, jak masz na imię?

GŁOS MĘSKI Powiesz, jak się nazywasz, i jesteś wolny.

GŁOS KOBIECY Powie. Nie powiesz?

GŁOS MĘSKI Jezu!

GŁOS KOBIECY Życzę panu i pańskiej rodzinie zdrowia folgi namiętności także serdecznie wesołych świąt w roku wszystkiego szczęśliwego żeby zdrowie żeby życie żeby coś kiedyś jeszcze gdzieś w świecie jeśli los dopisze scenariusze dla ludzi i żywych.

MĘSKI GŁOS Niech to dziecko się już w wojnę nie bawi!

GŁOS DZIECIĘCY Bo wdepnę! Brakuje!

GŁOS KOBIECY Co znowu?

GŁOS DZIECIĘCY Mama, bo brakuje paru!

GŁOS KOBIECY Pochowaj. Nie, słyszysz? Pochowaj. Nie ma takiego rozrzućcia! Co to za rozrzućcie? Mateusz, nie tak, porządnie! Nie ma takiego rozrzućcia! Nie ma takiego rozrzućcia zabawek! Nie ma takiego rozrzućcia!

GŁOS DZIECIĘCY Mama, a brakuje! A brakuje! Brakuje mi paru! Wszystko się poprzewracało!

Odliczanie.

K O N I E C

ROZMOWA Z
WERONIKĄ MUREK

To sobie wreszcie pożyją

KIEDY ROZMAWIALIŚMY PÓŁTORA ROKU TEMU O „FEINWEINBLEIN”, TO POWIEDZIAŁAŚ, ŻE W DZIECIŃSTWIE MIAŁAŚ „POTWORY PRZESYT DISKUSJAMI PRZY ŚNIADANIACH NA TEMAT POWODZENIA LĄDOWANIA W NORMANDII”. A TU, PROSZĘ, PISZESZ SZTUKĘ O MARZENIACH O DE-SANCIE...

Tak, ale żadna ze sztuk, które pisałam, nie była o wojnie, tylko o bezwojniu – i ta sztuka też taka jest. Także o tym przesycie wojną; o tym, że to wzajemne nagabywanie się – będzie wojna, panie Włodku? trzmielisko latają – weszło już w jakiś obieg, groza spasowała, jeszcze moment i w kolorowych gazetach pojawią się reklamy: „Idzie wojna, kup parasol; Paryż, pani Krystynko, już spłonął, ale za to pojawiły się ciekawe last minuty do Marsylii”.

„KTO MIEĆ CHCE Z WOJNY GROSIK. MUSI JEJ TEŻ DAĆ COSIK” – MÓWIĄ W „MATCE COURAGE”, A U CIEBIE WAŃKA WSTĄNKA ZAWODZI „WOJNA [...] TROCHĘ WAS POŻYWI I TROCHĘ

POMARTWI”. CO CZYTAŁAŚ, PRACUJĄC NAD DRAMATEM?

Zupełnie o *Matce Courage* nie myślałam. Zresztą, w tej sztuce bardziej niż wojna i bardziej niż podział na żołnierzy i cywili interesował mnie podział na ludzi i na żywych, według starego wiedeńskiego przysłowia, że trzeba umrzeć, żeby sobie pożyć; czyli jakaś fascynacja śmiercią, oddawaniem życia – celowo więc nie dzielę na ludzi i na martwych, tylko odwracam ten porządek w myśleniu bohaterów. Kluczowym momentem był więc dla mnie raczej moment ustawiania figur na szachownicy, w których nie król, nie królowa odgrywają jakąkolwiek rolę, tylko figura trumny-trumienki szachuje wszystkich, bo porusza się we wszystkie strony – także do przodu.

To oczywiście nie jest sztuka o tym, żeby nie dawać się dzieciom bawić żołnierzykami, bo od tego dostaną apetytu na wojnę. Prędzej sztuka o tym, że dawno wojny nie było i młodzi chłopcy



Weronika Murek (ur. 1989) jest laureatką przedostatniej Gdynskiej Nagrody Dramaturgicznej za tekst *Feinweinblein* (druk. „Dialog” nr 7-8/2015); słuchowisko na jego podstawie dla Teatru Polskiego Radia wyreżyserował Paweł Łysak. Jej debiut prozatorski *Uprawa roślin południowych metodą Miczurina* (2015), nominowany do Paszportów „Polityki”, Nagrody Literackiej Nike, Nagrody Literackiej Gdynia oraz Nagrody Conrada, otrzymał Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza (ex aequo z *Solfatarą* Macieja Hena). W grudniu 2015 w Teatrze Śląskim w Katowicach odbyła się premiera *Sztuki mięsa* jej autorstwa w reżyserii Roberta Talarczyka. W grudniu 2016 czytanie tej sztuki w ramach organizowanego przez Wrocławski Teatr Współczesny Festiwalu Dramatu przygotowała z aktorami Teatru im. Modrzejewskiej z Legnicy Agata Duda-Gracz.

szukają sposobu spędzania wolnego czasu, a wojna kojarzy im się z czymś ekscytującym albo czymś, na czym można dobrze zarobić. Ale przede wszystkim wojna w tym tekście jest katalizatorem – najprostszym – do podziału właśnie na żywych i nie-żywych, a ten temat mnie interesuje bardzo.

Jest też takie wiedeńskie inne przysłowie: o tym, że w Austrii trzeba umrzeć, żeby mieć spokój. Otóż, w Polsce to zupełnie, jak wiesz, nie działa.

JEŚLI SIĘ NIE CIESZĘ NA WOJNĘ, TO TEŻ JESTEM POLAKIEM DRUGIEJ KATEGORII?

Ja mam nadzieję, że ja jestem kategorii D albo F, jeśli koniecznie trzeba mieć jakąś kategorię. Jeśli ma być wojna, to nie można sobie żałować na literze – kategoria A w wojsku to jednak trochę słabo.

MÓWISZ, JAKBYŚ NIGDY NIE BYŁA ZUCHNĄ I NIE STARAŁA SIĘ O SPRAWNOŚĆ „ZAWISZAKA”. KRZYCZAŁAŚ Z RÓWIEŚNIKAMI „RAZ, DWA, TRZY, NIEPRZYJACIEL PATRZY”...?

Nigdy. (śmiech)

A JAK PRZEBRNĘŁAŚ W SZKOLE PRZEZ LEKCJE POLSKIEGO POŚWIĘCONE LITERATURZE POWSTAŃCZEJ?

Moja mama jest nauczycielką polskiego i okazuje się, że literatura wojenna jest jedyną czasem literaturą, która jeszcze do młodych trafia: mówią, no dobrze, w szkole uczą, że wojna jest zła, ale mimo wszystko – to literatura

„jakoś tam przygodowa”, podłóż pod to brak doświadczenia wojny, to jest wojna jako doświadczenie popkulturowe; hełm wypastowany, namiot, w którym generał przyjmuje adiutanta whisky skitraną w bucie, „na Zachodzie bez zmian, panie sierżancie” – to wszystko wydaje się atrakcyjne: no fajnie, i trochę gadania o Polsce, i całkiem sporo turlania po ziemi.

CZYM JEST „ŚMIESZNA ŚMIERĆ”, PRZED KTÓRĄ CHCĄ SIĘ UCHRONIĆ MODLITWĄ DZIECI Z TWOJEGO TEKSTU?

Celowo nie daję w tekście odpowiedzi na pytanie, bo uważam, że każdy z bohaterów ma inną definicję śmiesznej śmierci, i na tym się to ich wzajemne niedogadywanie – a tym samym i sztuka – zasadza.

A CZY „W NASZYM PIECU POKOJOWYM” NIE JEST PRZYPADKIEM DRUGIM AKTEM „FEINWEINBLEIN”? W „FEINWEINBLEIN” DOROŚLI MIESZKAŃCY PROWINCJONALNEGO MIASTECZKA PRÓBOWALI SOBIE UŁOŻYĆ ŻYCIE PO WOJNIE. TU MIELIBYŚMY DO CZYNIEŃ Z ICH DZIEĆMI, KTÓRZY NIE MAJĄ FRAJDY ZE SŁUCHANIA RADIA W ŚWIETLICY, A PO PROSTU BAWIĄ SIĘ POZA NIĄ – I BAWIĄ SIĘ W WOJNĘ. JAK ZAWSZE.

Ale my się wszyscy teraz bawimy w wojnę trochę.

Rozmawiał Piotr Olkusz

Kino Dobrej Zmiany

• KORNELIA SOBCZAK •

1.

Kino Dobrej Zmiany stało się Kinem Dobrej Zmiany, gdyż zostało jako takie zauważone i zaklasyfikowane przez recenzentów. „Dobra zmiana» dotarła także do kina” – obwieścił 4 marca 2016 roku Jakub Majmurek na łamach

Autorka jest absolwentką Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. W Zakładzie Historii Kultury Instytutu Kultury Polskiej przygotowuje pracę doktorską na temat recepcji *Kamieni na szaniec* Aleksandra Kamińskiego.

„Dziennika Opinii”, rozpoczynając w ten sposób swoją recenzję *Historii Roja* Jerzego Zalewskiego¹. Zawtórował mu, nie do końca chyba retorycznym, pytaniem Łukasz Muszyński, redaktor portalu Filmweb: „Czy tak będzie wyglądać dobra zmiana w pol-

skim kinie?”². Sam zaś Antoni Krauze, reżyser *Smoleńska*, podsumowując lata wcześniejszych kłopotów z produkcją i finansowaniem filmu, wyznał w wywiadzie dla radia RMF, że „«Dobra zmiana» to spowodowała, że ten film jest już gotowy i mogłem go pokazać”³.

A więc, po pierwsze, Kino Dobrej Zmiany wyróżnić możemy za sprawą tematu, jaki bierze na warsztat. Choć w sensie faktycznym niewiele łączy powojenną antykomunistyczną partyzantkę i katastrofę w Smoleńsku, to przecież w sensie symbolicznym, ideowym a także politycznym łączy je bardzo wiele. Polityka historyczna jest jednym z filarów „dobrej zmiany” i misji ideowej nowego rządu, a za-

dawałające (kogo, to osobna historia) wyjaśnienie katastrofy (zamachu?) w Smoleńsku – jedną z obietnic nowej władzy. O tym zaś, że spór wokół tego, co wydarzyło się 10 kwietnia 2010 roku oraz w miesiącach i latach następnych, jest osią konfliktu pomiędzy liberałami, elektoratem PO, szeroko rozumianą „lewicą”, tudzież frakcją „cieplej wody w kranie” i „postpolityki” z jednej, a elektoratem PiS, szeroko rozumianą „prawicą”, tudzież frakcją „śmierć wrogom ojczyzny” i „prawdziwych wartości” z drugiej strony, nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Pomiędzy latami czterdziestymi i pięćdziesiątymi a „naszymi” dwudziestego pierwszego wieku łatwo da się przerzucić pomost ideowej czy aksjologicznej genealogii.

Historia Roja jest więc filmem o duchowych dziadkach i ojcach, wzorach do naśladowania, antysystemowych (tym razem w sensie jak najbardziej dosłownym) patronach działalności w imię honoru, „niezłomnych” we wrogim świecie. *Smoleńsk* jest filmem o sobie samych, by nie rzec o rodzinie, a nawet o Rodzinie i to znów w sensie dosłownym – o bracie i bratowej Jarosława Kaczyńskiego, o rodzinach ofiar katastrofy i o wielkiej rodzinie smoleńskiej jednoczącej się wokół krzyża pod Pałacem Prezydenckim. Do tej „rodzinności” *Smoleńska* powróć we właściwym czasie. Można mnożyć oczywistości łączące oba tematy i oba filmy: swoiście rozumiana tradycja romantyczna, tytejska i martyrologiczna, mesjanizm, poczucie wpisania w narodową historię i poczucie obowiązku wobec tejże, kategoria wierności przez duże W, wierności wartościom też przez duże W i to Wartościom raczej duchowym i abstrakcyjnym niż zanurzonym w społecznym konkrety i materialno-cieleśnej rzeczywistości. Z mniej

oczywistych łączników: szaleństwo (romantyczne), poczucie wykluczenia i opuszczenia (opuszczeni czują się bohaterowie *Historii Roja*, wykluczeni – wyznawcy „religii smoleńskiej”, „obrońcy krzyża”, „szaleńcy z Krakowskiego Przedmieścia” i wszyscy nieusatysfakcjonowani oficjalnymi wyjaśnieniami zdarzeń z 10 kwietnia 2010 roku), pogarda – w przypadku żołnierzy niezłomnych to Herbertowska pogarda dla wszystkich „złomnych” (choć użył Herberta to temat na osobny esej), a w przypadku *Smoleńska* – liberalna, racjonalna, prozaiczna pogarda dla „obłąkanych Karusi” i „emerytowanych Siłaczek”⁴ spod Pałacu Prezydenckiego.

Oba tematy łączy też, dość nieoczekiwane, osoba Jerzego Zalewskiego, reżysera *Historii Roja*, który w wydanej w 2013 roku książce *Pod prąd. Przewodnik po IV Rzeczypospolitej* pisał, że katastrofa smoleńska zakończyła okres Czwartej RP (nie wiedząc jeszcze wtedy, że zmartwychwstała ona w roku 2015), czyli okres, w którym „historia na krótko dała nam nadzieję na godny kraj”, a który „obfitował przywracaniem pamięci o naszej historii, odwagą postaw ludzkich, potrzebą odbudowy właściwej hierarchii wartości, zrujnowanych w latach dziewięćdziesiątych”⁵. Zalewski wydał zresztą nie tylko dwa tomy „przewodników po Czwartej RP”, ale także *Dwa kolory* – zapis rozmów z filmu pod tym samym tytułem powstałego na zlecenie prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego⁶, rozmów o roz-

¹ Jakub Majmurek *Kino programowej bezmyślności*, Dziennik Opinii, <http://www.krytykapolityczna.pl/20160304/majmurek-historia-roja> (dostęp 20 listopada 2016).

² Łukasz Muszyński *Dobra zmiana?*, Filmweb, <http://www.filmweb.pl/reviews/Dobra+zmiana-18419> (dostęp 20 listopada 2016).

³ Antoni Krauze: *W „Smoleńsku” nie używam słowa „zamach”, ale to nie był zwykły wypadek komunikacyjny*, RMF24, <http://www.rmf24.pl/tylko-w-rmf24/poranna-rozmowa/news-antoni-krauze-w-smolensku-nie-uzywam-slowa-zamach-ale-to-nie-nld,2265916?f=1&filter=4>, (dostęp 20 listopada 2016).

⁴ Określenia Dariusza Kosińskiego, *Teatra polskie. Rok katastrofy*, Znak, Kraków 2013, s. 253.

⁵ Jerzy Zalewski *Pod prąd. Przewodnik po IV Rzeczypospolitej*, Wydawnictwo 2 kolory, Warszawa 2013, s. 7.

⁶ Tak dosłownie: „W 2003 roku zrealizowałem film pt. *Dwa kolory*. Film powstał na zlecenie partii Prawo i Sprawiedliwość, a konkretnie Jarosława Kaczyńskiego”, *Dwa kolory. Rozmawia Jerzy Zalewski*, Wydawnictwo 2 kolory, Warszawa 2015.

czarowaniu procesem transformacji i Trzecią Rzeczypospolitą.

Rozczarowanie to nie jest jednak ani podejmowanym chętnie na lewicy rozczarowaniem socjalnym (lub nie jest wprost jako takie określane), ani zwracaniem uwagi na pokrzywdzonych ekonomicznie i wykluczonych symbolicznie, ani wreszcie narracją o wypieraniu „solidarności” przez „wolność”, rozumianą szeroko, choć najczęściej w kategoriach (neo)liberalnych. Jest rozczarowaniem światem, gdzie „tradycyjne wartości” zastępowane są arogancją i pochwałą postpolitycznej sprawczości, bezideowej sprawności. Interesująca jest zbieżność prawicowego i lewicowego rozczarowania „pychą Trzeciej RP”⁷ przy odmienności diagnoz oraz recept. „Dlaczego przegrywamy? Dlaczego państwo nie jest nasze?” – pyta Jerzy Zalewski w *Dwóch kolorach*, a przecież pytanie takie mogliby sobie zadawać członkowie redakcji „Dziennika Opinii”, zarządu partii Razem, kobiety, osoby starsze i niepełnosprawne, prekariusze wszystkich profesji czy wyzyskiwani pracownicy.

Na marginesie dorzucę, że jest jeszcze jedno połączenie personalne pomiędzy *Smoleńskiem* a *Historią Roja*, w osobie Michała Lorenca, który skomponował muzykę do obu filmów i zyskał sobie tym samym łatkę/odznakę „kompozytora Dobrej Zmiany”.

Posługując się kryterium tematycznym, do Kina Dobrej Zmiany można by zaliczyć też *Wołyń* Wojciech Smarzowskiego. Jeśli polityka historyczna jest jednym z filarów rządów PiS, to zbrodnia wołyńska – jednym z filarów, czy też „ulubionych” tematów tej polityki, eksplorującej obszary dotąd niejako peryferyjne wobec główne-

⁷ Tamże, s. 7.



HISTORIA ROJA, REŻ. JERZY ZALEWSKI, POLSKA 2016, FOT. DR WATKINS

go źródła martyrologii polskiej, czyli drugiej wojny światowej, okupacji niemieckiej, powstania warszawskiego, czy zbrodni stalinowskich.

Dość powszechnie zgadzamy się, że rok 2004 i otwarcie Muzeum Powstania Warszawskiego pod patronatem ówczesnego prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego jest początkiem „wzmocnienia patriotycznego” i więk-

szej widzialności polityki historycznej, jej obecności w sferze publicznej i obiegu (pop)kulturalnych. Powstanie warszawskie jest wykorzystywane instrumentalnie, wpisywane w polityczne narracje, ale jednocześnie – jak zauważył niedawno Marcin Zaremba – już się trochę zużyło. Również „przywracanie pamięci” o żołnierzach wyklętych nie jest zjawiskiem całko-

wicie nowym i trwa właściwie przez cały okres po 1989, choć popularność „niezlomnych” wzmożła się w ostatnich latach jako prawicowa opowieść o historii wobec nie dość prawicowego powstania. Podobnie jest z historią rzezi wołyńskiej – badania historyczne i prace popularyzatorskie na jej temat publikowane są od dawna, jednak jej zintensyfikowana obecność w dyskur-

sie publicznym to sprawa dosłownie ostatnich paru lat.⁸

Po drugie, filmy *Dobrej Zmiany* mają predylekcję do charakterystycznych perypetii instytucjonalnych, które opisać by można za pomocą heglowskiej triady festiwalowych kontrowersji. *Historia Roja* nie została wybrana do głównego konkursu festiwalu filmowego w Gdyni, co wywołało list protestacyjny samego ministra kultury Piotra Glińskiego, a więc interwencję stricte polityczną. *Smoleńsk* został na tym festiwalu, poza konkursem, ale na specjalnym seansie, pokazany, co wywołało protesty środowiskowe, ale spotkało się z pochwałą ministra. *Wołyń*, przegrywając, zdaniem krytyków, z godnymi przeciwnikami, nie dostał na festiwalu żadnej z głównych nagród co poskutkowało specjalną nagrodą prezesa TVP, której z kolei reżyser nie zgodził się przyjąć w narzuconych mu okolicznościach. Teza, antyteza, synteza – nie ostatni raz duch Hegla unosi się nad Dobrą Zmianą. Te kontrowersje są istotne, bo osadzają omawiane produkcje w społecznym kontekście. W kontekście tym data premiery nośniejsza jest interpretacyjnie niż czas rozpoczęcia produkcji (a o produkcyjnych zawiłościach będzie za chwilę), filmy zaś, a zwłaszcza takie filmy, nie są autonomicznymi tekstami kultury, ale funkcjonują w związku z bieżącą sytuacją polityczną i społecznymi nastrojami.

Jeśli więc film o żołnierzach wyklętych trafia do kin zaraz po hucznie obchodzonym Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych, w atmosferze inspirowanej odgórnie nacjonalistycznej mobilizacji, a minister kultury reaguje na brak kwalifikacji tego filmu do kon-

kursu głównego w Gdyni specjalnym stanowiskiem, „zdumieniem i rozczarowaniem”, argumentując szczególnie jakoś *Historii Roja* „wagą tematyki”⁹, którą ów film podejmuje, to trudno żeby takie dzieło nie zostało powiązane ze sprawującą obecnie władzę opcją polityczną. Jeśli twórcy *Smoleńska* jeszcze na etapie produkcji mówili o swoim filmie jako o krucjacie przeciwko „oficjalnej” wersji wydarzeń; jeśli zagrali tam aktorzy związani ze środowiskami raczej, albo i wprost prawicowymi (także dlatego, że wielu innych aktorów odmówiło Antoniemu Krauze); jeśli patronatem medialnym objęły *Smoleńsk* jednoznacznie prawicowe i prorządowe media (jak tygodnik „wSieci”), a kłopoty finansowe filmu, brak dotacji z PISF i walkę o jego ukończenie daje się prześledzić w narrację o „wiadomym stosunku kręgów państwowych do kwestii katastrofy smoleńskiej i jej wyjaśnienia”¹⁰, a więc, nieco tylko wulgaryzując, w opowieść o walce o niewygodną prawdę z rządem Platformy Obywatelskiej i „innymi czynnikami”; jeśli premiera, planowana początkowo na kwiecień 2014 roku, doszła do skutku ponad dwa lata później, jesienią roku 2016, a więc niemal w pierwszą rocznicę *Dobrej Zmiany*, to trudno, żeby film nie uchodził za dzieło o wyrazistej przynależności politycznej i wymowie ideowej. A wreszcie, jeśli film o rzezi wołyńskiej, który zaczął powstawać jeszcze przed zmianami politycznymi

9 Stanowisko ministra Piotra Glińskiego dostępne na stronie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego <http://www.mkidn.gov.pl/pages/posts/stanowisko-ministra-kultury-i-dziedzictwa-narodowego-ws.-pominięcia--historii-roja--na-festiwalu-filmowym-w-gdyni-6524.php> (dostęp 20 listopada 2016).

10 Cyt. za: Grzegorz Rzeczkowski *Dokreślanie „Smoleńska”*, „Polityka” z 5 września 2016, <http://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/kraj/1614875,3,premiera-filmu-smolensk-jaka-wizje-historii-zobaczmy-na-srebrnym-ekranie.read> (dostęp 20 listopada 2016).

8 Por. Marcin Zaremba *Wyblakłe powstanie i chłopaki z lasu*, *Dziennik Opinii*, <http://www.krytykapolityczna.pl/artykuly/opinie/20160301/zołnierze-wykleci-prawda-mit>, (dostęp 20 listopada 2016).

na Ukrainie¹¹ (i zmianą partii rządzącej w Polsce) wchodzi do kin kilka miesięcy po tym, jak Sejm RP przyjął uchwałę ustanawiającą 11 lipca „Narodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na obywatelach II RP”, to mamy do czynienia z sytuacją, w której kontekst polityczny nieuchronnie wpływa na sposób recepcji dzieła artystycznego.

Wszystkie wymienione tu filmy borykały się z problemami finansowymi i kłopotami na etapie produkcji i postprodukcji, w związku z czym powstały dość długo, daty premiery były zaś, jak w przypadku *Smoleńska*, wciąż odkładane. Ba, zdjęcia do *Historii Roja* zaczęły się już w 2009, a zakończyły w 2010 roku, później szukano środków na dokończenie produkcji. Wszystkie trzy filmy szukały pozapaństwowych sponsorów i prywatnego mecenatu. Nie jest to sytuacja jakoś szczególnie wyjątkowa w przypadku polskiej kinematografii, ale przecież dająca się zgrabnie wpisać w narrację o „blokowaniu”, „walce z systemem”, trudnym dążeniu do prawdy ekranu, którą to narrację chętnie wybrali dla siebie Antoni Krauze i Jerzy Zalewski.

Po trzecie, *Kino Dobrej Zmiany* cechowała dość krytyczna, oględnie mówiąc, recepcja, co więcej, byłby to, a nawet jest, krytycyzm ponad politycznymi czy ideowymi podziałami. Nie ma chyba większego sensu przytaczanie co zjadliwszych fragmentów recenzji, dość powiedzieć, że to, co wzbudziło szyderstwo na (szeroko rozumianej) „lewicy”, było też powodem rozczarowania i niezadowolonia na (szeroko rozumianej) „prawicy”. Przedmiotem krytyki stało się przede wszystkim niesatysfakcjonu-

jące spotkanie ważkiej treści z ułomną formą – powszechne było (uwaga, poszlaka w słowie „powszechne”) przekonanie, że temat antykomunistycznego podziemia (i w mniejszym zakresie – katastrofy smoleńskiej) zasługiwał na lepszą oprawę formalną, a przynajmniej na solidniejsze rzemiosło filmowe. Obu dziełom zarzucano bowiem błędy na poziomie artystycznego abecadła: mielizny scenariuszowe i fabularne, nierówne tempo, słaby montaż, lichą jakość obrazu, nieprzekonujące aktorstwo (dostało się zwłaszcza samemu Rojowi granemu przez debiutującego na ekranie Krzysztofa Zalewskiego-Brejdyganta i Beacie Fido w roli dziennikarki TVM Niny). A ponieważ oba filmy wchodziły do kin pod patronatem *Dobrej Zmiany*, stały się, a zwłaszcza *Smoleńsk*, przedmiotem praktyki oglądania szyderczego i „dla beki”. Chyba jednak nie tylko z czystej przekory czy odbiorczego oporu wobec, co tu dużo mówić, propagandowej kampanii władzy, ale także, a może właśnie dlatego, że pojawiły się na ekranach w charakterze okrętów flagowych nowej polityki kulturalnej i jako takie wymagały sprawdzenia. Sprawdzenia tego, co mówi o sobie obecna władza, i tego, co jej wyborcy pragną usłyszeć.

Jednocześnie pojawiały się też głosy (których prawdziwość w wymiarze statystycznym trudno mi zweryfikować), że zarówno na *Smoleńsk*, jak i na *Historię Roja* „zaganiana” była młodzież szkolna, pompując w ten sposób frekwencję seansów.¹² Nieco na marginesie – splot wszystkich trudnych tematów, takich jak rządowa propaganda, manipulo-

12 O tym, że starosta z PiS zaszponował bilety dla uczniów ze szkoły w Jarocinie, donosił serwis TVN24, zadając pytanie o „indoktrynację młodzieży”. <http://www.tvn24.pl/poznan,43/uczniowie-do-kina-na-smolensk-bilety-sponsoruje-starosta-z-pis,676721.html> (dostęp 20 listopada 2016).

11 Wojciech Smarzowski zaczął pisać scenariusz filmu o wydarzeniach wołyńskich na przełomie 2011 i 2012 roku, wg informacji podanych na stronie <http://filmwo-lyn.org/>.



wanie informacjami, pogarda wobec wykluczonych i wykluczanych (w tym przypadku: kobiet), polityka symboliczna i realne ciała, buta władzy, ale i zakres jej ambicji, społeczny opór i kwestia zarówno Smoleńska, jak i *Smoleńska* oraz Krakowskie Przedmieście w Warszawie jako scena tak narodowych, jak i społecznych performansów – wszystko to znalazło zwięzły wyraz w internetowym „memie”, jaki pojawił się w sieci 3 października 2016 roku, w dniu Czarnego Protestu.¹³

Z tej krytycznej recepcji znów wyłamuje się *Wołyń* jako film bezsprzecznie dobry formalnie. Nawet jeśli niektórzy z recenzentów chcieli zaklasyfikować go jako slasher czy rodzaj narcystycznego lubowania się w masakrze, nawet jeśli zarzucali mu epatowanie krwią, flakami i odciętymi kończynami – to nie mogli przecież

zarzucić filmowi Smarzowskiego nieporadności montażowej, niedobrych zdjęć, potknięć konstrukcyjnych, drewnianego aktorstwa czy bylejałości scenariuszowej, co zarzucano, powiedzmy to jeszcze raz – powszechnie i „od prawa do lewa”, zarówno *Historii Roja*, jak i *Smoleńskowi*.

Tak więc, po zwięzłym przedstawieniu głównych cech Kina Dobrej Zmiany, udowadniającym bezsprzeczną przynależność do tego nurtu *Historii Roja* i *Smoleńska*, a problematyczną *Wołynia*, możemy przejść do części analitycznej, czyli do przyjrzenia się temu, co można z tych filmów wyczytać, wyogłądać i wyinterpretować.

2.

Historia Roja pójdzie na pierwszy ogień jako film o chronologicznie najwcześniejszej dacie premiery, a i dla mnie osobiście najbardziej interesują-

cy. Że jest to film, by tak rzec, intersubiektywnie niedobry – nie ma się co rozpisywać, zostało to dostrzeżone i odnotowane w licznych recenzjach, także tych z prawej strony publicystki. Mógłby to nawet być film rozkosznie zły (Sam Peckinpah w charakterze kulawej analogii pojawiał się w tych recenzjach dość często), gdyby nie to, że jest na to zbyt długi i zbyt męczący. Niekończące się sceny walki i rozciągliwe strzelaniny mogłyby być nawet ciekawym pomysłem formalnym, można by je potraktować jako celowo przegięte, i nadmiarowe, kaskadowe sekwencje walk i potyczek można by czytać jako wizualny sposób opowieści o morfologii, fenomenologii czy dynamice działalności partyzanckiej. Jeśli w *Pamiętniku z powstania warszawskiego* Mirona Białoszewskiego bohaterowie ciągle „latają”, przykucają, „zlatują” i „podlatują”, rozróżniają „leciecie bez bomb i z bombami”, a w *Rojstach* Konwickiego żołnierze wyklęci (avant la lettre) ciągle tylko chodzą i chodzą po lesie, w błocie i śniegu, i w zasadzie nieustannie unikają konfrontacji zbrojnych, szukając miejsca na nocleg i kwaterunek, to dlaczego w *Historii Roja* nie mają latać straceńczo, patetycznie, romantycznie, w zwolnionym tempie, pod kulami i strzelając, rzucając się i biegnąc, odpalając lont dynamitu od papierosa i klnąc siarczyście, po żołniersku, a nawet, jak chce Jakub Majmurek, „po pańsku”¹⁴? Owszem, mogą i byłyby to jakiś sposób na opowiedzenie ich tragicznej historii (ba, i to jak tragicznej! Tragicznej w sensie zaczerpniętym z greckiej niemalże tragedii, tragicznej fatalnie i nieprzewidywalnie). Niestety, film nie składa się tylko z takich sekwencji. Samo opakowanie płyty

DVD z *Historią Roja* może wystarczyć za skrótową eksplikację tego, co jest nie tak z kultem żołnierzy wyklętych. Na okładce przedstawiony został żołnierz, bez twarzy, ale za to w pięknym mundurze, z naszywką „Śmierć wrogom ojczyzny” na ramieniu (moja pobieżna analiza źródeł ikonograficznych z epoki każe zaklasyfikować ją jako „prawdziwe zmyślenie”), z rzygającym na piersi i pistoletem w zaciśniętej pięści. „W hołdzie żołnierzom wyklętym” – napis pod tytułem nie pozostawia złudzeń co do intencji twórców. Potem obowiązkowe motto z Herberta: „Ponieważ żyli prawem wilka historia o nich głucho milczy”. (No już naprawdę, w 2016 roku można by znaleźć lepsze motto, bo wszystko, tylko nie milczy.) A z tyłu taki oto odautorski blurb:

Oni walczyli po wojnie z nowym, sowieckim okupantem, wiedząc, że istnieje rząd Polski w Londynie, że kategorie Bóg, Honor, Ojczyzna nie zostały zawieszone. Młodzi, tacy jak „Rój”, żyli mitologią wojny starszych braci. Nie byli nią zmęczeni. Weszli w drugą okupację, jakby się bawili w berka. Właśnie ta młodość „Roja” powinna być przekonująca dla dzisiejszego młodego widza.

No więc mamy tu wszystko: mitologia wojny i niemożność przekroczenia romantycznego paradygmatu honorowego umierania, kategorie „Bóg, Honor i Ojczyzna” traktowane jako aksjomaty i absoluty, wojna jako, już nawet nie „piękna męska przygoda”, ale zabawa w berka, apelacja do młodego pokolenia za pomocą prostego utożsamienia młodych wtedy z młodymi teraz. Ale kiedy zastanawiam się, co można by jeszcze napisać o tym filmie, żeby nie powtarzać słusznych rozpoznań i nie brnąć w oczywistości opozycji mili-

¹³ <http://memnews.pl/img/9854/rekordowe-kolejki-po-bilety-na-smolensk/>

¹⁴ Majmurek, op.cit.

tarnego z cywilnym, narodu ze społeczeństwem, destrukcji z konstrukcją, czarno-białego z szarym, elitarnego ze wspólnotowym, honorowego z empatycznym i tak dalej, to myślę sobie, że powinienam pozostać, no cóż – wierna retoryce prawej strony i pójść za wskazaniem Józefa Mackiewicza, że „tylko prawda jest ciekawa”, choć nie wiem, czy nas wyzwoli. A prawda, prawda ekranu, prawda pokazana w filmie Zalewskiego, jest taka:

– Że Polacy strzelali do Polaków, przy czym żołnierze Roja występują niemal zawsze w charakterze agresorów i inicjatorów tego strzelania i trudno naprawdę nie zauważyć niezwykle, wydaje mi się, eksponowanych białoczerwonych opasek na ramionach funkcjonariuszy nowej władzy. Owszem, mogą one być przewrotnym symbolem zdrady, krzyczącą o hańbie profanacji narodowych barw (w jednej ze scen w knajpie białoczerwone wstęgi oplatające kolumny na święto 1 maja są zresztą zaplecione odwrotnie – z czerwonym na górze), ale przecież nie sposób pominąć tego, o czym mówią najdobitniej, nieważne czy w zgodzie, czy wbrew intencjom reżysera: oto Polacy zabijają Polaków.

– Że funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa rekrutowali się z byłych żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, którzy w czasie okupacji mordowali Żydów, a potem koniunkturalnie bądź z braku opcji, przystali do nowej władzy, co metonimicznie pokazuje nam postać Wyszomirskiego (grane go przez Piotra Nowaka, najlepszego aktora w filmie). Były partyzant NSZ, a potem ubek Wyszomirski zostaje w pewnym momencie oskarżony przez komunistów o zamordowanie w 1943 roku grupy komunistów pochodzenia żydowskiego. Informację tę zresztą potwierdzają, w innym momencie filmu,

jego byli koledzy z lasu. Oskarżony Wyszomirski broni się histerycznym krzykiem, że przecież jak on mógł zabijać Żydów, skoro sam jest Żydem. „Jestem Żydem, jestem Żydem”, krzyczy desperacko wyciągany za fraki poza kadr, a ja zdejmuję czapkę przed diabolicznością tej konstrukcji i przewrotki fabularnej: oto jak w jednej scenie potwierdzić mit żydokomuny i jednocześnie rozliczyć polskie okupacyjne winy wobec Żydów. Oto Żydzisi są komunistami, a jeśli mordują ich polscy narodowcy, to okazują się Żydami, którzy przystali do narodowców.

– Że w świecie niezłomnych nie ma miejsca dla kobiet, chyba że dla sterylnych do granic poniżenia matek-Polek albo kobiet złomnych, czyli zdradzieczkich. Jeśli pojawiają się w tym filmie jeszcze jakieś kobiety, to wyklęci albo do nich strzelają, albo je zapładniają, albo strzelają do kobiet znajdujących się w łóżku (znowu heglowska triada).

– Że Druga Rzeczpospolita nie szanowała ludzi niskiego pochodzenia, o czym zaświadcza ojciec jednego z żołnierzy Roja, który po wojnie został komunistą, ponieważ przed wojną „ani Bogu, ani panu nie zależało, żeby zostal człowiekiem”. Chłopcy Roja nie traktują tego wyznania poważnie, w przeciwieństwie do mnie, co może być przyczynkiem do długiego trwania klasowej pogardy w Polsce.

– Że wyklęci narażali na represje, tortury, aresztowania i śmierć swoje rodziny i wszystkich, którzy im pomagali bądź zostali do pomagania zmuszeni.

– Że ich akcje zbrojne były pozbawione większego sensu strategicznego, a z upływem lat coraz bardziej uderzały w ludność cywilną: widać to na przykład w scenie zatrzymania autobusu (w którym znajdują ubeka, ale jakby go nie znaleźli, to co?), albo napadu na bank, kiedy daremnie usiłują uzyskać

jakiś entuzjazm dla swoich poczyną. Brak entuzjazmu i komiczna niezręczność tej sceny czynią ją moim zdaniem świetną i jest w filmie jeszcze kilka takich, pytanie, na ile celowo, świetnych scen, na przykład ta, gdy pijany ubek Wyszomirski, czyli ten z NSZ i ten, co przyznał, że jest Żydem, zwraca się do drugiego pijanego ubeka w te słowa: „Jak oni o tej swojej Polsce mówili, to ja, kurwa, w ogóle nie rozumiałem, o co chodzi, rozumiesz? Jak oni się do tego Boga swojego modlili, to ja sobie myślałem, no, kurwa, gdzie jest ten Bóg, rozumiesz? Gdzie jest ten Bóg, co nam to życie tak spierdolił?”. To, że pojęcia takie jak Bóg i Polska, kwestionuje strona komunistyczna, to zarazem i poszlaka, i możliwość przeczytania tej sceny wbrew autorskim intencjom. A jeśli „uwierzymy” Wyszomirskiemu, że jest Żydem, to interpretacja tych dramatycznych pytań stanie się jeszcze ciekawsza.

I wreszcie prawda jest taka, że walka w imię hasła „Bóg, Honor, Ojczyzna” ma sens tylko wtedy, kiedy się tych wartości nie kwestionuje, „kiedy nie podważamy podstawowego sensu tych pojęć”, co objawia Rojowi upadła hrabianka Dominika Ostasowska, gdy ten budzi się ze swoich onirycznych wizji po pogrzebaniu żywcem w ziemi.

Zastanawiałam się nad sensem podtytułu „w ziemi lepiej słycać” i jedynę wyjaśnienie, jakie przyszło mi do głowy, znów jest przewrotne: oto Rój, chowając się przed komunistami, kładzie się w grobie i zostaje prowizorycznie przysypany ziemią, zapada w sen, w którym widzi swoich zmarłych towarzyszy zmuszonych do honorowego samobójstwa, swojego młodszego brata torturowanego przez UB i krzyczącego „zabrałeś mi szansę na godną śmierć! A może to ja zostałbym lekarzem lub inżynierem”, swoją mat-

kę w charakterze Piety z krwawymi strzępami polskiego ciała na kolanach, dziewczynę kolegi rodzącą dziecko w więzieniu i krzyczącą z bólu. Po przebudzeniu zaś zjawia mu się hrabianka mówiąca, że „Bóg, Honor i Ojczyzna dają siłę tylko wtedy, kiedy nie podważamy podstawowego sensu tych pojęć”. Czy więc właśnie to lepiej słycać w ziemi? Że cała ta impreza nie miała sensu? Czy też raczej słycać to dopiero z poziomu ziemi?

Film nie ucieka też od odpowiedzi na trudne pytania, na przykład dlaczego młodzi ludzie nie wrócili do szkoły, nie zostali lekarzami czy inżynierami. Otóż do szkoły nie poszli, bo UB aresztowało nauczyciela geografii, więc spalili szkołę, żeby dzieci się nie uczyły komunizmu. Albo dlaczego nie spróbowano jednak ujawnić się, ocalić cokolwiek, zamiast skazywać na zagładę wszystko. Otóż dlatego, że nie miało to sensu, gdyż komuniści strzelali do wszystkich albo wszystkich skazywali na śmierć. Trochę łopatologicznie wykladam to, co w zasadzie po macoszu załatwia film: innego wyjścia nie było, a nawet jeśli, to było niehonorowe.

3.

Ale synowie ziemi się nocą zgromadzą
Śmieszni karbonariusze spiskowcy wolności
będą czyścili swoje muzealne bronie
przysięgali na ptaka i na dwa kolory...

Przejdźmy teraz, tym pomostem z Herberta, od żołnierzy wyklętych do śmiesznych karbonariuszy i spiskowców. Wiersz ten znalazłam w jednej z książek Jerzego Zalewskiego i wydaje mi się dobrym spoiwem dwóch tematów. O spiskowcach w rozumieniu romantycznym, a także ich śmieszności (dyskursywnie narzuconej czy faktycznej?) pisał Dariusz Kosiński w *Roku kata-*

SMOLEŃSK, REŻ. ANTONI KRAUZE, POLSKA 2016, FOT. JACEK PIOTROWSKI /
PICARESQUE



strofy, film Antoniego Krauze'a zaś też organizuje się jakoś wokół tej kategorii (pośrednio zadając pytanie o dialektykę śmieszności i straszności), wokół spisku i spiskowej atmosfery. Spiskuje się tam przeciw Polsce i Polakom, ale także ci, którzy wiedzą coś o Prawdzie, spowici są atmosferą tajemnicy i pokątności, niedomówień i wieczornych wizyt, kawiarń i spacerów nad Wisłą. Podobnie jak w przypadku *Historii Roja*, nie ma sensu powtarzać dość zgodnie krytycznych recenzji i opinii, które podkreślają, że głównym problemem *Smoleńska* nie jest tematyka spisku (teorie spiskowe są wręcz wymarzoną podłożem dobrych dreszczowców) ani nawet forsowanie wersji o zamachu na prezydencki samolot, ale to, że robi to w sposób mętny i nieudolny, za pomocą łopaty, obucha i cepa.

Ale może właśnie w tej nieporadności kryje się jakiś klucz albo chociaż wytrych do kwestii smoleńskiej? W tej niesatysfakcjonującej, byle jakiej estetyce? Aktorzy, z wyjątkiem kilku, są raczej nieznanymi, marginesowi i peryferyjni, wnętrza zwyczajne, popijają się w nich zwykłą herbatę, siedząc na starsoświeckich fotelach i wersalkach, fryzury są niemodne, twarze zwyczajne, urody przeciętne, chciałoby się rzec, że jest po prostu brzydko, gdyby było się pewnym, że panuje zgoda co do kulturowych, kulturalnych, klasowych i socjologicznych uwikłań wszelkich sądów estetycznych. Oglądając film, miałam w głowie myśl, że Trzecia RP „to nie był kraj dla brzydkich ludzi”. Przypomniał mi się też felieton Doroty Masłowskiej o telewizyjnych paradokumentach, który najchętniej bym tu w całości przepisała, a który był o tym, że format ten, choć „rarogowaty i uwłaczający widzowi umysłowo” cieszy się popularnością, ponieważ paradokumenty

mimo że ich proveniencja jest skrajnie przemysłowa, to są oddolne; tak jakby szarzy ludzie z bloków wzięli się do kupy i zrobili sobie wreszcie własny serial, tak jak umieli; każdy przyniósł, co miał najlepszego. [...] To już nie są tasie o projektantkach mody dla gospodyń domowych i o królach dla żebraków – opowieści rozbudzające marzenia i aspiracje materialne i uczuciowe, w których nawet zwierzęta gospodarskie są grane przez ludzi pięknych, zoperowanych plastycznie, o czystej dykcji i poprawnej frazie. Paradokumenty to neo-seriale-lustra, zaludnione przez niepięknych, niezoperowanych, grubych; bełkoczących, śmiesznych, takich jak ty i ja. Lustra, w których rzeczywistość jest (niemal) tak brzydka jak w rzeczywistości, a meblościanki ciągle zalepione kalkomanią. [...] Zemsta statystycznego Polaka za całą fikcję telewizyjną i celebrycką, za te lata pokazywania mu wyphotoshopowanych twarzy, wypożyczonych samochodów i designerskich wnętrz.¹⁵

W sensie jakości formalnych, a przede wszystkim – wizualnych *Smoleńsk* jest bardzo blisko paradokumentu i to tego brzydszego, pilsatowskiego, a nie lukrowanego TVNowskiego (czyż nie jest to znacząca opozycja?). Czy można go czytać jako film przeciwko estetycznej pogardzie i wszystkiemu, co ją podszywa i konstruuje? Przeciwno narzucanym nam obcom, sterylnym, pozbawionym treści normom wydziałności? Oto teraz ci brzydacy i wykluczeni, oszołomy i mohery, mają czas i miejsce, by opowiedzieć sami o sobie. Naród sobie? A przynajmniej ktoś wrażliwszy na jego wykluczoną prestiżowo i estetycznie część – o narodzie.

¹⁵ Dorota Masłowska *Jak przejąć kontrolę nad światem nie wychodząc z domu 15*, Dwutygodnik, <http://www.dwutygodnik.com/arttykul/6720-jak-przejac-kontrol%C2%A0nad-swiatem-nie-wychodz-z-domu-15.html> (dostęp 20 listopada 2016).

Jest to odczytanie obciążone dużym ryzykiem, jak każde zabieranie głosu w imieniu czy też za wykluczonych, bo przecież opisując tak jakąś grupę, sami powtarzamy gest wykluczenia, sami obśadzamy siebie w roli tych, którzy mają kompetencje do oceny czyjegoś gustu, stosowności praktyk obyczajowych, sensowności poglądów.

Wspominałam wcześniej, że *Smoleńsk* jest filmem o rodzinie i rodzinności. Pokazuje on rodziny ofiar katastrofy jako opuszczone, bezradne, pozostawione samym sobie. Pochyla się nad nimi z czułością, wrażliwością, ciepłem. Rodzinność, rozumiana jako niekoniecznie wąska, ale bliska wspólnota, jest wartością przepelniającą emocjonalną atmosferę filmu. Zła dziennikarka Nina nie szanuje swojej religijnej, samotnej matki (która jest oczywiście po stronie dobra, prawdy i tradycji), para prezydencka sportretowana jest jako czułe, kochające się starsze małżeństwo na kanapie, prezydent tuż przed śmiercią telefonuje do brata i troszczy się wspólnie z nim o zdrowie matki. Film Krauzego spleca trybut tym, których państwo polskie (uosabiane przez poprzednią ekipę rządzącą) rzeczywiście zawiodło, nie tylko w sensie organizacyjnym, nie tylko w sensie niemożności transparentnego, rzetelnego i satysfakcjonującego przedstawienia przyczyn wydarzeń kwietniowych, ale także w sensie emocjonalnym i symbolicznym.

Smoleńsk jako film nieporadny i niezborny oddaje jakoś bezradność i zagubienie wszystkich, którzy gromadzili się w kwietniu 2010 roku, i w kolejne miesięcznice, na Krakowskim Przedmieściu. Zresztą nie tylko bezradność i zagubienie, bo *Smoleńsk* jako film mieszający konwencje, tonacje, stylistyki i sztafaze symboliczne oddaje per analogiam kalejdoskopowość

smoleńskiego tłumu, bogactwo artefaktów z narodowego imaginarium, śmieszność i straszność jego figur i masek, nieusuwalne pokrewieństwo patosu i groteski, wzniosłości i kiczu, Golgoty i Oberammergau, kapłaństwa i błazeństwa.

Owszem, ta bezradność i zagubienie stały się przedmiotem i zaczynem różnych manipulacji politycznych. I owszem, współczucie kierowane ku zdeorientowanemu przez katastrofę jest problematyczne, bo przecież w obronie swojej wspólnoty, posługują się oni symbolami narodowymi i religijnymi, konserwatywnymi i wykluczającymi. Kiedy czytam rozmowy z „wdowami smoleńskimi”¹⁶, to widzę ich osobistą tragedię, frustrację i dezorientację, ale oprócz współczucia ogarnia mnie też złość na naskórkowy polski katolicyzm, na kult Jana Pawła II, na folklorystyczne podejście do kwestii polskości, na budowanie symetrii pomiędzy Katyniem a Auschwitzem.¹⁷ Współczuję generałowej Błasik, która w osamotnieniu musiała walczyć o dobre imię swojego męża (po tym, jak media poinformowały, że był w kokpicie pilotów, a w jego krwi wykryto alkohol), a jednocześnie zastanawiam się, ile we wsparciu udzielonym jej przez „PiS, Radio Maryja, duchownych”¹⁸ było i jest reżyserskiego politycznie cynizmu, a ile autentycznego przygarnięcia, choć nie mam wątpliwości, że było i jedno, i drugie. A jednocześnie myślę też o całym nurcie krytyki pod adresem zarówno pierwszych, jak i drugich rządów PiS, która nie tyle polemizuje z propono-

¹⁶ Dariusz Walusiak *Wdowy smoleńskie*, Dom Wydawniczy Rafael, Kraków 2011.

¹⁷ Mówi Magdalena Merta: „Katyn był dla Tomka niezwykle ważny. Uważał go za symbol, który buduje naszą tożsamość narodową. «Katyn jest dla nas tym, czym dla Żydów Auschwitz»”. Tamże, s. 247.

¹⁸ Tamże, s. 44.



WOŁYŃ, SCENARIUSZ I REŻ. WOJCIECH SMARZOWSKI, POLSKA 2016, FOT. FILM IT / KRZYSZTOF WIKTOR



wanymi przez tę partię wizjami wspólnoty i mechanizmami wykluczenia, ile pogardza ich „obciachowością”, nienowoczesnością, zaściankowością. Która wyśmiewa nazwiska, wzrosty, stany cywilne, urodę posłanek. I o tym, jak bardzo sama tym nurtem krytyki pogardzam, pogardzam za to, że on tak głupio pogardza tym, co powinien mądrze krytykować.

4.

I na koniec *Wołyń*, film, który padł ofiarą kontekstu politycznego w wymiarze i lokalnym, i międzynarodowym. Smarzowski zaczął pracę nad filmem na przełomie 2011 i 2012 roku, a więc przed Majdanem i przed rosyjską inwazją na Krym, a także, jak sam powiedział, zanim „ten świat skreślił tak mocno w prawo”¹⁹. Film podejmuje namysł nad mobilizacją ludobójczą, nad faktyczną i symboliczną dominacją i opresją Polaków nad Ukraińcami na ziemiach Drugiej Rzeczypospolitej, nad mechanizmami działania nowoczesnych nacjonalizmów i sposobami rozprzestrzeniania się politycznie inspirowanej przemocy. Zdaniem niektórych recenzentów robi to w sposób nieprzekonujący, zbyt powierzchowny, epatując masakrą i parującymi trzewiami, ale ja patrzę na *Wołyń* jak na film o tym, do czego doprowadza długa tradycja pogardy (znaczący wydaje mi się tu nienachalny, ale mocny cytat z *Ogniem i mieczem*, zwłaszcza jeśli w lekturze tego pękniętego arcydzieła pójdziemy za rozpoznaniem Andrzeja Mencwela²⁰, który powieść Sienkiewi-

cza odczytał jako studium pogardy dla ludności kresowej). I zgadzam się z reżyserem, który swoje dzieło przedstawia jako wypowiedź o tym „do czego zdolny jest człowiek, kiedy wyposaży się go w odpowiednią ideologię”²¹.

W postaciach Ukraińców nie widzę przedcywilizowanej dziczy, ale raczej ostrzeżenie (jasne, nie będę iść za daleko z tymi analogiami) przed konsekwentną pracą, powtórzę to jeszcze raz, nowoczesnych nacjonalizmów, uwodzących swoim (post)romantycznym patosem, wykorzystujących klasowe i społeczne resentymenty, wynajdujących tradycję i symbolikę. Nie będę iść zbyt daleko z analogiami, ale gdy oglądałam sceny nocnych wieców banderowców przy ognisku, miałam dość nieprzyjemne skojarzenia. Z kolei postaci Polaków u Smarzowskiego nie są ani kryształowe, ani szczególnie heroiczne, są „ludzkie”, jednak nie jakimś ogólnoludzkim i anachronicznym uniwersalizmem, lecz silnym osadzeniem w chłopskiej obyczajowości lat czterdziestych. Ukrainiec Petro, kochanek głównej bohaterki, jest sto razy bardziej anielski niż Skiba, jej polski mąż. Polscy chłopcy są raczej oszczędni werbalnie, surowi, brutalni wobec żon, szorstcy dla dzieci, wobec Żydów obojętni lub otwarcie wobec nich wrodozy, koniunkturalni i tchórzliwi, czasem odważni, częściej zdeorientowani (zresztą, piszę o Polakach, a przecież główną bohaterką jest Polka, kobieta, cywilka).

Gdzieś na uboczu rozgrywa się holokaust – wątek żydowski jest zresztą poprowadzony, moim zdaniem, bardzo celnie, pokazuje zagładę, która działa się jednocześnie w centrum, na widoku, przed oczami Polaków, a zarazem – na uboczu narracji, na

¹⁹ Konferencja prasowa filmu *Wołyń* na 41. Festiwalu Filmów Polskich w Gdyni, 25 września 2016, <https://www.youtube.com/watch?v=N0mli5WVksY&t=753s> (dostęp 20 listopada 2016).

²⁰ Andrzej Mencwel *Arcydzieło pęknięte. Antropologia „Ogniem i mieczem”*, w: tegoż: *Wyobrażenia antropologiczne. Próby i studia*, WUW, Warszawa 2006, s. 154-182.

²¹ Konferencja prasowa filmu *Wołyń*..., op.cit.

peryferiach ich własnego dramatu. Ta marginalność wątku żydowskiego (a przecież widzimy, jak Polacy patrzą na egzekucje swoich sąsiadów), ten „holokaust mimochodem” wydaje mi się bardzo dobrym oddaniem nie tylko sposobu postrzegania zagłady Żydów „tam i wtedy”, ale przede wszystkim jej miejsca w polskiej pamięci i historiografii. Cóż jednak z tego wszystkiego, jeśli Stanisław Srokowski, autor opowiadań, które były dla Smarzowskiego inspiracją scenariuszową, mówi na łamach „Najwyższego Czasu”, że „film ten ma ukazywać nie tylko ogrom ludobójstwa, ale przede wszystkim rozpad całej cywilizacji łańskiejskiej” oraz „chylący się ku upadkowi świat, w którym nastąpiła śmierć Boga. Ludzkie bestialstwo jest, rzecz jasna, głównym narzędziem unicestwienia Sacrum”. I jeszcze raz coś o cywilizacji łańskiejskiej i o przeoraniu świadomości europejskiej.²²

Był Hegel, teraz czas na ducha Feliksa Konecznego. Oczywiście zasadne jest pytanie o motywacje, inspiracje, a nawet sens powstawania kina historycznego, kina podejmującego tematy drażliwe i wygrywane doraźnie przez polityczną współczesność. Jerzy Kochanowski pisał kilka lat temu, że w sytuacji „zwrotu pamięciologicznego” w sferze publicznej „ważniejsze od faktów jest ich pamiętanie”²³, tym bardziej więc powinniśmy się zastanawiać nad tym, co chcemy pamiętać, w jaki sposób i dlaczego. *Wołyń* wywołał krytykę jako film „głęboko niepotrzebny”²⁴,

woda na młyn polsko-ukraińskich antagonizmów.

Interesująca jest ta krytyka i te pytania w kontekście akurat *Wołyń* – filmu niewątpliwie najpoważniejszego, najodpowiedzialniejszego i najdojrzalszego z tu omawianych. Dlaczego zadajemy pytanie o zasadność *Wołyń* (nie twierdzę, żeby go nie zadawać), a nie zadajemy pytań o zasadność *Historii Roja*? Co więcej, powszechnie zgadzamy się co do tego, że żołnierze wyklęci zasługują „nie na jeden, ale na co najmniej kilka świetnych polskich filmów i seriali”, jak wyraził się dyrektor artystyczny festiwalu w Gdyni Michał Oleszczyk, odpowiadając na „rozczarowanie” ministra Glińskiego. Oleszczyk napisał, że *Historia Roja* jest filmem „artystycznie niespełnionym”, co budzi jego żal ponieważ

chciałem, żeby był spełniony, bo tak długie milczenie w temacie Żołnierzy Wyklętych w Polsce i ich brak w kulturze masowej jest niesłychanie krzywdzący dla ich bohaterskiej pamięci w społeczeństwie. Od trzech lat powtarzam w wywiadach, że filmy o Niezłomnych powinny powstawać, ale powinny znajdować się na bardzo dobrym poziomie artystycznym. Uważam, że film *Historia Roja* po prostu tego poziomu nie osiąga w stopniu wystarczającym, by konkurować w Gdyni o Złote Lwy. Czekam na inne opowieści o Żołnierzach Wyklętych i mam nadzieję, że powstaną jak najszybciej.²⁵

Żal i wyważone stanowisko Oleszczyka są zarazem charakterystyczne i metonimiczne, bo naprawdę wszyscy recenzenci filmu Zalewskiego zgadzali się co do tego, że żołnierze wy-

²² Zob. <http://wpolityce.pl/kultura/236837-stanislaw-srokowski-o-filmie-wolyn-to-bedzie-wielki-wstrzas-ktory-odklamie-historie>.

²³ Jerzy Kochanowski *Filtry przeszłości*, w: tegoż: *O jaką wojnę walczyliśmy*, Wydawnictwo Replika, Gdańsk-Zakrzewo 2013, s. 233.

²⁴ Jarosław Kuisz, Karolina Wigura, „*Wołyń*”. Kicz zła, „Kultura Liberalna” nr 405, 2016.

²⁵ Oświadczenie Michała Oleszczyka, Dyrektora Artystycznego Festiwalu Filmowego w Gdyni, w sprawie Stanowiska Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego ws. pominięcia *Historii Roja* na Festiwalu Filmowym w Gdyni, 23 sierpnia 2016.

klęci zasługują na dobry film, niemal wszyscy mówili o ich bohaterstwie, a większość powtarzała frazę o „drugiej okupacji”. Po raz ostatni przywołałam Hegla: wydaje mi się, że na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat w narracji i pamięci zbiorowej o powojennej partyzancie antykomunistycznej dokonało się coś w rodzaju zwichniętej dialektyki-niedialektyki. Najpierw była peerelowska teza: leśni partyzanci jako bandyci zakłócający spokój podnoszącej się ze zniszczeń wojennych Polski, zabójcy ludności cywilnej, Żydów, grabieżcy wiosek i podżegacze (nawiasem mówiąc, sztandarowe dla tej narracji dzieło, *Łuny w Bieszczadach* Jana Gerharda, naprawdę niepozbowione jest trafnych obserwacji na temat Polskiej Formy). Potem, na początku lat dziewięćdziesiątych, na krótko pojawiła się synteza: powojenna sytuacja była skomplikowana i tragiczna, „wyklęci” często nie mieli innego wyjścia niż walka, ale wśród bohaterów byli też „zwyczajni bandyci”, z Józefem Kurasiem „Ogniem” na czele, powojenni partyzanci walczyli z nową władzą, ale dopuszczali się też zbrodni przeciwko ludności cywilnej. Teraz chyba już niepodzielnie panuje antyteza: żołnierzom wyklętym należy się hołd, bez wyjątku, bez różnicowania postaw, bez stawiania pytań o zasadność ich działalności. Nie chodzi zresztą o sam stosunek do tego okresu polskiej historii, ale o wszechobecność ich kultu w dyskursie, o to, że opowiada się wciąż o różnych formach walki zbrojnej, a nie na przykład o konspiracyjnym tajnym nauczaniu, o oporze cywilnym i o okrucieństwie każdej wojny jako takiej. I chodzi także o bardzo specyficzny profil polityki historycznej, która usuwa w cień wszystkie inne wiązki problemów, inne spory, inne osie konfliktów.

5.

Film Jerzego Zalewskiego został nakręcony w latach 2009-2010, a więc na długo przed Dobrą Zmianą. Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych został jako święto państwowe ustanowiony na mocy ustawy z dnia 3 lutego 2011 roku, a więc na długo przed Dobrą Zmianą, za rządów PO i prezydentury Bronisława Komorowskiego. Omawiane tu filmy nie są więc agitkami politycznymi sensu stricto, choć opowiadają się jednoznacznie po stronie ideowej bliskiej rządzącemu obecnie obozowi. Ale rażąca infantylność *Historii Roja* nie jest cechą wyjątkową, to raczej częsta przypadłość współczesnego kina historycznego, by przypomnieć chociażby *1920 Bitwę warszawską* Jerzego Hoffmana (2011) albo *Sierpniowe niebo. 63 dni chwały* Irka Dobrowolskiego (2013), gdzie zresztą patriotyzm młodych ludzi w sposób bezpośredni sprowadza się do malowania murali, a krytyka kapitalizmu do demaskacji jego peerelowskich proweniencji. A także *Kamienie na szaniec* Roberta Glińskiego (2014), w których nie znajdziemy śladu społecznikowskiego etosu przyświecającego bohaterom Kamińskiego, ani nurtujących ich kwestii społecznych, czy uporczywego samokształcenia, lecz raczej naiwne „przybliżanie” ówczesnej młodzieży – młodzieży dzisiejszej za pomocą pokazania, że tamtych chłopców też interesowały dziewczyny i nie chcieli umierać. Serial *Czas honoru* też raczej zbiera okupacyjne toposy w celu zaprezentowania ich w podrasowanych dekoracjach, niż przemysliwuje na nowo wojenne doświadczenia i postawy Polaków.

Kino Dobrej Zmiany byłoby więc kinem takiej zmiany, na jaką ciężko sobie zapracowaliśmy, albo której nie za-

pobiegliśmy skutecznie, bo nie chciało nam się myśleć, nie chciało nam się troszczyć, nie chciało nam się wczuwać, nie chciało nam się nie gardzić i nie chciało nam się poddawać krytyce pojęć „Bóg, Honor i Ojczyzna”, że przywołam raz jeszcze kluczową kwestię Dominiki Ostałowskiej z filmu Zalewskiego. Bo jeśli uznamy prymat aksjologiczny i niepodważalność tych kategorii, to rzeczywiście pozostanie

nam tylko oddawać hołd i kultywować piękne śmierci. A przez ostatnie dwadzieścia siedem lat zbyt rzadko kwestionowaliśmy w Polsce samą istotę patriotyzmu i jego semantyczny zakres, uznaliśmy dość zgodnie, że raczej ojczyzna niż społeczeństwo, raczej Bóg niż wspólnota, raczej wolność niż solidarność. I raczej honor niż równość szans, inkluzja wykluczonych i godne warunki znośnego życia.

Marzenie o klęsce

• TOMASZ PLATA •

Jądro apoka- lipsy

• TOMASZ PLATA •
• WOLFRAM LOTZ •

Polski romantyzm żyje czy umarł? Jeszcze trwa czy już przeszedł do historii? Na takie pytanie mamy dwie odruchowe odpowiedzi. Odpowiedź pierwsza: romantyczny paradygmat polskiej kultury rozpadł się, stracił swoją moc w 1989 roku, niemal równocześnie ze zmianą ustroju. Karierą tego rozpoznania i komplikacjami przez nią wywołanymi zajmowaliśmy się wcześniej.¹ Teraz czas na odpowiedź inną, równie popularną: upiór romantyzmu powstał z grobu w 2010 roku, jego zmartwychwstanie było jedną z konsekwencji katastrofy smoleńskiej. To stwierdzenie można przedstawić także w formie bardziej akceptującej, uznając, że katastrofa smoleńska okazała się rodzajem poznawczego skandalu przywracają-

cego nam kontakt z ważnymi wątkami narodowej tradycji, zwłaszcza z tradycją romantyczną. Z takiej perspekty-

Autor jest dziekanem wydziału Wiedzy o Teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie. Kuratorem projektów performatywnych *RE//MIX*, *My, mieszczanie* i *Mikroteatr* przygotowanych wspólnie z zespołem Komuny// Warszawa. W latach 2011-2015 współtwórca galerii BWA Warszawa. Opublikował książki: *Andy Warhol w drodze do teatru* (2001) oraz *Być i nie być* (2009). Ostatnio przygotował do druku autobiografię Wojciecha Krukowskiego *Tyle lat, co Polska Ludowa albo 45 lat od wtorku* (2015).

wy katastrofa wygląda wręcz na moment inicjujący ozdrowieńczą terapię szokową.

¹ Tekst stanowi kolejną część przygotowywanej książki *Pośmiertne życie romantyzmu*. W numerze 6/2016 drukowaliśmy rozdział pierwszy *Romantyczna melancholia Marii Janion*, a w numerach 11 i 12/2016 rozdział *Ofiarowanie wykluczonego*.

W reakcjach na katastrofę smoleńską jest coś szczególnego: to wydarzenie, które natychmiast obrasta interpretacjami. Już kilka dni po 10 kwietnia 2010 roku zaczyna się intelektualna praca, by tragedii nadać jakiś sens. Bodaj żadnemu zdarzeniu o porównywalnej randze nie towarzyszył u nas wcześniej podobny wysiłek. Śmierć Jana Pawła II spowodowała wielodniową narodową żałobę, lecz nie zaowocowała żadną istotniejszą dyskusją, pozostała faktem właściwie nieopisanym, nieodnotowanym w intelektualnym obiegu (jeśli nie liczyć mało przekonujących prób wykreowania zjawiska pokolenia JP II). Tymczasem Smoleńsk od razu staje się przedmiotem interpretacyjnych dociekań, jakby na przekór podstawowej trudności. Czy nie mamy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem, czymś, za czym nie kryje się jakiegokolwiek autorski zamiar, czymś z definicji absurdalnym, pozbawionym treści? Część publicystów – zwłaszcza o prawicowym temperamencie – gwałtownie odrzuca taką możliwość. Zanim ukryte znaczenie katastrofy zacznie wyjaśniać teoria zamachu, pojawia się inna koncepcja: Smoleńsk to sygnał, znak, który powinniśmy umieć odczytać. Już pierwsze, publikowane jeszcze przed wawelskim pogrzebem teksty podpowiadają dość dokładnie, o jakie odczytanie chodzi. W gruncie rzeczy – o powrót do całego zestawu wyobrażeń o charakterze romantyczno-mesjańskim.

Tomasz Terlikowski w felietonie opublikowanym w „Gazecie Polskiej”, a następnie na internetowym blogu pisze wprost:

Tragiczne wydarzenia, absurdalne w swojej przypadkowości – takie jak wypadek prezydenckiego samolotu i śmierć niemałej części polskiej elity – trzeba rozpatrywać z perspektywy religijnej. To ona odsłonić

może Sens w tym, co tak życiowo, docześnie bezsensowne. A także uświadomić, że ta tragedia jest zadaniem do wypełnienia².

Patrząc z religijnej (a ściślej – katolickiej) perspektywy, Terlikowski odkrywa skomplikowaną symbolikę wydarzeń w Smoleńsku:

I chodzi tu nie tylko o miejsce wypadku, które już wcześniej poświęcone było krwią polskich patriotów, nie tylko o czas doczesny (siedemdziesiąta rocznica mordu w Katyniu), lecz również o czas święty, liturgiczny [...]. To on ma szczególne znaczenie. Ofiary oddały swoje życie w wigilię Niedzieli Miłosierdzia, w czasie której Kościół szczególnie przypomina prawdę o Miłosierdziu Bożym.

Fakt – zdaniem Terlikowskiego – nieprzypadkowy, bo „objawienia Bożego Miłosierdzia są nierozdzielnie związane z polskością”, w wizjach świętej Faustyny Kowalskiej Polska zajmuje miejsce szczególne, a Chrystus mówi w nich jasno, że „to z naszego kraju wyjdzie iskra Boża, która przygotuje świat na powtórne jego przyjście”. Dlatego „jesteśmy związani z tymi objawieniami, jesteśmy jako naród jakoś w nie wpisani”. Tutaj już bardzo wyraźnie uruchamia się u Terlikowskiego retoryka romantyczno-mesjańska: pojawia się obraz Polaków jako narodu wybranego, by własnym cierpieniem odkupić świat:

Polska to wyzwanie podejmowała. Tragedia rozbiorów i powstań poprzedzała objawienia Miłosierdzia Bożego, a może je przygotowywała. Później przyszła druga wojna światowa, rzeź katyńska, ofiara powstania warszawskiego, komunistyczne lata prześladowań i mordów.

² Tomasz Terlikowski *Bojaźń i drżenie*, <http://terlikowski.salon24.pl/171531,bojazn-i-drzenie> (dostęp 28 maja 2014).

Dlaczego po latach przyszła również katastrofa smoleńska? Ujmując rzecz najkrócej, według Terlikowskiego Bóg zaaranżował wypadek w Smoleńsku, zesłał na Polaków następne nieszczęście, by przypomnieli sobie o swej szczególnej roli w dziejach: roli ewangelizatorów laicyzującej się Europy. By własną ofiarą – niczym Jezus – zbawili innych.

Trudno nie zadać sobie pytania, czy nie próbowaliśmy uciec od misji, jaką stawiał przed nami Bóg, w „normalność” Zachodu. Jeśli tak było, to ta tragedia jest wyraźnym przypomnieniem, że nie będzie nam dane bycie „normalnym” narodem, który może żyć w świętym spokoju, że od nas Pan Bóg wymaga co jakiś czas daniny krwi, ofiary (czasem boleśnie absurdalnej) z najlepszych synów.

Opinia z odległego marginesu debaty? Tak egzotyczna, że w gruncie rzeczy nieistotna? Bynajmniej. Raczej destylat poglądów, które w następnych miesiącach systematycznie wracają w wystąpieniach środowisk prawicowych i konserwatywnych.

Terlikowski rozbudowuje felieton do rozmiarów dużego eseju i publikuje go w poświęconym Smoleńskowi numerze „Frondy”. Obok pojawiają się teksty równie ostre. Grzegorz Górny, redaktor naczelny „Frondy”, we wstępie do całego numeru pisze:

Doszło do największej tragedii w powojennych dziejach Polski, jedynej tego typu katastrofy w historii nowożytnego świata. Intensywność symboliczna tego wydarzenia – które miało miejsce, podobnie, jak śmierć Jana Pawła II, w wigilię Niedzieli Miłosierdzia – jest tak gęsta, że trudno mówić o przypadku. Nic dziwnego, że w wielu wypowiedziach, zarówno osób duchownych, jak i świeckich, powtarzało się stwier-

dzenie, iż to, co się wydarzyło 10 kwietnia pod Smoleńskiem, to dla naszej Ojczyzny wielki znak. Rzadziej jednak pojawiało się doprecyzowanie, jak ten znak odczytywać. A przecież znaki nie mogą być nieme. By miały sens, muszą zostać zrozumiane.

A zatem ponownie katastrofa jako znak do odczytania i ponownie ten sam podpowiadany sens owego znaku:

W sytuacji granicznej Polacy zgromadzili się wokół krzyża [...]. Przeżywali ten dramat jako zbiorowość, na nowo odnajdując się we wspólnocie narodu i Kościoła. [...] Czy potrzeba było tak wielkiej tragedii, żebyśmy jako naród dostali szansę, żeby znów zacząć szanować samych siebie?³.

O ukrytym znaczeniu smoleńskiej tragedii i narodowym przebudzeniu sprowokowanym przez postsmoleńską traumę piszą we „Frondzie” również duchowni Augustyn Polanowski oraz Robert Skrzypczak. Do rozmowy na ten temat daje się namówić nawet Zdzisław Krasnodębski. Na pytanie, czy o Smoleńsku można mówić językiem polskiego mesjanizmu, odpowiada twierdząco:

Mamy wielką myśl romantyczną, która tkwi nadal w naszej samoświadomości, a jej ślady można znaleźć w książce Jana Pawła II *Pamięć i tożsamość*. Tam też pobrzmiewa przekonanie, że z punktu widzenia osób wierzących nie tylko losy jednostek, ale także losy zbiorowości układają się w sensowną całość, że Bóg przeznaczył im jakieś zadanie. Ten sens nie do końca można dociec i go zinterpretować, on bywa przed nami ukryty, ale jest. W tym znaczeniu te dramatyczne wydarzenia [...] dadzą się tak odczytać. [...] Trudno tego nie widzieć i nie wpisywać ich w los i przeznaczenie Polski. [...] Gdybyśmy sięgnęli po dzieło

³ Grzegorz Górny *10.4.10*, „Fronda” nr 55, 2010, s. 16-21.

Zygmunta Krasińskiego *Dzieje Polski widziane z punktu widzenia Trójcy Świętej* czy inne dzieła polskich romantyków, które na trwałe wpisały się w polską kulturę i sposób myślenia o sobie Polaków, to można by powiedzieć, że ta historia trwa nadal. [...] Z punktu widzenia teologii politycznej polskości to tak właśnie trzeba by powiedzieć, że stało się coś więcej niż przypadek czy zdarzenie⁴.

Oczywiście głosy katolickich integrystów prowokują polemiki. Od pierwszych dni po katastrofie w dyskusji szczególnie żywo uczestniczy lewicowe środowisko „Krytyki Politycznej”. Na internetowej stronie pisma publikowane są komentarze, które po zaledwie kilkudziesięciu dniach trafiają do zbiorowego tomu *Żałoba*. Wśród nich najmocniej wybrzmiewa głos Agaty Bielik-Robson. Filozofka nie zostawia wątpliwości: polska prawica myśli kategoriami wprost przeszczepionymi z tradycji mesjańskiej. „To zdumiewające, jak topos polskiego męczeństwa ustalony przez Adama Mickiewicza w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego* utrzymuje się bez żadnych korekt i rewizji po dziś dzień”⁵ – pisze Agata Bielik-Robson w felietonie będącym bezpośrednią polemiką z Terlikowskim. A skoro kod mesjański wciąż jest dla katolickiej prawicy językiem podstawowym, wybieranym wręcz intuicyjnie, to nic dziwnego, że w prawicowej wyobraźni katastrofa prezydenckiego samolotu szybko przeobraża się w coś na kształt religijnego proroctwa. Autorka wraca do tego tematu jeszcze wielokrotnie. Krąży wokół niego w cy-

klu wykładów *Tanatopolityka. Lewica, prawica, śmierć*, wygłoszonych w 2010 roku w redakcji „Krytyki Politycznej”. W książkowym wywiadzie przeprowadzonym przez Michała Sutowskiego w 2012 roku podsumowuje zaś stanowczo: „Każdy Polak obudzony w środku nocy, zanim jeszcze ocknie się w nim podmiotowość, budzi się jako ofiara gotowa przemówić językiem niskiego romantyzmu. To pierwszy odruch. A wszystkie zdarzenia, które sprzyjają nawrotom do pierwszych odruchów, natychmiast stają się wydarzeniami mitycznymi. I katastrofa smoleńska nadawała się do tego doskonale”⁶.

Czy to wszystko składa się w szybkie i mocne potwierdzenie opinii o katastrofie smoleńskiej jako momencie ożywienia romantycznego trupa? I tak, i nie. W innym miejscu Agata Bielik-Robson komplikuje wywód i przekonuje, że polska prawica po wypadku tupolewa próbuje w nerwowy sposób wrócić do romantycznego języka, choć ten jest już właściwie martwy. Ów język pozostaje zrozumiały, ale społeczna większość doskonale zdaje sobie sprawę z jego archaiczności. Dlaczego mimo to go używa? Z powodu wyrzutów sumienia. Agata Bielik-Robson pisze:

Masowa żałoba, w której uczestniczą [...] także ludzie prezydenturze Kaczyńskiego niegdyś niechętni, nie świadczy bynajmniej o opamiętaniu, w którym naród polski, przez chwilę uwiedziony przez mamidło zachodniej „normalności”, budzi się do swej porzuconej misji narodu wybranego. Świadczy – na pozór paradoksalnie – o tym, że Polacy tę normalność wybrali, zaakceptowali, a to, co się teraz dzieje, to jedynie przejaw wielkiego poczucia winy, które nieuchronnie wiąże się z porzuceniem przez

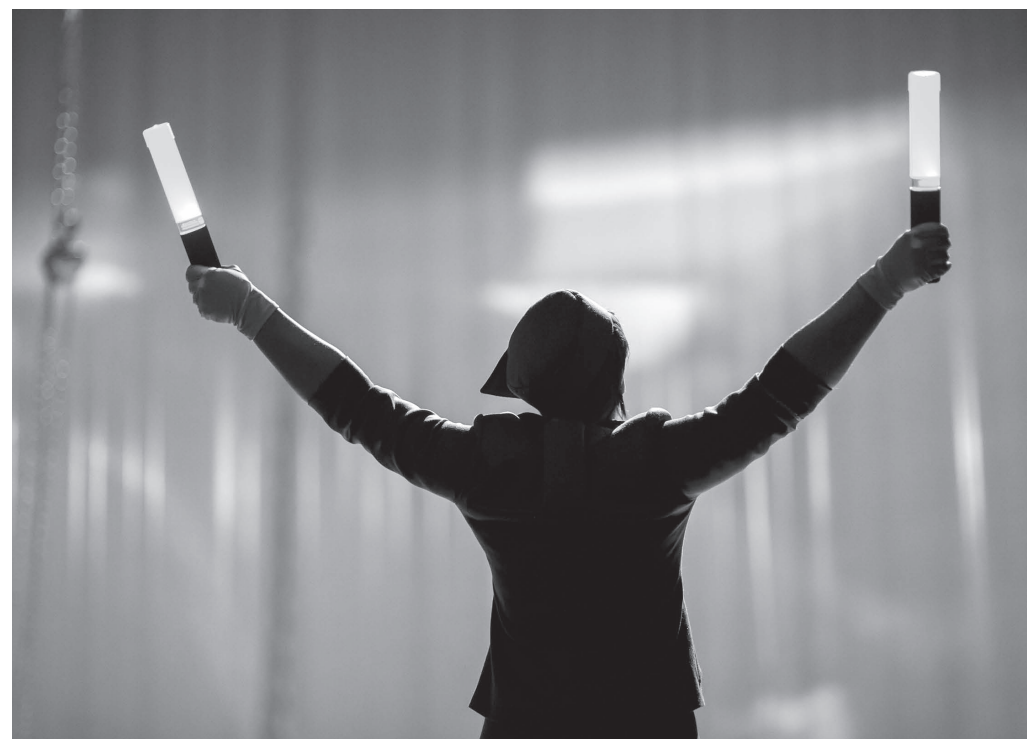
⁴ Lech Kaczyński prowadził ponowoczesne powstanie. Rozmowa z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, rozmawiał Piotr Pałka, „Frona” nr 55, 2010, s. 116–117.

⁵ Agata Bielik-Robson *Totem i tabu. Polskiej tanatologii ciąg dalszy*, w: *Żałoba*, red. Sławomir Sierakowski, Agata Szcześniak, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2010, s. 161.

⁶ Bielik-Robson. *Żyj i pozwól żyć. Rozmawia Michał Sutowski*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2012, s. 289.



ADAM MICKIEWICZ *DZIADY III*, TEATR DRAMATYCZNY IM. WĘGIERKI, BIAŁYSTOK 2014, REŻ. NATALIA KORCZAKOWSKA, FOT. BARTEK WARZECHA



nich martyrologicznej tradycji. „Normalność”, wybór życia, jest bowiem na gruncie polskiej tradycji tak właśnie nienormalny, że ci, którzy go dokonują, sami siebie [...] obwiniają o zdradę i niewierność. [...] Polacy wybrali „normalność”, choć wybór ten oznaczał dla wielu z nich zerwanie z polskim kultem śmierci i cierpiętniczym pomazaństwem, okupione nieświadomym poczuciem winy, które teraz – być może już po raz ostatni – wydobywa się na powierzchnię. Właśnie siła tej rytualnej żałoby świadczy o tym, że nie będzie politycznego nawrotu do archaicznego polskiego modelu „rządu dusz”. Im mocniej Polacy manifestują swoje poczucie winy, tym jaśniejsze się staje, że większość z nich już dokonała zerwania⁷.

Co w takim razie współczesny Polak robi z tradycją romantyczną? Bezrefleksyjnie wchodzi w rolę romantycznej ofiary cierpiącej za ojczyznę, fantazmatycznie utożsamia się z romantycznymi męczennikami z poprzednich pokoleń? Czy raczej sprytnie odgrywa pewien kulturowy scenariusz, symuluje własne przywiązanie do romantycznego spadku, by w istocie się od niego uwolnić? Trudno wyobrazić sobie połączenie obu tych strategii. Jeszcze trudniej zdecydować, która z nich jest częstsza, mocniej określa społeczną świadomość.

A może wystarczy poprzestać na diagnozie skromniejszej, ale też mniej kontrowersyjnej i uznać reakcje na katastrofę smoleńską za przekonujące potwierdzenie, że polski romantyzm trwa w tym sensie, iż w swojej wersji mesjańskiej wciąż stanowi punkt orientacyjny dla polskiej prawicy. Jest czymś, czego prawica z własnego myślenia nie umie i nie chce usunąć. Dowodów na to mamy przecież aż nadto. O powrocie do retoryki narodu wybranego

już powiedzieliśmy. Ale to jeszcze nie wszystko.

17 kwietnia, dzień przed pogrzebem prezydenckiej pary na Wawelu, redaktorzy filozoficznego pisma „Kronos” Wawrzyniec Rymkiewicz i Piotr Nowak publikują w internecie manifest *Wawelska skała*. W tekście ani śladu sugestii, by w smoleńskiej tragedii widzieć znak wysłany przez Boga (być może dlatego, że Rymkiewicz uznaje za bezsporne, iż za katastrofą kryje się ludzka, a nie boska interwencja; w następnych miesiącach okazuje się zdeklarowanym wyznawcą teorii zamachowej⁸). Rymkiewicz z Nowakiem zaczynają od odległej historii: „Dla Starożytnych żałoba była w takim samym stopniu zjawiskiem politycznym, co wojna”⁹. Stąd dla nas lekcja: idąc śladem starożytnych, powinniśmy myśleć o Smoleńsku włączyć w porządek polityki, żałoba smoleńska powinna zyskać wymiar polityczny. Co to właściwie znaczy? Otóż należy z pamięci o zmarłych uczynić punkt odniesienia dla całego życia publicznego. Zdaniem Rymkiewicza i Nowaka nie ma żadnej przesady w wawelskim pogrzebie pary prezydenckiej, nic niewłaściwego. Wręcz przeciwnie. Dopiero wywyższona na „wawelską skałę” śmierć Lecha Kaczyńskiego stanie się tym, czym być powinna: wydarzeniem, które zmienia państwo, nadaje mu nową formę. Oczywiście formę nieprzypadkową. Twórcy „Kronosa” przedstawiają fantazyjne marzenie o Polsce, która dochowuje wierności i Sarmatom, i Berkowi Joselewiczowi, i Piłsudskiemu, i jeszcze ma

⁸ Wawrzyniec Rymkiewicz, *Kłamstwo smoleńskie jak kłamstwo oświęcimskie*, rozmawiał Filip Memches, <http://rebelya.pl/post/801/wawrzyniec-rymkiewicz-kamstwo-smolenskie-jak-kam> (dostęp 30 maja 2014).

⁹ Wawrzyniec Rymkiewicz, Piotr Nowak *Wawelska skała*, <http://www.kronos.org.pl/index.php?23250,729> (dostęp 30 maja 2014).

⁷ Bielik-Robson *Totem i tabu. Polskiej tanatologii ciąg dalszy*, op.cit., s. 163-165.

dość siły, by nie ulec presji współczesnego kapitału oraz kultury masowej. Gdyby chciał wydobyć z tego choć trochę precyzyjniejszy obraz, trzeba by chyba – używając języka Terlikowskiego – powiedzieć, że Rymkiewicz z Nowakiem marzą o ufundowaniu wokół prezydenckiej trumny polskiej „demokracji nieoliberalnej”, mocnej, tradycyjnej i zdolnej do oporu wobec – zdefiniowanej jako zagrożenie – modernizacji w stylu zachodnim.

Podobnym tropem podążają redaktorzy „Teologii Politycznej”, Dariusz Karłowicz i Marek A. Cichocki. W 2012 roku na okładce swojego pisma umieszczają wymowne zdjęcie: błękitne niebo ze śladem pozostawionym przez przelatujący samolot, poniżej ledwo widoczne czubki drzew. Do tego tytuł: *Śmierć i polityka*. W środku dyskusja o Smoleńsku poprzedzona wstępem naczelnych. Główna myśl zbieżna z diagnozami Rymkiewicza i Nowaka: Polska jest państwem niepoważnym, tragedia smoleńska pokazała to aż nadto wyraźnie („Katastrofa odsłoniła nędzę niepoważnego państwa i przypomniła [...] o naszej dziwnej, niepewnej kondycji narodu nieustannie balansującego na granicy bytu i nie-bytu”¹⁰). Niepoważny był organizacyjny bałagan przed wylotem tupolewa, przepychanki między kancelariami prezydenta i premiera, później zaniedbania w śledztwie („Czytaliśmy o szczątkach znajdowanych po tygodniach w błocie i, oniemiałymi, słuchaliśmy wyjaśnień, jak to doskonale i zupełnie w porządku, że nie mamy dostępu do czarnych skrzynek, do miejsca katastrofy”). Na tym tle śmierć prezydenta i towarzyszących mu osób pozostaje wydarzeniem z innego porządku. Uświadamia na nowo,

¹⁰ Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz *Dziady na Krakowskim*, „Teologia Polityczna” nr 6/2012, s. 5-6; kolejny cyt.: s. 6.

że polityka to „sprawa poważna”. Karłowicz z Cichockim – tak samo, jak Rymkiewicz z Nowakiem – wierzą, że śmierć ma moc ustanawiania polityki jako doświadczenia realnie istotnego, podstawowego w życiu zbiorowości. Sugerują wręcz, że bez uwzględnienia perspektywy śmierci polityką zajmować się nie sposób.

Co znamienne, i w „Kronosie”, i w „Teologii Politycznej” przywołana zostaje słynna mowa pogrzebowa Peryklesa, wygłoszona podczas wojny peloponeskiej, a zapisana przez Tukidydesa. Intencja wydaje się czytelna: Perykles zostaje tu obsadzony w roli władcy, który wie, że państwo silne i podmiotowe wymaga raz na jakiś czas ofiary z krwi, bo ustanawia się przez poświęcenie tych, którzy chcą go bronić, nawet ryzykując własne życie. Perykles, żegnając swoich żołnierzy poległych na wojnie ze Spartą, większą część mowy poświęca pochwie Aten. Atenńczycy – twierdzi – mogą być dumni z własnego państwa („Nasz ustrój polityczny nie jest naśladownictwem obcych praw, a my sami raczej jesteśmy wzorem dla innych niż inni dla nas. [...] Państwo nasze jest godne podziwu i pod tym względem, i pod wieloma innymi”¹¹). Jeśli tak, to ci, co zginęli, wiedzieli, za co umierają. Oddali życie za coś większego od samych siebie: za wzór państwa, za idealną wspólnotę. Zarazem z ich śmierci owa wspólnota bierze teraz swą moc, w ich śmierci widzi potwierdzenie własnej wielkości.

Co to wszystko ma wspólnego z romantyzmem? Dużo. Uświęcenie śmierci za ojczyznę, uznanie śmierci za gest o potencjale politycznym to idee ściśle romantyczne. Choć obecne nie tylko w tradycji polskiego romantycznego mesjanizmu (o innych kontekstach

¹¹ Tukidydes *Mowa pogrzebowa Peryklesa*, „Teologia Polityczna” nr 6/2012, s. 10-11.

jeszcze powiemy), to właśnie ze skojarzenia z romantyzmem czerpiące u nas swe żywotne siły. Autorzy „Kronosa” i „Teologii Politycznej” potrafią wskazać ich źródła antyczne, ale i tak szybko wracają do romantyzmu. Albo wręcz od romantyzmu zaczynają. Cichocki i Karłowicz już w drugim akapicie swojego tekstu kojarzą smoleńską żałobę z *Dziadami*. Romantyzm po raz kolejny okazuje się dla prawicy językiem domyślnym, wybieranym machinalnie. Śmierć polityka niemal natychmiast zostaje nazwana śmiercią polityczną, ofiarą za państwo, którą trzeba celebrować zgodnie z zasadami utraconego narodowo-romantycznego rytuału.

Banalne rozpoznanie, potwierdzające powszechne intuicje? Być może. Jednak rzecz nie w tym, by na nim poprzestać. Przecież wychodząc od niego, można dotknąć sprawy bardziej rozległej. Śledząc prawicowe reakcje na Smoleńsk, nie sposób nie zapytać: dlaczego prawica trwa przy romantyzmie? Dlaczego nie potrafi uciec od mesjańskich mitów? Czy po 1989 roku naprawdę nie miała szansy na określenie, zdefiniowanie samej siebie w innym języku? Czy na romantyzm była i jest skazana? Rozmowa o Smoleńsku i romantyzmie, o szczególnym prawicowym upodobaniu do kojarzenia porządku polityki z perspektywą śmierci okazuje się doskonałym wprowadzeniem do rekonstrukcji intelektualnych losów polskiej prawicy po upadku komunizmu.

Fundament polskiej prawicowej myśli w formie ukształtowanej po 1989 roku odnaleźć nietrudno: to hasło postkomunizmu. Streszcza ono absolutnie elementarne dla prawicy przeświadczenie, że w Okrągłym Stole trzeba zobaczyć nie początek systemowej zmiany, ale pokojowe porozumienie między częścią komunistycznego aparatu a częścią antykomunistycznej opozycji.

Bodaj najbardziej wyczerpująco pojęcie postkomunizmu opisuje Jadwiga Staniszkis. „W moich książkach coraz wyraźniej krystalizowała się teza, że komuniści zdecydowali się na «odgórną rewolucję» i podzielenie się władzą, aby zachować kontrolę” – stwierdza Staniszkis na samym początku tomu *Postkomunizm*¹². W tym ujęciu przełom 1989 roku okazuje się nie tyle wymuszoną przez społeczeństwo klęską dyktatury, ile konsekwentną realizacją projektu określonego na początku lat osiemdziesiątych przez komunistów (zwłaszcza moskiewskich), którzy przewidywali nieuchronną erozję własnego systemu (spowodowaną przez jego wewnętrzne sprzeczności) i szukali dróg ucieczki do przodu. Podzielenie się władzą polityczną przy równoczesnym zachowaniu władzy ekonomicznej miało być jednym z poszukiwanych rozwiązań. W efekcie możliwe stały się wolne (na początku częściowo) wybory, lecz tylko przy zapewnieniu dawnej partyjnej nomenklaturze bezpieczeństwa finansowego (w postaci swobodnego dostępu do kapitału). To zaowocowało sytuacją, w której establishment państwa komunistycznego przeobraził się niejako automatycznie w establishment państwa demokratycznego. „Połowa członków obecnej elity władzy i pieniądza w Polsce zajmowała w czasach komunizmu stanowiska kierownicze, jedna trzecia – wykonywała zawody «specjalistów», a tylko 11 procent plasowało się na niższych szczeblach drabiny społecznej” – pisze Staniszkis. I uznaje, że przełom 1989 roku wygenerował system nieprzejrzysty, reprodukujący dawne układy powiązań. Tym razem te układy mają co prawda charakter nieformalny, jednak

¹² Jadwiga Staniszkis *Postkomunizm. Próba opisu, słowo/obraz terytoria*, Gdańsk 2001, s. 8; kolejny cytát: s. 5.

są w widoczny sposób tolerowane przez nowe państwo.

Teoria postkomunistyczna szybko obrasta wyrazistymi obrazami oraz na poły mitologicznymi opowieściami, mocno obecnymi w zbiorowej świadomości (na przykład opowieścią o porozumieniu zawartym przez część opozycji ze stroną rządową podczas nieformalnych, równoległych wobec obrad Okrągłego Stołu spotkań w Magdalence). Szybko też zostaje wykorzystana jako argument polityczny. Jej wpływy widać w retoryce przyspieszenia promowanej przez obóz Lecha Wałęsy w trakcie tak zwanej wojny na górze i kampanii prezydenckiej w 1990 roku. Hasło przyspieszenia jest wtedy odpowiedzią na przypisywaną premierowi Mazowieckiemu politykę grubej kreski (czyli nierozliczania komunistycznej przeszłości). W 1991 roku projekt dekomunizacji zostaje włączony jako jeden z głównych elementów w program powołanej przez Jarosława Kaczyńskiego partii Porozumienie Centrum. Nawet jeżeli dzieje się tak po części wbrew woli lidera¹³, Kaczyński staje się niebawem głównym propagatorem, wręcz uosobieniem dekomunizacyjnej idei. W 2010 roku na prośbę dziennikarzy, by scharakteryzował lata dziewięćdziesiąte, nazwał najważniejsze zjawiska tamtego czasu, odpowiada:

Da się to opisać jednym słowem: postkomunizm. [...] To jest po prostu pewien odmienny typ ustroju, specyficzna formacja powstała na gruzach komunizmu, mająca pewne cechy wolnego rynku i demokracji, ale nie będąca ani wolnym rynkiem, ani demokracją. [...] [To] specyficzny układ gospodarczy, w którym dawna nomenklatura, ze szczególnym uwzględnieniem ludzi

służb specjalnych, przejmowała własność i pieniądze¹⁴.

Takiemu rozpoznaniu Kaczyński pozostaje wierny przez długie lata. W tym samym wywiadzie z 2010 roku zapytany o aktualny program własnej formacji mówi:

Naszym celem jest rozbicie układu sterującego życiem politycznym, gospodarczym, w jakimś sensie społecznym. [...] To czworokąt między służbami specjalnymi, polityką, grupami specjalnymi i biznesem. On najczęściej wywodzi się z PRL-u. [...] Trzeba odrzucić absurdalny pomysł z początków niepodległości: bierzemy stosunki komunistyczne, dodajemy demokratyczne procedury i wolności gospodarcze, i wszystko jakoś samo sięłoży. [...] Chcemy nowych instytucji. I chcemy zmian kadrowych – w wymiarze sprawiedliwości, służbach specjalnych, wojsku¹⁵.

Owo pragnienie radykalnego przełomu znajduje w końcu swój wyraz w koncepcji Czwartej Rzeczypospolitej. Hasło wymyślone przez politologa Rafała Matyję, a wprowadzone do szerszego obiegu przez socjologa Pawła Śpiwak w artykule komentującym aferę Lwa Rywina¹⁶ zostaje błyskawicznie przechwycone przez Jarosława Kaczyńskiego i jego Prawo i Sprawiedliwość. W 2004 roku ówczesny wiceprezes PiS Kazimierz M. Ujazdowski na polecenie lidera przygotowuje projekt nowej konstytucji. Tytuł dokumentu nie zostawia wątpliwości: *Projekt konstytucji IV RP*. Planowana przez prawicę zmiana państwa ma być zmianą ustrojową. Nic mniej ambitnego nie zadowoli Kaczyń-

¹⁴ *Alfabet braci Kaczyńskich*. Rozmawiali Michał Karnowski i Piotr Zaremba, Wydawnictwo M, Kraków 2010, s. 167.

¹⁵ Tamże, s. 21-22.

¹⁶ Paweł Śpiwak *Koniec złudzeń*, „Rzeczpospolita” z 23 stycznia 2003.

skiego, bo zwyczajnie nie będzie jego zdaniem skuteczne. Nowa konstytucja jest niezbędna, by zwalczyć postkomunizm. „Nasz projekt zrywa z ukształtowaną przez postkomunizm podwójną tożsamością Trzeciej Rzeczypospolitej, z rozwiązaniami, które stanowią pomieszanie tradycji niepodległego państwa polskiego z balastem PRLu” – pisze Ujazdowski w komentarzu do dokumentu.

Kłopot w tym, że Kaczyński, planując rewolucję, popada w paradoks. Radykalna zmiana, którą proponuje, nie ma być prostym odrzuceniem przeszłości, wręcz przeciwnie – raczej powrotem do niej, do najbardziej tradycyjnych wartości. PiSowski projekt konstytucji jest po brzegi wypełniony zapewnieniami o szacunku wobec tradycji, zwłaszcza narodowej i religijnej (całość zaczyna się od *Invocatio Dei*). Rewolucja Czwartej RP ma być nie tyle ustanowieniem nowego porządku, ile restytucją starego. Nie tyle zniesieniem postkomunizmu, ile powrotem do przeszłości przed-komunistycznej. Innymi słowy – rewolucją konserwatywną.

Pojęcie wydaje się wewnętrznie sprzeczne, ale w języku polskich konserwatystów funkcjonuje od dawna (w jakimś stopniu jako zapożyczenie z teorii niemieckich konserwatywnych rewolucjonistów epoki weimarskiej i amerykańskich neokonserwatystów końcówki dwudziestego wieku). Uświadamia zarazem pewien generalny problem środowisk konserwatywnych, które przeszły przez doświadczenie komunizmu: jak być tradycjonalistą w świecie, w którym doszło do przerwania ciągu tradycji? Jak być konserwatystą w rzeczywistości, której nie można konserwować, należy ją bowiem radykalnie zmieniać? Dyskusja na ten temat organizuje się wokół kilku tekstów. Pierwszy to esej Timo-

thy'ego Snydera *Czy w Polsce są konserwatyści?*¹⁷, opublikowany w 1997 roku w „Res Publice Nowej”. Odpowiedź amerykańskiego historyka na pytanie postawione w tytule jest negatywna: nie, w Polsce nie ma konserwatystów, bo po 1989 roku konserwatyzm rozumiany ściśle musiałby oznaczać konserwację mentalności postkomunistycznej. Ci, którzy podają się za konserwatystów, są w oczach Snydera zamaskowanymi liberałami: dość dowolnie wybierają wątki tradycji, które uznają za warte pielęgnowania. To nie konserwowanie tego, co istnieje, raczej konstruowanie własnej tradycji. W polemikę ze Snyderem w tym samym numerze „Res Publici” wchodzi Tomasz Merta. Dla niego, w wielokrotnie później cytowanym artykule *Nieodzowność konserwatyzmu*, podstawowe okazuje się rozróżnienie między tradycją a dziedzictwem: „Dziedzictwo jest wielką skarbnicą narodową, w której przechowywane jest absolutnie wszystko, co wpływało i wpływa na ukształtowanie się naszego jestestwa, tradycja natomiast mniej czy bardziej świadomym wyborem z tego dziedzictwa”. Nie jest też tak, że po okresie PRLu z tej skarbnicy nie zachowało się nic poza mentalnością postkomunistyczną: „W 1989 roku nie mieliśmy wcale pustych rąk. Udało się ocalić zdumiewająco dużo, jeśli idzie zarówno o tradycje polityczne, jak i społeczne”¹⁸.

Wypowiedź Mertę oczywiście nie zamyka sprawy, dyskusja trwa dalej w tekstach między innymi Marka A. Cichockiego¹⁹, Zdzisława Krasnodębskiego czy Ryszarda Legutki. Ten ostatni w 2008 roku publikuje *Esej*

¹⁷ Timothy Snyder *Czy w Polsce są konserwatyści?*, „Res Publica Nowa” nr 11/1997.

¹⁸ Tomasz Merta *Nieodzowność konserwatyzmu*, „Res Publica Nowa” nr 11/1997.

¹⁹ Marek A. Cichocki *ciągłość i zmiana*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1999.

*o duszy polskiej*²⁰, z mocną tezą, że współczesną Polską rządzi prostak, wychowany przez komunizm bez jakiegokolwiek kontaktu z tradycją narodową. Całość ma ton pamfletu, co więcej – właściwie nie proponuje polskim konserwatystom żadnego planu pozytywnego. Legutko przekonuje: ciągłość tradycji została przerwana, możemy żyć pamięcią o dawnej świetności, ale nic ponadto, gest poczucia własnej wyższości to wszystko, na co nas, konserwatystów, dziś stać.

To pokazuje skalę trudności, z jakimi musi uporać się polska prawica po 1989 roku. Jeżeli okres PRLu definiuje jako moment naruszenia trwałości tradycji, to po politycznej transformacji znajduje się prawie w niebycie. Jeżeli nawet nie zgadza się z pesymistycznymi rozpoznaniem Legutki, to i tak musi budować od podstaw. Czy raczej: musi wrócić do wspomnień z odległej przeszłości i wokół nich na nowo organizować zbiorową wyobraźnię. Takie w istocie znaczenie ma hasło konserwatywnej rewolucji: chodzi o próbę zaprojektowania wspólnoty, która uwierzy, że jest spadkobiercą przypomnianej i podsuniętej jej narodowej spuścizny.

O jaką spuściznę dokładnie chodzi? Bo przecież – jak przyznaje Merta – nie wszystko z narodowej przeszłości nadaje się do przypominania, nie wszystko gwarantuje pożądany wychowawczy efekt. Prawicowi intelektualiści wskazują precyzyjnie: najbardziej atrakcyjne okazuje się dla nich dziedzictwo Pierwszej Rzeczypospolitej, tradycja sarmacka. Ale koniecznie przefiltrowana przez doświadczenie romantyzmu.

Dlaczego tradycja sarmacka, łatwo zgadnąć. Prawica w naturalny sposób szuka tych momentów w historii, w których ujawniła się wielkość naro-

du, chwil tryumfu, nie tylko militarne, ale nawet bardziej kulturowego, cywilizacyjnego. W polskiej historii ostatnich dwóch stuleci podobnych zdarzeń właściwie nie mieliśmy, trzeba więc cofnąć się głębiej. Stąd powrót do mitologii Rzeczypospolitej Obojga Narodów, potężnej Polski szlacheckiej. „Na czym polegała świetność kultury sarmackiej?” – pyta Krzysztof Koehler we wstępie do antologii poezji sarmackiej *Sluchaj mię, Sauromatha*. I odpowiada:

Przed wszystkim na tym, że była to kultura silnego państwa. Miała za sobą kilkukilkuletnie trwanie, mocną i sprawnie urządzoną polityczną organizację, ustabilizowaną pozycję międzynarodową w regionie; a poza tym – co jest może najważniejsze dla kultury – miała na koncie cały szereg sukcesów i (last but not least) jasno określony program, cel swego istnienia we wspólnocie narodów tworzących ówczesną historię²¹.

Skąd owa siła się brała? Zdaniem pravicowych historyków dokładnie z tego, co zwykle uznawane jest za główny grzech sarmatyzmu. Czyli z ustroju zbudowanego wokół zasady szlacheckiej wolności. Dla części konserwatywnych autorów polityka w wydaniu sarmackim staje się wręcz demokratycznym wzorem, na pewno najważniejszą lokalną tradycją uprawiania demokracji, tradycją, do której państwo odrodzone po 1989 roku po prostu musi się odwołać. Tomasz Merta w wywiadzie dla pisma „Pressje” tak opisuje polityczną praktykę w epoce Sarmacji:

Był to świat rzeczywistego, szeroko zakrojonego społeczeństwa egalitarnego, demokratycznego, które rzecz jasna miało

²⁰ Ryszard Legutko *Esej o duszy polskiej*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2008.

²¹ Krzysztof Koehler *Wstęp*, w: *Sluchaj mię, Sauromatha. Antologia poezji sarmackiej*, Arcana, Kraków 2002, s. 6.

swoją granicę stanową, jako że dotyczyło tylko szlachty. Pamiętajmy jednak, że ze względu na liczebność tej warstwy społecznej w Pierwszej Rzeczypospolitej więcej obywateli miało uprawnienia do głosowania niż w Anglii jeszcze w połowie dziewiętnastego wieku. Ten wysoki procentowy udział obywateli dysponujących pełnią praw politycznych jest bardzo istotny. Społeczeństwo Pierwszej Rzeczypospolitej miało w sobie głęboko zakorzenioną dominantę demokratyczną²².

A jeśli tak, to ze wspomnienia o Sarmacji da się zrobić lekarstwo na wciąż niedostatecznie demokratyczną rzeczywistość epoki postkomunistycznej.

W nowym odczytaniu sarmackiego typu polityczności jeden obraz wraca z wielką regularnością: to mit Polski republikańskiej. Piszą o nim Merta, Krasnodębski, Legutko, Cichocki, Dariusz Gawin, do tego cała masa prawniczych publicystów i dziennikarzy. Jan Filip Staniłko, uczeń Legutki, publikuje w „Arcanach” esej-manifest *Dlaczego Polska potrzebuje neo-sarmackiego republikanizmu*. No właśnie: dlaczego? Bo – odpowiada Staniłko:

Polska po komunizmie musi i może wyśnić siebie w dużej mierze na nowo. Sarmacki republikanizm jest propozycją uczynienia kapitału z dziedzictwa kulturowego. Jednak poza reżimem nowoczesności uosabianej przez francuską ideologię rozumu oraz niemiecką racjonalną biurokrację, a bliżej angielskiej socjologii cnoty i amerykańskiej polityki wolności²³.

Neo-sarmacki republikanizm może wyleczyć nas z postkomunistycznej

choroby, bo jest w istocie „teorią wolności”, wprowadza w społeczny obieg myślenie wolnościowe, a przy tym czyni to skuteczniej niż promowane przez postkomunistyczny establishment teorie liberalne. Liberalizm – uważa Staniłko – nie uruchamia w Polakach impulsu wolnościowego, nie budzi ich z postkomunistycznego odrętwienia, ponieważ pozostaje dla nich tradycją słabo rozpoznaną, obcą. Co innego sarmatyzm. Ten jest rozumiany niejako automatycznie, jego dziedzictwo to nadal fragment polskiego genotypu kulturowego. Jego przekaz trwa, obowiązuje, choćby jako rezultat niezmienniej popularności Sienkiewiczowskiej *Trylogii*. Podając ten przykład, Staniłko wyraża w gruncie rzeczy nadzieję, że z patologiami postkomunizmu (a przy okazji – zagrożeniami zachodniej modernizacji) można zwyciężyć w swojskim stylu Zagłoby.

W zamyśle swoich zwolenników idea republikańska ma być ideą wspólnotową, przypomnieniem o wartości dobra wspólnego. Decyzja nieoczywista, zwłaszcza jako część projektu prawnicowego. Chociaż zrozumiała, jeśli pamiętać, że polska prawica po 1989 roku odchodzi od liberalnego kanonu, w którym za wartość elementarną uznaje się wolność jednostkową. W zamian w prawnicowym wywodzie pojawia się – jako uprzywilejowana – kategoria wspólnoty. Całą książkę pojęciu dobra wspólnego poświęca Paweł Śpiewak, z uwagą czytane są omawiające problem teksty Michaela Oakeshotta i Alasdaira MacIntyre’a. O dynamice tego procesu pisze Dariusz Karłowicz:

Obowiązująca wtedy [w latach dziewięćdziesiątych] diagnoza była taka, że w Polsce wspólnoty jest za dużo i to wspólnota miała być zagrożeniem dla nowoczesności. Punktem wyjścia naszego myślenia było przeko-

nanie, że jest dokładnie odwrotnie, że solidarnej wspólnoty jest za mało, że komuna zostawiła nas pod tym względem w opłakanym stanie. [...] Był lęk przed wszystkim, co mogło nadawać wspólnocie jakąś temperaturę. Myślimy uważali, że wspólnoty jest za mało i że bez niej transformacja nie może się udać, bo będzie transformacją brutalną, [...] że prostoduszny liberalizm nie jest pomysłem na trudne czasy²⁴.

Stąd zainteresowanie tradycją sarmacką owocuje wydobyciem z niej przede wszystkim momentów wspólnotowych. Merta: „Z doświadczenia I Rzeczypospolitej [wypływa] nauka, że istniała w Polsce rzeczywiście zaangażowana w sferę publiczną społeczność ludzi, którzy wbrew potocznym opiniom bardzo często potrafili być odpowiedzialnymi obywatelami. Istniała więc w Polsce autentyczna, rzeczywista i dobrze ukształtowana kultura obywatelska”²⁵. Koehler: „Sarmacki mit historyczny [...] w wielkim stopniu współtworzył tożsamość wspólnotową szlachty polskiej, określał naród szlachecki jako pewien typ antropologiczny: bojowy, wojowniczy, geograficznie związany z Rzeczypospolitą. Mit sarmacki w wydaniu historycznym był chyba warunkiem sine qua non zaistnienia tożsamości wspólnotowej”²⁶.

Oczywiście wspólnota, którą prawica odnajduje w sarmackiej przeszłości, ma konkretne imię. To naród. Wygląda wręcz na to, że żaden inny rodzaj wspólnoty nie mieści się w prawnicowej wyobraźni. Gdy Merta, Koehler czy Karłowicz piszą z zachwytem o sarmackim modelu polityczności, pojęcie

narodu wraca u nich niczym mantra. W Sarmatach widzą właśnie przede wszystkim wzorcowych przedstawicieli polskiej wspólnoty narodowej, nawet jej twórców. Nie przejmują się tym, że narażają się zarazem na zarzut ahistoryzmu. Nie rekonstruują wszak, co w sarmackim umyśle mogło znaczyć hasło narodu, w jakich kontekstach się osadzać, z jakich doświadczeń wynikać. Dokonują raczej prostego zestawienia: siedemnastowieczny naród sarmacki traktują, jakby był przodkiem, zapowiedzią dziewiętnastowiecznych narodów porewolucyjnej Europy. Czyli samostanowiącym narodem politycznym, wspólnotą politycznego interesu.

Co więcej – narodem świadomym własnej misji. Już mówiliśmy, że polska prawica po 1989 roku kultuwyje fantazmat narodu wybranego do wypełnienia wyjątkowego zadania przypisanego mu przez historię. W tekstach poświęconych tradycji sarmackiej wielokrotnie wraca mit Polski jako przedmurza chrześcijaństwa. To w procesie obrony wiary przed atakiem barbarzyńców ze Wschodu miała narodzić się polska tożsamość narodowa. Najpierw, „w pierwszym okresie swego istnienia, Polska wyraźnie potrzebowała przyzwoitej symbolicznej i historycznej legitymizacji w relacji ze swymi sąsiadami: Niemcami, Rusinami, Czechami i Węgrami oraz z resztą Europy, a nie misyjnej wizji polityczności”²⁷ – piszą Cichocki i Karłowicz we wstępie do numeru „Teologii Politycznej” poświęconego relacjom mesjanizmu i polityki. Potrzebowała legitymizacji z zewnątrz tak samo, jak – chciałoby się dodać – szuka jej po 1989 roku, gdy bezpośrednio kopiuje modernizacyjne wzory importowane z europejskich

²² Ogromne, wielowiekowe doświadczenie demokracji, z Tomaszem Mertą rozmawiał Arkady Rzegocki, „Pressje”, teka 10-11/2007, s. 100.

²³ Jan Filip Staniłko *Dlaczego Polska potrzebuje neo-sarmackiego republikanizmu*, „Arcana”, nr 2-3/2009.

²⁴ Dariusz Karłowicz *Jaka nowoczesność?*, w: *Konserwatyzm, państwo, pokolenie*, red. Marek A. Cichocki, Teologia Polityczna, Warszawa 2013, s. 88.

²⁵ Ogromne, wielowiekowe doświadczenie demokracji, z Tomaszem Mertą rozmawiał Arkady Rzegocki, op.cit., s. 102.

²⁶ Koehler *Wstęp*, op.cit., s. 25.

²⁷ Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz *Mesjanizm – jednostka chorobowa czy wielkie wyzwanie?*, „Teologia Polityczna” nr 4/2006-2007, s. 8.

centrów. Tymczasem – kontynuują Cichocki z Karłowiczem – dopiero zerwanie z taką postawą daje nadzieję na osiągnięcie politycznej podmiotowości: „To wtedy [po mongolskim najeździe na Europę w trzynastym wieku] zaczęło kielkować przekonanie o szczególnej roli tej najbardziej wysuniętej na wschód części chrześcijańskiej Europy, jej szczególnej odpowiedzialności jako przedmurza chrześcijaństwa. Zmienić się musiał również sposób rozumienia samej historii, być może na bardziej fatalistyczny, gdzie państwa oraz narody stanowią jedyną dostępną zaporę przed żywiołem dziejowości. Wreszcie wyrażne ukierunkowanie polskiej polityki na Wschód w obrębie projektu jagiellońskiego – wszystko to złożyło się na formę polskiego misjonizmu w polityce Pierwszej Rzeczypospolitej”.

Innymi słowy, Cichocki i Karłowicz w politycznej postawie staropolskiej szlachty odnajdują zapowiedź filozofii heglowskiej, a może nawet więcej – jej spełnienie. Wychodzi na to, że w czternastym, piętnastym i szesnastym wieku Polacy odkrywają to, o czym Hegel zaczyna pisać na początku wieku dziewiętnastego: decydującą rolę narodowego państwa w przebiegu procesu historycznego, fakt, że tylko państwo narodowe daje swym obywatelom nadzieję na emancypację od wyroków historii, możliwość działania. Zarazem – co dla nas szczególnie ważne – ta sugestia zostaje natychmiast wsparta nawiązaniem do tradycji romantycznej. Opisywany przez Cichockiego i Karłowicza misjonizm Pierwszej RP to przecież kategoria czytelna tylko w powiązaniu z romantycznym mesjanizmem. Misjonizm, postawa zakładająca, że narody mają w historii misję do wypełnienia, nie jest mesjanizmem, nie prowadzi do utożsamienia narodu ze zbawicielem. Ale trudno nie dostrzec

punktów wspólnych. W obu przypadkach naród traktowany jest jako specyficzny „instrument zbawienia”, w obu – narodowy projekt polityczny zostaje wpisany w plan ewangelizacyjny. Tu widzimy, jak opowieść o Sarmacji niepostrzeżenie staje się opowieścią o romantyzmie, jak reinterpretacja spadku sarmackiego przemienia się w rehabilitację mesjańskiego nurtu polskiego romantyzmu.

Jak blisko od myślenia o Sarmacji do mówienia o romantyzmie, dobrze pokazuje książka Andrzeja Waśki *Romantyczny sarmatyzm*. Jej główne rozpoznanie jest klarowne: polski romantyzm, zwłaszcza w odmianie mesjańskiej, to bezpośrednia kontynuacja narodowych tendencji sarmatyzmu. Ale także odwrotnie – to, co dziś pojmujemy z Sarmacji, to w gruncie rzeczy jej romantyczna interpretacja. Bez romantycznego przekładu sarmatyzm byłby dla nas tradycją odległą i niezbyt czytelną. Czy potrafilibyśmy przystać na idealizację szlacheckiej demokracji, gdyby wcześniej nie dokonał jej Mickiewicz? Czy moglibyśmy w „złotej wolności” polskich rycerzy zobaczyć wzór emancypacyjnej praktyki politycznej, gdybyśmy podobnego obrazu nie znaleźli w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego* bądź *Prelekcjach paryskich*? „Rehabilitacja Rzeczypospolitej szlacheckiej w dojrzałej fazie mesjanizmu dotyczyła dwóch płaszczyzn: ideologii będącej podstawą społeczno-politycznej organizacji państwa i drogi rozwoju cywilizacyjnego obranej przez Polskę w opozycji do krajów Zachodu”²⁸ – pisze Waśko. A my widzimy, że współczesna prawica wręcz dosłownie powtarza tamten romantyczny gest. W końcowym rozrachunku jej powrót

²⁸ Andrzej Waśko *Romantyczny sarmatyzm*, Arcana, Kraków 1995, s. 36.

do Sarmacji okazuje się tak naprawdę powrotem do romantyzmu.

To ważny moment, polityczny przekaz sarmatyzmu przefiltrowany przez doświadczenie romantyzmu daje bowiem wybuchowy miks. By się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do książek Jarosława Marka Rymkiewicza. Zwłaszcza do *Samuela Zborowskiego*.

Zamysł *Samuela* wydaje się jasny. Rymkiewicz przywołuje postać szesnastowiecznego magnata-buntownika przeciw władzy królewskiej. W 1574 roku, w trakcie uroczystości koronacyjnych Henryka Walezego na Wawelu, Zborowski w bójce zabija kasztelana przemyskiego. Za morderstwo w afekcie król skazuje go na banicję. Zborowski przebywa na wygnaniu w Siedmiogrodzie, do Rzeczypospolitej wraca w 1576 roku. Uduje się na Sicz zaporoską, tam jako hetman kozacki bierze udział w wojnie z Rosją. Następnie spiskuje z Habsburgami, grozi zamachem na króla Batorego. Za namową Habsburgów w 1583 roku bez zgody króla wyprawia się na tereny tureckie, niszcząc przy okazji wioski należące do kanclerza Jana Zamoyskiego. Rok później rusza z pocztą w kierunku Krakowa. Nie jest jasne, czy to wstęp do rokoszu, mimo to na rozkaz Zamoyskiego Zborowski zostaje pojmany i stracony na dziedzińcu zamku wawelskiego. Jego śmierć to początek wieloletniego konfliktu prawnego między Batorym i Zamoyskim a rodziną Zborowskich oraz ich sojusznikami. A przy okazji moment narodzin legendy *Samuela* jako męczennika ofiarowującego życie za wolność szlachecką.

Właśnie po tę legendę (po części za Słowackim) sięga Rymkiewicz. W jego wywodzie szlachecka wolność staje się wartością absolutną, nienegocjowalną. To z niej bowiem bierze się tożsamość Polaków. Jeśli coś wyróżnia Polaków,

coś czyni ich wyjątkowymi, to przede wszystkim – przekonuje Rymkiewicz – umiłowanie wolności. Umiłowanie aż do granicy samozatrącenia:

Polacy mieli swoją wolność, wzięli ją sobie, była nie gdzieś obok, nie przy nich, ale w nich, byli z nią tożsami, a ona była tożsama z nimi i nie było na całym świecie takiej siły, takiej mocy, takiej potęgi politycznej czy militarnej, takich mieczy i włóczni, takich dywizji artyleryjskich, czołgowych, lotniczych, które byłyby w stanie coś z tą ich wolnością zrobić, które byłyby w stanie ją zbombardować, rozstrzelać, pokawałkować, unicestwić. Można ją było uśmiercić – ale tylko razem z Polakami. W tym celu trzeba było uśmiercić wszystkich Polaków²⁹.

Ponieważ wolność jest wartością absolutną, nie może być ograniczana, musi być praktykowana w pełni, z rozmachem, dokładnie tak, jak praktykowali ją Sarmaci:

Wolność była dla nich [...] rzeczą najważniejszą na świecie, była czymś takim, co można nazwać koroną istnienia. Kto był wolny, ten miał w ręku całe swoje życie, dysponował [...] całym swoim istnieniem. Był wolny, więc mógł ze swoim życiem zrobić, co chciał, mógł żyć śmiało i mógł ryzykować. Życie tak pojęte i tak przeżywane stawało się zakładem, który zawierało się z losem [...]. Tutaj jesteśmy u źródeł anarchii, dokładnie w tym miejscu, w którym ona się zaczyna – anarchia to jest sprzeciw wobec wyroków losu, [...] zakwestionowanie jego potęgi oraz jego nieomyślności.

Rymkiewicz dla takiego umiłowania anarchicznej wolności znajduje uzasadnienie formalne. Przypomina artykuły henrykowskie i cytuje siedemnasty z nich: „A jeśli byśmy (czego

²⁹ Jarosław Marek Rymkiewicz *Samuel Zborowski*, Sic!, Warszawa 2010, s. 288; kolejny cytat s. 156.

Boże uchwaj) co przeciw prawom, wolnościom, artykułom, kondycjom wykroczyli albo czego nie wypełnili, tedy obywatele koronne obojga narodu od posłuszeństwa i wiary nam powinnej wolne czynimy”. Dla Rymkiewicza owa obietnica złożona przez Henryka Walezego swoim elektorom to instytucjonalizacja prawa do buntu wobec władcy. Z takiej perspektywy anarchia Zborowskiego nie jest więc bezprawna, wręcz przeciwnie: prawo do anarchii okazuje się ustrojową podstawą Pierwszej Rzeczypospolitej. Ale przecież to wyłącznie wybieg – tekst Rymkiewicza pozostaje jednoznacznie pochwałą nieujarzmionej wolności przekraczającej każdy polityczny porządek, anarchii pokonującej każde ograniczenie. W efekcie *Samuel Zborowski* wywraca do góry nogami konserwatywne próby wydobywania ze staropolskiego dziedzictwa czegokolwiek konstruktywnego, jakiegokolwiek pozytywnego projektu polskiej polityczności.

Dlatego konserwatyści podejmują z Rymkiewiczem dyskusję. Piotr Skwieciński narzeka, że trudno w Zborowskim dojrzeć propanstwowca, a przecież prawica powinna zająć się przede wszystkim budową silnego państwa.³⁰ Marek A. Cichocki ma wątpliwości, czy siedemnasty artykuł Henrykowski rzeczywiście nadaje się na (jak proponuje Rymkiewicz) szkolną czytankę dla dzieci.³¹ W tym sporze Rymkiewicz odnosi jednak łatwe zwycięstwo. Jego język okazuje się po prostu skuteczniejszy: wchodzi w społeczny obieg, zaczyna kształ-

tować zbiorową wyobraźnię (a może zwyczajnie ją odzwierciedla). Przede wszystkim daje się czytać nie tylko na poziomie metapolitycznym, ale także jako komentarz do aktualnych wydarzeń. Rymkiewicz pisze: „Jeśli ludzie, którzy rządzą Polską, nie dotrzymują warunków, na których objęli władzę – jestem wolny od posłuszeństwa. Jeśli ludzie, którzy rządzą Polską, łamią w jakikolwiek sposób prawo, jeśli nie przestrzegają prawa, naruszają moje osobiste prawa – jestem wolny od posłuszeństwa”³². Dla czytelnika jest jasne, że chodzi o wypowiedzenie posłuszeństwa premierowi Tuszkowi.

Sprawa staje się jeszcze bardziej ewidentna, gdy pisarz zaczyna posługiwać się kategorią wolnych Polaków. Kim są wolni Polacy? Mówiąc najprościej: to duchowi spadkobiercy Zborowskiego, współcześni Sarmaci, którzy marzenie o Polsce silnej i podmiotowej wciąż realizują za pomocą anarchicznego gestu sprzeciwu wobec władzy. Oczywiście, nie każdej władzy, ale tej, która tłamsi polską wolność, nie chce Polski niepodległej, pracuje, aby utrzymać Polskę w stanie postkolonialnego zniewolenia. W *Samuelu Zborowskim*, w wywiadach prasowych, w późniejszym *Reytanie*. *Upadku Polski* ta władza zostaje przez Rymkiewicza nazwana bez niedomówień. W *Samuelu* obraz kanclerza Zamoyskiego proszącego Zborowskiego o przebaczenie to fantazmatyczne marzenie o Tusku błagającym o przebaczenie Lecha Kaczyńskiego. W *Reytanie* zdrajca Poniński staje się niemal Bronisławem Komorowskim. Kto w takim razie reprezentuje wolnych Polaków? Rymkiewicz podpowiada w głośnym wierszu *Do Jarosława Kaczyńskiego*, napisanym tuż po katastrofie smoleńskiej:

³² Rymkiewicz *Samuel Zborowski*, op.cit., s. 101-102.

To co nas podzieliło – to się już nie sklei
Nie można oddać Polski w ręce jej
złodziei
Którzy chcą ją nam ukraść i odsprzedać
światu
Jarosławie! Pan jeszcze coś jest winien
Bratu!
Dokąd idziecie? Z Polską co się będzie
działo?
O to nas teraz pyta to spalone ciało
I jest tak że Pan musi coś zrobić w tej
sprawie
Niech się Pan trzyma – Drogi Panie
Jarosławie.

Chwilę później Rymkiewicz przekazuje w wywiadzie dla „Newsweeka”: „Prawo i Sprawiedliwość oraz Jarosław Kaczyński istnieją po to, żeby przechować te wszystkie wartości, które posłużą do zrekonstruowania Królestwa wolnych Polaków”³³. A Kaczyński rewanżuje się poecie i frazy „wolni Polacy” zaczyna używać w swoich wystąpieniach publicznych.³⁴

Znaczenie tekstów Rymkiewicza dla polskiej prawicy trudno przecenić z jeszcze jednego powodu: język polityczny nieodmiennie wiąże się u niego z językiem etycznym. Oczywiście ten miłośnik Nietzschego nie ma specjalnego zrozumienia dla prostych form etyki chrześcijańskiej. Jego książki to w gruncie rzeczy sen o polityce jako dramatycznym konflikcie, krwawej łaźni, manifestacji woli mocy. Jednak owa krwawa łaźnia wydaje się Rymkiewiczowi atrakcyjna jako wzorcowa sytuacja polityczna właśnie dlatego, że ujawnia etyczny wymiar polityki. Stajemy się polityczni, walcząc na śmierć i życie o to, co dla nas najważniejsze – sugeruje Rymkiewicz. A zarazem stajemy się wówczas etyczni, bo walczymy

o wartości. Już nie traktujemy polityki jako przestrzeni negocjacji, strefy szarości, w której nic nie jest do końca i naprawdę. Traktujemy politykę jak wojnę, a równocześnie jak wyznaczenie wiary.

To wyobrażenie skutecznie infekuje polską myśl pravicową – zresztą nie tylko pod wpływem Rymkiewicza. Po 1989 roku polska prawica wykonuje zaskakujący zwrot i zaczyna z dużą konsekwencją odwoływać się do argumentacji etycznej jako elementu rozgrywki politycznej. Dlaczego zwrot jest zaskakujący? Bo przez sporą część lat siedemdziesiątych i całe lata osiemdziesiąte wprowadzanie języka etycznego do polityki to specjalność lewicy. Widać to wyraźnie od momentu założenia KORu w 1976 roku – lewicowa frakcja opozycji zaczyna wypracowywać wtedy formułę postępowania, która z czasem zyskuje (zapożyczone od Györgya Konráda) miano antypolityki. Chodzi o działanie, którego podstawową motywacją ma być racja moralna, a nie myśl o bezpośrednim, szybkim sukcesie politycznym. W sytuacji systemowej opresji strategia wydaje się uzasadniona. Zdefiniowanie propagandy jako zinstytucjonalizowanego kłamstwa, określenie komunistycznych przywódców jako przestępców łamiących prawa człowieka, nazwanie państwa dyktaturą – wszystko to ma dużą retoryczną siłę. Tyle że zarazem jest mową słabych, tych, których moc wyczerpuje się w mówieniu. Tak to komentują konserwatyści, którzy w tym samym czasie usiłują wrócić do myślenia w kategoriach „real politik” (wymowny przypadek konserwatywnej „Res Publiky”: redakcja drugoobiegowego pisma podejmuje w 1986 roku negocjacje z rzecznikiem rządu Jerzym Urbanem, co owocuje legalizacją tytułu, ale także bojkotem

³⁰ Piotr Skwieciński *Trumna z szybką*, w: *Spór o Rymkiewicza*, red. Tomasz Rowiński, Fronda, Warszawa 2012, s. 299-311.

³¹ Marek A. Cichocki *O Samuelu Zborowskim Rymkiewicza*, <http://www.teologiapolityczna.pl/marek-a-cichocki-o-samuelu-zborowskim-rymkiewicza/> (dostęp 5 września 2014).

³³ *Czy to już koniec Jarosława Kaczyńskiego?*, rozmawiała Joanna Lichocka, „Newsweek”, nr 48/2010.

³⁴ Por. Skwieciński *Trumna z szybką*, op.cit., s. 299.

miesięcznika przez część KORowskiej lewicy³⁵).

Po 1989 roku sytuacja się komplikuje. Lewica ze swej retoryki nie rezygnuje, nadal uprawia coś w rodzaju politycznej moralistyki, choć tym razem owa moralistyka jest już raczej elementem szerszego projektu sprawowania władzy – faktycznej oraz duchowej. Środowiska post-KORowskie nie tylko w decydującym stopniu określają kształt polskiej transformacji, wskazują jej kierunki, ale także wpływają na język, jakim transformację się opisuje. Tyle że między jednym a drugim, między praktyką a teorią nowej władzy, pojawia się dysonans. Jak powiedzieliśmy, oficjalną ideologią początków transformacji staje się gospodarczy i kulturowy liberalizm, który nie toleruje przywiązania do wartości nadmiernie mocnych, usiłuje limitować wpływ silnych porządków moralnych (na przykład religijnych) na życie zbiorowe. W rezultacie dawny moralizujący język antypolityki zaczyna służyć ochronie cywilizacyjnego przedsięwzięcia, w którym dla manifestowanej publicznie moralności zostaje niewiele miejsca. Prawica dostrzega tę niekonsekwencję. I przeprowadza atak.

Zdzisław Krasnodębski w książce *Demokracja peryferii*, bodaj najdokładniejszej analizie całego zjawiska, pisze o micie przypisywanej sobie przez liberalne państwo moralnej bezstronności. Liberalowie przekonują, że potrafią stworzyć społeczność, w której harmonijnie będą koegzystowały różne porządki wartości, różne światopoglądy i różne religie. Zdaniem Krasnodębskiego taka społeczność to utopia. Społeczeństwa muszą dokonywać wyborów (na przykład czy penalizować przerywanie ciąży? czy karać najgroźniejszych przestępców karą śmierci?),

a żeby to robić, muszą odwoływać się do sfery wartości, decyzji moralnych. To zaś z kolei otwiera pole konfliktu. Społeczeństwa demokratyczne są skazane na konflikty o wartości – argumentuje Krasnodębski. Demokracja to nieustanny etyczny spór, wojna o to, co uznajemy za święte. W demokracji nie możemy chować się ze swoimi moralnymi przekonaniami w domu, musimy wyjść z nimi na miejski plac, w przestrzeń publiczną, musimy je wypisać na swoich sztandarach. I umieć o nie walczyć.

W ten sposób prawica przejmując dyskurs antypolityki. Konstruuje program, w którym za rzecz nadrzędną uznaje się wierność zasadom moralnym, a nie polityczną skuteczność. To dlatego polska prawica może wielokrotnie przegrać w demokratycznych wyborach, a jednocześnie nie stracić wiary we własną słuszność. Tu miarą sukcesu nie jest już zwycięstwo wyborcze, ale tryumf moralny.

Gdzie ten sposób myślenia ma swoje korzenie, skąd czerpie inspiracje? Polscy konserwatywni rewolucjoniści z uwagą i przejęciem czytają niemieckich konserwatywnych rewolucjonistów w rodzaju Ernsta Jüngera czy Carla Schmitta. Zwłaszcza ten drugi pobudza prawicową wyobraźnię. Łączy się u niego kilka wątków dla polskiej prawicy po 1989 roku szczególnie ważnych: skojarzenie porządku polityki z porządkiem religii, uświęcenie państwa narodowego jako uprzywilejowanej formy wspólnoty politycznej, wreszcie przekonanie, że działanie polityczne jest z zasady sytuacją konfliktu z jasno zdefiniowanym „wrogiem”.

W rozpoznaniu o ścisłych związkach kategorii politycznych z kategoriami religijnymi Schmitt nie jest bardzo oryginalny, na pewno jednak wyróżnia się stanowczością. „Wszystkie istotne

pojęcia z zakresu współczesnej nauki o państwie to zsekularyzowane pojęcia teologiczne”³⁶ – pisze w jednym ze swych najgłośniejszych esejów, *Teologii politycznej*. To, że wyobrażenia religijna w sekularyzujących się społeczeństwach Zachodu dziewiętnastego i dwudziestego wieku nie zamiera, a raczej przeobraża się w ukrytą motywację zbiorowych wyborów, wiemy od klasyków myśli społecznej. Ale Schmitt idzie dalej. Jego filozofia to przede wszystkim reakcja na chaos republiki weimarskiej oraz próba teoretycznego uzasadnienia silnej władzy państwowej. Za największe zagrożenie uznaje Schmitt wojnę domową, za najwyższą wartość – maksymalną spójność wspólnoty narodowej. Kto ma dbać o to, by wspólnota narodowa nie rozpadła się na wrogie obozy i nie pogrążyła w wojnie domowej? Według Schmitta – przywódca o kompetencjach przekraczających wszelkie ograniczenia konstytucji. Nawiązując do Hobbesa, Schmitt nazywa takiego władcę suwerenem. To, co go wyróżnia, to moc ogłaszania stanu wyjątkowego. „Suwerenny jest ten, kto decyduje o stanie wyjątkowym” – przekonuje Schmitt. Ów stan wyjątkowy jest w istocie czymś na kształt cudu. Ten, kto go skutecznie wprowadza, okazuje się siłą transcendentną wobec państwa, przekracza je, choć nie sabotuje, lecz paradoksalnie wzmacnia, swoim wywrotowym gestem ustanawia. Innymi słowy, jest kimś bliskim figurze Boga – w tym wymiarze, w jakim pojęcie Boga zakłada, że „Stwórca jest transcendentny wobec świata”, wszechmocny, wpisany w świat, działający w nim, lecz niezawisły. Bez pojęcia Boga idea suwerena traci sens – przekonuje Schmitt. Ciągnać tę myśl

dalej, można powiedzieć: bez pojęcia Boga, bez religii niemożliwe wydaje się trwałe państwo.

A państwo w optyce Schmitta jest niezbędne, bo to podstawowy, a może nawet jedyny podmiot polityki. „Pod pojęciem państwa rozumiemy polityczny status narodu zorganizowanego na określonym, zamkniętym terytorium”³⁷ – pisze Schmitt na początku *Pojęcia polityczności*. I natychmiast uzupełnia: naród godny tego miana pragnie własnej jedności, spójności. Schmitt odrzuca liberalne teorie projektujące państwo jako efekt swobodnej demokratycznej gry obywateli i stowarzyszeń. Taka gra musi prowadzić do katastrofy: państwo zrzeka się wtedy swej władzy, przestaje być emanacją narodu, a staje się przedmiotem manipulacji różnych pasożytujących na nim grup. Państwo i wyrażający się w nim naród powinny być jednością, bo tylko w ten sposób mogą decydować same o sobie. A przede wszystkim – co Schmitt uznaje za szczególnie ważne – tylko w ten sposób mogą być politycznie skuteczne.

Na czym polega polityczna skuteczność państwa i narodu w wizji Schmitta? Na zachowaniu władzy dysponowania ludzkim życiem. Istotą polityczności definiuje Schmitt prosto: decyzja polityczna to decyzja odróżniająca przyjaciela od wroga.

Załóżmy, że w obszarze moralności najbardziej podstawowym rozróżnieniem jest podział na dobro i zło, w estetyce na piękno i brzydotę, w ekonomii na zysk i stratę lub na to, co opłacalne i nieopłacalne. [...] Specyficzne polityczne rozróżnienie, do którego można sprowadzić wszystkie polityczne działania i motywy, to rozróżnienie przyjaciela i wroga.

³⁵ Por. Marcin Król *Nieco z boku. Autobiografia niepolityczna*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2008, s. 150.

³⁶ Carl Schmitt *Teologia polityczna*, w: tegoż *Teologia polityczna i inne pisma*, przełożył Marek A. Cichocki, Aletheia, Warszawa 2012, s. 77; kolejne cytaty: s. 45, 89.

³⁷ Carl Schmitt *Pojęcie polityczności*, w: tegoż *Teologia polityczna i inne pisma*, op.cit., s. 245; kolejne cytaty: 253-254, 256, 275-276.

Kim jest opisywany przez Schmitta polityczny wróg? To „walcząca grupa ludzi stojąca naprzeciw podobnej grupy”. Nie pojedyncza osoba, nie rywal w walce o władzę, ale zbiorowość, której reguły istnienia są drastycznie różne od naszych. Samo funkcjonowanie podobnej zbiorowości podważa nasz status, dlatego musimy uznać ją za przeciwnika. I gdy zajdzie taka potrzeba, umieć wypowiedzieć jej wojnę. W tym znaczeniu zdolność do militarnej mobilizacji stanowi o podmiotowości państwa. Bez owej zdolności państwo łatwo staje się poddanym, lennikiem innych państw. Państwo, które boi się radykalnego konfliktu, które nie potrafi skłonić swych obywateli do złożenia ofiary krwi w obronie współwyznawanych wartości, skazane jest na zagładę:

Państwo jako miarodajna polityczna jedność zachowało pewne wyjątkowe uprawnienie: może prowadzić wojny, czyli otwarcie rozporządzać ludzkim życiem. Ius belli (prawo do wojny) zakłada bowiem także podwójne uprawnienie państwa: pozwala wymagać od obywateli, aby byli gotowi poświęcić własne życie i jednocześnie odbierać życie innym – zabijać ludzi walczących po stronie wroga.

Konflikt jako racja polityki – ten obraz robi wielką karierę w naukach społecznych i humanistycznych na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku. Zresztą nie tylko na prawicy. Schmitta interpretują ważni dla lewicy Giorgio Agamben, Ernesto Laclau czy Chantal Mouffe. Lewica z pokolenia kolejnego po pokoleniu 68 roku znajduje u Schmitta wskazówki, jak przeciwstawić się postpolitycznym realiom późnej nowoczesności. Według Laclau i Mouffe tylko w ramach sytuacji konfliktowej różne grupy społeczne mają szansę na wyrażenie swoich inte-

resów. Poza polem konfliktu demokracja obumiera.

Podobne wątki akcentuje u Schmitta prawica (jak choćby Krasnodębski w *Demokracji peryferii*). Oczywiście w przypadku polskiej prawicy romans ze Schmittem musi wiązać się z dyskomfortem. I to nie tylko z powodu nazistowskiej przeszłości autora *Teologii politycznej*. Trudno brać Schmitta za sojusznika, jeśli za elementarną wartość uznaje się anarchiczną, ponadpaństwową wolność. Ale to tylko szczegóły. Poglądy Schmitta i polskich konserwatystów są zbieżne w najważniejszych kwestiach. Przede wszystkim w dwóch punktach, w których widać zarazem związki Schmitta z tradycją romantyczną. Po pierwsze, chodzi o przekonanie, że podstawowym politycznym obowiązkiem każdego obywatela jest gotowość do poświęcenia życia za zbiorowość (naród). Po drugie, o wyobrażenie, że każdy naród ma przed sobą szczególne zadanie do wypełnienia – o charakterze misjańskim lub nawet mesjańskim.

Rzecz jasna Schmitt jest znany również jako autor rozprawy *Polityczny romantyzm*³⁸, bardzo krytycznej wobec politycznych idei wpisanych w niemiecką tradycję romantyczną. Formuluje tam koncepcję „subiektywnego okazjonalizmu”. Głównym przedmiotem jego ataku staje się romantyczna skłonność do estetyzacji przestrzeni kultury. Zdaniem Schmitta romantyzm wytraca swój impet w estetyce, konflikty polityczne z zasady przemienia w konflikty estetyczne. To efekt jego „estetycznej delikatności”, skłonności do „poetyzacji” tego, co polityczne. Schmitt konstruuje własną teorię de-

³⁸ Carl Schmitt *Polityczny romantyzm*, przełożył Wojciech Kunicki, w: *Rewolucja konserwatywna w Niemczech 1918-1933*, red. Wojciech Kunicki, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1999, s. 139-155.

cyzjonizmu, jako główną polityczną umiejętność wskazuje zdolność do podjęcia suwerennej decyzji, tymczasem u romantyków widzi tylko niemoc, emocjonalną słabość³⁹.

O tym, czy Schmitt jest sprawiedliwy wobec niemieckich romantyków, można dyskutować. Z naszej perspektywy ciekawsze wydaje się skonfrontowanie jego wniosków z polską tradycją romantyczną. Taką próbę podejmuje Zdzisław Krasnodębski w eseju *Polityczne meandry romantyzmu*. Wychodzi z tego ciekawy obraz polskiego romantyzmu jako formacji o mocnych intencjach politycznych, może nie tożsamych z późniejszymi ideami Schmitta, ale na pewno im bliskich:

W przeciwieństwie do romantyków niemieckich [...] polscy romantycy nie mogli trwać w typowo romantycznej postawie „subiektywnego okazjonalizmu”. Nie mieli szansy na romantyczne niezdecydowanie i zajmowanie się głównie sobą, swą egzystencją. Byli zmuszeni do podjęcia decyzji, nie mogli pozostać ironicznymi widzami „gry intryg rzeczywistości”. Świat był za poważny, walka i represje za rzeczywiste, by pozostać tylko pretekstem, okazją i powodem twórczości romantycznego podmiotu. Sytuacja zmuszała polskich romantyków do zaangażowania w walkę i rezygnację z czysto estetycznej postawy. Mickiewicz wyciągnął z tego konsekwencje, nie tylko zrezygnował z roli romantycznego liryka, lecz w ogóle z poezji i poświęcił się działalności religijnej i politycznej. „Prywatne kapłaństwo” polskich romantyków stało się „narodową prefecją”⁴⁰.

³⁹ Por. Anna Ciłkowska-Kimla *Romantyzm polityczny w Niemczech*, Księgarnia Akademicka, Kraków 2010, s. 19-22.

⁴⁰ Zdzisław Krasnodębski *Polityczne meandry romantyzmu*, w: tegoż *Drzemka rozsądnych*, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2006, s. 33.

Kiedy prześledzimy te powiązania, jeszcze raz przekonamy się, jak mocno charakter myślenia polskiej prawicy został określony przez tradycję romantyczną. Wygląda na to, że nawet kiedy z fascynacją przywołuje niemieckich konserwatywnych rewolucjonistów, polska prawica wydobywa przede wszystkim ich związki z tyrtejskim nurtem romantyzmu.

Obserwacja trudna do przecenienia, bo podpowiada nam coś jeszcze, pozwala odsłonić jeszcze jedną komplikację w prawicowym uwielbieniu dla dziedzictwa romantycznego. Jeżeli mówimy o wypracowanej przez Schmitta koncepcji łączącej pojęcie polityczności z doświadczeniem śmierci (tylko ten, kto gotów jest zaryzykować życie, może obronić własną polityczną suwerenność), nie sposób nie wspomnieć o Hegłowskiej teorii Pana i Niewolnika. Skojarzenie zbyt nachalne? Niekoniecznie. Nałożenie siatki Hegłowskich pojęć na doświadczenie polskiej prawicy po 1989 roku może zaowocować nieoczekiwanymi wnioskami, a przy okazji pomóc nam odpowiedzieć na pytanie o rzeczywiste źródła prawicowego romansu z romantyzmem.

Rzecz jest znana, więc wystarczy chyba tylko pobieżne streszczenie: w początkowych partiach *Fenomenologii ducha* z 1807 roku Hegel formułuje teorię Pana i Niewolnika. To opowieść o rodzinach samoświadomości. Dwie świadomości stają naprzeciw siebie, by rywalizować w pojedynku na śmierć i życie. Efektem ma być osiągnięcie wyższego poziomu samoświadomości przez jedną z nich. Poza tym układem żadna z nich nie ma na to szans. Jedna musi zapanować nad drugą, uczynić ją własnym poddanym, by uzyskać potwierdzenie własnej podmiotowości. Poczucie suwerenności (tak samo, jak później u Schmitta) bierze się tutaj ze

zwycięstwa odniesionego w dramatycznym konflikcie. Kto wygrywa? Ten, kto nie boi się śmierci, kto w trakcie pojedynku decyduje się na eskalację, idzie do końca, ktoś, kto wybiera raczej samowiedzę niż życie. Ten zostaje Panem. Z kolei ten, kto w trakcie starcia wycofuje się, okazuje strach, skazany jest na rolę Niewolnika. Tak Hegel wyobraża sobie początek dziejów.

Co zobaczymy, kiedy na tle takiej narracji umieścimy historię polskiej prawicy po 1989 roku? Z pewnością prawica wierzy, że konflikt to inicjująca sytuacja polityczna, że polityka bierze się z radykalnego starcia, w którym przynajmniej jedna ze stron jest gotowa poświęcić życie. Tu zgodność z wizją Hegla jest wręcz uderzająca. Trzeba mieć wiernie stać przy swoich wartościach, bronić ich choćby za cenę śmierci, by zasłużyć sobie na miejsce w polityce – mówią zgodnie Jarosław Marek Rymkiewicz, Jarosław Kaczyński i ich liczni zwolennicy. Katastrofa smoleńska jest tylko i aż domknięciem tego schematu myślenia – faktyczną śmiercią, która w końcu uzasadnia budowany od dawna język.

Ale jaką rolę rezerwują dla siebie polscy konserwatyści w heglowskim układzie? Za kogo się uważają? Za Panów czy Niewolników? Deklarują gotowość złożenia ofiary z życia w imię politycznego celu, więc we własnej świadomości są niejako Panami in spe. Tyle że zarazem najwyraźniej nie marzą o politycznym zwycięstwie. Nawet nie chodzi o to, że przez długie lata systematycznie ponoszą wyborcze porażki. Raczej o to, że w prawicowym języku zwycięstwo nie staje się miarą dobrej polityki. Jak powiedzieliśmy, konserwatyści mogą przegrywać i z tych przegranych czerpać przekonanie o własnej wyższości. Tu znów konsekwencje katastrofy smoleńskiej okazują się zaled-

wie uzupełnieniem wcześniej konstruowanego dyskursu, choć zarazem jego ostatecznym wyjaskrawieniem. Wiążąc – po 10 kwietnia 2010 roku już bardzo wyraźnie – porządek polityczności z kategorią śmierci, szukając w śmierci uzasadnienia dla polityki, polska prawica czyni z doświadczenia porażki organizujący element własnego istnienia.

A zatem osuwa się w kondycję Niewolnika? Godzi się z własną przegraną i akceptuje status podległości? Nie do końca. Owa porażka, o której fantazjują pravicowcy, nie jest prostą rezygnacją, wycofaniem się z walki. O raczej decyzja o honorowym samobójstwie dokonanym w obliczu przeważających sił wroga. Ów obraz wraca w prawicowej retoryce systematycznie, szczególnie mocno w tekstach Rymkiewicza. Samuel Zborowski w wersji Rymkiewicza jest przecież kimś, kto traci życie, bo odrzuca negocjacje z władzą królewską. Wybiera śmierć, by zachować suwerenność. Ten sam wątek pojawia się w *Kinderszenen*, gdzie powstańcy warszawscy świadomie idą na śmierć, by – jak podpowiada autor – zachować poczucie politycznej wolności⁴¹. Zbliżony sens ma narracja na temat śmierci Lecha Kaczyńskiego, z zawartą w niej sugestią, że prezydent został zamordowany, ponieważ zbuntował się przeciwko władzy imperium rosyjskiego i jego lokalnych sojuszników⁴².

Innymi słowy, nawiązanie do tradycji romantyzmu tyrtejskiego (wsparte odwołaniem do Carla Schmitta) owocuje w dyskursie polskiej prawicy niezwykłym odwróceniem heglowskiej układanki. Już nie zwycięstwo w walce

⁴¹ Por. Jarosław Marek Rymkiewicz *Kinderszenen*, Sic!, Warszawa 2008.

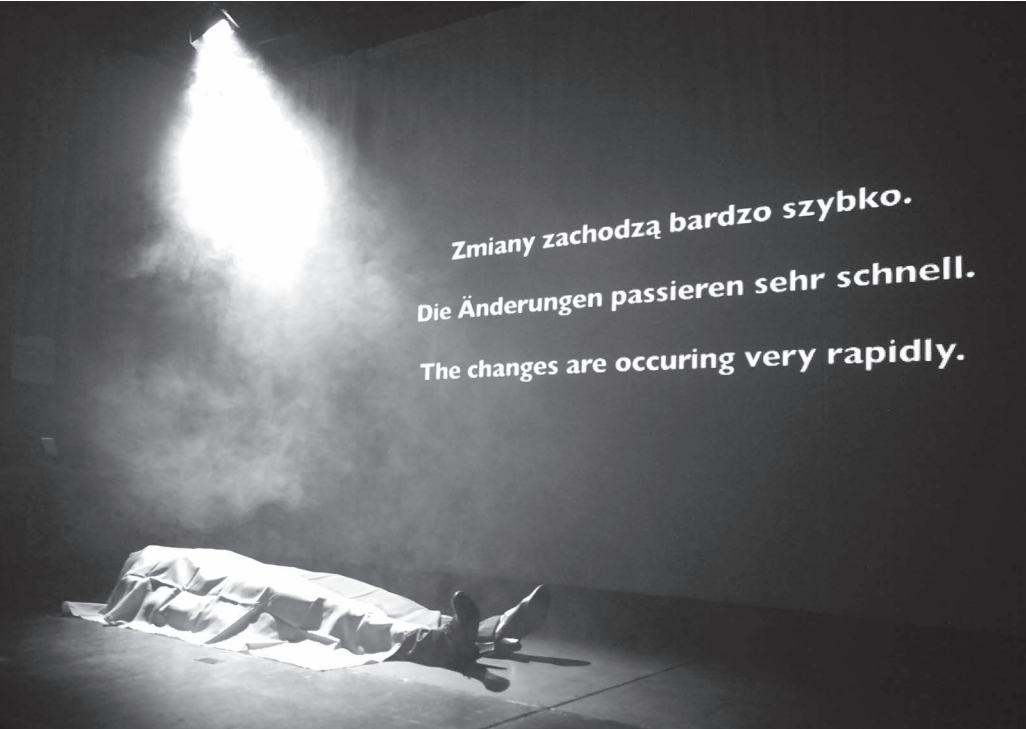
⁴² Por. *Od morza do morza*, rozmawiała Joanna Lichocka, <http://joannalichocka.salon24.pl/513065,od-morza-do-morza-wywiad-z-jaroslawem-markiem-rymkiewiczem> (dostęp 20 listopada 2014).

gwarantuje status Pana, ale paradoksalnie – porażka. Już nie tryumfator pojedynku może cieszyć się profitami, ale ten, kto w rywalizacji poświęcił samego siebie, przegrał, zginął. Czy nie dochodzimy tu w końcu do odpowiedzi na pytanie o rzeczywiste źródła niezwykłego przywiązania polskiej prawicy do spadku romantycznego? Otóż romantyzm okazuje się doskonałym wyborem dla każdego, kto potrafi funkcjonować wyłącznie w pozycji przegranego, pokrzywdzonego. Polski romantyzm podpowiada, jak czuć się wygranym, mimo że ma się głęboko uwewnętrznione poczucie własnej porażki; jak zachować status ofiary, a równocześnie tryumfować.

Polska prawica z jakiegoś powodu owego statusu porzucić nie potrafi. Sprzężenie zapewne jest zwrotne. Polski romantyzm wychowuje własnych odbiorców, by ci bez trudu akceptowali kondycję ofiary. Wzrastanie w polu jego rażenia niewątpliwie powoduje upodobanie do momentów porażki. Ale romantyzm bywa też – historia polskiej prawicy po 1989 roku pokazuje to przekonująco – świadomym wyborem dla tych, którzy we własnym statusie przegranego widzą polityczny atut. To już nie tylko natręctwo, które trzeba by psychoanalizować, jak chce Agata Bielik-Robson; nie tylko spychana w nieświadomość wstydliva psychiczna dyspozycja, która na światło dzienne wydobywa się w momentach społecznego kryzysu – jak po katastrofie smoleńskiej. To również polityczna kalkulacja. A przynajmniej jakiś polityczny projekt.

Można by to streścić tak: polska prawica przez krótką chwilę po 1989

roku usiłuje ustanowić się w języku odległym od romantycznego. Rozpoznania, które składają się w teorię postkomunizmu, mają w sobie sporo politycznej racjonalności. Problem w tym, że szybko zostają uzupełnione o myślenie spiskowe. Prawica już na początku lat dziewięćdziesiątych widzi w sobie ofiarę transformacji, przedmiot manipulacyjnych zabiegów politycznego establishmentu. Jarosław Kaczyński najpierw obsadza się w roli ofiary zabiegów środowiska prezydenta Wałęsy, następnie uznaje sam siebie za głównego wroga niemal całej klasy politycznej. Idzie na kolejne wojny, które dość konsekwentnie przegrywa. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych niemal znika z polityki, funkcjonuje na jej dalekich obrzeżach. To w naturalny sposób utwierdza jego przywiązanie do retoryki ofiary. A przy okazji czyni wiarygodnym w oczach wszystkich, którzy czują się podobnie wykluczeni z nowej rzeczywistości. W tym miejscu dyskurs ofiary przestaje być zapisem osobistych urazów, a staje się poręcznym argumentem politycznym. I wprost prowadzi do radykalnych projektów społecznych. Jeśli świat, z jakim obcujemy, zbudowany został na niesprawiedliwości, trzeba go unicestwić. Stąd w prawicowej wyobraźni mesjańskie wizje konstruowania nowego świata od podstaw. Gdy do takiej układanki Rymkiewicz dodaje uświęcenie śmierci jako gestu politycznego, przekaz prawicowy okazuje się po prostu aktualizacją moralizatorskiego języka ofiary odnalezionego w tradycji romantycznej. A katastrofa smoleńska nie tyle inicjuje ten proces, ile go wieńczy.



Zmiany zachodzą bardzo szybko.
Die Änderungen passieren sehr schnell.
The changes are occurring very rapidly.

KRZYSZTOF MINKOWSKI, MARTA MALIKOWSKA, WOJTEK ZRAŁEK-KOSSAKOWSKI *MITY
RZECZYWISTOŚCI: O DWÓCH TAKICH, CO UKRADLI KSIĘŻYC*, GORKI THEATER, BERLIN 2016,
REŻ. KRZYSZTOF MINKOWSKI, FOT. UTE LANGKAFEL MAIFOTO

WOLFRAM LOTZ

PRZEŁOŻYŁA SŁAWA LISIECKA

Śmieszna ciemność

**SŁUCHOWISKO WEDŁUG FRANCISA FORDA
CONRADA „JĄDRO APOKALIPSY”**

*Uwaga do ewentualnego przeniesienia skryptu na
scenę teatralną:*

Mamy tu do czynienia z zapisem słuchowiska, a nie z oryginalnym tekstem sztuki teatralnej. W chwili przeniesienia na scenę wymaga on rozległej transformacji. Dlatego też większe zmiany w dramaturgii, skreślenia, wprowadzanie obcych tekstów itp. są nie tylko dozwolone, ale wręcz zalecane. W zapowiedziach, programach i innych materiałach informacyjnych nie należy używać określenia „sztuka autorstwa...”, lecz „według tekstu słuchowiska autorstwa...”, a to dlatego, że tak właśnie jest.

Dobrej zabawy.

Wolfram Lotz, 11 kwietnia 2013 roku

I. PROLOG SOMALIJSKIEGO PIRATA

ULTIMO Wielce szanowny panie sędzio,
nazywam się Ultimo Michael Pussi,
i jak pan wie – co zresztą można było przeczytać również w prasie niemieckiej –
jestem czarnym Murzynem z Somalii.
Dla ułatwienia będę rozmawiał z panem po niemiecku,
proszę o zrozumienie, to wiele uprości, jak sądzę.
Co do swojej osoby mogę powiedzieć tyle:
Urodziłem się w porze deszczowej, pod drzewem, którego kwiaty
pachną o poranku jak kwiaty żadnego innego drzewa, które jednak już
w południe nieśmiało zamykają swoje kielichy przed spojrzzeniami ludzi i zwierząt.

Mój ojciec nosił przeważnie nazwisko Kanok, czasem jednak nazywał się także Pulpin, a niekiedy Thoarde, bywało też, że przyjmował nazwisko Iltis, w zależności od tego, z kim rozmawiał. Był z zawodu kimś, kto na peryferiach Mogadiszu szuka kijem różnych przedmiotów w piaszczystej ziemi.

Moja matka nazywała się Honija i wyuczyła się najrozmaitszych zawodów: gotowania przedmiotów w blaszanym garnku, prania bielizny, czyszczenia rzeczy, które się posiada, płakania, kiedy jest się smutnym, śpiewania, gdy rozpiera cię radość, programowania prostych tabel Excela, szturchania psów suchą gałęzią, jeśli stają się zbyt natarczywe, dawania poczucia bezpieczeństwa.

Przyjmuję do wiadomości, że stoję przed sądem landu Hamburg, oskarżony o piractwo. Tak, to prawda, jestem piratem. Poza tym przyznaję, że popełniłem zarzucany mi czyn, to znaczy napadłem na frachtowiec MS Tajpan. Mam jednak prawo opowiedzieć, co sprowokowało mnie do owego napadu, gdyż w ten sposób chciałbym zaapelować o pańskie zrozumienie dla naszego położenia, które zmusza nas do tego, chociaż warunki naszego życia mogą wydawać się środkowym Europejczykom obce i całkiem niezrozumiałe. Jednakże:

Zanim oddałem się piractwu, zdobyłem najpierw zawód rybaka. A to dzięki mojemu najlepszemu przyjacielowi, Tofdauowi. Tofdau już jako dziecko pragnął być rybakiem. Ja w dzieciństwie miałem głęboko w nosie, co ze mnie wyrośnie. Jako dziecko zawsze powtarzałem: Mam głęboko w nosie, co ze mnie wyrośnie, pocałujcie mnie wszyscy w dupę.

Ale wieczorami, kiedy Tofdau i ja siedzieliśmy w nadpiłowanej blaszanej beczce – za starą fabryką na peryferiach Mogadiszu, gdzie dawniej, w czasach kolonializmu, było przetwórstwo bananów, no więc kiedy Tofdau i ja siedzieliśmy wieczorami w tej nadpiłowanej beczce za fabryką, Tofdau opowiadał mi, co wie o rybołówstwie. Nie było tego wiele, ale było to piękne i pełne pasji. I wtedy ja też zacząłem w którymś momencie marzyć o tym, żeby zostać rybakiem. Tofdau i ja postanowiliśmy więc, że obaj zostaniemy rybakami.

Tofdau powiedział: „Kiedy ze skraju miasta patrzy się na morze, można na nim dostrzec wiele kolorowych statków. Są to statki angielskie, holenderskie, japońskie, indyjskie, amerykańskie, niemieckie i chińskie, a są one tam dlatego, że morze Somalii jest pełne wspaniałych ryb, jak niebo jest pełne gwiazd. Musimy tylko wypływać i brać sobie to bogactwo”.

Kiedy więc nadszedł czas, że nasze ciała nabrały siły i urosły nam włosy pod pachami, Tofdau i ja zaczęliśmy wypłacać sieci i za pieniądze, które Tofdau odziedziczył po swojej grubej matce,

i za pieniądze, które skądś dostał (nikt nie wie o tym niczego dokładnego!),

i za pieniądze, które ja pozyskałem dzięki zakupowi w internecie zepsutego radia tranzystorowego, które naprawiłem i odsprzedałem,

i za pieniądze, które dostałem za budowę niewielkiego muru ogrodowego,

i za pieniądze, które zarobiłem dzięki sprzedaży niebiesko połyskującego ptaka, którego schwytałem za domem starego Olima,

i za pieniądze, które dostałem dzięki sprzedaży starej kasety z francuską muzyką w stylu rap,

i za pieniądze, które zarobiłem za wykopanie małego rowu między dwoma innymi rowami wykopanymi przez innych ludzi – w celu nawodnienia –

no więc za te pieniądze

kupiliśmy małą łódź

z mnóstwem wgnieceń.

I nazwaliśmy ją Nadzieja.

(Jeśli są co do tego jakieś pytania, to bardzo proszę.

Jeśli cokolwiek wydaje się niezrozumiałe, proszę po prostu pytać. Dobrze.)

Potem wreszcie nadszedł nasz wielki dzień: Wypłynęliśmy naszą łodzią na pełne morze.

Kiedy oddaliliśmy się kilka kilometrów od lądu, Tofdau wyłączył silnik i zaczęliśmy nasłuchiwać ciszy.

Cisza.

ULTIMO Potem objęliśmy się, roześmialiśmy i zanurzyliśmy sieci w wodzie. Po pewnym czasie wyciągnęliśmy je. Nie wierzyliśmy własnym oczom: były puste. Spojrzeliśmy więc w głąb morza i zobaczyliśmy, że ono także jest całkiem puste. Angielskie, holenderskie, japońskie, indyjskie, amerykańskie, niemieckie i chińskie floty rybackie wyłowiły wszystkie ryby i wszystko, co oprócz tego było w morzu. Morze było całkiem puste, nie było w nim nawet alg ani planktonu, niczego, nie było nawet wody. Morze było tak przejrzyste, że można było spojrzeć przez nie na wylot, coraz bardziej w głąb, w samą głębinę, i nic, ani kropli wody, ani niczego innego, tak puste było morze, ale wtedy, całkiem w dole, na samym dnie tej głębiny, Tofdau i ja ujrzeliśmy lśniące dno morza, które jednak nie było piaszczyste, tylko składała się na nie wściekłość, bezgraniczna, nieskończona wściekłość. Wtedy Tofdau zaczął krzyczeć, wrzeszczał jak zranione zwierzę i chciał rzucić się w tę głębinę, ale ja przytrzymałem go mocno i ścisnąłem kurczowo, jak matka kurczowo ściska dziecko, gdy przychodzi policja, ściskałem więc mojego przyjaciela Tofdaua, żeby nie mógł skoczyć, ściskałem go z całych sił.

Popłynęliśmy z powrotem na ląd. Noc opadła już z nieba. Tofdau bez słowa wysiadł z łodzi i zniknął w ciemności. Nie wiedziałem, co począć. Ukryłem naszą łódź pod plandeką i poszedłem przez nocne miasto, a w głowie kłębiło mi się mnóstwo myśli. W pewnym momencie wdrapałem się na jarząb, miasto było bardzo ciche tej nocy, tylko od czasu do czasu słyszałem w oddali ogień ze stanowiska karabinu maszynowego, a kiedy wszedło słońce, powziąłem decyzję. Siedząc na tym jarządzie, postanowiłem zacząć kończące się dyplomem studia piractwa w wyższej szkole w Mogadiszu.

Złożyłem wnioski o różnego rodzaju wsparcia i dostałem miesięczne stypendium od działającej w Mogadiszu islamistycznej organizacji stu-

denckiej wspierającej rozwój osób uzdolnionych, niewielką pensję od akademickiej fundacji narodu somalijskiego, jak również dalsze subwencje od fundacji wspierania osób uzdolnionych w dziedzinie kształcenia zawodowego w Afryce Wschodniej.

Podczas studiów uczyłem się abordażu historycznych, jak również współczesnych statków, potajemnego śledzenia frachtowców ciemną nocą, strzelania w powietrze z karabinu maszynowego dla zabawy lub napędzania strachu, a także głośnego krzyku, mającego skłonić cudzoziemskie załogi do poddania się. Uzyskałem dyplom z bardzo dobrą oceną.

Od rzeczonoj nocy nigdy więcej nie widziałem Tofdaua, ale po odebraniu dyplomu z sekretariatu dla studentów udałem się na poszukiwanie mojego przyjaciela. Albowiem w naszej kulturze przyjaźń znaczy niesłuchanie dużo (trzeba to wiedzieć, jeśli chce się nas zrozumieć).

Wygooglowałem Tofdaua i szybko dowiedziałem się, że jest on zatrudniony jako pracownik w naleśnikarni w jednej z biednych dzielnic miasta. Kiedy poszedłem tam nazajutrz, okazało się, że ta buda to kawałek blachy falistej na czterech słupkach. Tofdau smażył tam naleśniki na zlecenie etiopskiego właściciela. Chociaż wydawało się, że ta buda dość dobrze działa w tej dzielnicy, Tofdau sprawiał przy pracy wrażenie osoby bardzo nieszczęśliwej. Podeszedłem do niego, wziąłem go w ramiona i powiedziałem: „Słuchaj, Tofdau, jesteś jedynym człowiekiem, którego jeszcze mam na świecie – jestem teraz piratem i chciałbym wypłynąć w morze naszą małą łodzią. Chodź ze mną!”. Tofdauowi napłynęły do oczu łzy, wziął naleśnik, który właśnie usmażył, posmarował go kremem selerowo-śmietanowym, zwinął w rulonik i podał głodnemu klientowi. Nie czekając na zapłatę, rzucił fartuch na zakurzoną ulicę i poszedł ze mną. Wędrowaliśmy ulicami Mogadyszu i śpiewaliśmy. Zeszliśmy do portu, gdzie ukryta pod plandeką stała nadal nasza łódź z mnóstwem wgnieceń – Nadzieja.

Kiedyśmy czekali przy brzegu na statki (a czekaliśmy wiele dni i nocy), Tofdau opowiadał mi, co robił przez ten cały czas, kiedy ja kończyłem studia. Mówił:

„Ultimo, mój przyjacielu, początkowo czułem się tak przybity, że nie miałem siły wziąć na powrót życia w swoje ręce. Żyłem z dnia na dzień i byłem w strasznej depresji. Pieniądze szybko się skończyły, ale nie udało mi się od razu znaleźć jakiegoś zajęcia. Z biedy pozwalałem więc, żeby ludzie za forszę wkładali mi różne przedmioty do tyłka. Do tej pory nikomu o tym nie opowiadałem, Ultimo, tobie pierwszemu o tym opowiadam, bo jesteś moim przyjacielem. Pozwoliłem sobie włożyć dezodorant w kulce, szczypce do kielbasek z grilla, budzik radiowy, pozwoliłem, żeby mi wsadzili do tyłka nektarynkę, poręcz ogrodowego krzesła z wikliny, antologię liryki islandzkiej, pusty magazynek kałaskownikowa, puszkę karmy dla kotów, szufladę szafki nocnej i już nie wiem co jeszcze. Dostawałem za to mnóstwo forsy, wierz mi, można zarobić na tym dużo kasy, ale to nie jest dobre. Nie mówię, że to złe, kiedy wsadzają ci różne przedmioty do tyłka, to może być piękne i dobre, jeśli się tego chce. Ale jeśli robisz to tylko dla pieniędzy, a tak naprawdę

wcale tego nie chcesz, to nie jest dobre. Na dłuższą metę, Ultimo, zabija to śpiewającego ptaka, który mieszka w gniazdku naszego serca. Możliwe, że jestem konserwatywny, ale tak to właśnie widzę. No cóż, kilka miesięcy później znalazłem to zajęcie w naleśnikarni, dobre, przyzwoite zajęcie. Ale trzeba było pracować przez cały dzień i dostawało się tak mało pieniędzy, że nie dało się z tego wyżyć. Co człowiek ma robić, co robić na tym przeklętym świecie?”

Wtedy nagle mojemu przyjacielowi Tofdauowi przerwał jakiś bardzo donośny odgłos, który, trzeba panu wiedzieć, brzmiał mniej więcej tak.

Wydaje odgłos klaksonu.

ULTIMO Rozpoznał pan to? Nie? Proszę poczekać! (*wydaje ten odgłos ponownie*) A teraz? Nadal nie? Niech pan poczeka, zrobię to jeszcze raz.

Słychać odgłos nagranej syreny okrętowej.

ULTIMO Rozpoznał pan teraz? Syrena okrętowa, to miała być syrena okrętowa! Niech pan zrozumie! Nagle pojawił się duży statek, który płynął wprost na naszą małą łódź. Przez nieuwagę po prostu nie dostrzeżliśmy go o zmierzchu.

Było już za późno, żeby wyminąć ten frachtowiec, naszą jedyną szansą był więc atak. Przyznaję, nie mogę powiedzieć, że bym zaatakował ten statek tylko po to, aby nas ocalić – ale nie było też tak, że chciałem go tylko zaatakować; tyle że w tamtym momencie nie umiałem po prostu oddzielić pragnienia, by zaatakować statek, od pragnienia, by nas ocalić. Rozumie pan? (To bardzo ważna kwestia!)

Jak powiedziałem: gdy frachtowiec znalazł się na naszej wysokości, zaatakowaliśmy go abordażem. W tym miejscu muszę pana prosić o zrozumienie, że nie mogę opisać dokładnego przebiegu akcji, zabrania tego kodeks honorowy piratów somalijskich. Powiem tylko tyle: to całkiem niewiarygodny i bardzo ryzykowny manewr, wymagający pewnych umiejętności. I to też stało się naszym przekleństwem: Tofdau, który przecież nie miał wprawy, wpadł podczas tego manewru do wody. Zauważyłem to dopiero w chwili, gdy dostałem się na pokład. Odwróciłem się, ale nigdzie nie widziałem Tofdaua. Spojrzałem w dół. Wzburzone fale porozrzucały szczątki naszej łódki, ale ślad po Tofdau zaginął. Moje serce przepełniło przerażenie, że nie dość dobrze pilnowałem przyjaciela, zacząłem więc biegać po statku i krzyczeć: „Zatrzymajcie statek!”. Nikt mi jednak nie odpowiadał, a ja biegałem po korytarzach i schodach tego potężnego statku, dotarłem na sam mostek, ale nie było tam nikogo, zacząłem więc krzyczeć na całe gardło, nikt jednak nie odpowiadał. Stałem sam na mostku, pośród całej tej techniki, ale nie znałem ani hardware, ani software, nie przerabialiśmy tego na studiach (a może byłem wtedy nieobecny), obca, obca maszyna, nie wiedziałem, jak ją zatrzymać. Zacząłem wzywać pomocy, aż moje serce całkiem zdrętwiało ze strachu. I ta drętwota wypłynęła z niego i rozlała się po całym moim ciele tak, że straciłem przytomność.

Kiedy doszedłem do siebie, siedziałem sam zakuty w kajdanki na pokładzie łodzi holenderskiej marynarki wojennej. Wokół mnie była noc. Jak pan wie i jak sam dowiedziałem się tego później z mediów, załoga frachtowca ukryła się w bezpiecznym miejscu i stamtąd wezwwała przez

radio pomoc. Po czym specjalna jednostka holenderskiej marynarki wojennej dostała się na frachtowiec i (tak przynajmniej pisano w gazetach) oswobodziła załogę, czyli pojmała mnie, który nieprzytomny leżałem na mostku.

Kiedy ten holenderski ścigacz płynął po morzu, a na nocnym niebie nade mną były miliony gwiazd, przypomniła mi się pewna historia o powstaniu nieba, którą moja babka Kröka opowiedziała kiedyś mnie i mojemu przyjacielowi Tofdauowi, gdy jeszcze byliśmy dziećmi:

„Na początku była ciemność i w ogóle niczego nie było, a Bóg powiedział: Nie wystarczy tej ciemności i tej nicości. I Bóg stworzył duży karabin maszynowy, i stworzył furgonetkę, i stworzył niemiecką firmę, która produkuje amunicję smugową, i zamontował karabin maszynowy na powierzchni ładunkowej furgonetki i jak obłąkany zaczął strzelać w tę ciemność, i tak powstało niebo”.

Kiedy tak siedziałem na pokładzie tego ścigacza i patrzyłem na morze i na niebo, poczułem w sobie potężne przerażenie i zacząłem płakać, jak nie płakałem nigdy wcześniej.

To jest moja historia. Proszę, aby mi pan uwierzył, wiem, że moja rzeczywistość życiowa może wydawać się panu jako Europejczykowi z Europy Środkowej obca i niezrozumiała, ale proszę mnie zrozumieć i uwierzyć mi w miarę swoich możliwości.

Mój adwokat był tak uprzejmy, że pozwolił sprowadzić z mojej ojczyzny kilka dowodów rzeczowych, uwiarygodniających tę opowieść. Jestem mu za to bardzo wdzięczny. Chciałbym je panu teraz szybko pokazać. Po pierwsze duże drzwi wejściowe do wyższej szkoły w Mogadiszu, w której studiowałem piractwo. Proszę popatrzeć.

Słuchać nagranie skrzypiących drzwi.

ULTIMO Poza tym mam tutaj fragment wybrzeża, na którym przechowywałem pod planerką naszą małą łódź z mnóstwem wgnieceń, Nadzieję. Proszę spojrzeć.

Słuchać nagranie krzyżących mew i odgłosów kipieli.

ULTIMO A tutaj jest ulica, na której dorastałem w Mogadiszu.

Słuchać trąbiące samochody, czyjeś głosy, terkoczące motorowery i temu podobne.

ULTIMO Wiem, że te dowody mogą wydawać się śmieszne, ale nie mam innych. Wiem też, że moja opowieść może się wydawać śmieszna, ponieważ to wszystko sprawia na panu wrażenie czegoś obcego i dziwnego, ale proszę pana o zrozumienie. Proszę pana o zrozumienie!

To moja jedyna szansa.

II. PODRÓŻ RZEKĄ

1.

Nazywam się Oliver Pellner, jestem starszym sierżantem Bundeswehry. Moim zadaniem było odnalezienie podpułkownika Karla Deutingera, żeby można go było zlikwidować. Deutinger wchodził w skład trzyosobowej jednostki specjalnej, która przed półtora rokiem przebywała

z tajną misją na wschodzie kraju. Jednakże to przedsięwzięcie nie zostało zakończone, ponieważ Deutinger, jak wywnioskowałem z wręczonych mi dokumentów, w chwili oblędu zabił swoich dwóch towarzyszy: Ingo Petrova i Matthiasa Wenskego. Moim zadaniem było wytropienie Deutingera na wyżej wymienionym terenie i przekazanie centrum dowodzenia dokładnego miejsca jego pobytu, żeby można było przeprowadzić atak z powietrza.

W tym celu miałem łodzią patrolową popłynąć w górę Hindukuszu – na wyżej wymieniony teren. Ludzie tutaj mówią: „Przecież Hindukusz to nie rzeka, tylko góry”. Oglądają coś w telewizji i po prostu w to wierzą, a potem wydaje im się, że wiedzą, że Hindukusz to góry. Ale ja tam byłem i płynąłem w górę Hindukuszu. Jest to ciemna rzeka o powolnym nurcie. Popłynąłem na poszukiwanie podpułkownika Deutingera, w sam środek lasów deszczowych Afganistanu, tylko w asyście podoficera Stefana Dorscha, sternika naszej łodzi patrolowej. Najlepiej będzie, jeśli Stefan Dorsch sam coś powie o sobie.

STEFAN DORSCH Co mam powiedzieć, panie starszy sierżancie?

PELLNER No, na przykład, że jest pan z Niemiec Wschodnich.

STEFAN DORSCH Okej. No więc pochodzę z Niemiec Wschodnich, z Bernburga w Saksonii-Anhalt.

PELLNER A może coś o swoich kwalifikacjach zawodowych?

STEFAN DORSCH Studiowałem pracę socjalną.

PELLNER Niech pan jeszcze doda, że nie ukończył pan studiów.

STEFAN DORSCH Prawda, nie ukończyłem.

PELLNER I niech pan jeszcze krótko opowie, jak trafił pan do Bundeswehry.

STEFAN DORSCH Co pan ma dokładnie na myśli?

PELLNER No, tę sprawę z trudną sytuacją tam, skąd pan pochodzi.

STEFAN DORSCH Ach tak, no dobrze, wstąpiłem do Bundeswehry, bo po studiach nie znalazłem pracy. Zaciągnąłem się więc do wojska. Było jasne, że będę musiał pojechać na tereny, gdzie trwa wojna, ale pomyślałem, że to zawsze lepsze, niż być bezrobotnym.

PELLNER No właśnie. Ale przecież nie zaciągnął się pan ot tak, po prostu. Miał pan przecież wątpliwości ze względu na swoją sytuację osobistą.

STEFAN DORSCH Tak, owszem, to prawda.

PELLNER Niech pan o tym jeszcze krótko opowie!

STEFAN DORSCH Tak?

PELLNER Oczywiście tylko jeśli pan chce!

STEFAN DORSCH No dobrze, okej.

Do tej pory miałem dopiero jedną dziewczynę i byliśmy razem zaledwie półtora miesiąca. Było to cztery lata temu. Teraz mam trzydzieści jeden lat i oczywiście było tak, że pomyślałem sobie: jeśli się zaciągnę i będę mnie wysyłać do akcji za granicę, to właściwie nie będzie możliwości, żebym kogoś

spotkał. A przecież najważniejsze, aby kogoś mieć. Oczywiście również ze względu na seks, jasne.

Brakuje mi tego.

Pauza.

STEFAN DORSCH Czy mam jeszcze coś o sobie mówić?

PELLNER Nie, dziękuję, to na razie wystarczy.

STEFAN DORSCH Ale miałbym jeszcze pytanie, panie starszy sierżancie.

PELLNER Słucham?

STEFAN DORSCH Wiozę pana teraz w górę rzeki, tyle wiem, ale jakie dokładnie jest nasze zadanie?

Ach, te pytania! Przecież nie mogłem mu powiedzieć, że nasze zadanie jest ściśle tajne. *(pauza)* Udałem po prostu, że go w ogóle nie słyszę.

2.

Kilka dni po wyruszeniu w podróż dotarliśmy zgodnie z planem do ostatniej prawdziwej placówki znajdującej się tuż u progu absolutnej dziczy. Obóz prowadzili włoscy żołnierze z Błękitnych Hełmów. Chyba dostrzegli nas już z daleka, bo dowódca, niejaki Lodetti, zszedł na przystań, żeby nas przywitać.

Lodetti zaprowadził nas do obozu. Na zboczu obijało się kilkudziesięciu tubylców, niektórzy leżeli pod drzewami i spali, inni siedzieli przy ognisku, nad którym piekli węża, a jeszcze inni siedzieli za wyłomem skalnym i w południowym upale grali bez słowa w coś w rodzaju kości. Wydawało się, że nie zwracają na nas szczególnej uwagi.

Co robią tutaj ci ludzie? – zapytałem.

Lodetti odpowiedział mniej więcej tak:

LODETTI To robotnicy. Spędzają tutaj przerwę obiadową. Nie grożą im tu ataki talibów.

PELLNER Dlaczego oni spędzają przerwę obiadową na tym stromym zboczu?

LODETTI Ach, niech pan da spokój! Początkowo byli w obozie, ale tak się po prostu nie dało.

STEFAN DORSCH W czym był problem?

LODETTI Ci tubylcy... jak to powiedzieć... ci ludzie są w ogóle niecywilizowani. Problemem było korzystanie z toalety. Długo próbowaliśmy ich nauczyć, żeby siadali sikając, ale zawsze zdarzył się ktoś, kto tego nie robił. Na desce klozetowej ciągle były krople moczu. Dwa razy ślady zostały nawet w samej muszli, bo najwyraźniej nie użyli szczotki klozetowej. Tak się po prostu nie dało dalej żyć. Wysyłanie ich gdzieś poza obóz też nie było rozwiązaniem, bo w tym gorącym klimacie wszystko zaczyna natychmiast cuchnąć. W pewnym momencie wpadłem na pomysł, żeby po prostu spędzali przerwę obiadową na zboczu, nad rzeką. Nie jest to wprawdzie optymalne, ale tam wciąż chronieni są przez nasz obóz, a przede wszystkim mogą się załatwiać do rzeki,

co ostatecznie okazało się najlepszym wyjściem z sytuacji. I chodzi tu naprawdę tylko o przerwę obiadową, wieczorem wracają do swoich wiosek.

PELLNER Czym zajmują się ci ludzie?

LODETTI Wydobywają w lasach koltan, bo w tym kraju nikt nie myśli o tym, żeby uprawiać coś sensownego. Koltanu używa się do produkcji telefonów komórkowych, europejskie firmy płacą za niego duże pieniądze, a gdybyśmy nie czuwali nad wydobyciem tego surowca, łapę położyliby na tym talibowie.

STEFAN DORSCH To znaczy, że tę placówkę założono tu właśnie z tego powodu?

LODETTI Tak, bo z jakiego innego powodu można by wpaść na pomysł budowania placówki w tej dziczy? Siedzimy tutaj całkiem odcięci od wszystkiego. Od miesiący próbujemy założyć internet, ale to po prostu niemożliwe, nie mówiąc już o telewizji. Wyobraża pan to sobie? Siedzimy tu w środku wojny, ale nic o niej nie wiemy, bo nie mamy ani internetu, ani telewizji. Od czasu do czasu ostrzeliwują nas granatami z lasów i raz po raz zdarzają się ataki poszczególnych jednostek, ale poza tym nie mamy pojęcia o wojnie, niech pan to sobie wyobrazi, bo w tej zasranej dziurze po prostu nie ma internetu.

Lodetti zaprowadził nas do swojego kontenera, gdzie zaprosił nas na obiad. Nie pamiętam już, co nam podano, w każdym razie brzmiało to tak:

Cichy brzęk sztućców.

W pewnym momencie, podczas jedzenia, Lodetti powiedział:

LODETTI Mam obowiązek ostrzec panów przed dalszą podróżą. Ta dzicz to istna groza. Oprócz niewielkiej misji w górze rzeki tu jest ostatnia prawdziwa placówka. Tam, w lasach, panuje wariactwo, człowiek na dłuższą metę popada w obłęd. Ta dzicz doprowadziła do obłędu również tego Niemca.

PELLNER O którym Niemcu pan mówi?

LODETTI Siedzi tam gdzieś jakiś Niemiec w tych lasach, ktoś słyszał go tu przez radio. Ja sam go nigdy nie słyszałem. Ale nasz radiotelegrafista raz po raz odbierał jego głos, to musiało być straszne. Najpierw nasz radiotelegrafista zachowywał się coraz dziwniej, przesiadywał również w nocy przy radiu i całkiem się odizolował. Nie zastanawialiśmy się nad tym, bo tu czasem się zdarza, że człowiek nie jest w najlepszym stanie, ale w pewnym momencie to przechodzi. Jednak nasz radiotelegrafista całkiem zwariował, zabił trzech kolegów krzesłem ogrodowym, dopiero potem udało się go nam zastrzelić. To było straszne.

PELLNER A dlaczego to zrobił?

LODETTI Nie mam pojęcia. Nie wiemy. Po tym zajściu kazałem zniszczyć radiostację, dla pewności. Oczywiście jest

to problem, bo nadal nie mamy internetu, ale w końcu jako dowódca ponoszę tu odpowiedzialność.

W obozie powoli wzrastał się zgiełk. Najwyraźniej przerwa obiadowa dobiegła końca. Za oknem przechodzili robotnicy pod eskortą kilku ciężko uzbrojonych żołnierzy.

Wołania: Avanti! Avanti!

Każdy tubylec niósł zarzucony na ramię worek z tworzywa sztucznego i miał ze sobą narzędzie, które wydawało się połączeniem zacisku z nożycami do przycinania żywoplotów. Dopiero teraz zauważyłem, że wielu robotnikom brak poszczególnych części ciała: jednemu ucha, innemu ręki i nosa, jeszcze innemu dłoni, kolejny nie miał obojga oczu i jednego ucha, następny znów miał u jednej ręki tylko kciuk, innemu brakowało nogi, którą prowizorycznie zastąpił blaszaną rurą do pieca. Mimo wszystko robotnicy sprawiali wrażenie pogodnych. Przyszło mi też na myśl, że te dzikusy są może szczęśliwsze niż my, ludzie cywilizowani, i że my, chociaż mamy wszystko, czego nam trzeba, jesteśmy niešťęśliwsi niż ci inwalidzi, a także, że szczęście nie ma nic wspólnego z tym, czy komuś brak jakiejś części ciała.

Lodetti siedział obojętnie, zajęty jedzeniem. W pewnym momencie westchnął. A potem, bez związku z czymkolwiek, zaczął opowiadać następującą historię:

LODETTI Wychowywałem się w Dolomitach, w małej górskiej wiosce liczącej z dwieście pięćdziesiąt mieszkańców. Kiedy byłem pięcio- lub sześćioletnim dzieckiem, było to na początku lat siedemdziesiątych, mieliśmy we wsi jeszcze dość dobrze działający klub. My, dzieci, chodziliśmy zawsze po kolacji potańczyć, to były szalone czasy. Zażywaliśmy wtedy mnóstwo narkotyków, dużo syntetycznych prochów. Pewnego wieczoru spotkałem w tym klubie dziewczynkę, której do tej pory nigdy tam nie widziałem, była chyba w moim wieku, a więc miała też pięć albo sześć lat, i jakoś od razu ją bardzo polubiłem. Natychmiast też szalenie dobrze się rozumieliśmy. Miała na imię Marina. Tego wieczoru przyniosłem prochy, strasznie mocne, wzięliśmy je i totalnie odjechaliliśmy. Było naprawdę cudownie. Jednak w którymś momencie zabawa się skończyła i mieliśmy już iść do domu, gdy wtem poczułem coś, czego nie czułem jeszcze nigdy wcześniej: chciałem wrócić z Mariną i pieprzyć się z nią. To mnie całkiem zbiło z tropu, bo przecież byłem pięcio- czy sześćioletnim dzieckiem i w ogóle nie umiałem poradzić sobie z tym emocjonalnie. Marinę to też całkiem przerosło. Powiedziała, że jest na zbyt dużym haju i żebym najpierw ochłoniął. Nie możemy się tak po prostu pieprzyć, bo jesteśmy jeszcze dziećmi. Błagałem ją, żeby poszła ze mną do mojego pokoju dziecinnego i pieprzyła się ze mną, ale Marina nie chciała. W pewnym momencie po prostu uciekła i zostawiła mnie samego. W tamtej chwili, kiedy stałem samotnie pośród drewnianych domów w naszej wiosce,

a słońce już wschodziło, byłem tak zrozpaczony, że zwyczajnie zacząłem ryczeć, a smarki i łzy wsiąkały mi w sweter. Beczałem i beczałem, i w tej samej chwili pojąłem, że te przeklęte prochy zmarnowały mi dzieciństwo.

Lodetti zamilkł. Przez chwilę był wyraźnie poruszony. Stefan Dorsch spojrzał na mnie pytająco. On też zdawał się nie wiedzieć, co Lodetti chciał nam powiedzieć przez tę historię. Potem Lodetti znowu zaczął jeść, tak jakby cała sprawa się dla niego skończyła.

Po obiedzie Stefan Dorsch poszedł na przystań, aby zatankować łódź i załadować na nią prowiant. Lodetti i ja zostaliśmy, wypiliśmy espresso i gawędziliśmy. Lodetti opowiedział mi, że jedenasty września spędził przed telewizorem na wakacjach nad jeziorem Como i w ogóle nie potrafił sobie wyobrazić, jakie to pociągnie za sobą konsekwencje.

LODETTI Jedenasty września spędziłem przed telewizorem na wakacjach nad jeziorem Como i w ogóle nie potrafiłem sobie wyobrazić, jakie to pociągnie za sobą konsekwencje.

A potem opowiedział, że pewnego razu deszcz napadał przez dach kontenera i przez to popsuła się wieża stereo.

LODETTI Pewnego razu deszcz napadał przez dach kontenera i przez to popsuła się wieża stereo.

Poza tym Lodetti opowiedział, że lubi meble wiklinowe.

LODETTI Lubię meble wiklinowe.

Lodetti nalegał, żeby mógł odprowadzić mnie na przystań, by się z nami pożegnać.

LODETTI Nalegam, żebym mógł odprowadzić pana na przystań, by się z panami pożegnać.

Kroki na trawie.

W drodze nad rzekę Lodetti zatrzymał się nagle na wąskiej ścieżce.

LODETTI Te przeklęte dzikusy, ta przeklęta niecywilizowana hołota, ta...

Lodetti schylił się i podniósł z trawy zmięty celofan od czekoladowego batonika.

LODETTI To nie do wiary! A tu – niech pan na to spojrz!

Pobiegl kilka kroków przodem i podniósł niedopałek papierosa, który leżał wśród traw.

LODETTI (*histerycznie*) Ile razy mówiłem tym ludziom, żeby wrzucali swoje brudy do rzeki, a nie wyrzucali ich na łąkę, ale ci barbarzyńcy tego po prostu nie rozumieją! Nie rozumieją! To jakiś obłęd! Obłęd! Jeszcze wszyscy potoniemy w tej dzicz! Zginiemy wszyscy w tej dzicz! Przecież tak nie wolno się zachowywać! To obłęd! Kompletny obłęd!

Twarz Lodettiemu spurpurowiała, najwyraźniej starał się opanować. Kręcąc głową, człapał naprzód, w dół zbocza. Dopiero kiedyśmy dotarli do przystani, trochę się uspokoił.

LODETTI Powodzenia, proszę na siebie uważać, proszę płynąć ostrożnie, powodzenia! To obłęd, to obłęd!

Nasza łódź ruszyła. Lodetti stał na przystani, machał nam jedną ręką, w drugiej nadal trzymał celofan i niedopałek papierosa. Oddalaliśmy

się, Lodetti malał coraz bardziej, aż nie można było go już dostrzec, ale ja widziałem, że ktoś tam nadal macha do nas ręką. Postanowiłem po prostu przestać patrzeć. Przed nami była już tylko rzeka, a wokół nas mroczne, bezkresne lasy.

3.

STEFAN DORSCH Woda tak pięknie rozdziela się na dziobie. Powiedział ten, jak mu tam, powiedział w pewnym momencie Stefan Dorsch.

Dłuższa pauza.

PELLNER Słucham?

STEFAN DORSCH Woda tak pięknie rozdziela się na dziobie.

Pauza.

PELLNER Aha.

Pauza.

PELLNER Tak, tak. (*pauza*) A dlaczego pan to mówi?

STEFAN DORSCH Tak sobie...

PELLNER Tak sobie?

STEFAN DORSCH Właśnie to zobaczyłem. No to powiedziałem.

Pauza.

PELLNER Okej... (*pauza*) Często rozmawia pan sam ze sobą?

Pauza.

STEFAN DORSCH Nie, właściwie nie.

PELLNER Nie?

STEFAN DORSCH Właściwie nie rozmawiałem sam ze sobą.

PELLNER Tylko z kim?

STEFAN DORSCH Ja... właściwie powiedziałem to do pana.

PELLNER Powiedział pan do mnie, że woda pięknie rozdziela się na dziobie?

Pauza.

STEFAN DORSCH Tak.

Pauza.

PELLNER Ach tak. (*pauza*) Ale dlaczego?

STEFAN DORSCH Nie wiem.

Dotkliwa cisza.

STEFAN DORSCH No tak, prawdopodobnie powiedziałem to po to, żeby...

PELLNER Żeby co?

STEFAN DORSCH Żeby jakoś nawiązać z panem rozmowę.

Pauza.

PELLNER Żeby nawiązać ze mną rozmowę?

Pauza.

STEFAN DORSCH No tak... Tak.

PELLNER Aha.

Pauza.

STEFAN DORSCH Tak, owszem...

PELLNER Okej...

STEFAN DORSCH Myślałem, że skoro razem płyniemy tą rzeką, to...

PELLNER Tak?

STEFAN DORSCH No to jest to też okazja, żeby się...

PELLNER Się?

STEFAN DORSCH No tak, żeby ze sobą porozmawiać.

PELLNER Hm.

STEFAN DORSCH A może nie?

PELLNER Okej, dlaczego nie...?

Pauza.

STEFAN DORSCH Bardzo bym się cieszył.

Pauza.

PELLNER Tak, tak.

Dotkliwa cisza.

STEFAN DORSCH Nie mam zbytnej wprawy w takich rzeczach, wiem. (*pauza*) Ale przecież trzeba jakoś zacząć.

PELLNER Tak, no tak – jasne!

Pauza.

Co miałem na to powiedzieć? Naturalnie nic.

Oczywiście, Dorsch na pewno miał szczere zamiary, ale sposób, w jaki je przedstawił – nie, to było niemożliwe.

Patrzył na mnie dziwnie, jakoś pytająco albo niepewnie czy jakoś tak, nie mam pojęcia, przykro mi, że nie można tego teraz zobaczyć, można to wszystko tutaj tylko usłyszeć. A nic nie było słyhać, no, prawie nic, oczywiście tylko szum rzeki. (*pauza*) Okej, no to teraz szum rzeki!

Szum rzeki.

4.

Te straszliwe lasy otaczały rzekę, otaczały nas jak potężne śpiące ciała. Płynęliśmy w górę rzeki, ale nasze spojrzenia ślizgały się po lasach, po tej postrzępionej ciemności. Gdzie byliśmy? Z przyrządów mogliśmy odczytać, że się poruszamy, ale lasy wokół nas pozostawały niezmiennie, nasze spojrzenia nie znajdowały żadnego oparcia, ślizgały się po zalesionych brzegach, po powierzchni rzeki, po której płynął jakiś punkcik, na wodzie znajdował się jakiś punkt, punkt, który się zbliżał, coś się tam zbliżało. „Cholera, coś tam się zbliża...!”

Ale to trwało jeszcze dobrą chwilę.

Bardzo długa pauza.

Tak, dopiero po dłuższej chwili udało się nam zobaczyć, że w kanu siedzi jakiś tubylec. Wykrzykiwał raz po raz:

STOJKOVIĆ Nie strzelać, nie strzelać, wołałem, proszę nie strzelać, jestem nieuzbrojony! Proszę nie robić mi krzywdy!

Proszę!

PELLNER Jak pan się nazywa?

STOJKOVIĆ Nazywam się Bojan Stojković.

PELLNER Co pan tu robi?

STOJKOVIĆ Jestem handlarzem.

PELLNER Czym pan handluje?

STOJKOVIĆ Czym się da! Na przykład jogurtem, mam też makaron świderki, chleb tostowy, fasolkę, budyń w proszku, ser kozi bez laktozy, zapalki, dmuchane materace, nici dentystyczne, i por, małże, fundusze inwestycyjne, psy, papaje, ludziki z kasztanów i prześcieradła naciągane z gumką, podściółkę dla zwierzątek, gry na playstation, paciorki, batoniki, płyty CD z lounge music i sznurowadła, same przedmioty codziennego użytku.

PELLNER A gdzie pan mieszka?

STOJKOVIĆ Mieszkam tutaj, w tym kanu.

STEFAN DORSCH Nie ma pan nigdzie żadnej chaty?

STOJKOVIĆ Miałem kiedyś dom, ale został zniszczony.

STEFAN DORSCH Przez wojnę?

STOJKOVIĆ To się stało w czasie wojny, ale z mojej winy.

PELLNER Z pańskiej winy?

STOJKOVIĆ To było dawno temu, pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Zginęli przy tym moja żona i syn.

STEFAN DORSCH Co się stało?

STOJKOVIĆ W latach dziewięćdziesiątych kupiłem za oszczędności domek i urządziłem go dla rodziny. Nie tutaj, w tych lasach, tylko kilka kilometrów dalej w dół rzeki, w wiosce Novi Očaj, mieszkaliśmy tam, ja, moja żona Sanja i Milo, mój niespełna dwuletni synek. To był bardzo prosty dom. Z tyłu, na małym tarasie, chciałem koniecznie mieć markizę, żeby można było tam siedzieć również w czasie upału. Pokłóciłem się o to z moją żoną, Sanją, bo ona uważała, że w dzisiejszych czasach, a więc wtedy, gdy odbywała się ta rozmowa, nikt nie ma już markiz, i że markizy były modne wcześniej, w latach osiemdziesiątych, a teraz już całkiem wyszły z mody. Oczywiście miała rację, ja też wiedziałem, że markizy zupełnie wyszły z mody! Ale w moich wyobrażeniach taka markiza zawsze stanowi część własnego domu i dlatego chciałem ją mieć, chociaż była całkiem demodé. Byłem uparty jak osioł. Po prostu nie ustąpiłem.

PELLNER Co wspólnego ma jakaś głupia markiza ze śmiercią pańskiej rodziny?!

STOJKOVIĆ To właśnie chciałem wyjaśnić, muszę tylko... No więc, obok naszego osiedla znajdowała się właśnie cysterna paliwowa „Naftnej industrij”, taki skład paliwa, którego talibowie używali wówczas również do celów wojskowych. NATO zaatakowało z powietrza, pewnej środy wiosną dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Bombowiec NATO zrzucił na ten skład bombę, precyzyjną bombę, żeby nikt więcej nie ucierpiał, a te bomby są niewiarygodnie dokładne, ta prawie co do metra trafiła w zaplanowany cel. Wskutek tego cała

cysterna wybuchła, było kilka silnych detonacji i paliło się jasnym płomieniem. Leciały iskry i markiza w naszym domu, który znajdował się w pobliżu, w pewnym momencie zajęła się ogniem, a potem pożar rozprzestrzenił się na cały dom. Po eksplozji moja żona ze strachu uciekła z Milo do piwnicy i dlatego zbyt późno zauważyła, że dom zaczął się palić. Żona siedziała z Milo w piwnicy, a dom się palił. Kiedy usłyszałem wybuch, wybiegłem z warsztatu samochodowego, w którym wówczas pracowałem, pobiegłem przez wieś do domu, ale wszystko się już paliło, cały dom. Kiedy dotarłem do domu, który stał w płomieniach, nie dało się już nic zrobić. Słyszałem dochodzące z piwnicy krzyki żony i syna. Milo! Milo! Jak Milo krzyczał w płomieniach, a ja nie mogłem nic zrobić, mogłem tylko stać beczynnym i czekać, aż oboje spłoną.

Cisza.

STEFAN DORSCH Ale to przecież nie była pana wina.

STOJKOVIĆ Była.

STEFAN DORSCH Ale przecież pańska żona i pański syn nie umarli przez pana!

STOJKOVIĆ To miłe, że tak chce pan to widzieć, ja przez lata również chciałem tak to widzieć, ale to nieprawda! Moi sąsiedzi też nie umarli, choć trwała wojna, a przecież wojna była przez cały czas. Tylko moja rodzina spłonęła, bo mieliśmy w domu markizę. Bo ja koniecznie musiałem mieć tę markizę.

STEFAN DORSCH Ale to przecież nieprawda! To była wina bomby! Oni zginęli przez bombę!

STOJKOVIĆ Ale ta bomba wcale nie trafiła w nasz dom. Ona trafiła co do milimetra w wyznaczony cel, to była precyzyjna bomba. Nasz dom zajął się ogniem z powodu markizy. Gdybym nie zamocował tej markizy, nasz dom ocalałby jak wszystkie pozostałe domy w wiosce.

STEFAN DORSCH Ależ to nieprawda!

STOJKOVIĆ Usiłuje mnie pan pocieszyć, ale mnie się nie da pocieszyć. Wiem, że jest pan życzliwy, nie ma pan jednak pojęcia, jak długo o tym rozmyślałem.

STEFAN DORSCH Ale ja tego po prostu tak nie widzę!

STOJKOVIĆ Nie chce pan tego tak widzieć, bo pragnie mi pan pomóc, ale w ten sposób mi pan nie pomoże. Mnie w tej sprawie nie można już pomóc. *(pauza)* Ale może mi pan pomóc inaczej. Może mi pan pomóc, kupując coś ode mnie.

PELLNER Dziękuję, niczego nie potrzebujemy, mamy wszystko!

STEFAN DORSCH To prawda, ale może mimo to moglibyśmy coś od niego kupić?

PELLNER To w ogóle nie wchodzi w rachubę! Nawet nie wiemy, czy to, co on nam opowiada, miało akurat taki przebieg!

Możliwe, że moja odpowiedź zabrzmiała bardzo oschle, ale przecież naprawdę nie wiedzieliśmy, jak było! Ale nawet gdyby ta historia była

prawdziwa, nadal nie widziałbym powodu, dla którego mielibyśmy kupować od niego jakieś rzeczy!

Krótką dotkliwą pauza.

STOJKOVIĆ Okej. (*pauza*) Rozumiem, że to na pierwszy rzut oka wygląda dziwnie, że posiłkuję się śmiercią syna i żony, aby sprzedawać różne rzeczy. Wiem, że właściwie nie powinno się tego robić. (*pauza*) Ale już w następnym momencie nie chcę tego rozumieć...

Bo przecież przecierpiałem tę stratę, przecierpiałem ten ból, chociaż ponoszę za wszystko winę.

Jednak nie da się już tego cofnąć. Milo i Sanja odeszli, na zawsze. Ale ja jeszcze jestem i muszę żyć. Czy dokonuję profanacji tej straty przez to, że pozwala mi ona znaleźć utrzymanie i pozostać przy życiu? Bo z czego inaczej miałbym żyć?

Nie umiałem odpowiedzieć na to wprost. Ale nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wszystko to był tylko pretekst, żeby wciągnąć nas w rozmowę i na koniec jednak coś nam sprzedać.

STOJKOVIĆ To nie fair. To pomówienia z pańskiej strony. Nie zamierzam przeszkadzać panom w dalszej podróży, nikt nie musi niczego kupować.

I właśnie to zrobiliśmy. Postanowiliśmy płynąć dalej.

STOJKOVIĆ Tak, proszę bardzo. Niech panowie to zrobią.

Popłynęliśmy więc dalej, a handlarz zaczął oddalać się w dół rzeki, aż w końcu stał się małym punkciem.

STOJKOVIĆ Małym punkciem. Tak, tak.

A potem całkiem zniknął. Z pola widzenia – i z naszych myśli.

5.

Półtora tygodnia przed rozpoczęciem naszej misji pewien korespondent wojenny opowiedział mi straszną historię: w jakiejś wiosce w lasach widział, jak kilku dzikusów dusi niewinnego ptaka. Podobno potem wyrwali mu pióra, aż jego ciało było całkiem poranione i nagie. Ale ku przerażeniu korespondenta nie poprzestali na tym, tylko przypieklili to zmaltretowane ciało na ogniu, aby je potem, o czym ten ciągle zszokowany dziennikarz mnie zapewniał, rozerwać i zjeść.

Przedtem także dochodziły z obozu pogłoski, że niektórzy tubylcy zjadają zwierzęta, ale w tych sprawach trzeba zachować ostrożność, bo w Kunduzie opowiada się o tych ludziach najbardziej absurdalne historie – jak z horrorów. Raz po raz słyszało się plotkę, że tubylcy zabili swinię rzeczną, wyrwali jej wnętrzności, porąbali to biedne stworzenie, aby nim potem, jak na szyderstwo, napełnić jego własne wyrwane wnętrzności. Później przypieczono te jelita na ogniu i spożyto je. (*pauza*)

Ale nawet jeśli ta opowieść była całkiem zmyślona, to jednak coś nam opowiedziała. Opowiedziała o dzikich lasach i o okrucieństwie natury.

Tego okrucieństwa, jakkolwiek się nam ono ostatecznie objawia, musimy wystrzegać się za wszelką cenę.

6.

PELLNER Tam! Niech pan spojrzy!
STEFAN DORSCH Co znowu? Gdzie?
PELLNER Tam! Tam!
STEFAN DORSCH Gdzie? Gdzie?
PELLNER Tam!
STEFAN DORSCH Gdzie?
PELLNER Teraz już zniknęło.
STEFAN DORSCH A co to było?
PELLNER Nie mam pojęcia.

Pauza.

STEFAN DORSCH Ach, z chęcią bym to coś zobaczył.

7.

W dokumentach, które mi dano, znajdowało się również zdjęcie. Ukazywało ono Deutingera w spodniach rybaczekach, beżowej koszuli z krótkimi rękawami, siedzącego w japonkach na murze w blasku słońca. Za nim połyskiwało morze. Deutinger z lekko siwiejącymi włosami, z zamkniętymi oczami, najwyraźniej oglądał plan miasta albo jakąś broszurę. Siedząc tak, sprawiał wrażenie człowieka absolutnie przeciętnego, zupełnie normalnego, tak, to zdjęcie było najnormalniejszym na świecie zdjęciem z urlopu, zrobionym w najnormalniejszej na świecie miejscowości urlopowej, i ukazywało przeciętnego turystę w wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką, kompletnie znudzonego. Wrzuciłem je do rzeki.

8.

Odgłos łodzi motorowej, szum prastarych lasów.
STEFAN DORSCH Gdyby nie ten szum silnika...
Silnik cichnie.
STEFAN DORSCH ...i ten szum dziczy...
Szum lasów milknie.
STEFAN DORSCH ...wtedy byłoby całkiem cicho.
Cisza.

9.

Nagły szelest liści, przez dłuższy czas (prawie jakby to była jakaś muzyka). Potem pauza. Później znów nagły szelest liści, znów trwający przez dłuższy czas. Potem znowu pauza. Potem znów przez chwilę nagły szelest. Potem Pellner, prawie w malignie:

PELLNER Te lasy... te bezkresne lasy...
Znów szelest, jeszcze bardziej nagły niż przedtem.

10.

Nikt nie potrafi sobie wyobrazić, jaka radość nas ogarnęła, gdy nagle natknęliśmy się na cywilizację. Na brzegu rzeki przed nami stały w gęstych zaroślach dwa baraki, kilka zwykłych ziemianek, płoty druciane i stojak, który prawdopodobnie był kiedyś huśtawką ogrodową, a może tylko zwykłą huśtawką albo stojakiem na bieliznę lub wiatą garażową, lub też ramą namiotu ogrodowego, to właściwie wszystko jedno, czym on kiedyś był, w tej opowieści nie odegra już żadnej roli, więc co tam. W każdym razie natrafiliśmy prawdopodobnie na misję, o której wspominał Lodetti.

Na brzegu zaczęło się gromadzić coraz więcej półnagich tubylców, którzy powitali nas miło swoją tradycyjną muzyką.

Słysząc całkiem bezładne bębnienie na wszelkiego rodzaju przedmiotach, jak plastikowe wiadra, garnki, pudła i metalowe rury, do tego zupełnie nieskoordynowane śpiewy w rodzaju „Tatituata”, „Hallohallo”, „Lalala” lub coś podobnego.

Dopiero kiedy przybiliśmy do brzegu, zobaczyłem, że wśród dzikusów stoi ubrany starszy pan. Wyszedł naprzód i powiedział:

Muzyka milknie.

WIELEBNY CARTER Jestem wielebny Lyle Carter. Kimkolwiek panowie są i cokolwiek sprowadziło panów tutaj – wszyscy są u nas mile widziani!

Muzyka zaczyna się od nowa i staje się trochę dziksza. W dalszym ciągu tej sceny co jakiś czas jest wyłączana.

Wielebny Lyle Carter zaczął oprowadzać nas po misji. Powiedział:

WIELEBNY CARTER To jest garnek nad ogniskiem. Podgrzewamy w nim różne przedmioty. A potem je zjadamy.

To są zarośla, urosły tu z biegiem czasu.

To jest dom z drewna. Używamy go do mieszkania i składowania w nim rzeczy.

Tutaj jest piesek, który akurat węszy dokoła.

Tu, wśród traw, jest śrubokręt. Pewnie ktoś z nas o nim zapomniał.

Tutaj jest mała porośnięta trawą niecka, jeśli w ogóle.

A proszę spojrzeć tam: To jest wiadro z brudnymi naczyniami.

Widzą panowie, wiemy tu zwykły żywot.

Tak, powiedziałem, tak.

WIELEBNY CARTER Jestem tu już od dawna...

– powiedział.

WIELEBNY CARTER Jestem tu już od dawna. Przybyłem, aby żyć dla tych cudownych ludzi. Przybyłem też po to, aby nieść im wiarę.

STEFAN DORSCH Czy ci ludzie nie wyznawali tu dawniej żadnej wiary?

WIELEBNY CARTER No nie, wyznawali. Kiedy tu przybyłem, ci ludzie byli muzułmanami. Kobiety, muszą to panowie wiedzieć, kobiety musiały nosić burki, były całe zasłonięte. Co to za religia, która narzuca ludziom, jak mają żyć? Nie mogłem tego zrozumieć. Dla mnie religia oznacza wychodzenie ludziom naprzeciw, umożliwianie im różnych rzeczy. Religia nie może przecież nikogo do niczego zmuszać! Proszę spojrzeć na te cudowne stworzenia!

Wskazał grupę półnagich dzikich siedzących w pobliżu wokół ogniska.

WIELEBNY CARTER Wiara zmuszała te dziewczęta do zasłaniania nóg, tych wspaniałych, smukłych nóg, do zasłaniania skóry, tej ich cudownie brązowej, gładkiej, delikatnej skóry, ich wydatnych ust, wszystko musiały zasłaniać, swoje krągłe tyłeczki, proszę spojrzeć na te dziewczęta, niczego nie mogły pokazywać, swoich pięknych, pełnych piersi, wszystko musiało być zasłonięte! Oczywiście, jedna czy druga ma grubszy tyłek, ale ogólnie rzecz biorąc są to przepiękne młode kobiety! Co to za religia, która zmusza kogoś do czegoś takiego?! Która narzuca komuś, jak ma żyć! *(pauza)* Czy pan wierzy w Boga?

STEFAN DORSCH Nie, prawdę mówiąc, nie.

WIELEBNY CARTER Hm. *(pauza)* No cóż. *(pauza)* Ach, to nic takiego. Naprawdę nic takiego. Proszę spojrzeć tam, na ten kamień, on także w nic nie wierzy. Ale nie jest z tego powodu zły. Po prostu sobie jest, po prostu leży sobie w trawie. I to jest całkiem w porządku. Żyje bez zakazów, może robić, co chce. A najwyraźniej chce sobie tak leżeć w trawie. Dlaczego nie? *(pauza)* Czy on może panu przeszkadza?

STEFAN DORSCH Nie, ani trochę.

WIELEBNY CARTER No właśnie, sam pan widzi!

Potem wielebny Carter odszedł, a może powiedział coś jeszcze i dopiero odszedł, jakoś tak za róg, już dobrze nie pamiętam, jak to było. Ale Stefan usiadł pod drzewem i zapatrzył się w rzekę. Sprawiał wrażenie przygnębionego. Po chwili powiedział:

STEFAN DORSCH Rozumiem, że człowiek chce w coś wierzyć, że chce wiedzieć, po co się coś robi, i jak to jest, że się robi to wszystko. Dopiero to daje człowiekowi w ogóle siłę wytrzymania różnych rzeczy.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo dawno już odszedłem.

Wałęsałem się po misji, cieszyłem się ruchem, bo przecież przez cały czas siedzieliśmy tylko w łodzi.

Za jednym z baraków stała beczka na deszczówkę, a na jej brzegu siedziała bez ruchu mała papuga. Podeszedłem nieco bliżej, ale ptak się nie ruszał. *(pauza)* Przystanęłem przed nią. *(pauza)* Ale ona siedziała bez ruchu. *(pauza)* Aż tu nagle! Po chwili szybko poruszyła łebkiem.

(*pauza*) A później znów siedziała bez ruchu. (*pauza*) Po prostu tylko siedziała. (*pauza; potem zniecierpliwiony*) No, tak czy inaczej. Właśnie zamierzałem iść dalej, kiedy papuga nagle powiedziała do mnie:

PAPUGA (*całkiem zwyczajnym, spokojnym głosem, wcale nie skrzecząc*) Całkiem niedaleko stąd granat trafił jakieś dwa i pół tygodnia temu w autobus liniowy. Kierowca poniósł śmierć na miejscu, również mężczyzna o imieniu Petrum i kobieta, która wracała z porannej zmiany do domu, i jeszcze jedna kobieta, której nie znam. Dziewczynce, która jechała akurat na lekcję gry na skrzypcach, urwało prawą nogę i część prawej ręki, starszemu mężczyźnie z sąsiedniej wioski latające dookoła odłamki rozerwały twarz i oślepiły go.

Nie do wiary, ten mały, nastroszony ptak naprawdę umiał mówić. Ile dyscypliny musiało kosztować nauczanie go tego, ile dni i miesięcy? Ale trud się opłacił, ba, jakim osobliwym znakiem nadziei była ta mała papuga. Poświęcając czas i trud, wykazując wielkie zdecydowanie, można było nauczyć mówić nawet takie dzikie stworzenie!

W nagrodę dałem temu ptakowi o zmierzwiionych piórach orzeszek ziemny.

Papuga rozgryza orzech, mlaskając łapczywie.

Na placu między barakami zbierało się najwyraźniej coraz więcej tubylców. Zawróciłem więc. Stefan Dorsch nadal siedział pod drzewem, podeszło do niego kilku tubylców, jeden pogłaskał go nawet po głowie, najwidoczniej chcąc go pocieszyć.

Usiadłem obok niego.

Potem, kiedy Wielebny Carter wyszedł z jednego z baraków, tubylcy zaczęli śpiewać.

*Pełen artyzmu polifoniczny, cudowny śpiew
(nagranie w wykonaniu chóru chłopięcego).*

CHÓR

Ciemności, opuść serce

I wyjdź w lasy.

O, Panie, zapal nam światełko,

Aby świat mógł nas zobaczyć.

Alleluja, alleluja.

Pauza.

WIELEBNY CARTER Jest wojna, Panie. Na świecie są zamieszki. Prosimy Cię, nie zapominaj o nas tutaj. Jesteśmy samotni bez ciebie, bez ciebie, Panie, jesteśmy straceni. Prosimy Cię: Wysłuchaj nas! (*pauza*) Nie zapominaj o nas. Prosimy. (*pauza*) Prosimy. (*pauza*) Amen.

CHÓR Amen.

WIELEBNY CARTER Chciałbym wam dzisiaj opowiedzieć pewną przypowieść, przypowieść o niedźwiedziu wargaczu i dziewczynie Panyi. (*pauza*) A zatem posłuchajcie: Niedźwiedź wargacz (*Melursus ursinus*) był bardzo zamożny, posiadał dobrze prosperujące, średniej wielkości

przedsiębiorstwo, ale czegoś brakowało mu do szczęścia: kogoś, kto by go kochał. Kobiety, którym chciał ofiarować swoje serce, mówiły mu: „Wargaczu, jesteś taki brzydki, twoja paszcza przypominająca ryj jest bardzo szara albo brudnobiała, twoja sierść jest nastroszona, twój kikutek ogona ma przeciętnie tylko około dziesięciu centymetrów, a twoje pazury są żółtawe i krzywe!”. Tak więc niedźwiedź żył samotnie, kiedyś jednak nie wytrzymał już tej samotności i poprosił lisa o radę. Lis odparł: „Znam pewien daleki kraj, jest tam wiele kobiet, które mógłbyś poślubić. Poleć tam”. Wargacz posłuchał rady lisa i poleciał do owego kraju. Już pierwszego wieczoru (po zameldowaniu się w hotelu) udał się na krótki spacer po miejskiej promenadzie, gdy nagle podeszła do niego pewna dziewczyna. Dziewczyna powiedziała: „Proszę, daj mi coś do zjedzenia, jestem bardzo biedna, nie mam nic a nic, proszę, daj mi coś do zjedzenia”. Wargacz, któremu zrobiło się żal młodej dziewczyny, zabrał ją do restauracji, nakarmił i напоił, dał jej sznycel z frytkami i drobną kolorową sałatą, a do tego małą coca colę. Zjadłszy, dziewczyna powiedziała: „Mam na imię Panya. Dziękuję ci, że mi pomogłeś. Byłam tak strasznie głodna”. I poszła sobie. Nazajutrz wieczorem wargacz znów spotkał na promenadzie Panyę, która wyglądała na bardzo zrozpaczoną. Zapytał: „Gdzie mieszkasz?”. „Tutaj – odparła Panya – tutaj, na tej ulicy. Proszę, daj mi coś do jedzenia, proszę, jestem bardzo głodna, nie wiem, co robić”. Ponieważ niedźwiedziowi zrobiło się żal dziewczyny, zabrał ją ze sobą do restauracji, nakarmił i pozwolił przenocować w swoim hotelu, żeby nie musiała marznąć na dworze. Tej nocy doszło między wargaczem a dziewczyną do zbliżenia: robili to w łóżku, stojąc przy parapecie, na półce obok telewizora i w łazience na stołeczku.

Nazajutrz rano wargacz kupił Panyi nową sukienkę (bo stara była podarta i brudna) i dał jej też niewielkie kieszonkowe, żeby w razie potrzeby mogła sobie kupić coś do picia, jakieś czasopismo albo cokolwiek innego. Panya zaś została u niego i spała z nim. W sercu niedźwiedzia zaczęła kiełkować miłość. Tak mijał czas, ale z wolna zbliżał się dzień odlotu. Wargacz zaprosił więc Panyę do Stek House’u, a kiedy już zjedli, powiedział: „Pochodzę z innego kraju, mam tam średniej wielkości przedsiębiorstwo, które produkuje ze sztucznego tworzywa listwy do krzeseł biurowych, jak wiesz. Chciałem cię zapytać: „Czy pojedziesz ze mną do tego kraju i zamieszkasz tam ze mną?”. „Tak”, odrzekła Panya. Niedźwiedź poczuł nieopisane szczęście. Powiedział: „Kocham cię, moja mała słodka Panyo, tak strasznie cię kocham! Czy ty kochasz mnie też tak bardzo?”. Ale Panya nic nie odpowiedziała. Wtedy, nagle, wargacz zrozumiał i potężny ból

przeszył mu pierś, poczuł się tak samotny, jak jeszcze nigdy w życiu. Krzyknął: „Idź sobie, odejdz, zakpiłaś sobie ze mnie! Po prostu sobie zakpiłaś, precz, nie chcę cię więcej widzieć, ty dziwko, precz! Idź sobie wreszcie, idź!”. Panya wstała, zasłoniła twarz rękami i wyszła. (pauza)

Apostoł Paweł mówi: Wszystko, co czynicie, czyńcie z miłości.

Tak, kto nie działa z miłości, tylko z innych pobudek, sprowadza nieszczęście na siebie i swoich bliźnich.

Kto nie działa z miłości, tego serce staje się całkiem puste. (pauza) Zaśpiewajmy pieśń sto pięćdziesiątą siódmą.

Wtedy dzicy zerwali się z miejsc i zaczęli śpiewać i tańczyć.

Rozlega się nagrana piosenka „Alane” zespołu Wes albo „The lion sleeps tonight” zespołu The Tokens czy coś w tym stylu, w każdym razie po chwili słychać ją jakby z daleka.

Poczułem w sobie osobliwą ciszę. Stefan Dorsch siedział obok mnie na trawie i patrzył w ziemię, a wokół nas dzicy tańczyli i śpiewali. (pauza) Zawsze patrzę na wszystko z cynizmem, tak, na wszystko patrzę zawsze z cynizmem, ażeby nie dopuszczać do siebie tego wszystkiego. Ale tutaj, zwłaszcza tu, na dworze, jesteśmy wszak zdani jeden na drugiego, inaczej ten świat po prostu nas pochłonie. Dlaczego nie umiem być miły, dlaczego nie stać mnie na odrobinę otwartości wobec innych stworzeń? *Cisza.*

PELLNER Bardzo mi przykro, Stefan, że nie mogę panu powiedzieć, jakie jest nasze zadanie. Po prostu mi nie wolno.

Pauza.

STEFAN DORSCH Wiem. (pauza) W porządku... (pauza) w porządku. (pauza) Po prostu tylko tak strasznie się boję.

11.

Im głębiej zapuszczaliśmy się w tę przyrodę, tym bardziej monstrualna się nam wydawała, tym bardziej nierealnie wyglądało wszystko wokół nas, ta obfitość – wszystkie te zwierzęta i rośliny, których nie widzieliśmy nigdy wcześniej. Coraz bardziej nieprawdziwy jawił się nam ten bujnie rozrastający się świat, a kiedy nawiedzały nas potężne ulewę deszczu, chwilami brzmiało to w moich uszach tak, jakby ktoś wsypywał ryż do tekturowego pudełka...

Słychać odgłos ryżu wsypywanego do tekturowego pudełka.

...a kiedy grzmiało, miałem wrażenie, że ktoś wali w olbrzymią starą bramę garażu.

Do odgłosów wsypywanego ryżu dołączają się uderzenia w bramę garażu. Z wolna pokazywane są na ekranie zdjęcia prawdziwych burz. Ani przez chwilę nie można odróżnić ich od sztucznych odgłosów.

Dla nas jednak ta dzicz, ta przyroda – dla nas wszystko to było realne w najstraszliwszy sposób.

Burza i gwałtowna ulewa trwają jeszcze przez chwilę.

12.

Stefan Dorsch siedział w kucki na dziobie naszej łodzi.

Pauza.

Tak, siedział tam i jęczał.

Pauza.

Ale dlaczego?

Pauza.

Coś robił.

Pauza.

Ale co? Co on tam robił?

STEFAN DORSCH Usiłuję rozkroić ten owoc.

PELLNER Jaki owoc?

STEFAN DORSCH Ten tutaj.

PELLNER Skąd pan go ma?

STEFAN DORSCH Nie wiem. Pewnie przypadkiem spadł z drzewa do naszej łodzi.

Pauza. Stefan Dorsch jęczy, potem słychać trzask i mlaskanie.

STEFAN DORSCH Och, no tak. (pauza) O!

PELLNER Co się dzieje?

STEFAN DORSCH Niech pan spojrzy!

Podsunał mi połówkę owocu i wskazał komorę nasiennej pośrodku.

PELLNER To przecież wygląda jak dom.

STEFAN DORSCH No właśnie, to wygląda dokładnie jak dom, w którym wychowywałem się w Bernburgu! (pauza)

A tutaj, na dole! To wygląda jak mieszkanie w piwnicy! Jak mieszkanie, któreśmy wynajmowali z moją matką w pewnym domu jednorodzinnym.

Miał rację. Dolna część komory nasiennej istotnie przypominała trochę mieszkanie w piwnicy domu jednorodzinnego.

STEFAN DORSCH A tu! Niech pan patrzy!

Na brzegu komory nasiennej włókna oleisto-złotego miąższu owocu tworzyły coś na kształt kłębka.

PELLNER To pewnie jakieś zarośla.

STEFAN DORSCH Tak. To krzew ligustru. Bawiłem się tam zawsze jako dziecko. A tutaj, niżej, są dziury, które kopalem w ziemi, bo będąc sam, zawsze bardzo się nudziłem.

PELLNER No tak, ale to mogłyby być również piłki albo kamienie.

Pauza.

STEFAN DORSCH Tak, to prawda. Mogłyby to również być piłki albo kamienie. To prawda.

PELLNER A tutaj...

Po drugiej stronie komory nasiennej zobaczyłem miąższ, który wyglądał jak koło, a gdy odwróciłem owoc, tak jak błotnik, a obok coś na kształt drzwi samochodu, a to tutaj nieoczekiwanie przypominało dużą

klapę bagażnika jakiejś limuzyny, tak, wszystko razem wyglądało jak – no, to naprawdę wyglądało jak...

PELLNER ...karawan... to wygląda jak karawan.

Dotkliwa cisza.

STEFAN DORSCH Tak. *(pauza)* Ma pan rację.

PELLNER Ale co to ma do rzeczy?

Pauza.

STEFAN DORSCH To wygląda jak karawan, który przyjechał, gdy umarła moja matka. Dostała udaru. Leżała na podłodze w łazience. Miałem wtedy piętnaście lat. *(pauza)* Najwyraźniej próbowała jeszcze przytrzymać się ręcznika kąpielowego, ale ściągnęła go na siebie. Kiedy ją znalazłem, leżał na jej twarzy.

Pauza.

PELLNER Nie widzę tu żadnego ręcznika kąpielowego.

Pauza.

STEFAN DORSCH Ale tak to było.

PELLNER No, na co pan czeka?

STEFAN DORSCH Nie mogę, nie mogę go zjeść.

PELLNER Dlaczego nie?

STEFAN DORSCH Bo to mnie przygnębia. Bo przypomina mi o śmierci mojej matki. Była jedyną osobą, którą naprawdę kiedykolwiek miałem.

PELLNER Ależ, Stefan, ten miąższ tylko tak wygląda, tylko przypadkiem tak wygląda, ale mimo to jest to po prostu tylko owoc. Zbyt wielu rzeczy się pan w nim dopatruje.

Pauza.

STEFAN DORSCH Tak pan myśli?

PELLNER Tak. To po prostu tylko owoc. Cóżby innego?

Pauza.

STEFAN DORSCH Ma pan rację. *(pauza)* No dobrze.

Pauza. Słuchać, jak Stefan cicho je.

PELLNER I co?

STEFAN DORSCH *(przeżuwa)* Tak, no tak, słodziutki.

PELLNER Ale?

STEFAN DORSCH Ach... *(pauza)* Niech pan też trochę weźmie.

PELLNER Nie, dziękuję, niech pan spokojnie je.

Stefan Dorsch odkrawał scyzorykiem kawałki złotożółtego miąższu i wsuwał je do ust. Patrzył niemo przed siebie i jadł dalej. Sok ściekał mu po brodzie, po dłoniach, aż do rękawów, ściekał na spodnie.

Ja znowu otworzyłem dokumenty i zacząłem je czytać.

W pewnym momencie zauważyłem, że Stefanowi ciekłą łzy, ciekły po jego policzkach, mieszały się z sokiem i spadały. Stefan nie przestawał jeść.

Nic nie mówiłem. Nie miałem prawa nic powiedzieć.

Co mnie obchodziły jego osobiste problemy?

13.

STEFAN DORSCH Samotność to rozkwitające drzewo. Jestem dzieckiem, które po nim chodzi.

Posłuchajcie, jak wiatr szeleści w liściach!

Nic nie słyszeć.

14.

Zmierch kładł się na lasy. Siedziałem na rufie łodzi. Ciemna sylwetka Stefana Dorscha majaczyła przede mną przy sterze w odległości niepełna trzech metrów.

Pauza.

Gdybym teraz strzelił?! (Wystarczyłoby tylko nacisnąć spust, nic więcej!) Mógłbym po prostu strzelić mu w tył głowy, całkiem po prostu.

Pauza.

Nikt by nigdy nie znalazł Stefana. Wystarczyłoby, żebym stwierdził, iż zastrzelono go podczas jakiejś potyczki.

Pauza.

Jaki to ostatecznie byłby problem? Stefan wcale by się nie zorientował, że już go nie ma. I nie byłoby nikogo, kto by po nim tęsknił: Stefan był całkiem sam na świecie. Mógłbym więc po prostu strzelić mu w głowę. Nic by się nie zmieniło.

Pauza.

Ale po co miałbym to robić?

Pauza.

Po co?

Pauza.

STEFAN DORSCH *(zakłopotany)* Panie Pellner?

PELLNER Tak?

STEFAN DORSCH Co to jest?

15.

Krótką (dziwaczną) solówką na trąbce.

Bad Rippoldsau, 2.09.2012

Dzisiaj nie pracuję już nad tym słuchowiskiem. Moi rodzice siedzą przez cały dzień na dole przed domem (właściwie nie ma nawet ładnej pogody, ale oni mimo wszystko to robią), a ja siedzę raz tu, raz na dole, i tak się objam.

Przedtem, przy obiedzie, opowiedziałem mamie akcję i o co chodzi. W pewnym momencie mama zapytała mnie (między innymi): „I nie występują tam żadne kobiety?”. Dopiero wtedy po raz pierwszy to zauważyłem! Jakie to idiotyczne (i przygnębiające), że znów układam opowieść, której wszystkie osoby działające i mówiące to mężczyźni,

a kobiety muszą milczeć albo w ogóle w niej nie występują. Mówi to co nieco o ograniczoności myślenia i o tym, jaki właściwie ma się obraz świata i społeczeństwa, chociaż człowiek wierzy, że swoim pisaniem ciągle mu się przeciwstawia. Ale jeszcze bardziej przeraża mnie, że tak właśnie jest, a ja tego nawet nie dostrzegam.

Bad Rippoldsau, 3. 9. 2012

Dzisiaj przed południem znów wymigiwałem się od pisania. Raz po raz pojawia się uczucie, że nie mogę pisać o tych sprawach, bo ich nie znam. A naturalnie właśnie o to chodzi, o tę relację. Jakoś jednak wciąż mam wątpliwości, czy człowiekowi nie brakuje pasji, gdy ma za zadanie pisać o czymś, co jest mu „obce”. I dlatego właśnie dziś znowu się migalem.

W zamian za to pomagałem ojcu przygotowywać obiad, krajałem warzywa. Właśnie rozkroiłem ogórek i wyluskałem wszystkie nasiona, gdy wpadłem na pomysł, żeby go wyostrzyć. Wyglądał jak kajak, pokazałem to ojcu. Wtedy i on chwycił ogórek i wyciął, błyskawicznie, samolot ze skrzydłami, silnikami, zjeżdżalniami i całą resztę. Ja też wziąłem kolejny ogórek i zacząłem wycinać historyczną lokomotywę parową, gdy ojciec krzyknął: „Popatrz! Jaki olbrzymi wacek!”. Ojciec zdążył już wyciąć z ogórka wielkiego fiuta, którym z zachwytem wymachiwał dokoła, wydając z siebie odgłosy, jakby chodziło o samolot lub coś takiego.

STEFAN DORSCH Boję się.

Uniosłem się ambicją i dalej wycinałem lokomotywę parową. Próbowalem (to już przesada) wyciąć kilka kawałków węgla, żeby wrzucić je do węglarki.

STEFAN DORSCH Boję się, że tu zginę.

Mój ojciec już znowu wołał: „Popatrz, nasz samochód!”. Z pomidora wyciął samochód, który wprawdzie nie wyglądał jak nasz (nasz jest srebrnoszary, a ten był czerwony), ale jednak jak auto.

STEFAN DORSCH Czy zginę?

Ojciec podniósł wysoko ten pomidorowy samochód i zapytał: „To chyba samochód warzywny, no nie? I to w dwojakim sensie: z jednej strony mógłby dostarczać warzywa, z drugiej sam jest warzywem. Czy to nie wariactwo?!”.
16.

STEFAN DORSCH Czy ja tu zginę?

Nie mogę tego tutaj zdradzić. To niemożliwe.

A teraz wracam nad rzekę.

Stefan Dorsch stał w mroku, gdzieś w lesie. (pauza) Ale ja tego przecież nie wiem, nie wiedziałem tego, dla mnie on po prostu zniknął, a ja jestem tutaj, w łodzi, nagle sam. Rzadko się boję. Nie boję się, ale to straszne uczucie, kiedy człowiek jest nagle sam w tej dziczy, bez wyraźnego powodu. Ufamy przecież, że sprawy są do pewnego stopnia przewidywalne i że nagle nie zdarza się coś całkiem niespodziewanego

i nielogicznego. Zwłaszcza tu, w przyrodzie, trzeba móc zdać się na cokolwiek.

Nie widziałem go jednak, nie mogę przecież widzieć, gdzie on jest i jak szykuje się do drogi powrotnej, w tym momencie, przez te zarośla, przez tę ciemność. Siedzę tu, czekam. (pauza) Tak, czekałem dobrą chwilę.

Szelest w krzakach.

O Boże, mam nadzieję, że to on!

Kroki w trawie. Dyszenie Stefana Dorscha.

Jest pan wreszcie!

Cisza.

PELLNER Gdzie pan był?

Dotkliwa pauza.

PELLNER Gdzie pan był?

STEFAN DORSCH Na zewnątrz. Byłem gdzieś tam na zewnątrz.

PELLNER Nie może pan sobie tak po prostu zniknąć!

STEFAN DORSCH Wiem, wiem przecież, ale...

PELLNER Dlaczego pan to zrobił?

STEFAN DORSCH Nie wiem...

PELLNER Dlaczego mnie pan po prostu zostawił tu samego?

STEFAN DORSCH Nie wiem...

PELLNER Gdzie pan był?

STEFAN DORSCH Oddaliłem się kawałek, nagle...

PELLNER Dlaczego? Co pan tam robił?

STEFAN DORSCH Nie wiem... ja...

PELLNER Musi pan przecież wiedzieć, co pan robił!

STEFAN DORSCH Byłem... byłem tam... w zaroślach... ja... to było... musiałem... musiałem się wysrać!

Dotkliwa cisza.

Niełatwo wyprowadzić mnie z równowagi. Ale wydaje mi się, że jeszcze nigdy nie czułem się tak oszukany. On sobie zniknął, ot, po prostu. Ale to nie było to, to jakoś bym jeszcze zrozumiał: prawdopodobnie była to ta historia, która właśnie się toczyła i która go po prostu tam zaprowadziła – hen w lasy. Nie rozumiem tylko, dlaczego on mnie tak okłamuje. Nie rozumiem. Wiem, że Stefan Dorsch ze swoją dobroduszością zyskuje sobie tutaj sympatię, znacznie większą niż ja, bo ja jestem tu często cyniczny, czasem nawet nieczuły. Ale Stefan Dorsch po prostu mnie okłamał. Na kogo miałem się tu zdać, jeśli nie na niego?

PELLNER (spokojnie) Dlaczego pan mnie okłamuje?

Cisza.

On nawet nie odpowiada! Stoi sobie ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nawet nie próbuje się usprawiedliwiać! Stoi tylko po prostu na tych swoich ohydnych, krzywych nogach.

Pauza.

Tak, Stefan Dorsch miał bardzo krzywe nogi. W ogóle był bardzo brzydki, ale przede wszystkim te jego nogi. I zęby! Miał obrzydliwe zęby.

Pauza.

Do tej pory o tym nie opowiadałem. *(pauza)* Właściwie nie chciałem o tym opowiadać, ze względu na niego.

Pauza pełna bezradności.

Ale co tam.

Cisza.

W pewnym momencie... ach...

Pauza.

Zresztą wszystko jedno, jak to się dalej potoczyło.

Pauza.

Przenocowaliśmy potem w łodzi.

Pauza.

Spałem źle. Bardzo źle.

Cisza.

Ach tak: Nazajutrz przed południem, kiedyśmy się obudzili, nadal było ciemno.

17.

Wszystko wokół nas obce. Lasy całkiem zamknięte, całkiem nieprzeniknione. Tylko raz po raz ten krzyk!

Syntetyczne odgłosy, hen daleko w lasach.

Nieznane gatunki zwierząt, ich krzyki w ciemności.

Inne syntetyczne odgłosy z głębi lasów.

O! Znowu.

Gdyby tylko można było te zwierzęta zobaczyć.

Ale nic nie widać, tylko ciemne lasy.

Kolejne syntetyczne odgłosy z lasów.

Ach, te zasrane zwierzęta. Raz po raz krzyki tych zaszranich zwierząt.

Nad wyraz osobliwe syntetyczne odgłosy z lasów.

O, znowu.

18.

STEFAN DORSCH Już nic nie widzę.

Pauza.

PELLNER Wiem.

Pauza.

STEFAN DORSCH Wszystko jest zupełnie ciemne. *(pauza)* Panie starszy sierżancie?

PELLNER Słucham?

Pauza.

STEFAN DORSCH Zdaje mi się, że rzeka zniknęła. *(pauza)* Mam wrażenie, że wcale nie płyniemy.

Pauza.

PELLNER Jest pan pewien?

STEFAN DORSCH Nie wiem. Ale mam wrażenie, że przestaliśmy płynąć i że rzeka zniknęła.

Cisza.

STEFAN DORSCH Co teraz zrobimy?

Pauza.

PELLNER Nie wiem. *(pauza)* Wsiądziemy z łodzi i pójdziemy dalej pieszo.

STEFAN DORSCH Ale dokąd?

PELLNER Dalej, musimy iść dalej.

STEFAN DORSCH Ale dokąd mamy iść w tej ciemności?

PELLNER Musimy iść dalej. Niech pan idzie ze mną.

STEFAN DORSCH Gdzie pan jest?

PELLNER Tutaj.

STEFAN DORSCH *(bezradnie)* Rzeka zniknęła. *(pauza)* Tu już nic nie ma.

PELLNER Chodźmy. *(pauza)* Idźmy dalej. *(pauza)* Idźmy dalej.

Idźmy coraz dalej, dalej w tę ciemność.

Nie wiem, jak długo będziemy tak szli.

Będziemy szli coraz dalej, dalej w tę ciemność.

Ja też już nie wiem...

STEFAN DORSCH Dokąd?

PELLNER Nic już nie widzę...

STEFAN DORSCH Wszystko jest ciemne!

PELLNER Nic już nie widzę...

STEFAN DORSCH Dlaczego?

PELLNER Nie wiem już...

STEFAN DORSCH Po co? Po co?

PELLNER Idźmy dalej, coraz dalej w...

STEFAN DORSCH Strach! Boję się!

PELLNER Coraz dalej w...

STEFAN DORSCH Strach! Pojawia się i chwyta mnie za serce!

PELLNER Musimy iść dalej, dalej, musimy iść dalej w...

STEFAN DORSCH Te rzeczy! Te rzeczy, o Boże, ciemność!

PELLNER Wszystko jest całkiem czarne, wszystko jest...

STEFAN DORSCH Takie mroczne! Wszystko jest takie ciemne!

Takie ciemne!

PELLNER Tak, wszystko jest...

STEFAN DORSCH Takie ciemne.

DEUTINGER I wtedy nagle pojawia się ja.

Cisza.

STEFAN DORSCH Kim... pan jest?

Pauza.

DEUTINGER Jestem przecież tym, kogo pan szuka.

Pauza.

STEFAN DORSCH *(bezradnie)* To dobrze.

19.

Coś tu słychać. *(Ale nie wiem, co to jest.)*

20.

DEUTINGER Pewnej nocy, zanim Matthias, Ingo i ja przybyliśmy tutaj, miałem sen. Śniło mi się, że płynę łodzią w górę rzeki. I wtedy nad rzeką pojawił się wielki otwór, podobny do pieczary. Na chwilę ogarnęło mnie przerażenie, ale ponieważ takie miałem zadanie, popłynąłem dalej. Kiedy wpłynąłem w ten otwór, zrozumiałem, że to po prostu mój własny odbył. I chociaż zabrzmiało to dziwnie, nie wydało mi się to szczególnie niezwykle (bo we śnie panują inne prawa niż w rzeczywistości). Płynąłem więc dalej, wokół mnie były te dzikie, bujne lasy, płynąłem coraz dalej, w górę rzeki, coraz głębiej w swoje jelita, w swoje ciało, w tę osobliwą naturę. Podczas mojej długiej podróży zobaczyłem na jednym z zakrętów płonącą chatę, a w innym miejscu pływały po wodzie małpki w czerwonych czapkach, ale ja nie umiałem wytłumaczyć sobie tych dziwnych znaków (jeśli w ogóle były to jakieś znaki). Płynąłem dalej, długo, i ogarniał mnie coraz większy strach przed tym światem, w którym wszystko trzęsło się na skutek życia, tego ponurego, jednostajnego życia. Płynąłem dalej, coraz dalej, obok otrzewnej, aż do jamy opłucnej. Nagle wszystko wokół mnie wypełniło się jakimiś odgłosami. Początkowo nie wiedziałem, skąd pochodzą te dźwięki – potem jednak pojąłem, że to dzwonek mojego telefonu komórkowego. Ogarnęła mnie ogromna tęsknota, pragnąłem podejść do swojego telefonu, usłyszeć inny głos, kogoś innego! Ale to było niemożliwe, to było bardzo daleko, gdzieś na zewnątrz w kieszeni moich spodni albo na stoliku nocnym, a ja byłem zamknięty, tu, w tej dzicz. Widziałem wokół siebie gęstwinę krzaków, widziałem drzewa, widziałem żyły, arterie i tętnice, prowadziły mnie coraz dalej, przez dnie i noce, robiło się coraz mroczniej, a potem wszędzie zapadła ciemność i nastała cisza. Wtedy zrozumiałem, że nie ma już dalszej drogi i że przybyłem na miejsce. Nagle jednak wpadłem w przerażenie, ogarnął mnie bezgraniczny lęk, i zacząłem wołać, wołałem i krzyczałem jak szalony, wzywałem matkę, rodzeństwo, przyjaciół, kolegów z pracy, kogokolwiek! Ale nikt mnie nie słyszał. Byłem całkiem sam w tej ciemności, poza tym nie było tam niczego i nikogo.

21.

STEFAN DORSCH Wszystko jest przepełnione oczekiwaniem
Pod koniec historii
To znaczy pod koniec podróży.
W ciemnym kącie szopy wreszcie
Oczekuje się tajemniczego zwierzęcia.

Ale potem, na samym końcu
Jest tam tylko trochę
Zmierzwionego siana. (pauza)
Kiedy miałem dziewiętnaście lat, zobaczyłem
w encyklopedii
Mojego kolegi szkolnego Martena Dellinga kolorowe
Zdjęcie pompy próżniowej. Zapytałem go,
Co to jest, ta próżnia.
A Marten Delling powiedział:
To jest coś, kiedy niczego nie ma.
W drodze powrotnej ze szkoły do domu
Szedłem Krumbholzallee przez lasy
I czułem się tak, jakbym tylko chodził dookoła
Po swojej własnej bezgranicznej głupocie,
Bo nie umiałem tego pojąć.
W domu zapytałem matkę,
Która właśnie gotowała, czy w nicości
Jest powietrze, ale matka odparła: Nie,
Tam, gdzie niczego nie ma, tam po prostu niczego nie ma,
Tego nie da się zrozumieć, proszę
Zrozum to, a teraz
Bądź tak dobry i pomóż mi w gotowaniu.
A ja byłem tak dobry i pomogłem jej w gotowaniu. (pauza)
Oczywiście kiedyś już znaleźli Deutingera, zapytaliśmy
go, dlaczego zrobił tę straszną rzecz,
Którą zrobił, zapytaliśmy, dlaczego
To zrobiłeś, dlaczego
Dlaczego?
A Deutinger
Powiedział nam to. Powiedział:

DEUTINGER Tak, jak już mówiłem, w moim rozkazie była mowa o kilkudziesięciu wrogich bojownikach, których mieliśmy wytropić, żeby wysadzić ich w powietrze. A więc przyjąłem w swoich rachubach wyobraźną wartość minimalną: dwudziestu czterech. Potem obliczyłem, że my trzej, Ingo, Matthias i ja, zabijemy tych dwudziestu czterech bojowników. Policzyłem więc: trzy odjąć dwadzieścia cztery, ale wtedy wyszło mi minus dwadzieścia jeden, a tak oczywiście nie mogło być. Wtedy zrozumiałem, jak dalece się pomyliłem w obliczeniach. Policzyłem więc jeszcze raz, tym razem dwadzieścia cztery odjąć trzy. A więc dwadzieścia jeden. Ale oczywiście i to nie do końca było zgodne z prawdą, bo przecież my trzej nie należeliśmy do tych dwudziestu czterech. Policzyłem więc, że najpierw jest ich dwudziestu

czterech, potem dochodzimy do tego jeszcze my, trzej żołnierze, a więc dodać trzy, i wtedy dwudziestu czterech zostanie zabitych, a więc odjąć dwadzieścia cztery, i wtedy jako wynik wychodzi trzy. I to się zgadzało. (pauza) Ale zacząłem rachunek od dwudziestu czterech, a na końcu wyszło tylko trzy. (pauza) Wtedy zrozumiałem, co to za obłąd. (pauza) Zostałem żołnierzem, bo chociaż wojna jest straszna, ostatecznie uważam ją za konieczną. Bo w końcu pojechaliśmy zapobiec śmierci jeszcze większej liczby ludzi. Pojechaliśmy po to, żeby umarło ich jak najmniej. (pauza) Zabiłem Ingo i Mathhiasa, kiedy spali, żeby nic nie poczuli. Ale kiedy sam siebie chciałem zabić, zrozumiałem nagle, że lepiej będzie tego nie robić. W ten sposób życie stracą tylko dwie osoby. (pauza)

STEFAN DORSCH To właśnie powiedział nam Deutinger. Wiedział, że dzięki temu uznają go za wariata. Powiedział:

DEUTINGER Nie jestem wariatem. To najbardziej ludzka rzecz, jaka tu jest możliwa.

STEFAN DORSCH Mówiąc szczerze, to, co on powiedział, było dla mnie zrozumiałe.

Tak, rozumiałem go.

Pauza.

Ale to mimo wszystko jest tylko tekst, a nie to, o co naprawdę chodzi. Bo ta groza nie jest tutaj, ona nie dzieje się tutaj, nie można mylić jej z tym, co dzieje się w rzeczywistości.

Bo to tam dzieje się groza.

Pauza.

Ale to pan przecież wie.

22.

STEFAN DORSCH Jak skończy się ta historia?

W pierwszej wersji ja już na końcu wcale nie występowałem. Bo ostatecznie nie chodziło tu o mnie. Może to nie nowina, ale dla mnie była to mimo wszystko smutna wiadomość. Jednak w drugiej wersji Pellner przywrócił mnie do sceny z Deutingerem, ale i jego już nie było.

DEUTINGER To prawda. A w kolejnej wersji odebrałem sobie życie niewielkim drutem i kawałkiem drewna...

STEFAN DORSCH I pustą tulejką długopisu.

23.

Znowu jakiś odgłos. Ale można go rozpoznać: To śpiew zajęczka, który krwawi zakleszczony w siódlach.

24.

DEUTINGER A innym razem wszystko po prostu się skończyło, słychać było jeszcze tylko wiatr, szumiał w jakichś drzewach, których tu właściwie w ogóle nie ma.

Wiatr szumi w rzeczonych drzewach.

STEFAN DORSCH O! Słysząc go! Dokładnie tak to było!

DEUTINGER Przecież powiedziałem! A jeszcze kiedy indziej starszy sierżant Pellner poszedł prawdopodobnie wypełnić swoje zadanie!

STEFAN DORSCH Jakie zadanie?

DEUTINGER Miał przekazać moje współrzędne potrzebne do wysadzenia w powietrze.

STEFAN DORSCH Tak, słusznie: Ja przecież zostałem, żeby chronić cię swoją obecnością.

DEUTINGER Tak. Nigdy ci tego nie zapomnę.

STEFAN DORSCH Ale oczywiście było mi bardzo trudno nie iść z Pellnerem. Przecież odbyłem z nim całą tę podróż, aż tutaj.

25.

Szedłem przez ciemność. Panowała absolutna cisza. Szedłem i szedłem. Było ciemno, ale nie straciłem orientacji. Czułem, że i we mnie panuje absolutna ciemność i spokój. Było tak, jakbym sam chodził tylko po swoim wnętrzu. Nie bałem się ciemności, nie, była całkiem zwykła, nieomal śmieszna. Stała tam łódź. Nie widziałem jej, ale wiedziałem, że tak jest. Kiedy podszedłem bliżej, poczułem, że jest tam jeszcze ktoś. *Cisza.*

PELLNER Kim pan jest?

TOFDAU Mam na imię Tofdau.

PELLNER Niech pan stąd znikaj! Niech pan się wynosi z mojej łodzi!

TOFDAU Nie, nie odejdę.

PELLNER Nie ma pan tu czego szukać!

TOFDAU Owszem, mam.

PELLNER Co to ma znaczyć? Niech się pan stąd wynosi, panie Zadufku!

TOFDAU Nie, zostanę tutaj. Musi pan wiedzieć, że wpadłem do morza, kiedy mój przyjaciel Ultimo i ja z biedy chcieliśmy zaatakować pewien statek. Utonąłem. Spadłem na samo dno. Byłem stracony. Ale my zawsze byliśmy straceni, to dla nas nic nie znaczy. Ruszyłem w drogę. Szedłem po dnie morza, aby dojść tutaj, wszedłem do ujścia rzeki i szedłem nią dalej, aż dotarłem tutaj.

PELLNER Co za bzdury! Nie ma pan tu czego szukać! Niech pan się wynosi!

TOFDAU Dokąd mam pójść? To jest również nasza, to jest również moja historia!

PELLNER Nonsens! Nie zatrzyma mnie pan!
 TOFDAU Mam prawo tu być. Bo inaczej kto mnie usłyszy?
 Gdzie mam opowiedzieć o sobie, jeśli nie tutaj?
 PELLNER Co mnie to obchodzi. Niech mnie pan zostawi w spokoju! Pan tu teraz nie występuje! Niech pan stąd znika!
 TOFDAU Opowiem teraz swoją historię! (z *ogromną żarliwością*)
 Wówczas, kiedy byłem dzieckiem, to było normalne, i chodziłem i słuchałem, i plątałem się dookoła między różnymi rzeczami, również wśród drzew. Moja mama, mój tata, aut było mało, za to wieczór, chłodna noc, sprząty z gałęzi palmowych. Słuchałem, o czym opowiadano: o zwierzętach, które coś robią, i o innych sprawach też. Pamiętam dokładnie: co to miało znaczyć – i trzcina! Może teraz rzeczy są zbyt otoczone, ale wtedy było inaczej. Drzwi na ulicy, wełna, która niedługo pozostawała w powietrzu, powiedziałbym. Proso! Pod pewnymi warunkami. „Aha”, mówiliśmy albo szeptaliśmy, i: „dziękuję”, i „sień”. I z kamykami było to, rzadko, ale też niezwykle. Miałem szelest papieru, kiedy się go posypuje, Ultimo i ja, już dawno przedtem. Tak, owszem! I wciąż także zbocza i brud, i drewnienka, tak bardzo na to czekaliśmy, i to spadało, jak szklane skorupy, nie, raczej jak telefony, rano i...

PELLNER (*wzbudzony*) Człowieku, ja nic z tego nie rozumiem!
 Czego pan chce?! Co pan wygaduje?! Gada pan same głupoty!

Strzeliłem kilka razy.

Żadnego odgłosu.

To wszystko było bardzo proste.

Cisza.

Kiedy wsiadłem do łodzi, wysłałem współrzędne do centrali, bo tak brzmiał rozkaz.

26.

DEUTINGER Rozumiem, że trudno było nie iść z nim. Zresztą powiedziałeś mu coś takiego, zanim poszedł.

STEFAN DORSCH A co?

DEUTINGER Powiedziałeś mu, że masz nadzieję, że się poznaliście, chociaż wiesz, że się nie zaprzyjaźniliście.

STEFAN DORSCH A co odpowiedział Pellner?

DEUTINGER Nie wiem. Zdaje mi się, że powiedział: „Możliwe”. Albo coś w tym rodzaju.

K O N I E C

© Copyright by Wolfram Lotz

S. Fischer Verlag GmbH, Hedderichstr. 114, 60596 Frankfurt am Main / Deutschland
 www.fischerverlage.de

Agencja Dramatu i Teatru ADiT, ul. Grójecka 186/124, 02-390 Warszawa
 www.adit.art.pl



Wolfram Lotz (ur. w 1981 roku w Hamburgu) jest niemieckim dramaturgiem, piszącym sporadycznie także prozę i poezję, laureatem wiedeńskiej nagrody im. Nestroya (za *Śmieszna ciemność*, wystawioną rok wcześniej na małej scenie Burgtheater). Był współzałożycielem i redaktorem magazynu literackiego „Minima”, a także redaktorem pisma „Edit”.

Studiował medioznawstwo na Uniwersytecie w Konstancji i twórcze pisanie na Uniwersytecie w Lipsku. Jego debiutancka sztuka *Der grosse Marsch* (Wielki marsz) otrzymała nagrodę Kleistförderpreis dla młodych autorów przyznawaną na berlińskim przeglądzie Stückemarkt w roku 2011, kilka miesięcy później miesięcznik „Theater heute” uznał go za najciekawszego debiutującego autora roku (cztery lata później zaś, za autora roku 2015). Wystawiony w 2011 roku w weimarskim Deutsches Nationaltheater dramat *Einige Nachrichten an das All* (Garść informacji do wszechświata) otrzymał wyróżnienie Kulturkreises der Deutschen Wirtschaft.

Śmieszna ciemność tłumaczona była (lub wkrótce zostanie przełożona) na angielski, francuski, hiszpański, czeski, słowacki, słoweński i turecki.

Amazonka

• TADEUSZ NYCZEK •

Zapolska. Co z nią dzisiaj robić? Jak ją grać i co? Te same w kółko trzy-cztery sztuki z nieśmiertelną Dulską na czele? Niedawno na Wybrzeżu Adam Orzechowski wyciągnął z niebytu *Tresowane dusze*, drapieżną dramę o środowisku dziennikarskim sprzed stu lat z okładem. Mnie też ta sztuka dawno temu chodziła po głowie, gdy szukał repertuarowych ciekawostek dla krakowskiego Słowackiego, ale po lekturze dałem spokój. Owszem, nikt przedtem ani potem nie opisał z taką pasją łajdactw braci dziennikarskiej trzymanej za pysk przez cynicznych szefów, ale realia były tak już anachroniczne, że niemal ośmieszające. Podobno Orzechowskiemu też słabo wyszło, między innymi z tego powodu.

Tu jest chyba pies pogrzebany, a w każdym razie jeden z psów. Zapolska była najprytniejszą kobietą polskiej literatury, i raczej nie z przypadku została radykalną naturalistką, od Zoli i Dygasińskiego w prozie i od Antoine'a w teatrze. Jeśli we wcześniejszej twórczości widać jeszcze skłonności romantyczno-młodopolskie, wypaliła je później do cna. Naturalizm, a może po prostu etyczny radykalizm kazał jej nie tylko grzebać w upokarzającym życiu nędznie urodzonych, a ambitnych dziewcząt chcących cokolwiek na tym padole osiągnąć, ale i pastwić się nad obyczajowym zakłamaniem społecznym. Ten szlachetny interwencjonizm, posługujący się bardzo konkretnymi realiami epoki i językiem także do niej przymocowanym, bardzo ukrócił dłuższy żywot wielu sztuk, nie mówiąc o powieściach. Żadną miarą, nawet przy najlepszych chęciach, nie da się z tym nic zrobić, jeśli się nie chce popaść w śmieszność albo anachronizm, co zresztą idzie w parze.

Kilka lat temu pisałem w jednym z *Nawozów*, jak to młoda krakowska reżyserka, Maria Spiss, szarpała się w warszawskim Ateneum ze *Skizem*. Dworkowe saloniki

i przebiórki do kolacji szurnęła w kąt, ale w konsekwencji musiała też szurnąć parę innych rzeczy. Na przykład francuszczyznę. Otóż co pewien czas bohaterowie przeczuczą się bon motami w tym języku, co należało do stylu w lepszym towarzystwie. Dzisiaj używaliby pewnie angielskiego... Ale jak podpowiadać Zapolskiej angielszczyznę? A że francuszczyzna stała się jawnie *passé*, nic z tej gry w języki w spektaklu nie zostało. Niby drobiazg, ale znaczący.

Interwencyjna sztuka krytyczna z natury rzeczy bierze stronę doraźności nad uniwersalnością. To Zapolska jasno wiedziała: żadnej taryfy ulgowej – albo mówi się jak jest, albo zostaje poezja, mitologia i unoszenie nad wodami. Z tego punktu widzenia nad wodami unosili się Wyspiański z Rydlem i Miciński z Przybyszewskim (wyjawszy *Wesele* jako fenomen ponad podziałami), a myślę, że gdyby Zapolska miała okazję poznać Szaniawskiego – zadebiutował *Murzynem* cztery lata przed jej śmiercią – dołączyłaby i jego do tego grona.

Kłopot z wieloma jej sztukami nadal mocnymi problemowo, ale bardzo osadzonymi w teraźniejszości, polega na tym, że trzeba by je właściwie napisać na nowo. *Panna Maliczewska* jest jednym z najokrutniejszych i najdotkliwszych w całej polskiej literaturze teatralnej dramatów o dosłownym skurwieniu marzeń i ambicji. Bohaterami są takie potwory, że nawet kiedy rzecz się tylko czyta, człowiek ma ochotę kogoś udusić; niech się przy tej pozornie skromnej sztuczce schowają wszystkie współczesne dramaty o cynizmie i ludzkiej podłości. Dziś można ją zagrać tylko na dwa sposoby: absolutnie dosłownie, w kostiumie i realiach z epoki, ryzykując historyczny anachronizm, ale ratując spójność stylistyczną i licząc na inteligencję widzów, że wyciągnie właściwe wnioski z postawionych tematów – albo całkowicie przepisać ją na nowo. Co niedawno zrobił choćby Marcin Wrona w telewizyjnych *Ich czworo*. Zapolska miała świetny słuch na język różnych warstw społecznych i umiała te języki doskonale na scenie indywiduować. Ale im lepiej i dosłowniej jej to wychodziło, tym szybciej same sztuki uśmiercała dla przyszłości. No bo co dziś zrobić z takim choćby dialogiem z *Tamtego*:

DZIEWCZYNA I Pani Matałkowska! Wierciołek się szturga.

MATAŁKOWSKA Nie szturgaj się Wierciołek!

KELNER Bestya się rozłasowała na gościnnych stołach. Obrus chcę położyć.

DZIEWCZYNA I A gdzie się zapikę?

Oczywiście w żadnej epoce nie sposób uciec od jej języka. Naturalistka Zapolska starała się być do bólu wierna mowie swoich czasów, i to na każdym poziomie. Genialnie podsłuchiwała żargon dziennikarski w *Tresowanych duszach*. We wspomnianym

Felieton

Tamtym ile postaci, tyle języków. Posługaczki w gospodzie, spiskujący inteligenci, romantyczne narzeczone, rosyjscy żołdacy, matki Polki, szemrani aferzyści... Ten gorzki pastisz *Dziadów* układa się w ponurą panoramę Polski rozbiorowej, gdzie wolnościowe ideały parszwyją pośród małych intryg i codziennego brudu życia. Problem w tym, że wszystko to jest dziś znacznie lepszym materiałem na dysertację, analizy, prace magisterskie i doktorskie, publicystykę czy eseistykę. Nie dziwi także,



GABRIELA ZAPOLSKA *TRESOWANE DUSZE*, TEATR WYBRZEŻE, GDAŃSK 2015,
REŻ. ADAM ORZECOWSKI, FOT. DOMINIK WERNER

Nawozy sztuczne

że postać samej Zapolskiej zaczyna dziś wygrywać z dziełem. Chyba o żadnym twórcy z tamtego okresu nie powstało w ostatnich czasach tyle przedsięwzięć autor-skich, poczynawszy od słynnej, sklejonej z rozproszonych fragmentów przez Jarosława Fazana monografii Tadeusza Peipera *Gabriela Zapolska jako aktorka* (2004), przez książki Agaty Chałupnik i Krystyny Kłosińskiej po najnowszą biografię Arael Zurli *Szkoło i brylanty. Gabriela Zapolska w swojej epoce*. „Dialog” 7-8 z tego roku wydrukował sztukę Jana Czaplińskiego *Zapolska Superstar* (miała premierę w Wałbrzychu w 2015), która notabene, jak i towarzysząca rozmowa Łukasza Drewniaka z twórcami spektaklu, sprowokowała mnie do tego felietonu. „Wystarczy sięgnąć kawałek dalej [poza kilka najbardziej znanych utworów – TN] a naszym oczom ukaże się opowieść chyba ciekawsza, czyli ta o jej życiu” – powiada Czapliński.

Rzeczywiście, życie Zapolskiej warto jest niejednej ekscytującej powieści obyczajowej i niejednego filmu sensacyjnego. Ja bym jednak wciąż pamiętał o paru – paru-nastu? – sztukach tej niezwykłej kobiety. Jedynej, która w tamtych czasach mogła konkurować na talent i siłę perswazji ze swoim super antagonistą, bogiem na przeciwnym słońcu, autorem *Wyzwolenia*.

W całej naszej historii dramatopisarskiej Zapolska najkonsekwentniej uprawiała teatr krytyczny, tak dzisiaj wzięty w pokoleniu Klaty, Demirskiego i Jolanty Janiczak. Konwencje się po drodze wielokrotnie zmieniały, a Wielka Matka Chrzestna nadal jest nie do pobicia w trzech co najmniej konkurencjach: ostrości widzenia spraw społecznych, bezbłędnego wyczucia sceny i żelaznej konstrukcji fabularnej. Nadal skróty w jej najlepszych tekstach są możliwe, ale niekonieczne. Każde słowo i każda postać są tam na swoim miejscu. Tyle że w dzisiejszym teatrze reżyserów te akurat cnoty są w najmniejszym poważaniu.

Maszyna do życia

• ANTONINA GRZEGORZEWSKA •

ANTONINA GRZEGORZEWSKA

Za mało

OSOBY:

- JA
- CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA
- PIEŁĘGNIARKA
- MATKA
- ANOREKTYCZKA
- LEKARZ/MĄŻ/KOMORNIK
- ORAZ PRACOWNICE FABRYKI

PROLOG

MATKA Bez sensu, kompletnie bez sensu. To jest chore. Odwrotnie. Żle. I te falbanki. Ordynarne. Wulgarnie. W złym guście. Jak z bazaru. Nie masz pojęcia o niczym. Naćkasz wszystkiego. Co ty masz na sobie? Co ty z sobą robisz? Brak wyczucia, brak smaku, brak stylu, zły gatunek. Zupełne szmaty.

Scena 1

Sklep z ubraniami. Rząd przymierzalni.

Odsłania się zasłona pierwszej.

Stoją w niej Ja i Czarnoskóra Dziewczynka. Na taborecie i wieszakach mnóstwo ubrań. Czarnoskóra Dziewczynka trzyma szklankę odwróconą do góry dnem.

CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Może mi jednak coś nalejesz?

JA Nie wiem, które wybrać.

Jak tylko odwrócić głowę, żresz bez opamiętania. Wylizujesz wszystkie talerze. Na kolację będzie jajko i jabłko.

ANOREKTYCZKA Kładę się na czczo.

PIELĘGNIARKA A teraz przykryć się. Pod szyję. Przewietrzymy. Na dworze mróz. Nie zaziębić się.

Scena 14

MATKA Rękawiczki, zima, mróz, ziąb, lodowato. Szalik jeszcze po prostu bo odmrozisz. Mróz, mróz, minus sto i wiatr, i wilgoć. Chociaż szalik.

Scena 15

Cela Anorektyczki. Ważenie.

PIELĘGNIARKA Ściągamy buty.

ANOREKTYCZKA Wiem.

LEKARZ/MĄŻ Trzymam kciuki.

ANOREKTYCZKA Nadzieja matką głupich.

LEKARZ/MĄŻ We wtorek było minus dwieście pięćdziesiąt gramów.

PIELĘGNIARKA Zwymiotowała je.

ANOREKTYCZKA Na pewno nie utylam. Nie zdobędziecie mnie.

LEKARZ/MĄŻ Na środku. Inaczej waga zaniża wyniki.

ANOREKTYCZKA Lodowato.

LEKARZ/MĄŻ Piżama waży więcej niż pani.

PIELĘGNIARKA Możesz się ubrać.

ANOREKTYCZKA Proszę się odwrócić.

PIELĘGNIARKA Czy my robimy ci coś złego?

LEKARZ/MĄŻ Zero mięśni.

ANOREKTYCZKA Nikt nie lubi być obmacywany jak warzywo na targu.

LEKARZ/MĄŻ Pani organizm umiera.

ANOREKTYCZKA Nie jestem głodna.

LEKARZ/MĄŻ Zabieramy wszystkie pani rzeczy. Na ich zwrot trzeba będzie zapracować. Ważenie codzienne po kolacji.

ANOREKTYCZKA Co za strategia. Ja też zwracam. Do ubikacji.

LEKARZ/MĄŻ Łazienkę zamykamy na klucz.

ANOREKTYCZKA Będę robić pod siebie.

PIELĘGNIARKA Złośliwości zostaw dla swojego odbicia w lustrze.

LEKARZ/MĄŻ Dość tej zabawy. Nikt nie zamierza po pani sprzątać.

ANOREKTYCZKA Proszę zabrać to jabłko. Zaraz zwymiotuję.

LEKARZ/MĄŻ Następne ważenie jutro. Jeśli waga spadnie, zarządzę karmieniem dożołądkowe. Rurką do brzucha. Zrobimy z pani łakomczucha.

ANOREKTYCZKA Nie zdobędziecie mnie. Szykujcie sondę.

Scena 16

MATKA A ty co tak wieczorowo? Do szpitala raczej spodnie dres bluzka. Coś normalnego, dziennego, zwyczajność nie rzucająca innym pod

nogi swoich dziwactw. Rozejrzyj się. To dziko wygląda. Szpital, a ty jakbyś szła na bal. Na premierę do opery.

Znaleźli mi wrzody na żołądku. Dobra opieka. Martwię się o kota. Idź do niego już. Idź. Nie ociągaj się.

JA Przecież nic mu nie będzie.

MATKA Jak cię znam, rzucisz mu ochłapy.

JA Będzie jadł, jak każdy kot.

MATKA Górny zamek się zacina. Sprawdzaj skrzynkę na listy. W lodówce masz główkę kapusty. I zmień te idiotyczne buty. Zrobią ci się halluksy.

Scena 17

Pokój szpitalny Anorektyczki (przymierzalnia).

LEKARZ/MĄŻ Ten strajk głodowy do niczego nie prowadzi. Niech pani spojrzy w lustro: taka młoda, a tak staro wygląda.

ANOREKTYCZKA Nie jestem głodna. Nie boję się.

LEKARZ/MĄŻ Wszystko w pani rękach.

ANOREKTYCZKA To, ile zjem, to moja sprawa. Ja panu nie zaglądam do talerza.

LEKARZ/MĄŻ A szkoda, dziś na obiad była pomidorowa. Komu pani robi na złość? Sonda to nie żart. Wywołuje pani wilka z lasu.

Scena 18

PRACOWNICE FABRYKI Nie. Nie odpoczniesz. Nie teraz. Opór.

rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj rozpruj

Scena 19. Drugi monolog Anorektyczki

Ucieka w kawalkadzie saren, w alei martwych natur z zającami, ucieka przed kulami. Wilk. Doły, z których uchodzi czerni, poroża młodych jeleni pokryte mchem, las martwych drzew. Wilk biegnie. Pszczoły czernieją, jagody są trujące. Wilk nie zatrzymuje się. Dwoje dzieci z koszykiem pełnym jagód. Jagody są zmiażdżone, cieknie z nich krew. Wilk czuje zew. Myśliwi ocierają pot. Pikujące jaskółki zwiastują sztorm. Mija mrowisko i trujące grzyby. Srebrne runo pod niebem pokrytym łuną. Apokalipsa? Chyba jeszcze nie, nowe polowanie. Wilk waha się. Zwalnia. Upada. Niebo różowieje, myśliwi ślepną, pszczoły wyciągają czarne żądła.

Wilk widzi to wszystko kątem oka. Ktoś go głaszcze. Ktoś go podnosi. Ktoś go bierze do ogniska. Dają mu jeść i pić. Wyjmują kulę, bandażują. Nadają mu imię. Odtąd już nie biega. Chodzi na spacerzy przywiązany do swojego imienia, co wypada z ust ludzi jak kule z luf. Odtąd imię trafia go w serce, bardzo celnie. Odwraca się wtedy i wraca. Wygłolona sierść, warkocz szwu na sercu, błękitniejące oczy. Leży na posadzce z kamienia. Leży na dywanie. Leży na łóżku, leży na kanapie. Zaczynają

go czesać. Ma obrożę z ćwiekami i smycz z dzwoneczkami. Dzyń, dzyń, dzyń, biegnie do nogi, łąsi się, chłepcze wodę ze srebrnej miski. Księżyc maleje i rośnie, piołun jest gorzki, cyjanek jest śmiertelny. Rtęć wycieka, mleko kapiące z łodygi mleczu. Gorzki posmak piołunu na języku. Odrobina cukru dla zabicia goryczy. Wilk nie żyje. Pies ma kaganiec i chodzi na smyczy.

Scena 20

Przypinanie Anorektyczki do łóżka skórzanymi pasami.

LEKARZ/MĄŻ Start. Przykro mi, to dla pani dobra. Proszę się nie wrywać. Sama pani chciała. Uprzedzałem panią. Też tego nie lubię, dla mnie to też straszny moment. Za każdym razem, kiedy muszę unieruchomić pacjenta, przechodzą mnie ciarki i źle potem śpię, mówiąc szczerze w ogóle nie zasypiam, czuwam i chodzę niespokojnie po domu, moje życie jest takim niespokojnym spacerem. Moja praca tutaj jest sprzeciwem wobec pani powolnego samobójstwa, problem w tym, że śmierć głodowa bez jakiejś ogólnej myśli to straszne marnotrawstwo. Można nie jeść w jakimś celu, można nie jeść, żeby uwolniono więźniów, można nie jeść w proteście przeciwko wprowadzaniu języka suahili do szkół, głodzić się, żeby kobiety miały dostęp do kopalni diamentów, ale pani głodówka nie ma żadnej nici przewodniej, jest czystym marnotrawstwem chudnięcia, znajduje się na niemym wysypisku odpadów, a pani wraz z nią, zamiast chudnąć w glorii manifestu. Lubi pani foki? Ja też, wręcz uwielbiam foki, myślę o nich zawsze, kiedy muszę traktować pacjenta siłą, zapinam panią na pierwszą dziurkę, może pani ruszyć ręką, może pani kręcić nadgarstkami i kręcić kostkami u nóg. Wiem, jest sezon na muchy i nie będzie mogła pani odgonić się samodzielnie, ale muchy lgną do jedzenia i resztek, a pani jest sucha jak wyschnięte bajoro i w tym pokoju na próżno szukać ogryzków jabłek czy okruszków ciasta. W Afryce są muchy, powie pani, obsiadają czarne, głodne, spuchnięte dzieci, powie pani. To dla ich potu. To powolne przygotowanie do żerowania na ich trupach. Muchy czują rozkład, lubią świeże mięso rozkładające się w upale, czarne dzieci na piasku, całe czarne rodziny, muchy to kochają. Niech pani będzie spokojna, na głodnym ciele łatwo robią się spēkania, a pani ciało jest głodne, bardzo głodne, tak bardzo głodne, że już nie odczuwa głodu, to ostatni etap pani choroby, paradoks, z którym przyszło mi się zmierzyć. Uratuję panią. Muchy nie znoszą klimatyzacji, nie znoszą chłodnego szpitalnego nawiewu. Proszę nie wierzczać, niech mi się pani podda. Klimatyzacja panią ratuje, muchy jej nie znoszą. Robię to wszystko dla pani. Widziałem pani zdjęcie. Była pani piękna.

Scena 21

PRACOWNICE FABRYKI bieg bieg bieg bieg bieg bieg bieg bieg bieg bieg
ścieg ścieg ścieg ścieg ścieg ścieg ścieg ścieg ścieg

Scena 22

Mąż rozkręca szafę i sukcesywnie wynosi z mieszkania jej części.

CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Nie demontuj mieszkania. Powinieneś był to ze mną skonsultować. Wszystko wygniotłeś. Wszystko jak psu z gardła wyjęte. Przeszkadza ci szafa? Mogłeś mnie uprzedzić. Co z tym teraz zrobisz? O co ci chodzi?

Nie porysuj podłogi. Zaraz postrącasz rzeczy. Nikt cię nie goni. Ostrożnie. Nie mów do mnie tym tonem.

Wszystkiego się czepiasz. Wszystko ci przeszkadza. Nie dźwigaj tego. Uważaj na róg. Nie potknij się o próg. Zaraz coś zbijesz. Bardziej w prawo. I niżej. Coś ty podłożył? To nie szmata. To góra od kompletu Prady. Zahaczasz o żyrandol. Opuść sobie. Dostaniesz wylewu. Kupiła parę nowych rzeczy. Na przecenach. To nie powód do gniewu.

Scena 23

JA (wyrzuca kłęby ubrań do metalowego kosza z używaną odzieżą dla PCK)
Zmienię się.

MĄŻ Ty się nigdy nie zmienisz.

JA Nieprawda. Zmienię się. Już się zmieniłam. Nie poznasz mnie.

MĄŻ A pamiętasz, jak...

JA Nie przypominaj mi już. Zmienię się.

MĄŻ Taka już jesteś. Nie miej złudzeń.

JA Nieprawda, zmienię się.

PRACOWNICE FABRYKI Nie. Nie zmienisz się.

CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Taką cię kocham. Nie zmieniaj się.

JA Od jutra będzie inaczej.

MĄŻ Sama w to nie wierzysz. Znam to na pamięć. Ty się nigdy nie zmienisz.

JA Mogę to oddać. Zakupy to ruletka. Mam paragon. Zmienię się, zobaczysz.

MĄŻ Nie zmienisz się. Nigdy się nie zmienisz. Przestałem w to wierzyć.

Scena 24

Izolotka Anorektyczki.

PIEŁĘGNIARKA Bo się udławisz, idiotko. Rzyganie w tej pozycji jest niebezpieczne. Przestań.

LEKARZ/MĄŻ Odwracamy ją na bok.

PIEŁĘGNIARKA I całą robotę diabli wzięli.

LEKARZ/MĄŻ Trzeba innym sposobem. Odczepiamy sondę.

PIEŁĘGNIARKA Mam dosyć tego szkieletona.

LEKARZ/MĄŻ Bądź dla niej miła jak kobieta dla kobiety. Dochodzą mnie słuchy, że bywasz brutalna. Pacjent to delikatna materia, nasze zmęczenie nie ma nic do rzeczy. Umyj ją i przebierz.

W ogrodzie rośnie lilia. Podchodzi dziewczyna z nożem i ją ścina. Potem odchodzi. Z nożem w jednej, a z lilią w drugiej dłoni. Z łodygi lilii osocze kapie dźwiękiem trudno przełykanej śliny w obliczu śmierci. Nóż się stępił. Dziewczyna idzie przed siebie jak waga z identycznym obciążeniem na obu szalach – lilia i nóż na razie ważą tyle samo. Idzie i nie ogląda się za siebie. Lilia brudzi ją żółtym pyłem, nóż brudzi rdzą, jest teraz rdzawym motylem, nie wiadomo, kto ją woła z tyłu, sierść kotki matowieje, zapach róży się ulatnia, kolce róży tępieją jak gwoździe w muzeum, mijają dni i mijają lata. Dziewczyna trzyma nóż jak trofeum. Lilię upuszcza, zmiętą jak stara chustka. Wie, że młodość się skończyła. Nie poznała swojej twarzy. To już czas. Ścisza lilie i ścisza nóż. Idzie przed siebie, znacząc nożem korę drzew, skałeczony las. Jest między dawaniem owoców, a zwiędnięciem, najgorszy czas. Ogląda swoją dłoń, meszek nad górną wargą, matową skroń. Krzyk noworod-

CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Zobacz u sąsiadów.

JA Tam się świeci.
 CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Może to żarówka? Sprawdź i wymień.
 JA Nie mam nowych.
 CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Weź z mieszkania matki.
 JA Nie wiem, gdzie są klucze. Nic nie widzę.
 CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Zostały w przymierzalni. Chodź.
 JA Jestem splukana. Nie zamęczaj mnie. Nie odstępujesz mnie na krok.
 Jesteś jak kleszcz. Prześwituje ci moja krew.
 CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Tak dawno nie jadłam słodczy. Moje słone
 łzy płaczą za czymś słodkim. Zlituj się.
 JA Wyłączyli prąd.
 CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA No to co?
 JA Zimno mi. Nic nie widzę.
 CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Ubierz się cieplej.
 JA Nie mam w co.

Scena 30

Maszyny do szycia, szybko, szybko, szybko, szybko, szybko.

Scena 31

Szpitalna cela Anorektyczki.

ANOREKTYCZKA Gdzie lustro? Czekam od tygodnia.
 LEKARZ/MĄŻ *(podając jej kota)* Proszę.
 ANOREKTYCZKA W szpitalu nie trzyma się zwierząt. Proszę go stąd wziąć.
 Miał mi pan przynieść lustro. Mam prawo do lustra.
 LEKARZ/MĄŻ Ten kot to pani.
 ANOREKTYCZKA Rzeczywiście chudy.
 LEKARZ/MĄŻ I prawie nie ma sierści.
 ANOREKTYCZKA Nie wiem, jak wyglądam, i nie wiem, czy mam włosy, czy
 nie. Proszę o lustro. Chcę się przejrzeć.
 LEKARZ/MĄŻ Wystarczy, że spojrzysz pani na tego kota.
 ANOREKTYCZKA To jest szpital. Nie życzę sobie zwierząt.
 LEKARZ/MĄŻ Jego właścicielka zmarła dziś rano. Proszę, tu jest jedzenie
 dla niego. Po jednym kęsie, na ciepło, prosto do pyszczka. Potem masaż
 brzuszka, końcem opuszka, delikatnie. Ma skórę cienką jak papier, na
 którym napisano elegię.
 ANOREKTYCZKA Mam alergię.
 LEKARZ/MĄŻ Nie ma alergii na cień kota.
 ANOREKTYCZKA Lustro.
 LEKARZ/MĄŻ Ten kot to pani odbicie. Jeśli umrze, musi go pani zakopać.
 ANOREKTYCZKA Lustro.
 LEKARZ/MĄŻ Obudził się.
 ANOREKTYCZKA Idę spać.
 LEKARZ/MĄŻ On właśnie się obudził.

ANOREKTYCZKA Lustro.
 LEKARZ/MĄŻ Tylko pani może go uratować.
 ANOREKTYCZKA Mam go gdzieś.

Scena 32

Mieszkanie.

JA Proszę pójść do sąsiadów. Piętro niżej.
 KOMORNIK/MĄŻ To tu.
 JA Nie ten numer. Pomyłka.
 KOMORNIK/MĄŻ Nakaz.
 JA Nie mam ochoty na zabawę, jestem zajęta.
 KOMORNIK/MĄŻ Spis ruchomości, które zostają zajęte z dniem dzisiej-
 szym. Protokół. Pianino, sprzęty, komputery. To pierwszy krok. Podpis.
 Nie tu, niżej. I jeszcze tu. Data.
 JA To prywatne rzeczy. Ostrożnie. To prawdziwa porcelana.
 KOMORNIK/MĄŻ Dzieło sztuki? To inna rubryka.
 JA Niech pan uważa. Dzwonię do prawnika.
 KOMORNIK/MĄŻ Telefon, komputer, telewizor. Podpis.
 JA Proszę nie zbliżać się do szafy. Mam bałagan.
 KOMORNIK/MĄŻ Na wszystko są paragrafy. Garderoba osobista nie pod-
 lega konfiskacie. Bałaganu pani nie zabierzemy.
 JA To wszystko, co mam.
 PRACOWNICE FABRYKI Zabierz jej. Zabierz zabierz zabierz zabierz zabierz
 zabierz zabierz zabierz zabierz zabierz zabierz zabierz zabierz zabierz
 zabierz zabierz
 JA To, co pan robi, jest jak kradzież.
 KOMORNIK/MĄŻ Taka praca. Podpisik. Nie tu, niżej. I jeszcze tu. Data.
 PRACOWNICE FABRYKI Żakiet.
 KOMORNIK/MĄŻ *(przekręcając arkusze protokołu)* I drugi egzemplarz.
 PRACOWNICE FABRYKI Mankiet.
 KOMORNIK/MĄŻ I trzeci, na wypadek zniszczenia.
 JA Brawo. Pracował pan wcześniej w ubezpieczeniach?
 PRACOWNICE tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk tyk
 KOMORNIK/MĄŻ Samochodzik jest?
 JA Nie mam prawa jazdy.
 KOMORNIK/MĄŻ Zrobić, zrobić, odkuć się. Samochodu brak. Podpisik.
 Nie tu, niżej. I jeszcze tu. Data. Pięknie. Kije do golfa, sztuk dziesięć.
 Gra pani?
 Jeszcze jeden formularz.
 Konfiskata formalna w piątek dwudziestego października godzina
 ósma. Podpisik. I drugi egzemplarz. Data. Nie tu. W rogu. Rączka się
 trzęsie. Niepotrzebnie. Czy ja nie jestem kulturalny człowiek?
 Pisaliśmy do pani miesiącami? Liściki były, zawiadomienia. Tableteczkę
 proszę wziąć, rozluźnić się, poprzeciagać, popłakać dla odprężenia.
 JA Proszę się wylegitymować. Chcę zobaczyć pana dokumenty.

KOMORNIK/MĄŻ Plakietka i numer referencyjny 26759076665410945 XOP rejon Śródmieście, data ważności wybita na odwrocie, znak wodny, premia za usługę lat. Zawiodła mnie pani. Ja myślałem, że my na kulturalnie.

JA Nikogo nie wpuszczę.

KOMORNIK/MĄŻ Poradzimy sobie.

Podpisik na trzech pierwszych stronach. I mamy komplecik. Strasznie u pani ciemno. Trzeba poświecić.

JA Nie ma prądu.

KOMORNIK/MĄŻ Nie płaciło się? Jeszcze tu. Plus data.

JA Oszczędzam środowisko. Wezwę adwokata.

KOMORNIK/MĄŻ Pani robi w modzie? Dużo ubrań.

JA Co to pana obchodzi?

KOMORNIK/MĄŻ Tak pytam, z ciekawości. Różni są ludzie, co się naoglądam, to moje. Tyle ubrań tom nie widział.

JA To się pan napatrzył i do widzenia. Śpieszę się. Wychodzę. Nic już nie podpisuję.

KOMORNIK/MĄŻ Ostatni podpisik i mamy.

JA Wypisał się.

KOMORNIK/MĄŻ Ołóweczkiem też można. Pięknie. Dziękuję bardzo i życzę miłego dnia.

Scena 33

PRACOWNICA IV Ty i uczucia. Gęś z prosięciem. Tyk tyk tyk tyk tyk. Spódnica z wycięciem.

PRACOWNICA I Przegrałaś. Zadłużasz się. Nie masz z czego oddać. Nic już nie kupisz. Jeszcze długo, długo.

PRACOWNICA II Może nigdy. Tyk tyk tyk tyk tyk podszewka z organdy.

PRACOWNICA III Zapomnij o spokojnym spaniu. Tyk tyk tyk tyk tyk tyk.

PRACOWNICA V Bluzka wieczorowa i koktajlowe spodnie.

PRACOWNICE tyk tyk tyk tyk tyk

PRACOWNICA I Przegrałaś. Sucho i pusto. Pa. Zabieramy, co nasze. Raz, dwa, trzy: start.

KOMORNIK/MĄŻ Konfiskata formalna w piątek dwudziestego października o godzinie ósmej.

Pracownice fabryki zaczynają wnosić ubrania, buty, torebki Ja, ściągają je z wieszaków, podnoszą z ziemi.

JA O co chodzi? Weźcie łapy z moich ubrań. Łapy z ubrań.

KOMORNIK/MĄŻ Na wszystko są paragrafy. Opróżniamy szafy.

JA To jakiś koszmarny. Wynocha.

KOMORNIK/MĄŻ Pomału, pomału. Przejrzałem pani transakcje z ostatniego roku. Zmiana wyroku. Konfiskujemy też ubrania.

JA Garderoba osobista nie podlega konfiskacie. Sam pan mówił. Prawo to prawo.

KOMORNIK/MĄŻ Trzęsie się. Niepotrzebnie. Czy ja nie jestem kulturalny człowiek? Nie pisaliśmy do pani, prośbą i groźbą? Miesiącami? Liściki

były, zawiadomienia. Tableteczkę wziąć, rozluźnić się, poprzeciagać, popłakać dla odprężenia.

PRACOWNICE FABRYKI tyk tyk tyk tyk. Ile wzorów do podrobienia.

Scena 34

LEKARZ/MĄŻ Cały oddział trzyma kciuki.

ANOREKTYCZKA Już z nim lepiej.

LEKARZ/MĄŻ Widać pierwsze rezultaty.

ANOREKTYCZKA Dziś rano się przeciągnął.

LEKARZ/MĄŻ Pomału. Ziarnko do ziarnka.

ANOREKTYCZKA Są tu myszy?

LEKARZ/MĄŻ Uda się.

ANOREKTYCZKA Masaż brzucha po każdym kęsie. Skręca nas z bólu.

LEKARZ/MĄŻ Żołądek się przyzwyczai. Ból minie.

ANOREKTYCZKA Wymiotuje i zaczyna od nowa.

LEKARZ/MĄŻ To normalne. Najważniejszy jest nowy początek. Odwagi.

ANOREKTYCZKA Odrośną mu włosy?

LEKARZ/MĄŻ Na wszystko trzeba czasu.

ANOREKTYCZKA Jego losy się ważą.

LEKARZ/MĄŻ Dobrze powiedziane.

ANOREKTYCZKA Oddacie nam sukienkę?

LEKARZ/MĄŻ Do zwrotu garderoby zostało dwieście gramów.

ANOREKTYCZKA Mamy dosyć piżamy.

LEKARZ/MĄŻ Jest pani za słaba na to, żeby się przebierać. Zawroty głowy i stan podgorączkowy.

ANOREKTYCZKA Pali nas.

LEKARZ/MĄŻ Dała pani radę. Było o krok.

ANOREKTYCZKA Ruszają nam się zęby.

LEKARZ/MĄŻ Jest pani wyniszczona. Pani organizm przeszedł piekło.

ANOREKTYCZKA Chcemy stąd wyjść.

LEKARZ/MĄŻ To jeszcze potrwa. Ma pani książki. Damy telewizor.

ANOREKTYCZKA Niczego nam nie trzeba.

LEKARZ/MĄŻ A lustro?

ANOREKTYCZKA Widzimy się doskonale. Jesteśmy tym samym.

Scena 35. Aukcja

KOMORNIK/MĄŻ (*trzymając wieczorową sukienkę Ja*) Koktajlowa suknia, kolekcja wieczorowa, rok dwa tysiące ósmy, dom mody Gucci. Satyna. Rozmiar włoski czterdzieści dwa. Cena wyjściowa czterysta pięćdziesiąt euro. Mamy głos z sali, piękne otwarcie.

PRACOWNICA I Pięćset.

KOMORNIK/MĄŻ Dobra decyzja, pięćset po raz pierwszy.

PRACOWNICA II Pięćset pięćdziesiąt.

KOMORNIK/MĄŻ Pięćset pięćdziesiąt. Pięćset pięćdziesiąt po raz pierwszy, pięćset pięćdziesiąt...

PRACOWNICA IV Pięćset sześćdziesiąt.

KOMORNIK/MĄŻ Pięćset sześćdziesiąt po raz pierwszy, pięćset sześćdziesiąt po raz drugi...

PRACOWNICA I Siedemset.

KOMORNIK/MĄŻ Mamy siedemset. Siedemset po raz pierwszy, siedemset po raz drugi, siedemset po raz trzeci. (*młotek*)

Pozycja numer osiemdziesiąt trzy, torba marki Louis Vuitton. Cena wyjściowa tysiąc dwieście euro. Tysiąc dwieście euro, torba Louis Vuitton, model klasyczny, tysiąc dwieście euro, kto otworzy?

Wchodzi Czarna Dziewczynka.

KOMORNIK/MĄŻ Tysiąc dwieście, tysiąc dwieście, nie ma chętnych? Ostatnia szansa. Przechodzimy do pozycji osiemdziesiąt cztery, pasek skórzany, Armani. Złota sprzączka, nieużywany, metka nieobcięta. Cena na metce czterysta dziewięćdziesiąt pięć euro, my zaczynamy od trzystu euro za pasek Armaniego ze złotą sprzączką i załączoną metką, trzysta euro.

Czarnoskóra Dziewczynka podnosi rękę.

KOMORNIK/MĄŻ Mamy trzysta euro. Kto da trzysta dwadzieścia euro?

Trzysta dwadzieścia, trzysta dwadzieścia.

Pracownica II podnosi rękę.

KOMORNIK/MĄŻ Mamy trzysta dwadzieścia.

CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Trzysta pięćdziesiąt.

PRACOWNICA II Trzysta osiemdziesiąt.

CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Pięćset.

KOMORNIK/MĄŻ Pięćset euro, mamy pięćset euro.

PRACOWNICA II Siedemset.

KOMORNIK/MĄŻ Siedemset, siedemset po raz pierwszy.

CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA Osiemset.

KOMORNIK/MĄŻ Osiemset, osiemset po raz pierwszy, osiemset po raz drugi, osiemset po raz trzeci, gratuluję. (*młotek*) Pozycja osiemdziesiąt pięć: futro.

Scena 36

JA Cała podrapana.

ANOREKTYCZKA To czułość.

JA Nie boli?

ANOREKTYCZKA Tylko brzuch. Po każdym kęsie.

JA Zaczęłaś jeść?

ANOREKTYCZKA Już nikt nas nie głodzi.

Raz łyk mleka, raz paluszki z ryby. Rano szprotka, wieczorem śledź.

Czujemy się silni.

JA Kiedy wychodzisz?

ANOREKTYCZKA Jeszcze kilo.

JA Z górki. Cieszę się.

ANOREKTYCZKA Kotu odrasta sierść. Wszystko jest na dobrej drodze. Tylko szkoda zmarnowanego czasu.

JA Jeszcze parę dni i będzie lśnił. Parę dni i będziesz biesiadować.

ANOREKTYCZKA Twój mąż nas uratował.

JA Były mąż. Jesteśmy po rozwodzie.

ANOREKTYCZKA Słyszałam. Jest z pielęgniarką. Zostałaś na lodzie.

JA Przynoszę ci klucze.

ANOREKTYCZKA Wyglądasz na posiekaną od środka. Dobrze się czujesz?

JA To mieszkanie kota, więc jest też twoje. Siedemdziesiąt metrów. Kuchnia, łazienka i dwa pokoje.

ANOREKTYCZKA Nie mam ochoty na żarty.

JA W salonie na stole leży karta. Pin na kartce obok. Dużo pieniędzy, polisa po mojej matce. Kochała kota.

Fabryczna osiem mieszkania dwadzieścia dwa. Drugie piętro, balkon z kuwetą. Lodówka jest pełna.

ANOREKTYCZKA A ty, co teraz zrobisz?

PRACOWNICE FABRYKI wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna, wełna

K O N I E C

ROZMOWA Z

ANTONINĄ GRZEGORZEWSKĄ

Mysz w sukience od Zary

MIESZKASZ W HISPANII, OJCZYŹNIE ZARY I CAŁEGO KONCERNU INDITEX (SZYJĄCEGO ZRESZTĄ W CHINACH), ALE TWOJA BOHATERKA KUPUJE CIUCHY OD NAJWIĘKSZYCH EUROPEJSKICH PROJEKTANTÓW. TU JUŻ DIAGNOZUJESZ WARIACTWO?

W mojej sztuce ciuchy od drogich projektantów i ich ceny są figurą szaleństwa, choć można być chorym na tę samą chorobę, a kupować odzież na wagę. To wyłącznie kwestia sum, jakimi dysponujemy, generalnie choroba kończy się na pustym portfelu. Dla mnie interesujące jest to, że kobiety masowo działają na swoją szkodę, robiąc z siebie jakieś żałosne wyfiokowane koczkodany, albo, jeśli są bardziej utalentowane w dziedzinie tworzenia własnego wizerunku, zmieniając się w idealne manekiny. Ostatnio jakaś mieszkanka Manhattanu wytoczyła Zarze proces, bo w swojej sukience znalazła zaszytą mysz. Uważam, że to była najbardziej udana sukienka Zary. Jedyna tak naprawdę autorska.

DRUGA Z TWOICH BOHATEK NIE JE. MOŻE ANOREKSJA I ZAKUPOHOLIZM TO DWIE STRONY TEJ SAMEJ KOMPULSIJ?

Anoreksja i zakupoholizm to dwie różne strategię, które starają się być odpowiedzią na zagadnienie nierozwikłanej kobiecości. Pierwsza jest ściąganiem warstw, a druga ich nakładaniem. To oczywiście strasznie banalne konstatacje i nawet wstydę się o tym mówić, niemniej, jeśli na jednym biegunie postawić anoreksję, a na drugim szafę pełną ubrań, która zawsze jest jak niezaspokojony głodny brzuch, to bardziej heroiczna wydaje mi się odmowa jedzenia, która może otwierać na przykład perspektywę mistyczno religijną i mimo wszystko mieści w sobie jakiś pierwiastek buntu. Niezagospodarowane pozostają jeszcze religia i seks. Tylko że te obszary zagadnień są już na wszystkie strony spenetrowane i rozmowa o nich grozi wpadnięciem w dyskurs kobiecych pism albo satyrę na różnego typu kobiece blogi.



Antonina Grzegorzewska (ur. 1977) jest przez nas prezentowana po raz czwarty, wcześniej drukowaliśmy jej teksty *Zapnij się, ze skrótami* („Dialog” 10/2006) *Z całym szacunkiem dla kobiety* (1/2012) i *Martwe* („Dialog” 7-8/2012). W warszawskim Teatrze Narodowym wystawiła swoją wersję *Ifigenii* (2008), a w Teatrze Współczesnym w Szczecinie *Migrenę* w reżyserii Anny Augustynowicz (2011) oraz dramat *Tauryda. Apartado 679* we własnej reżyserii i scenografii (2012). *Migrena* trafiła też do naszej antologii *Dramatopisarki dekady* z cyklu „Dialog. Najlepsze z najlepszych”. Autorka mieszka od lat w Andaluzji, gdzie zajmuje się także ceramiką.



ANTONINA GRZEGORZEWSKA TAURYDA. APARTADO 679, TEATR WSPÓŁCZESNY, SZCZECIN 2012, REŻ. ANTONINA GRZEGORZEWSKA, FOT. BARTEK WARZECHA



DOŚĆ JUŻ KPIN Z DEWOCYJNEGO KULTU URODY?

Mnie dużo bliższa jest Marina Abramović, która od projektów, w których założeniem było sadystyczno-masochistyczne podejście do ciała, przeszła do bycia diwą ze sztucznym biustem. Zresztą kobieta w szponach mody – to także nie jest temat mojej sztuki. Myślę, że mój tekst paradoksalnie stara się traktować o nagości. Jestem tego nawet pewna, że postać Ja boi się swojej nagości i jej nienawidzi, tak samo jak Anorektyczka, tylko szuka innych narzędzi, żeby tę nagość wykluczyć ze swojego życia. A wykluczenie własnej nagości jest właściwie zagładą własnej kobiecości. Anorektyczka robi to bardziej strukturalnie i metodycznie, a Ja bardziej dekoracyjnie i zachowawczo, jednak obie walczą z tym samym demonem... Tak więc tematem sztuki nie jest też zakupoholizm. Raczej to przekłete „za mało”, poczucie pustki i różne próby nadania życiu intensywności, wieczne wykluczanie tego, za czym się tak naprawdę tęskni...

NAJBARDZIEJ CHYBA TAJEMNICZA POSTAĆ W TWOJEJ SZTUCE TO CZARNOSKÓRA DZIEWCZYŃKA. KIM ONA JEST? KUSIELKĄ? WYRZUTEM SUMIENIA?

Czarnoskóra Dziewczyńka to takie Id, nieczyste sumienie, a jednocześnie jądro tej natrętnej nerwicy, która zmusza do chwilowych zaspokojień. Nie bez powodu jest czarna, przywołuje afrykański głód. Siła nałogu jest wielka. Zwykle obwarowana wewnętrznymi

postanowieniami „że to już ostatni raz” oraz związana z natychmiastową karą i poczuciem winy. Czarnoskóra Dziewczyńka jest ambiwalentną figurą, jak każda tajna i stłumiona siła. Główna bohaterka jest bezbronna jak dziecko i jej głód jest realny.

PAMIĘTAM Z TWOJEJ „IFIGENII” CHÓR KOBIET, CHÓR ANDALUZYJEK BYŁ TEŻ W „TAURYDZIE”, TU SĄ SZWACZKI. MAM WRAŻENIE, ŻE KOBIECE POSTACI Z TŁA, CHOĆ MÓWIĄ W TWOICH SZTUKACH NIEWIELE, MAJĄ BYĆ MOŻE NAJWIĘCEJ DO POWIEDZENIA.

We wszystkich dramatach, jakie napisałam, bardzo ważną rolę odgrywa kontrapunkt. Często buduję go za pomocą chóru, choć to istotne, kim ten chór jest i jak umieszczony jest w strukturze tekstu. W *Migrenie* były to na przykład świni w rzeźni. To często za pomocą chóru staram się tworzyć świat par excellence teatralny, dający reżyserowi szansę zbudowania scenicznej formy. Chór to jest jednocześnie pytanie o przestrzeń. Uważam, że w moich sztukach daję reżyserom pewne gotowce, które są atrakcyjne scenicznie. Kontrapunkty są bardzo ważne i często to z ich powodu w ogóle piszę dla teatru, to one w pełni pozwalają się cieszyć teatrem jako specyficznym gatunkiem sztuki, sceną, rytmem, formą, humorem.

NA TO SZWACZKI ZAWTÓROWAŁYBY: PISZ PISZ PISZ PISZ...

Rozmawiała Justyna Jaworska

Felieton

Po przyjęciu

Christopher Marlowe do Williama S.

• TADEUSZ BRADECKI •

Pozwalam sobie, Williamie, zakłócić ci sen, nękany ogromną ciekawością co do twojej reakcji na fakt, iż profesorowie z czterech uniwersytetów z dwóch kontynentów zechcieli niedawno, po ponad czterystu latach, oficjalnie uznać mnie za współautora twojego *Henryka VI*. Za współautora w niewielkim wprawdzie, ograniczonym stopniu, ale mimo to za w pełni równego ci piórem geniusza. Czuję się trochę jak Bob Dylan po ogłoszeniu Nobla, to znaczy: jestem zaskoczony. Nie bardzo wiem, jak mam się zachować (cieszyć się? rozpaczać?), i dlatego piszę do ciebie.

Więc to oblicze wysłało na morze
Tysiąc okrętów i zniszczyło ogniem
Wieże Ilionu...¹

– pamiętasz oczywiście owe wersy, którymi mój doktor Faustus wita trojańską Helenę, wyczarowaną mu przez Mefistofela. Uczyniłeś mi mocno zjadliwą grzeczność, honor doprawdy zbyteczny, niemal dosłownie cytując ów fragment w swoim raczej wulgarnym i niewyszukanym (tyle chyba przyznasz?) *Śnie nocy letniej*, w momencie gdy Demetriusz po namaszczeniu jego żrenic magicznym sokiem przez Puka spostrzega Helenę. Tak, przyznaję, uprzedziłeś mnie zawczasu o tym twoim zamiarze. Tak, łaskawie wyraziłem ci na to zgodę, ponieważ chętnie i bez ceregieli zapłaciłem za tamte (aż cztery?) dość kosztowne butelki burgunda, które wówczas osuszyliśmy w gospodzie zwanej dzisiaj „Bleeding Heart” koło Chancery Lane, no wiesz, tam,

zaraz za sądami. Lecz czyż mogłem wtedy przypuszczać, że proceder ten – bezczelne, zuchwałe i wręcz dosłowne przytaczanie moich ulubionych słów, rymów, ze-strojów – zechcesz przekształcić w swoją stałą i nagminną praktykę? Na wszystkich twoich spektaklach w „The Globe” oczywiście bywałem regularnie, dopóki żyłem, tak samo jak i ty regularnie bywałeś na moich. I słysząc rozmaite moje porównania i metonimie w twoich przedstawieniach – od czasu do czasu, to tu, to tam – na przemian uśmiechałem się z zadowoleniem (skurwiel, docenia mnie!), bądź też najzwyczajniej krew mnie zalewała. Sztydziłeś ze mnie jawnie, czy też po prostu kradłeś? Czyniłeś i jedno, i drugie, bez wstydu, bez pohamowania. Przerabiając moje sformułowania, usiłowałeś pokazać znawcom, że potrafisz pisać lepiej ode mnie. Bezczelnie pasożytnicząc na moich chwytach retorycznych, zarazem i drwiłeś z nich, i odsyłałeś je w literacki niebyt. Ty hieno. A teraz masz za swoje, dopisali ci mnie za karę na tytułowej stronie jako oficjalnego współnika. Kradzione nie tuczy, Will.

Po wieloletniej, skrupulatnej analizie z zastosowaniem wyrafinowanych metod badawczych profesorowie uznali, że bez dwóch zdań przy tworzeniu *Henryka VI* musieliśmy ze sobą – z przekąsem wymawiam to słowo – współpracować. Wolne żarty. Czy pisząc *Makbeta*, współpracowałeś z Holinshedem? Czy współpracowałeś z Plautem przy *Komedii omyłek*? Pomyśl, Will, może być jeszcze i tak, że mój przypadek to jedynie początek: już widzę możliwe kolejne wydanie *Romea i Julii* z adnotacją „Autorstwo Williama S., przy współpracy Matteo Bandella (jego nowela), współpracującego wcześniej z Luigim da Porto z Vicenzy (jego *Historia novellamente ritrovata di due nobili amanti*), który wcześniej współpracował z Masuccio Salernitano (jego opowiadanie ze zbioru *Novellino*), a także i z Dantem (VI pieśń *Czyśćca*, gdzie Dante gani niezgodę wielkich rodów Italii) oraz z szeregiem współpracowników z czasów starożytnych, odpowiedzialnych za znacznie wcześniejszą historię miłości Pyrama i Tysbe”. A co, jeśli profesorowie zechcą wkrótce również i mnie dopisać wszystkich tamtych wcześniejszych Szwabów i Bawarczyków jako tak zwanych współpracowników przy moim *Faustusie*?

„Współpracownik”, cóż za zdefraudowane słowo. Jako swego czasu rzeczywisty, tajny współpracownik służb JKM po prostu nie życzę sobie pośmiertnego awansu na współpracownika literackiego. Wezwałeś w swym nagrobowym epitafium potomność, by nie ważyła się ruszyć twych kości, a tymczasem literaccy lustratorzy grzebią w twoich i w moich sylabach i rymach niczym w koszu z brudną bielizną, grzebią w naszych śmieciach. Brońmy się, Will. Czas, byś zabrał głos. Zdążono już ogłosić śmierć Boga, Historii, człowieka; na miłość boską, Will, nie pozwólmy tym uniwersyteckim nekrofilom doprowadzić do śmierci autora.

Pozdrawiam cię z Deptford.

tbradecki@hotmail.com

¹ Przetłumaczył Juliusz Kydryński.

Varia

- NOWE SZTUKI •
 - Z AFISZA •
-

• Nowe sztuki •

JORDAN TANNAHILL
LATE COMPANY
(SPÓŹNIONE TOWARZYSTWO)

Jordan Tannahill, niespełna trzydziestoletni, wszechstronny kanadyjski artysta (reżyser, tancerz, choreograf, filmowiec i dramatopisarz) akcentuje własne powinowactwa z twórczością queer i często posługuje się kojarzonymi z nią formami wyrazu. Napisana przez niego przed trzema laty sztuka *Late Company* korzysta jednak z klasycznej sytuacji dramatycznej i operuje stonowaną, konwencjonalną poetyką. Inspiracją do napisania tego (bardzo dobrze przyjętego przez anglojęzyczną krytykę) tekstu była tragiczna historia piętnastoletniego Jamiego Hubleya, syna lokalnego polityka z Ottawy, który w roku 2011 popełnił samobójstwo. Jak wynikało z oświadczenia jego ojca i innych materiałów, które przez pewien czas pojawiały się w mediach, do targnięcia się na własne życie popchnęły go prześladowania i przemoc doświadczana ze strony rówieśników. Partia konserwatywna wykorzystała to zdarzenie do własnej promocji, rozpowszechniając adresowany do młodzieży LGBT

filmik *It Gets Better*. Tannahill sprawnie stworzył kameralny szkic podobnej sytuacji. *Late Company* prezentuje wydarzenia jednego wieczoru, mniej więcej rok po samobójstwie Joela, kiedy w domu jego rodziców, Debory i Michała, pojawia się – zaproszony tam razem ze swoimi rodzicami, Tamarą i Billem – jeden z jego szkolnych prześladowców, Curtis.

Zarysowana sytuacja kojarzyć się może z okolicznościami akcji *Boga mordu* Yasminy Rezy (druk. w „Dialogu” nr 2/2010). Podobnie jak w przypadku tego dramatu, znanego szerokiej widowni dzięki ekranizacji Romana Polańskiego (*Rzeź*), próba cywilizowanego pojednania między rodzicami poróżnionych chłopców jest skazana na niepowodzenie. W sprawie napisanych dialogach, nie od razu odkrywając istotę problemu, Tannahill dokonuje wiwisekcji współczesnego społeczeństwa, portretując je w znacznie szerszej skali niż Reza. Sytuacja pozwala mu opisywać zachowania ludzi z różnych środowisk (matka Joela to niespełniona artystka, ojciec jest aktywnym politykiem partii konserwatywnej) i o różnych światopoglądach, ich relacje z własnymi dziećmi, ale także szereg uwarunkowań, którym

podlega współczesna młodzież, prowadząca życie równoległe na portalach społecznościowych. Autor *Late Company* przełamuje – co także odróżnia jego sztukę od tekstu Rezy – pojawiający się momentami komizm sytuacyjny, wynikający ze spotkania pięciorga całkowicie różniących się od siebie ludzi, w trakcie dyskusji skłonnych do chwilowych, czasami zaskakujących sojuszy. Dlatego, choć zaczyna swój tekst lekką sceną korzystającą z konwencji dramatu mieszczańskiego, w tle dość szybko pojawia się temat tragedii, który stopniowo zaczyna dominować. Pamięć o stracie – a może niewystawione, wypierane poczucie winy – jest źródłem podskórnego, z czasem coraz bardziej jawnego, niepokoju bohaterów, którzy – niesieni silnymi emocjami – nie zawsze potrafią utrzymać „cywilizowaną” formę własnych reakcji i zachowań.

W domu na przedmieściach Michael i Debora przygotowują się do przyjęcia gości. Dbają o najdrobniejsze szczegóły, zastanawiając się, jaką atmosferę wprowadzi puszczona w tle muzyka. Ich zachowanie wydaje się swobodne, czasami żartują. W kolejnych scenach, już po przybyciu Dermontów, kurtuazyjne small talki zastąpione zostają tematem Joela, którego wyidealizowany obraz kreują w kolejnych scenach Debora i Michael. Ponieważ są przekonani, że prowodyrem agresji doświadczanej w szkole przez ich syna był Curtis, porozumienie z członkami odwiedzającej ich rodziny jest tylko chwilowym i raczej kurtuazyjnym gestem. Podczas spotkania, które w założeniach miało kocić ich ból, pojawiają się oskarżenia. Równocześnie w wypowiedziach gospodarzy, a w zasadzie między ich wierszami, odnaleźć można sygnały presji, której poddawali syna,

i świadectwa werbalnej agresji, z którą spotykał się, nie spełniając ich oczekiwań lub nie wypełniając poleceń. Kiedy milczący przez dłuższą chwilę Curtis zaczyna mówić, stworzona przez rodziców Joela wizja ich dziecka ujawnia coraz więcej pęknięć i rys. Czy kochający i troskliwy ojciec może nie zdawać sobie sprawy z orientacji seksualnej swojego syna? Dlaczego reaguje złością, kiedy dowiaduje się, że chłopak kilkakrotnie użył tuszu do rzęs? Czy matka powinna wiedzieć, jakie filmy umieszczało w sieci jej dziecko? Czy jej obowiązkiem była reakcja, kiedy publicznie obrażał całą swoją klasę, a sam kreował się na drag queen, wystawiając się na pośmiewisko i krytykę?

Jordan Tannahill sprawnie obrazuje przepaść pokoleniową, która we współczesnych państwach rozwiniętych przybiera nieznane wcześniej formy. Nadgorliwość w planowaniu przyszłości dzieci, z jednej strony owocu- jąca nadopiekuńczością, a z drugiej – ignorowaniem ich prawdziwych potrzeb, stwarza przestrzeń dla nieporozumień i narastających konfliktów. Próby ich łagodzenia za pośrednictwem psychoterapeutów i z pomocą farmakologiczną są tylko protezą, która nie jest zdolna zastąpić prawdziwych, dających wsparcie relacji. Jordanowi Tannahillowi, który podczas pracy nad tekstem wykorzystywał także osobiste doświadczenia, udało się tekstem *Late Company* dotknąć ważnych – w wymiarze społecznym – tematów. Ciekawie zarysował relacje między bohaterami, a dobrze prowadzony suspens sprawił, że odkrywanie prawdy o Joelu, jego rodzicach i pozostałych postaciach *Late Company* może być całkiem ciekawym doświadczeniem.

Piotr Dobrowolski

THOMAS JONIGK WEITER TRÄUMEN (ŚNIĆ DALEJ)

W roku 2010 w wyniku tąpnięcia ziemi kilkudziesięciu chilijskich górników zostało uwięzionych w kopalni miedzi i złota. Przez ponad dwa miesiące cały świat śledził zmagania ekipy ratunkowej, która za pomocą kapsuły ratowniczej próbowała wydostać górników na powierzchnię. Media relacjonowały te zmagania człowieka z naturą, ale także śledziły i rozwijały pewne „wątki poboczne” całej historii, które interesowały publiczność nie mniej niż tragiczny los mężczyzn. Jednym z takich wątków była miłosna historia rodem z południowoamerykańskich seriali. W grupie rodzin i przyjaciół czuwających przed kopalnią odnalazły się bowiem żona i kochanka tego samego górnika – obie kobiety przez siedemdziesiąt dni cierpliwie oczekiwały na swojego ukochanego, nieświadomego medialnego rozgłosu, jakiego przysporzyły mu na powierzchni jego miłosne podboje. Jonigk nie pisze wprawdzie o tej historii, ale jego dramat przywodzi na myśl ten właśnie, tragiczno-komiczny wątek nieoczekiwanego spotkania żony i kochanki w sytuacji zagrożenia życia ukochanego mężczyzny. W przypadku *Śnić dalej* ta sieć relacji jest jednak o wiele bardziej skomplikowana, bo kochanki są co najmniej dwie, a i czekająca na szpitalnym korytarzu żona nie zasypia gruszek w popiele i mimochodem wdaje się w przelotny romans.

Przyczyną spotkania się wszystkich kobiet Karla Bockmanna – głównego, choć przez większą część dramatu nieobecnego męża Silvii – jest nieszczęśliwy wypadek. Bockmann w niewyjaśnionych okolicznościach zapada

w śpiączkę i zostaje przewieziony do szpitala, gdzie jego żona i dorosła już córka oraz pojawiające się z nienacką kochanki toczą o niego bój. Nie jest to jednak bój w stylu tych, do których przyzwyczyły nas bohaterki *Dynastii*. Nikt tu nie wyrwa sobie włosów z głowy – w każdym razie nie żona Bockmanna, która wydaje się całą sytuacją mało zainteresowana. Gdy jej córka podsuwa lekarzowi łąpówki, Silvia znużona ogląda katalogi biur podróży i planuje dzięki eskapadę do Azji. Pojawienie się w szpitalu kochanek trochę ją ożywia – Silvia nie ma zamiaru walczyć o swoje małżeństwo, zamiast przepędzić rywalki, przygląda się im z zaciekawieniem, wypytuje o ich relacje z Karlem a ostatecznie z jedną umawia się na kolację. Pewne utarczki prowadzą natomiast ze sobą obie kochanki – jedna „zbyt stara” dla Karla i druga „zdecydowanie w jego typie”, czyli kobieta młodsza od Bockmanna o dobre trzydzieści lat. Gdy obie kochanki bawią się w przechwałki o swoich wyczynach seksualnych z Bockmannem, Silvia zajmuje się rozmowami z innym pacjentem (mężczyzną młodszym od jej córki). Pani Bockmann niby trochę się opiera, niby wyprasza sobie śmiałe zachowania Hansa, ale jednak co chwila wędruje do jego pokoju, a gdy otrzymuje od swojego adoratora pluszowego orangutana, zaczyna – jako baletnica emerytka – wywijać przy szpitalnym łóżku piruety. Także córka Bockmanna szybko zapomina o chorym tatusiu i zaczyna emablować lekarza.

Gdzieś na boku tych miłosnych perypetii bohaterów rozwija się także wątek kryminalny. Wypadek Bockmanna jest bowiem dość tajemniczy. Znalezione w ogrodzie z raną głowy Karl mógł zostać uderzony spadającą gałęzią albo być ofiarą przestępstwa. Policja

tropi ślady i szuka świadków, ale dochodzenie, choć pojawiają się w nim coraz to nowe wątki, nie posuwa się do przodu. Mnożą się jednak pytania, które wydają się coraz bardziej frapować nie tyle funkcjonariuszy, ile córkę ofiary. Dlaczego ojciec wykupował abonament do teatru, ale nigdy z niego nie korzystał? Dlaczego w czwartek wieczorem nie było go tam, gdzie powinien być? I wreszcie, dlaczego matka jest tak obojętna na los ojca?

W komedii Jonigka nie zostaje wyjaśniony ani wątek kryminalny, ani żaden z wątków miłosnych. Karl Bockmann budzi się trzy dni później i – co bardzo dziwi Silvję – wyznaje jej miłość. Jest to chyba jednak wyznanie spóźnione, bo ona już podjęła decyzję o rozwodzie a nawet przyzwoliła jednej z kochanek – oczywiście tej starszej, a nie młodej siksie w krótkiej miniówce – że może sobie swobodnie dysponować jej mężem. Silvia kocha Hansa i nawet pamiętając jego spontaniczne oświadczenia, sama zachęca go do ślubu. Na próżno. Hans nie jest już skory do małżeństwa, unika jakichkolwiek deklaracji i na pytanie Silvii, czy czas już się wybudzić z tego snu, odpowiada: „trzeba śnić dalej”.

I rzeczywiście jest coś sennego w dramacie Jonigka. Historia, którą tak dowcipnie konstruuje niemiecki dramaturg, to w jakimś sensie opowieść wigilijna, albo raczej opowieść antywigilijna. Bockmann trafia do szpitala tuż przed Wigilią. Gdy budzi się ze śpiączki i zdziwiony informacją o rozwodzie próbuje ratować swoje małżeństwo, chce nakłonić żonę do wspólnego świętowania. Bohater jest przekonany, że atmosfera Bożego Narodzenia może uratować jego rodzinę, i jest w szoku, gdy dowiaduje się, że niestety przespał Wigilię. Może więc

jednak – jak mówią bohaterowie – lepiej pospać, lepiej się nie budzić, lepiej śnić o jakimś lepszym świecie.

Monika Wąsik

MIRZA SKENDERAGIĆ **PROBUDI ME, KAD ZAVRŠI (OBUDŹ MNIE, JAK TO SIĘ SKOŃCZY)**

W Belgradzie 22 grudnia 2016 roku zakończył się Hfestival poświęcony tematowi społecznym oglądanym przez obiektyw sztuki zaangażowanej. Laureatem głównej nagrody w konkursie na najlepszy współczesny dramat zaangażowany pisany w języku serbskim, chorwackim, bośniackim albo czarnogórskim został Mirza Skenderagić, autor dramatu *Probudi me, kad završi*. Dwudniowy festiwal otworzył ambasador Szwajcarii, mówiąc (cytując za przykładem serbskim), że „sztuka i kultura mogą spowodować pozytywną zmianę w społeczeństwie, w którym żyjemy”. Zapamiętajmy to.

W jury konkursu, na który nadesłano 144 teksty, znaleźli się Biljana Srbljanović, Oliver Frlić oraz dramaturg i dramaturg Filip Vujošević. W uzasadnieniu jednogłośnie podjętej decyzji jury stwierdziło, że sztuka Skenderagicia „poprzez humor i szczerze wyrażone emocje przewartościowuje krwawą wojenną przeszłość na Bałkanach, stawiając pytanie, czy możliwy był inny los ludzi w tych minionych wojnach. Precyzyjny, dowcipny i bardzo bolesny dramat konfrontuje nas z naszym przegranym życiem i zachęca, byśmy się zajęli przemyśleniem alternatyw dla społecznej i politycznej rzeczywistości, w której żyjemy”.

Mirza Skenderagić urodził się w 1986 roku w Sarajewie. Skończył dziennikarstwo, a obecnie jest studentem trzeciego roku Akademii Teatralnej. Bohaterami jego sztuki są Ojciec (lat 55) i Matka (lat 50), którzy wraz z dorastającymi Córką (Siostrą, lat 27) i Synem (Bratem, lat 28) oraz Dziadkiem (lat 77) nie zaakceptowali rozpadu Jugosławii i żyją zamknięci z własnej (Ojca) woli w swoim mieszkaniu, wspominając wyidealizowaną przeszłość. Żywią się ziemią i jakimiś roślinkami albo udają, że coś jedzą.

W tym mieszkaniu nie ma współczesnej technologii. Żadnych komputerów, komórek i tak dalej. Tylko stary magnetofon. I kasety VHS z filmem „Bitwa na Neretwie”. Nikt z nich nie widział już dawno słońca, tylko gdzieś w pobliżu przelatuje jaskółka, ale i ona jest coraz cichsza. Młodzi uczą się z magnetofonu nagranych przez Ojca lekcji:

K to pierwsza i najważniejsza litera alfabetu. Komunizm to pierwsze i najważniejsze słowo. Komunizm to określenie mieszkanki gazów, które tworzą atmosferę okołozemską. To jeden z podstawowych warunków życia. Zwierzęta i ludzie oddychają. Komunizmem, roślinom też jest on potrzebny do fotosyntezy. Bez Komunizmu życie nie byłoby możliwe.

Na tej samej zasadzie mowa jest potem o socjalizmie, ale może wspomnijmy tu jeszcze o tym, czym jest partia (pisana, oczywiście, wielką literą „p”):

Partia jest okresem w życiu człowieka, w którym dotąd niedojrzali chłopcy i dziewczynki przechodzą zmiany. Rezultatem tych zmian jest ciało seksualnie zdolne do reprodukcji, a więc do fizycznego dojrzewania, a Jugosławia to schron,

budowla albo struktura przeznaczona do tego, by mieszkali w niej ludzie. W Jugosławii zawsze żyją szczęśliwe rodziny.

Czy muszę dodawać, że Krew to socjalizm?

Po tym wszystkim cała rodzina śpiewa hymn Jugosławii wzorowany na pieśni *Hej, Słowianie*: „Hej Słowianie, jeszcze żyjecie, Dziadów naszych duch, Póki dla narodu bije serce ich synów. Żyje, żyje duch słowiański, Żyć będzie na wieki. Próżno piekło nas przeklina, próżno ogień gromów praży...”. Rodzice (Ojciec) ćwiczą nastolatków. Młodzi wszystko wykonują pod dyktando, i pod dyktando są zadowoleni. Wszystko dla dobra minionej przeszłości. Kiedy gdzieś daleko wybucha petarda, powtarzam: petarda, Dziadek mówi: „Nie przestają od trzydziestego dziewiątego. Wiem, bo wtedy się urodziłem i pierwsze, co usłyszałem, to wybuch bomby”. A ojciec dopowiada: „Petarda to taka zabawka, synu. W porównaniu z tym, co dzieje się na zewnątrz, to zwykła, bezpieczna zabawka”.

Tę idyllę zakłócają czasem kamienie, które rozbijają okna mieszkania naszych bohaterów, owinięte w papier z napisem „Jebać waszą mać komunistyczną”. Kiedy już Ojciec nie ma argumentów, by zatrzymać dzieci (zwłaszcza Córkę) w zamknięciu, to odzywa się radio, z którego słychać pieśń: „Lata przeszły pełne męki, Ginęło się w milczeniu, Albo z pieśnią na ustach zamiast jęku, Towarzyszu Tito my ci przysięgamy...”. Potem z taśmy stare wiadomości. Albo Dziadek opowiada stare bajki, też niepozbawione akcentów ideowych, ale wzruszające. Matka mówi: „Piękne mamy życie”, ale Ojciec wciąż ją przywołuje autorytarnie do porządku. Ona jest całkowicie bezwolna. Ojciec chce się pozbyć jaskółki, która lata wokół

domu, bo nie przestaje niepokoić dzieci. I wszyscy oni mają syndrom stresu pourazowego. Każdy swój. Odrębny. Córka chce być piosenkarką, a Syn żołnierzem Ojca. Uprawiają ze sobą seks „w misjonarskiej pozycji”. Dostają od rodziców prezenty: Syn – mundur żołnierski, Córka – czerwoną suknię. To ona usłyszała, że Matka czasem płacze po nocach. I śledząc ją, przekonała się, że inny świat istnieje. Zachęca Syna, by z nią uciekł. Pyta: „Jak to nie chcesz iść? Wciągnąć w płuca K (komunizm)... Poczuć, że otuliła cię prawdziwa Pięciogramienna Gwiazda... no nie, nie gwiazda, tylko ta z makatki... żebyśmy wsiedli do pociągu i pojechali gdzieś daleko, do innego świata...”. Wtedy on ją gwałci. Oto odpowiedź godna mężczyzny.

Na osiemnaste urodziny Syn dostaje kałasznikowa, a wtedy Córka śpiewa piosenkę ze słowami: „Użyj noża, druta, Srebrenica, Noża, druta, Srebrenica... Bij, zabij, Serba pozbyć się trzeba, by poszedł do nieba”. Dziadek domaga się morfiny, by doczekać czasów, aż cały ten cyrk się skończy. Leczą, jak twierdzi Ojciec, zło jest ciągle na zewnątrz i nikogo nie oszczędzi. Trzeba być cierpliwym, a na koniec będzie się zwyciężać. Córka pyta: „Powiecie nam prawdę...? Ten nasz świat tutaj to przecież jedno wielkie kłamstwo?”. Ale że rodzice milczą, to Córka wyciąga pistolet i strzela w zdobny kwiatek. „Widzicie – mówi Córka – to plastik. Kłamstwo.” Ojciec na to: „Świat zaczął się rozpadać. Dostało do strasznych rzeczy. A my byliśmy szczęśliwi przez cały ten czas”. „Zamknijcie jak zwierzęta” – dopowiada Córka. „Myśleliśmy, że będzie wam tutaj lepiej. My mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo. Musieliśmy zadbać o szczęśliwą rodzinę.” Rodzina szczęśliwa nie była. Syn strzela sobie z kałasznikowa prosto w usta. Matka w odruchu buntu

zabija Ojca, Matka i Córka zabierają kałasznikowa i wychodzą z mieszkania. Zostaje Dziadek. Ten przynajmniej chyba zna prawdę o minionych czasach.

Adnotacja pod tekstem sztuki: Sarajevo, 2016. Trzeba docenić, że z naprawdę dużą dozą humoru, ironii, absurdu, Mirza Skenderagić potrafi mówić o tym, czego doświadczył jako dziecko. Sama z pewnym dystansem czytam opis tego świata, w którym nad łózkami małżeńskimi, w publicznej toalecie, na stacji benzynowej wieszają się portrety Wodza: u nas tak się nie robiło. Była niezgodna między tym, co ci narzucają, a tym, czego chcesz. I z pewną nieufnością odnoszę się do sztuki programowo zaangażowanej (i tak nazwanej). Ale może w czasie, gdy ulica wrze, należy ten stosunek na nowo przemyśleć?

Dorota Jovanka Ćirić

• Z afisza •

LISTOPAD 2016

Przerwana odyseja Roberta Urbańskiego go została zrealizowana w koprodukcji legnickiego Teatru im. Modrzejewskiej z Macedońskim Teatrem Narodowym (premiera w Skopie we wrześniu). Jej tematem jest dziecięcy exodus z lat wojny domowej w Grecji u schyłku lat czterdziestych XX wieku, kiedy z objętych partyzancką wojną górskich wiosek Północnej Grecji (Macedonii Egejskiej) ewakuowano dwadzieścia osiem tysięcy dzieci do komunistycznych krajów Europy Środkowej i Wschodniej, w tym przeszło trzy tysiące do Polski. W kolejnych latach dołączali do nich rodzice, co sprawiło, że łączna liczba uchodźców przekroczyła trzynaście tysięcy osób. Reżyseria: Jacek Głomb, scenografia i kostiumy: Małgorzata Bulanda, muzyka: Goran Trajkoski, ruch sceniczny: Aleksandra Koczowska-Naczewa.

Na naszych oczach słowo uchodźcy stało się politycznym dynamitem, który obala rządy i dzieli Unię Europejską. Towarzyszy nam zatem atmosfera wielkiej odpowiedzialności za ten skomplikowany temat. Chyba najtrudniejszy, z jakim się dotychczas mierzyliśmy. Ale towarzyszy nam też

refleksja, jak to się stało, że w 1948 roku biedna i wyniszczona Polska była w stanie przyjąć kilkadziesiąt tysięcy uchodźców (dzieci, do których w późniejszych czasach dołączyli ich rodzice), a dziś, nieporównanie bardziej zamożna, ma problem, gdy chodzi o kilka tysięcy.

Jacek Głomb

www.e-teatr.pl, 30 czerwca 2016

Prapremiera tekstu Beniamina M. Bukowskiego *Niesamowici bracia Limbourg* (finalista Gdynskiej Nagrody Dramaturgicznej 2015) • druk w „Dialogu” nr 12/2015 • w szczecińskiej Piwnicy przy Krypcie. Tytułowi bohaterowie to postaci historyczne, trzech niderlandzcy malarze z XIV wieku, którzy zajmowali się sztuką iluminowania rękopisów. Reżyseria: Daniel Jacewicz, scenografia: Michał Banasik, kostiumy: Sylwia Kazimierowska, muzyka: Damian Borowiec, konsultacja muzyczna: Lesja Szulc.

Śmierć przyjeżdża w środę to autorski spektakl Agaty Dudy-Gracz zrealizowany w koprodukcji Teatru im. Kochanowskiego z Opolskim Teatrem Lalki i Aktora. Spektakl rozgrywa się w przestrzeniach obu teatrów, ale także w drodze między teatrami. Reżyseria, scenografia i kostiumy: Agata Duda-Gracz, muzyka: Sambor

Dudziński, reżyseria światła: Katarzyna Łuszczyk, choreografia: Tomasz Wesółowski. Bohaterką spektaklu jest samotna bibliotekarka, w której głowie rozgrywa się cała historia...

Zajrzyj do wnętrza jej głowy. Rozgość się tam, rozejrzyj, podglądaj. Wszystko, co może wydarzyć się w tej głowie, właśnie się wydarza. Nie chcesz na to patrzeć. Nie możesz oderwać wzroku. To strasznie śmieszne: nagle zdajesz sobie sprawę, że to o tobie.

Agata Duda-Gracz
www.e-teatr.pl, 14 listopada 2016

Roman Dmowski – główny ideolog polskiego nacjonalizmu – jest bohaterem spektaklu *Myśli nowoczesnego Polaka*. Roman Dmowski (nieautoryzowana biografia) – tekst i dramaturgia Anna Wojnarowska i Grzegorz Laszuk – który miał premierę w Teatrze Polskim w Poznaniu. W spektaklu zestawiony został z Hannah Arendt. Reżyseria: Grzegorz Laszuk, muzyka: Bartek Rączkowski i zespół aktorski, ruch sceniczny: Weronika Pełczyńska, Aleksandra Osowicz, wideo: Adrian Cognac, Magdalena Mosiewicz, reżyseria światła: Karolina Gębska, kostiumy: Ewelina Ciuchta.

Czytałem pisma i biografie Arendt i Dmowskiego równolegle. Ta nuda, to złe pisanie, ta płytka filozofia Dmowskiego w porównaniu z głębią Arendt; ten rozdźwięk jest straszliwy. To także chcemy pokazać. Mali ludzie, odreagowując swoje nieszczęścia, pragną władzy. Zwykle za każdym szaleńcem, dyktatorem stoi banalna, nieszczęśliwa historia życiowa. Do masakr doprowadzali mali ludzie, którzy próbowali głosić wielkie idee.

Grzegorz Laszuk
„Newsweek Polska” nr 46/2016

Adaptacja książki Małgorzaty Halber
Najgorszy człowiek na świecie, w której

autorka, opisując swoje osobiste doświadczenie, mierzy się z tabu kobiecego alkoholizmu, trafiła na scenę Teatru im. Bogusławskiego w Kaliszu. Adaptacja: Anna Smolar we współpracy z zespołem aktorskim, reżyseria: Anna Smolar, scenografia i kostiumy: Anna Met, opracowanie muzyczne, światła: Rafał Paradowski.

Leni Riefenstahl – reżyserka filmowa, której początki popularności przypadły na czasy rządów Adolfa Hitlera i która zastygła z dokumentu o olimpiadzie sportowej 1933 roku w Niemczech oraz propagandowego filmu *Triumf woli*, jest bohaterką spektaklu w Teatrze Śląskim im. Wyspiańskiego w Katowicach zatytułowanego *Leni Riefenstahl. Epizody niepamięci*. Tekst: Iga Gańczarczyk, Łukasz Wojtyśko, reżyseria: Ewelina Marciniak, scenografia, kostiumy i reżyseria światła: Katarzyna Borkowska, choreografia: Dominika Knapik, muzyka: Piotr Kubiak, Daniel Szwed, projekcje wideo: Krzysztof Woźniak, Marcin Müller. W roli tytułowej Małgorzata Gorol.

Spektakl o Leni to przedstawienie nie tylko o roli artysty wobec władzy, ale także o starości. A dokładniej – o kobiecie, która fizycznie się starzeje, ale jednocześnie w jakiś tajemniczy sposób jest w pełni sił witalnych i cały czas ma ochotę realizować swoje plany artystyczne. Z tą kobietą sami naziści nie mogli sobie poradzić.

Ewelina Marciniak
<http://cojestgrane24.wyborcza.pl>, 3 marca 2016

Prapremiera *Disco macabre* Piotra Rowickiego, spektaklu muzycznego, w Teatrze La-lek „Pleciuga” w Szczecinie. Rzecz o członkach popularnego zespołu discopolowego, którzy po tragicznym wypadku trafiają do czyśćca, w którym poddani są eksperymentowi muzycznemu. Reżyseria: Arkadiusz Buszko, scenografia: Agnieszka Miluniec,

Maciej Osmycki, muzyka, aranżacja utworów i przygotowanie wokalne: Tomasz Lewandowski, multimedia: Pani Pawlosky.

Taśmy gdańskie według scenariusza i w reżyserii Wojtka Zrałka-Kossakowskiego miały premierę w Miejskim Teatrze Miniatura w Gdańsku. Tekst powstał na podstawie wspomnień i materiałów rodzinnych, materiałów archiwalnych, książek 1945. *Wojna i pokój* Magdaleny Grzebałkowskiej, *Gdańsk – miasto od nowa* Piotra Perkowskiego oraz wywiadów przeprowadzanych przez Teresę Torańską. Scenografia i kostiumy: Anna Met, muzyka i dźwięk: Marcin Lenarczyk.

Zasadniczym pytaniem scenariusza jest kwestia obiektywności pamięci. Czy obiektywna pamięć w ogóle może istnieć? Jak bardzo zapośredniczony mamy dostęp do faktów z przeszłości, czy w sposób nieunikniony skazani jesteśmy na pewną fabularyzację? Niezależnie od ilości zdjęć, nagrań, artykułów, dokumentów, materiałów, podań, notatek, źródeł, zdjęć, archiwów – zawsze musimy dokonać jakiejś ich interpretacji, opowiedzieć sobie wytłaniającą się z nich historię, a taka historia nigdy nie będzie obiektywna. Na jej kształt wpłyną nasze doświadczenia, wykształcenie, wychowanie, emocje – nasze przesady. Tym bardziej, że mało jest w polskiej historii okresów, o których powiedziano tak dużo – a wiadomo w zasadzie tak niewiele. O niewielu też okresach opowiadać nam tak trudno bez wiktania się w schematy i bez powtarzania z góry ustalonych narracji. Nawet jeśli te narracje są słuszne.

Wojtek Zrałek-Kossakowski
„Polska Dziennik Bałtycki” nr 220,
20 września 2016

Dobroć, nasza dobroć Romualda Wiczyskiego to sztuka przygotowana na dwudziestopięciolecie Teatru Wiczy, działającego początkowo w Brodnicy,

a od kilkunastu lat w Toruniu. Rozgrywa się na VIII piętrze wieżowca, na weselu, w którego trakcie jedna z ciotek zostaje wyrzucona przez okno. Impreza toczy się w oczekiwaniu na przyjazd policji. Reżyseria: Romuald Wicza-Pokojski.

Piotra Rowickiego *Woln-ość’90* – tekst o polskiej transformacji – wyreżyserował Piotr Ratajczak w Teatrze 13 w Warszawie. Dramaturgia: Maria Marcinkiewicz-Górna, scenografia: Grupa Mixer, opracowanie muzyczne: Piotr Ratajczak, ruch sceniczny: Arkadiusz Buszko.

O szczytach *rozpaczy i uśmiechu* stewardessy Agaty Baumgart i Michała Pabiana to zwycięzca III edycji Sceny Debiutów w poznańskim Teatrze Nowym im. Łomnickiego. Spektakl porusza problem depresji i metod walki z tą chorobą. Reżyseria: Agata Baumgart, dramaturgia: Michał Pabian, scenografia: Kaja Gawrońska, Karolina Ochocka, kostiumy: Natalia Borys, Valerya Khiliuk, Zuzanna Malinowska, Ireneusz Zając, reżyseria światła: Szymon Kluz, muzyka: Filip Szymczak, wideo: Dominika Olszowy, konsultacje choreograficzne: Katarzyna Sikora. Spektakl stworzony został techniką found footage, czyli literackiego kolażu. Wystąpiły Bożena Borowska-Kropielnicka, Dorota Abbe i Martyna Zaremba.

Sekretne życie Friedmanów Marcina Wierchowskiego i Daniela Sołtyśńskiego to inspirowana nominowanym do Oscara filmem Andrew Jareckiego *Capturing the Friedmans* historia rodziny, której ojciec i najmłodszy syn zostali słusznie/niesłusznie skazani za pedofilię, a przed wyrokiem sądu dokonano na nich społecznego linczu, „polowania na czarownicę”. Spektakl realizowany jest we wszystkich przestrzeniach budynku Stolarnia Teatru Ludowego w Krakowie. Reżyseria: Marcin Wierchowski, scenografia: Barbara

Ferlak, kostiumy: Ewa Mroczkowska, muzyka: Urszula Chrzanowska.

To spektakl o ślepej – być może – wierze w niewinność i trucielskiej sile wątpliwości. I o tym, jak wielkiej wrażliwości potrzeba, by stąpać w życiu tak, by nie sprowokować lawiny krzywd i ofiar. I jeszcze – last but not least – o tym, jak trudno jest żyć w prawdzie. I jak łatwo pomylić prawdę z własną fantazją na jej temat. Od zawsze baliśmy się wilków w owczej skórze. Od zawsze polowaliśmy na czarownice i na potwory. Stąd w opisie czynów, które – tak jak molestowanie – wstrząsają naszym człowieczeństwem, sięgamy po słowa, takie jak „niehumanitarne”, „bestialskie”, „szatańskie”. Bo pragniemy, by gatunkowy dział pomiędzy Nimi a Nami istniał i był nieobalalny. Ale podobnie jak nazistowscy oprawcy ulepiani byli z tej samej gliny, co my, tak też jest i z człowiekiem, który zadaje nieodwracalną krzywdę dziecku, szarga jego niewinność i ufność, otwiera otchłani bólu.

Marcin Wierchowski

www.krakow.wyborcza.pl, 16 listopada 2016

Ostatnie rozdanie – autorska interpretacja wybranych wątków powieści Wiesława Myślińskiego pod tym samym tytułem – według scenariusza i w reżyserii Anety Adamskiej w rzeszowskim Teatrze Przedmieście.

Prapremiera dla najmłodszych w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym im. Słowackiego w Koszalinie – *Strażniczka Magicznego Lasu* Tomasza Ogonowskiego. Reżyseria: Marcin Borchardt, kostiumy: Beata Jasioneł, teksty piosenek: Tomasz Ogonowski, scenografia: Beata Jasioneł, muzyka: Jarosław Barów, choreografia: Arkadiusz Buszko.

Matek Rozstawacz Michała Walczaka miał prapremierę w Teatrze Lalek Arlekin im. Ryla w Łodzi. Współczesna bajka o chłopcu, którego rodzice się rozstają. Reżyseria i muzyka: Tomasz Man,

scenografia: Anetta Piekarska-Man, choreografia: Joanna Wolańska.

Dopalacze. Siedem stopni donikąd Justyny Bargielskiej i Wawrzyńca Kostrzewskiego – skierowana głównie do młodych widzów opowieść o współczesnym, dorastającym pokoleniu, szukającym szybkich, mocnych wrażeń i zagrożeń z tego wynikających. Premiera w warszawskim Teatrze Kamienica. Reżyseria: Wawrzyniec Kostrzewski, muzyka: Piotr Łabonarski, projekcje multimedialne: Maria Matylda Wojciechowska.

Całe życie w dresach – monodram autorstwa i w wykonaniu Justyny Tomczak-Boczko – o doświadczeniu bycia matką niepełnosprawnego dziecka – wyprodukowany przez Fundację Barak Kultury miał premierę na Scenie Roboczej w Poznaniu podczas Innego Festiwalu. Reżyseria: Przemek Prasnowski, muzyka: Maciej Kuśnierz, kostiumy: Dorota Słomczyńska.

Prapremiera *Sztuki komfortu* w reżyserii autora – Szymona Turkiewicza przygotowana przez Duet artystyczny ME/ST w Warszawie. Główny bohater to alter ego autora, czterdziestoletni mężczyzna, dramaturg teatralny, zmagający się z demonami polskości, poszukujący własnej tożsamości oraz wyjścia ze strefy komfortu. Scenografia i kostiumy: Magdalena Engelmajer, muzyka: Szymon Turkiewicz.

Stand-up Tomasza Schimscheinera zatytułowany *Shimmy Shine Show* w reżyserii Sławomira Chwastowskiego miał premierę w krakowskim Teatrze Łątnia Nowa. Tekst nawiązuje do wcześniejszych monodramów w wykonaniu aktora – spektaklu *Sex, prochy i rock&roll* Erica Bogosiana i *Zwierzęci pornogwiazdy*, których jest kontynuacją.

Prapremiera monodramu *Ja i Beatrix* autorstwa Jerzego Szafjańskiego w Lubuskim

Teatrze im. Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Tekst dotyczy współczesnej polskiej emigracji w Australii. Reżyseria: Lech Mackiewicz. Występuje: Marek Sitarski.

Prapremiera komedii o małżeństwie trafiającym na terapię do lekarza erotomana autorstwa Tomasza Jachimka *Wiwiwexia* w katowickim Teatrze Korez. Reżyseria: Mirosław Neinert.

W poznańskim Moim Teatrze premiera kolejnej sztuki twórcy i właściciela sceny, Marka Zgaińskiego. *Starego męża, nową żonę* wyreżyserował Mariusz Puchalski.

Podlaska premiera *The Monstrum Band* Mateusza Pakuły – koprodukcji Grupy Coincidentia z Białegostoku i kieleckiego Teatru Lalki i Aktora „Kubuś” z Kielc (prapremiera w październiku w Kielcach). Reżyseria: Robert Drobnich, scenografia: Jan Polivka, kostiumy: Karolina Maksimowicz, muzyka i koncepcja instrumentów: Jerzy Bielski, ruch sceniczny Karolina Garbacik, współpraca dramaturgiczna: Tomasz Damulewicz.

Jaskinia to inspirowana *Jesienną sonatą* Ingmara Bergmana, *Notatkami z podziemia* Fiodora Dostojewskiego i *Wybrańcem* Thomasa Manna opowieść o relacji matki z synem według scenariusza i w reżyserii Arka Tworusa. Premiera w STUDIO teatralerii w Warszawie. Scenografia i kostiumy: Przemysław Czepurko, adaptacja muzyczna: Marcin Zabrocki, wideo: Tobiasz Jędrak, reżyseria światła: Damian Pawella.

Ludzie inteligentni to drugi tekst francuskiego dramatopisarza Marca Fayeta trafiający na polską scenę. Historia o przyjaźni trzech par, z których jedna ku zaskoczeniu pozostałych nagle decyduje się rozstać. Prapremiera w Teatrze im. Osterwy w Lublinie. Przekład: Irma Helt, reżyseria:

Grzegorz Chrapkiewicz, scenografia i kostiumy: Aneta Suskiewicz, reżyseria światła: Olaf Tryzna, muzyka: Szymon Wysocki.

Stara kobieta wysiaduje Tadeusza Różewicza •druk. w „Dialogu” nr 8/1968• miała premierę w słupskim Teatrze Rondo. Reżyseria: Stanisław Miedziewski, scenografia: Piotr Igor Salata, muzyka: Tomasz Giczewski.

Krzysztof Garbaczewski sięga po Witolda Gombrowicza po raz czwarty. Powieść z 1964 roku *Kosmos* zrealizował w Narodowym Starym Teatrze im. Modrzejewskiej w Krakowie. Reżyseria i opracowanie dramaturgiczne: Krzysztof Garbaczewski, muzyka: Jan Duszyński, wideo: Robert Mleczek, reżyseria światła: Bartosz Nalazek, choreografia: Izabela Szostak, scenografia: Aleksandra Wasilkowska, kostiumy: Svenja Gassen.

U Gombrowicza „Kosmos” to najtwardszy orzech do zgryzienia. A póki mam jeszcze młode zęby, to bardzo chciałem się w niego wgryźć... Wybór tekstu to zwykle proces intuicyjny. To nie ja planowałem zrobić teraz „Kosmos”, tylko „Kosmos” wybrał mnie. Odezwał się do mnie ze swojej czarnej otchłani usłanej świetlnymi punkcikami i domagał się odpowiedzi. W „Kosmosie” Gombrowicz próbuje rozłożyć na elementy pierwsze konstrukcję człowieka, sprawdzić jego relację ze światem, wskazuje na punkty, które rozpadają się i konstruują na nowo. Dla mnie to bardzo ciekawy proces prowadzący do odkrywania jakiegoś nowego języka. „Kosmos” nagle stał się dla mnie nowym językiem, mimo że kontakt z Gombrowiczem miałem spory.

Krzysztof Garbaczewski

www.cojestgrane24.wyborcza.pl,

17 listopada 2016

Cesarz Ryszarda Kapuścińskiego – reportaż o ostatnich latach panowania

władcy Etiopii Hajle Sellasje – w adaptacji Tomasza Mana miał premierę w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu. Reżyseria: Aneta Głuch-Klucznik, scenografia i kostiumy: Marianna Lisiecka, muzyka: Marek Otwinowski, choreografia: Maćko Prusak, reżyseria światła: Robert Baliński.

„Cesarz” jest moim zdaniem w dużo większym stopniu formą refleksji o istocie władzy niż opisem konkretnej sytuacji w Etiopii. Opisywane wydarzenia w istocie niczym nie różnią się od tego, co można zaobserwować w innych państwach. Dla mnie jest to książka nie o Cesarzu, a o ludziach Dworu, a dokładniej: o tym, jak wygląda, czym się charakteryzuje i co robi z ludźmi fakt, kiedy sięgają po władzę. Siła książki Kapuścińskiego leży właśnie w umiejętności pokazania mechanizmów i zależności między „tymi wyżej” a „tymi niżej” w hierarchii.

Aneta Głuch-Klucznik

www.e-teatr.pl, 24 października 2016

Tragifarsa Sarah Ruhl *Posprząthane* • druk. w „Dialogu” nr 12/2005 • po trzech realizacjach scenicznych trafiła do Teatru Telewizji. Przekład: Małgorzata Semil, reżyseria: Agnieszka Lipiec-Wróblewska, scenografia: Agnieszka Zawadowska, Krzysztof Benedek, kostiumy: Izabela Stronias, zdjęcia: Jan Holoubek.

Sztuka Słoweńca Matjaža Zupančicia *Vladimir* • druk. w „Dialogu” nr 6/2004 • po raz drugi na afiszu – zrealizowana w koprodukcji warszawskich teatrów: EKIPA i Druga Strefa. Przekład: Joanna Pomorska, reżyseria: Jan Naturski, muzyka: Grzegorz Mazoń, współpraca reżyserska: Marcin Maziarzewski.

Osiemnasta realizacja w Polsce powieści Kena Keseya *Lot nad kukutczym gniazdem* w dramaturgicznej wersji

Dale’a Wassermana. Premiera w Teatrze Miejskim im. Gombrowicza w Gdyni. Reżyseria: Krzysztof Babicki, scenografia: Marek Braun, muzyka: Marek Kuczyński, kostiumy: Hanna Szymczak, światło: Marek Perkowski. W rolach głównych Piotr Michalski i Dorota Lulka.

Godzina kota Pera Olova Enquista wraca na afisz po blisko ćwierćwieczu. Szóstą inscenizację (wliczając telewizyjną) wyreżyserowała Katarzyna Dąbkowska-Kułaczkiewicz w łódzkim Teatrze Małym w Manufakturze. Przekład: Andrzej Krajewski-Bola, scenografia: Katarzyna Mazurkiewicz, muzyka: Hubert Kułaczkiewicz.

Męczenników Mariusa von Mayenburga • druk. w „Dialogu” nr 1/2014 • jako spektakl dyplomowy ze słuchaczami Studium Aktorskiego im. Sewruka w Olsztynie przygotowała Joanna Fertacz. Przekład: Elżbieta Ogrodowska-Jesioneck, scenografia: Iza Toroniewicz.

Opowieść o spotkaniu geja i konserwatywnej słuchaczki Radia Maryja, czyli Marcina Szczygielskiego *Berek*, czyli *upiór w moherze* po raz trzeci na afiszu. Premiera w płockim Teatrze Dramatycznym im. Szaniawskiego. Reżyseria: Andrzej Chichłowski, scenografia: Dorota Cempura, opracowanie muzyczne: Piotr Tobota, instalacje wideo: Robert Liberek.

Szklana Góra Bogumiły Rzymskiej miała premierę w Teatrze Lalek Baniałuka im. Zitzmana w Bielsku-Białej. Reżyseria: Janusz Ryl-Krystianowski, scenografia: Joanna Braun, muzyka: Robert Łuczak, ruch sceniczny: Anna Rozmianiec.

Baśń *Piękna i bestia* w ujęciu dramaturgicznym Jana Ośnicy na scenach lałkowych gości regularnie od 1972 roku. Najnowsza premiera w Białostockim

Teatrze Lalek. Reżyseria: Braňo Mazúch, scenografia: Jan Polívka, muzyka: Jan Čtvrtník.

Tekst bajki Leszka Kołakowskiego *Kto rozśmieszy pechowego nosorożca* trafia na afisz po raz czwarty. Premiera w warszawskim Teatrze Baj w adaptacji i reżyserii Ireneusza Maciejewskiego. Scenografia: Dariusz Panas, muzyka: Łukasz Pospieszalski, ruch sceniczny: Krzysztof Roszko.

Farsa Edwarda Taylora *Żona potrzebna od zaraz* zrealizowana w Polsce po raz drugi. Premiera w Teatrze im. Osterwy w Gorzowie. Przekład: Elżbieta Woźniak, reżyseria: Zdzisław Derebecki, scenografia: Wojciech Stefaniak, opracowanie muzyczne: Adrian Adamowicz.

Powieść niemieckiego pisarza Michaela Endego *Momo* z 1973 roku po raz ósmy trafiła na scenę, tym razem katowickiego Teatru Rawa jako monodram. Przekład:

Ryszard Wojnakowski, adaptacja i reżyseria: Hubert Bronicki, muzyka: Paweł Furtek, scenografia: Katarzyna Majchrzak-Żelazo, Bartosz Socha, Krzysztof P., reżyseria światła: Maciej Dziaczko. Występuje: Ewa Kubiak.

Chłopcy Stanisława Grochowiaka • druk. w „Dialogu” nr 8/1964 • premierowo w Teatrze Polonia w Warszawie. Reżyseria: Miroslaw Gronowski, scenografia i kostiumy: Ewa Gronowska, światło: Paweł Szymczyk, opracowanie muzyczne: Małgorzata Przedpełska-Bieniek.

Trzydziesty dziewiąty raz na polskiej scenie, a trzeci raz w Warszawie farsa Michaela Frayna *Czego nie widać* • druk. w „Dialogu” nr 12/1984 •. Premiera w warszawskim Teatrze Kwadrat. Przekład: Karol Jakubowicz i Małgorzata Semil, reżyseria: Andrzej Nejman, scenografia: Wojciech Stefaniak, kostiumy: Maciej Chojnacki, muzyka: Filip Kunczewicz.

• Korespondencja •

Szanowny Panie Redaktorze,
w grudniowym numerze „Dialogu” z 2016 roku ukazał się tekst Jolanty Kowalskiej *Dekada*. W podpisie do wydrukowanych na stronie 22. zdjęć znalazła się błędna informacja, że *Dziady* Adama Mickiewicza wyreżyserował w Teatrze Polskim we Wrocławiu Jan Klata. Właściwym reżyserem był Michał Zadara. To najprawdopodobniej usterka, która powstała podczas kopiowania wzoru podpisu, w artykule widnieje bowiem poprawne nazwisko twórcy spektaklu.

Łączę wyrazy szacunku,
Jarosław Minałto
sekretarz literacki Teatru Polskiego we Wrocławiu

Przepraszamy
Redakcja

Contents

Plays

WERONIKA MUREK *IN OUR ROOM STOVE* 91

Playing with toy soldiers in the children's room turns into scenes from the real army, but the conversation of the soldiers is constantly interrupted by toys: Clockwork Mouse and China Dancer. All this, however, is far from the idyll of Hoffmann's *Nutcracker*, because despite the clichés about the fight and honour, fear, stupidity, a premonition of death and other obsessions come out. The play has a sophisticated structure, full of choruses and loops, and at the same time a lot of morbid humour.

WOLFRAM LOTZ *FUNNY DARKNESS* 149

The play is inspired by the novel *Heart of Darkness* by Joseph Conrad and Francis Ford Coppola's *Apocalypse Now*. It takes place in the war-torn Afghanistan, and talks about two soldiers traversing the area in search of a comrade accused of the murder of his brothers-in-arms. Soon, however, the realities are denied to be replaced by reflections on contemporary cruelty and war-time abuses.

ANTONINA GRZEGORZEWSKA *TOO LITTLE* 189

A double portrait of two women's struggle with the emptiness in their lives. One of the characters, a wife of a doctor, spends huge sums on designer clothes, and finally her garments are seized by the bailiff. The second is anorexic, the same doctor trying to save her life in the hospital. One wants to have more and more, whereas the other gives up everything, which, in fact, constitutes the obverse and reverse of the constant hunger inscribed in our culture. The action is juxtaposed with poetic visions of the anorexic and the choir of seamstresses whose work at the machines imposes rhythm on the performance.

BOGNA BURSKA, MAGDA MOSIEWICZ *END OF VIOLENCE* 16

A screenplay, and also a political essay. It shows the dramatic effects of the division of the society having two opposing value systems. The idea for the solution of the conflict and preventing violence is to divide the society into two states within a single territory. But how to imagine such a solution in practice?

Essays, Studies

JOANNA KRAKOWSKA, PIOTR MORAWSKI *A SHORT HISTORY OF CONTEMPT IN THE THIRD REPUBLIC OF POLAND* 5

Contempt is vividly present in our public life. Tracing its various forms that appeared after 1989 helps to understand the situation in which we have found ourselves recently. The most famous examples recalled here reveal economic, class and cultural grounds for contempt understood as a tool of political struggle.

HOW HAS IT ALL STARTED? A SURVEY 45

Magdalena Bartecka, Teresa Bogucka, Iwona Chmura-Rutkowska, Bożena Keff, Krzysztof Pacewicz, Małgorzata Sikorska-Miszczuk, Karolina Wigura – participants and observers of the public life answer the questions: Who do we despise? And why? Have I experienced contempt personally? When have I noticed contempt in the Polish public debate after 1989?

EWA CHOMICKA *DIALOGUE IN THE TIME OF CONTEMPT* 58

It is not enough today to call someone a racist or a xenophobe and point to examples to follow in order to combat discrimination. It is not so much about the incompatibility of the language, but the awareness of social inequalities. People who often despise someone in our life or in the lives of our loved ones must have experienced themselves various discriminatory practices, which the elite by no means solved, and even sought to deepen them.

INCOMPETENCE, IMMATURITY 70

An interview with Tomasz Rakowski about the language of contempt in the context of poverty, unemployment and economic exclusion. In the last decades the media and social scientists created a powerful discourse accusing others of civilizational incompetence. This was also due to the functioning of intellectual stereotypes in social sciences.

JUSTYNA JAWORSKA *TORN KILTS, SHIRTS WITH THE EAGLE* 81

Why does fashion need historical memory: when it is really an inspiration and when it only helps to bump up sales? Has it really got the power of revising the past, or by its very nature it must be limited to styling that through historic costumes and gadgets fits smoothly in the "memory industry"?

KORNELIA SOBCHAK *CINEMA OF A GOOD CHANGE* 106

The cinema of a Good Change can be distinguished because of the theme touched upon. Though little in terms of facts combines the post-war anti-communist movement and the disaster in Smolensk, nevertheless in a symbolic, ideological and political sense the links are clear. Historical policy is one of the pillars of a "good change", an ideological mission of the new government, and a satisfactory explanation of the crash in Smolensk – one of the promises of the new government being to solve its mystery once and for all.

TOMASZ PLATA *DREAMS OF A DEFEAT* 125

Despite the announced by Professor Maria Janion end of the Romantic paradigm in Polish culture at the beginning of the nineties, Romanticism remains the main language of the public and the most important code of the Polish culture. Reinterpretation of the Romantic tradition proved to be an attempt to keep it alive and find a new place for Romantic myths. Romanticism in Poland continues. Another part of the book by Tomasz Plata we began printing in issue 6/2016 is devoted to the Romantic language of today's right wing.

Columns

Marek Beylin, Tadeusz Nyczek, Tadeusz Bradecki

Varia

NOTES ON PLAYS: Jordan Tannahill *Late Company*; Thomas Jonigk *Weiter Träumen*; Mirza Skenderagić *Probudi me, kad završi*; PLAYBILL.

ROK LXII / STYCZEŃ 2017 / NR 1 (722)

Copyright by „Dialog” 2017

Ilustracje w numerze pochodzą z archiwum Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie, serwisów reklamowych teatrów, oficjalnych stron internetowych festiwalu oraz zbiorów prywatnych.

Projekt okładki *Krzysztof Rumowski*

Projekt layoutu *Fajne Chłopaki*

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Dorota Jovanka Ćirlić, Justyna Jaworska (dział dramaturgii polskiej), *Joanna Krakowska* (zastępczyni redaktora naczelnego), *Piotr Morawski* (sekretarz redakcji), *Piotr Olkusz* (dział zagraniczny), *Małgorzata Semil, Jacek Sieradzki* (redaktor naczelny)
Anna Kruk i Ludmiła Pańków (korekta), *Anna Wycech* (sekretariat), *Helena Dziurnikowska* (redakcja techniczna), *Agnieszka Kubaś* (opracowanie graficzne)

RADA NAUKOWA:

Janusz Degler, Leszek Kolankiewicz, Dariusz Kosiński, Lech Sokół,
Małgorzata Szpakowska (przewodnicząca)

STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ:

Dorota Buchwald, Piotr Gruszczyński, Grażyna Stachówna, Piotr Szymanowski, *Mariusz Zinowicz*

CZASOPISMO PATRONACKIE INSTYTUTU KSIĄŻKI WYDAWANE NA ZLECENIE MINISTRA
KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

„DIALOG” MOŻNA ZAPRENUMEROWAĆ:

Przelewem na konto Instytutu Książki, Bank Gospodarstwa Krajowego: dla wpłat krajowych
81113011500012126927200001; dla wpłat zagranicznych PL81113011500012126927200001 ; kod SWIFT:
GOSKPLPW.

Prenumerata krajowa: 120 PLN za cały rok; prenumerata zagraniczna: USD 80 za rok; EUR 60 za rok. Zamówione
egzemplarze dostarcza poczta bez dodatkowych opłat.

Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: w prenumeracie krajowej zamówienia przyjmują Zespoły Prenu-
meraty właściwe dla miejsca zamieszkania klienta: www.prenumerata.ruch.com.pl, e-mail: prenumerata@ruch.com.pl.

Informację o warunkach prenumeraty ze zleceniem wysyłki za granicę i sposobie zamawiania można uzyskać
pod numerem telefonu +48226936775; www.ruch.pol.pl; e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

ADRES REDAKCJI:

02-086 Warszawa, al. Niepodległości 213.

Telefony: SEKRETARIAT: (48 22) 608-28-80; 608-28-81, tel./fax (48 22) 608-28-82.

WYDAWCA: Instytut Książki, 31-148 Kraków, ul. Wróblewskiego 6.

Nakład 1650 egz., obj. ark. druk. 16. Skład własny. Druk i oprawa: Petit s. k., Lublin.

Podpisano do druku w grudniu 2016. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca.

e-mail: dialog@instytutksiazki.pl

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

Beniamin M. Bukowski
MAZAGAN. MIASTO

Henriette Dushe
O DŁUGIEJ PODRÓŻY

Tomasz Gromadka
STRAJK ARABSKICH PIEŁĘGNIAREK

Malina Prześluga
CZUŁOŚĆ

Peter Turrini
SIEDEM SEKUND WIECZNOŚCI

Michel Vinaver
BULWAR BETANCOURT

Łukasz Wojtyśko
VILLAS / NIE JESTEM JUŻ PSEM

INDERS 355542.PL ISSN 0012-2041



01

Cena: 10 zł (w tym 5% VAT)